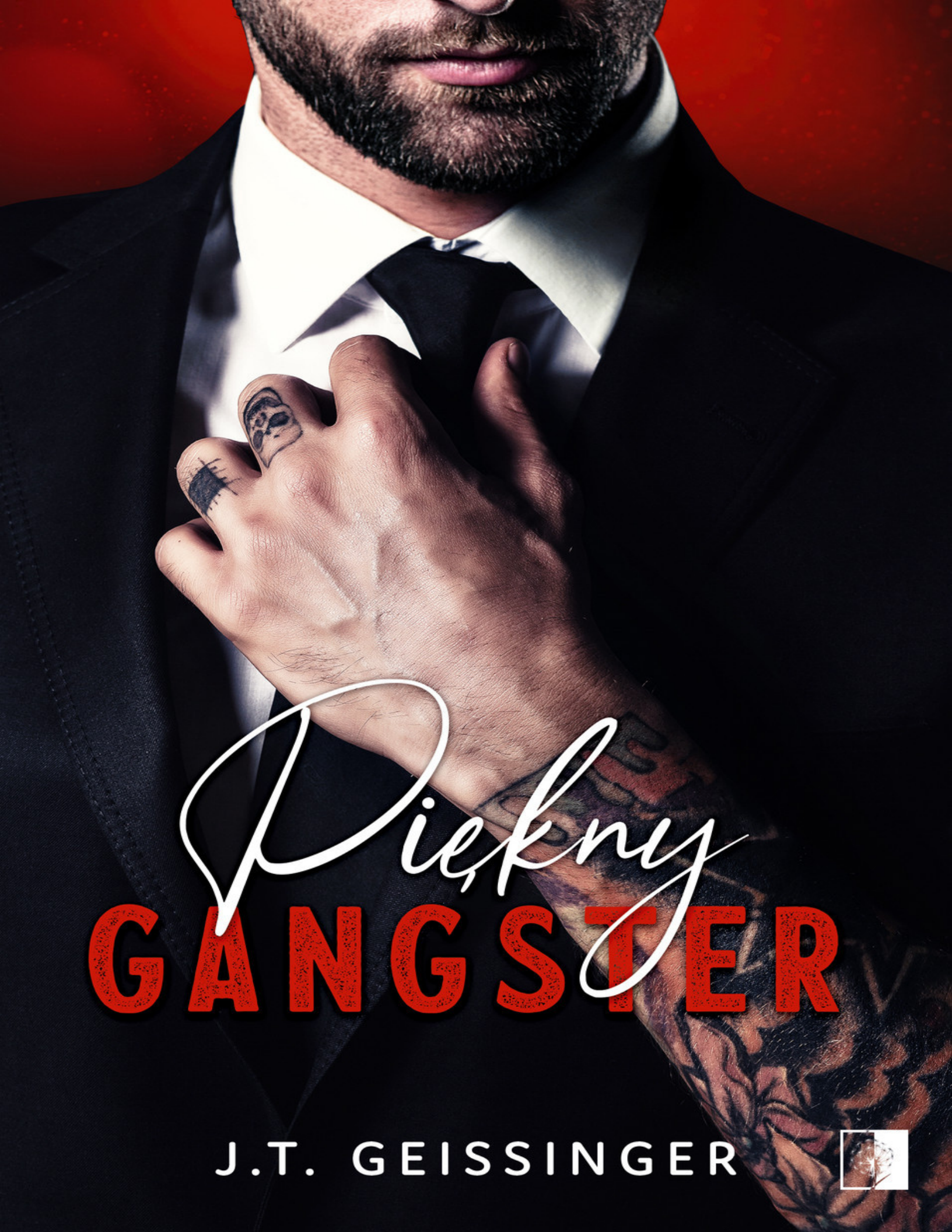
Piękny
GANGSTER
J.T. GEISSINGER

J. T. GEISSINGER

PIĘKNY GANGSTER

PIĘKNI GANGSTERZY #1

TŁUMACZENIE

MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2021

Tytuł oryginału
Beautifully Cruel
Copyright © 2020 by J. T. Geissinger
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Przemysław Gumiński
Korekta:
Magdalena Mieczkowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-780-2

SPIS TREŚCI

Wstęp
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23

Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Epilog
Podziękowania
O autorce
Przypisy

Dla Jay, pięknej duszy rozświetlającej mój mrok.

Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny;
Są one na kształt prochu zatlonego,
Co wystrzeliwszy gaśnie.

William Shakespeare, *Romeo i Julia*
(akt II, scena 6)
w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

Wstęp

Dziękuję, że sięgnęliście po moją książkę! Jeżeli chcecie otrzymywać bieżące informacje na temat moich premier, zapiszcie się do mojego newslettera lub śledźcie mnie na BookBub.

Rozdział 1

Tru

– Wrócił twój wielki, zły wilk.

Przenoszę spojrzenie z ekspresu do kawy na Carlę, koleżankę z pracy, która właśnie przystanęła obok. Kiedy wypowiada pod nosem to zdanie, szturcha mnie łokciem. Nie muszę się obracać i podążać za jej wzrokiem aż na drugi koniec sali, bo doskonale wiem, o kim mówi. Wystarczy użyta przez nią ksywka i mój nagły wzrost tętna.

Od poprzedniej wizyty mężczyzny w czerni minęło siedem tygodni. Od tego czasu nie widziałam tych gęstych, ciemnych włosów, wielkich, męskich dłoni i drogich garniturów od Armaniego, w których wcale nie wygląda jak sztywny snob.

Można ubrać lwa w pstrokate stroje, ale i tak zawsze to on będzie królem dżungli.

– Nie jest mój – odpowiadam równie cicho, leniwie obserwując skapującą do szklanego dzbanka kawę.

Każdą cząstką ciała wyczuwam bicie serca. Muszę się powstrzymywać, by nie obrócić głowy i na niego nie spojrzeć. Wcale mnie to nie dziwi. Nie znałam wcześniej mężczyzny, którego oglądanie sprawiałoby tyle przyjemności.

– Tru, on przez rok siedział przy tym samym stoliku, i to w twojej sekcji – prycha Carla.

Jedenaście miesięcy, ale kto by tam liczył…

– Jeżeli akurat masz urlop, to facet po prostu obraca się na pięcie i wychodzi. Spławia wszystkie kelnerki, które próbują z nim flirtować. Włącznie ze mną! A przecież te cycuszki nigdy nie zawodzą. No i przecież nie przychodzi tu dla świetnego jedzenia, do cholery.

Patrzy krzywo na trzymany w ręce talerz. Żółte jak flegma ziemniaki z peklowaną wołowiną toną w tłuszczu. Tak, Buddy's All Night Diner zdecydowanie nie słynie z dobrej jakości serwowanych potraw.

– Ze mną też nie rozmawia. Zamawia kawę i tyle.

– Proszę cię. – Carla przewraca oczami. – Wystarczy, jak wodzi za tobą tymi wielkimi wilczymi ślepiami. Pewnego dnia cię połknie jak wilk babcię Czerwonego Kapturka.

Uśmiecham się i kręcę głową.

– No na pewno. Tylko czeka na pełnię, co nie?

Carla odchyla głowę i cicho wyje w sufit jak wilk.

– Spadaj, wariatko. Próbuję pracować.

Odchodzi, bujając biodrami, i zanosi ziemniaki łysemu facetowi przy dwunastce.

Biorę głęboki oddech i próbuję opanować nerwy, po czym łapię kubek z półki nad ekspresem i ruszam w kierunku stolika wilka.

Czeka i obserwuje. Jak zwykle się nie uśmiecha. Oczy mu płoną, a sam emanuje skupieniem i spokojem, które widywałam tylko w filmach przyrodniczych o wielkich kotach czających się w wysokiej trawie na gazele. Zawsze patrzy na mnie w taki sposób, w ciszy i z głodem w oczach. Niemniej w przeciwieństwie do afrykańskiego kota podczas łowów, w spojrzeniu tego wilka jest pewna czujność, coś w rodzaju wymuszonego opanowania. Obserwuje, jak się zbliżam. Dłonie trzyma rozpostarte na poharatanym blacie, zupełnie jakby dzięki temu mógł je kontrolować.

Staram się zachowywać swobodnie. Zatrzymuję się przy jego stoliku, stawiam przed nim kubek i nalewam kawę. Najwyraźniej lubi ją taką jak wszystko inne: czarną.

– Cześć. Miło cię znowu widzieć – rzucam nieśmiało.

Brawo! Udało mi się utrzymać spokojny głos, choć w brzuchu fruwają mi motyle, a w gardle rośnie gula. Tak naprawdę nigdy nie rozmawiałam z tym facetem, a jednak teraz rozrywa mi nerwy na strzępy.

– Miło mi być widzianym – mruczy w odpowiedzi.

Och, irlandzki akcent. Prawie zapomniałam, jak rozkosznie brzmi. Jego bogaty, gardłowy szmer przypomina kocie pomruki. Tłumię

dreszcz, podnoszę na niego spojrzenie i niepewnie się uśmiecham.

Nawet nie odwzajemnia uśmiechu.

Jak zawsze, gdy nas odwiedza, pozwalam sobie na przegląd jego tatuaży. Ozdobił wszystkie knykcie lewej dłoni. Gwiazdki, korona, nóż wbity w czaszkę i czarny kwadrat, który wygląda tak, jakby zasłaniał jakiś inny stary wzór. Fascynują mnie, podobnie jak kawałeczek tatuażu wystający ponad śnieżnobiałym kołnierzem jego koszuli.

Ta kolekcja dziar intryguje i ciekawi, dokładnie jak jej właściciel.

Postanowiłam, że dziś w końcu z nim porozmawiam, dlatego też zbieram się na odwagę, biorę jeszcze jeden głęboki oddech i wypalam:

– Piękna pogoda, prawda?

Staram się nadać temu stwierdzeniu nieco sarkazmu, bo tak naprawdę za oknem jest koszmarnie, ale wyszło tępawo i nudno. Już ciekawiej by było, gdyby na stół pomiędzy nami z hukiem spadła cegła.

Wilk przygląda mi się w nieprzeniknionej ciszy, a pomiędzy jego ciemnymi brwiami pojawia się mikroskopijna zmarszczka.

Moje policzki płoną z zażenowania. Chcę się już odwrócić i czym prędzej odejść, ale on mówi nagle:

– Uwielbiam, gdy w mieście leje. Przypomina mi dom.

Sądząc po jego minie, też nie spodziewał się, że to powie.

– Dom, to znaczy Irlandia? – pytam ostrożnie.

Waha się, jakby nie był pewien, czy odpowiedzieć. W końcu po prostu kiwa głową.

Wyobrażam sobie pofałdowane wzgórza porośnięte kępkami wrzosów o fioletowych kwiatach, paluchy szarej mgły, skradające się po średniowiecznych zamczyskach i urocze chatki, wyrastające na malowniczych klifach. Obraz dopełnia oczywiście wielki czarny wilk wyjący do księżyca w pełni.

Przygląda się bacznie mojej zamyślonej minie, po czym mówi:

– Byłaś kiedyś w mojej ojczyźnie?

– Nie.

– Jeżeli podobają ci się dzikie miejsca, to powinnaś się wybrać.

– Kocham dzikie miejsca i… dzikie rzeczy – wypalam.

– Czyżby… – mówi cicho wilk, patrząc mi prosto w oczy.

To nie było pytanie. Powiedział to tak, jakby rozważał moje słowa i zastanawiał się, jakie dzikie rzeczy mogę lubić.

Oczywiście, jako że jestem już kompletnie wytrącona z równowagi, zaczynam bełkotać bez sensu:

– Miałam na myśli, że przywykłam do dzikich miejsc. Sama z takiego pochodzę. Jestem z maciupkiej mieściny w Teksasie, z samego środka dziczy. Niebo jest tam takie niebieskie, że aż oślepia, a równiny ciągną się w nieskończoność. No i może cię tam zabić z milion rzeczy: tornada, skorpiony, jadowite węże, a nawet półślepy podpity kuzyn, który w niedzielę po kościele lubi sobie postrzelać za domem, gdy cała rodzina akurat złazi się na obiad. Wtedy akurat masz na sobie sztuczne futro, które babcia kupiła ci pod choinkę, przez co pechowo przypominasz jelenia.

To przerażające wynurzenie sprawia, że wszystkie drobne hałasy w knajpie wydają się boleśnie głośne, a walący o dach deszcz brzmi jak salwa artylerii.

Wilk gapi się na mnie z pełną uwagą. Chyba nigdy wcześniej nie widział podobnego wykolejeńca.

– No cóż! – wołam radośnie. – To zostawię pana z kawusią! Do widzonka!

Czerwona ze wstydu uciekam do kuchni. Niestety mamy otwartą kuchnię, by goście mogli widzieć grill i przyglądać się przygotowywaniu posiłków. Żeby wypłakać się na osobności, muszę pójść za róg i zamknąć się w chłodni.

Kiedy przemykam przez lokal, Diego, kucharz odpowiedzialny za najpilniejsze zamówienia, posyła mi pytające spojrzenie.

Carla odnajduje mnie pół minuty później. Stoję, wciąż zaciskając w dłoni dzbanek z kawą, i beczę.

– Co ty robisz? – pyta.

– Modlę się o tętniaka mózgu. No, chyba że to boli, to w takim razie wystarczy jakaś katastrofa naturalna, która mnie zabije i zamieni w przyzwoicie wyglądające zwłoki.

Carla zastanawia się przez chwilę i podłapuje temat:

– Postawiłabym na gwałtowną powódź, ale wtedy truchło będzie opuchnięte.

– I to całe tonięcie w ogóle jest straszne. Może coś spokojniejszego?

Zaciska usta i znowu się namyśla.

– No to może mógłby zawalić się na ciebie jakiś budynek?

Rozważam tę opcję.

– W sumie to dobry pomysł, ale przecież całkiem by mnie rozpłaszczyło. Nie chcę wyglądać jak naleśnik, gdy będą mnie wyciągali z gruzów.

– A co to za różnica? Przecież będziesz już martwa.

Wzdycham ciężko i bez nadziei.

– Są tylko dwie rzeczy, które moja matka kocha bardziej niż Dolly Parton: konkursy piękności i kosmetyki Mary Kay. Nie przeżyłaby, gdyby zobaczyła córkę wyglądającą jak przejechany przez auto kot i nieważne, czy byłabym żywa, czy martwa.

– Przesadzasz.

– Nie znasz jej.

– I dobrze mi z tym. Tak czy siak, facet przy dwunastce życzy sobie dolewki.

– Nie możesz mu dolać?

Carla spogląda na trzymany przeze mnie dzbanek.

– Cholera. Czemu Buddy nie dokupi do tej nory drugiego ekspresu?

– Bo ekspres kosztuje. Doskonale o tym wiesz. A teraz leć z dolewką na dwunastkę.

– Nie mogę. Ukrywam się.

– Po co, do ciężkiej cholery?

– Wiem, że trudno ci to zrozumieć, bo nie masz osobowości, która potrafi przekształcić minutową rozmowę we wzorzec ludzkiego poniżenia, ale nie mogę pokazać się na sali, dopóki zły wilk nie wyjdzie.

Carla marszczy nos, bo najwyraźniej zauważa, że jest naprawdę kiepsko.

– O nie, coś ty mu powiedziała?

– Na pewno chcesz wiedzieć? Powiedziałam mu „do widzonka”… Jakby wylazła ze mnie wewnętrzna Julie Andrews.

– Nawet nie mów…

Mój śmiech jest pełny czarnej rozpaczy.

– A jednak mówię. Ale zanim to zrobiłam, podzieliłam się z nim błyskotliwą anegdotką, jak to postrzelił mnie kuzyn Bubba Joe.

Carla patrzy na mnie z trwogą.

– Proszę cię, powiedz, że nie masz kuzyna imieniem Bubba Joe.

– Mam. Z ręką na sercu. Czegoś takiego bym nie wymyśliła.

– Wow, szczere kondolencje. Naprawdę cię postrzelił?

– Nic mi się nie stało, ale ten idiota władował w moje futro tyle śrutu, że wyglądało to tak, jakby ucztowały na nim mole. A tak przy okazji to dziękuję, że bardziej zszokowało cię jego imię niż fakt, że do mnie strzelał. Doceniam wsparcie.

– Przeżyjesz to jakoś. A teraz idź dolać kawy facetowi przy dwunastce. Postaraj się nie odzywać, bo będę miała po napiwku.

Po tych słowach ta pozbawiona serca czarownica obraca się na pięcie i odchodzi.

Prostuję plecy i obiecuję sobie w duchu, że już nigdy nie odezwę się do wilka. Moja towarzyska niepewność upokorzyła mnie wystarczająco jak na jeden wieczór.

Życie jest niesprawiedliwie trudne dla introwertyków. Coś tak zwyczajnego, jak interakcja z inną istotą ludzką, potrafi wytrącić nas z równowagi na wiele dni. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy znam choć jeden konkretny plus kontaktów towarzyskich. Gdybym nie musiała zarabiać na życie, nie wychodziłabym z mieszkania.

Niestety, ale ze względu na nerwowość, bezładną paplaninę i tak dalej, często bywam brana za ekstrawertyczkę. Nie zliczę, ile razy musiałam chować się w toalecie i wykonywać ćwiczenia oddechowe, żeby się uspokoić.

Wracam na salę, ale nawet nie patrzę w stronę wilka. Kiedy docieram do łysego gościa przy dwunastce i nalewam mu kawę, ten burczy coś w podziękowaniu z buzią pełną ziemniaków.

I w tym momencie czuję dziwne pieczenie na skórze, jakby przeszedł mnie prąd. Podnoszę wzrok i zauważam, że wilk wpatruje się we mnie z drugiego końca sali, jakby miał mnie na muszce.

Nerwowo zakładam kosmyk włosów za ucho, biegnę do lady i odnoszę dzbanek do ekspresu, po czym zaczynam wszystko wycierać i porządkować. Jest już późno. W knajpie zostało dwóch

gości, z czego tylko jeden je, więc nie mam wiele do roboty poza zachodzeniem w głowę, jak naprawdę nazywa się ten wilk, czy jest żonaty i czy dziś widziałam go ostatni raz w życiu.

Pewnie właśnie szuka w komórce nowego lokalu, gdzie będzie mógł chodzić na kawę. Lokalu, który zatrudnia sprawne intelektualnie kelnerki.

Kilka chwil później słyszę za plecami głęboki głos.

– Mnie też kiedyś postrzelił półślepy podpity wieśniak.

Aż podskakuję ze strachu i się odwracam.

Oto on. Stoi po drugiej stronie lady. Mroczny, dziki i boski. Patrzy na mnie, jakby w całym lokalu nie istniało nic innego, jakby nie istniało miasto, nie istniał świat.

– Tylko że on nie był wieśniakiem. Nie był też podpity…
– Wymownie zawiesza głos. – Ani półślepy.

Jego ciemne oczy przekazują głośne i wyraźne ostrzeżenie: „Jestem niebezpieczny, trzymaj się z dala".

Już za późno. Jego głodne spojrzenie i hipnotyzujący głos już mnie zniewoliły. Łamię złożoną przed chwilą obietnicę, bo muszę wiedzieć więcej.

– Czyli oboje zostaliśmy postrzeleni.

– Ano. Ciekawy wspólny mianownik, nie sądzisz?

Gdybym była w stanie korzystać z mózgu, to jego przytłaczająca męskość i tak zasiałaby w nim pożogę. Zakładam, że pytanie było retoryczne, więc milczę.

Jego wzrok pada na plakietkę z moim imieniem.

– Tru – czyta. – To jakiś skrót?

Waham się, ale postanawiam iść na całość i mu opowiedzieć.

– Od Truvy. Zostałam nazwana na cześć postaci granej w *Stalowych magnoliach* przez Dolly Parton. Prowadzi tam salon piękności.

Wilk przechyla głowę. Chyba czeka na dodatkowe wyjaśnienie, które miałoby choć pozory sensu.

Musiałby czekać naprawdę długo.

– Moja mama jest wielką fanką Dolly. Wszystkie córki nazwała imionami postaci z jej filmów.

Te słowa wypowiedziane na głos brzmią jeszcze gorzej niż w myślach. Nerwy biorą nade mną górę i znowu zaczynam bredzić:

– Moja najstarsza siostra to Doralee, czyli pyskata sekretarka z *Od dziewiątej do piątej*. Druga starsza siostra to Mona, nazwana na cześć damy prowadzącej burdel „Kurza ferma" w filmie *Najlepszy mały burdelik w Teksasie*. Byłoby mi jej szkoda, ale tak naprawdę Mona jest upierdliwa, wszystkich ocenia, a siebie uważa za ideał, więc pasuje jej imię po prostytutce. A może jest taka właśnie przez to imię? Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Wracając, następna jest Louisa. Kolejna postać ze *Stalowych magnolii*, bo – według mojej mamy – to najlepszy film w dziejach kinematografii. To imię też pasuje, bo postać była marudna i nerwowa, dokładnie jak moja siostrzyczka. No i w końcu ja, Truvy. Rodzinne maleństwo. – Odchrząkuję. – Mam jeszcze czterech braci, ale ich nazywał tata. Na szczęście on nie jest fanem Dolly.

Wilk kiwa głową, jakby wszystko, co właśnie powiedziałam, było najzupełniej normalne.

– Czyli łączy nas coś jeszcze. Też mam siedmioro rodzeństwa.

Moja samoświadomość znika, bo jestem zbyt wstrząśnięta.

– Żartujesz.

– Rodzice byli irlandzkimi katolikami. Stara gwardia. Uważali antykoncepcję za grzech śmiertelny.

– Szkoda, że moi rodzice nie mają religijnego wyjaśnienia – kwituję to cierpko. – Zakładam, że byli po prostu za biedni na antykoncepcję.

Wilk gapi się na mnie jak na kosmitkę. Jestem pewna, że powiedziałam coś nie tak, lecz wtedy mówi:

– A to numer cztery.

Numer cztery? O co mu chodzi?

– Yyy…

– Pochodzę z biednej rodziny, zupełnie jak ty. To czwarta rzecz, która nas łączy.

Ten fakt wydaje się go niepokoić. I trudno go winić. Czas na dowcip.

– Jeżeli powiesz mi jeszcze, że najbardziej lubisz pistacjowe lody, to pewnie jesteśmy pisani sobie na wieczność.

Boże przenajświętszy, te słowa naprawdę właśnie opuściły moje usta.

Miażdżąco cudowny mężczyzna, którego uraczyłam właśnie tym koszmarnym zdaniem, patrzy na mnie w milczeniu, a ja liczę, że ziemia zaraz się pode mną rozstąpi i mnie pochłonie.

Niestety się nie rozstępuje. Czas ratować resztki godności.

– No cóż, świetnie się gawędziło, ale powinnam wracać do pracy.

Uporczywie mi się przygląda, przy czym nawet nie mruga. Żadne z nas się nie porusza. Po prostu na siebie patrzymy. Moje policzki zalewa żar, on zaciska szczękę. Jestem prawie pewna, że wie, że twardnieją mi sutki.

W końcu wykonuje jakiś ruch. Nie odrywając ode mnie wzroku, sięga do płaszcza, wydobywa portfel, odlicza kilka banknotów i kładzie je na ladzie. Następnie zamyka portfel i chowa go z powrotem.

Przez kilka sekund wygląda tak, jakby coś rozważał. Ma ściągnięte brwi i zamyśloną minę. Potem robi długi wydech.

– Pracujesz jutro wieczorem?

Nie ośmielam się ponowie otwierać ust, więc tylko kiwam głową, a wilk robi to samo. Z jakiegoś dziwnego powodu mam wrażenie, jakbyśmy właśnie umówili się na randkę. Gdy odwraca się i odchodzi, z ulgi prawie rozpływam się na podłodze.

Wtedy on znowu odwraca się i przygważdża mnie jednym ze swoich wygłodniałych spojrzeń.

– A tak przy okazji, dziewczyno. Rzeczywiście najbardziej lubię pistacjowe – mówi niskim, lekko ochrypłym głosem.

Patrzy mi w oczy tak długo, że prawie schodzę na zawał, ale w końcu ostatecznie odwraca się i wychodzi z lokalu, znikając w deszczowej nocy, jakby ta go połknęła.

Rozdział 2

Liam

Cholera jasna. Cholera jasna i do wszystkich diabłów!

Wiedziałem, że nie powinienem tu dziś przychodzić. Przyrzekłem sobie, że tym razem będę trzymał się z dala. I to szczerze. Ale moja stanowczość zniknęła, gdy tylko pilot posadził samolot na pasie startowym.

„Tylko jedno spojrzenie", wmawiałem sobie, gdy kazałem Declanowi zboczyć z zaplanowanej trasy. „Ostatnia okazja, żeby pogapić się na te wielkie zielone oczy. Potem od razu z tym skończę. Potrzebuję jednego zerknięcia, po czym raz na zawsze zostawię tę chorą obsesję za sobą".

I naprawdę w to wierzyłem. Kurwa, jakim ja jestem zjebem.

Wyglądam przez szybę z przytulnej tylnej kanapy cadillaca escalade. Po drugiej stronie bulwaru, za lejącym deszczem i pasami mijających mnie samochodów, jasne światła Buddy's Diner lśnią w mroku jak latarnie morskie. Ona tam jest i rozmawia z koleżanką, z tą cycatą brunetką, która wygląda przy niej jak gołąb przy dziele Picassa.

Tru. Dziewczyna nazwana na cześć postaci z jakiegoś filmu. Nieśmiała piękność z delikatnym, południowym zaśpiewem, z oczami w kolorze morskiego szkła i uśmiechem, który niemal mógłby sprawić, że mężczyzna taki jak ja uwierzy w Boga.

– Szefie, jesteśmy spóźnieni – mówi cicho z przedniego siedzenia Declan.

– Wiem.

Jeżeli brzmię na rozdrażnionego, to tylko dlatego, że jestem wściekły na siebie. Nie na niego.

Jedenaście miesięcy odmawiania sobie czegoś, czego tak pragnę, odbiło się na mojej cierpliwości.

Przyglądam się jeszcze chwilę. Szkoda, że nie mam talentu do rysowania. Naszkicowałbym jej twarz po tysiąckroć, spróbowałbym uchwycić delikatność jej oczu, gdy spogląda na mnie zza tych długich rzęs, i uwieczniłbym uderzenia gorąca, kiedy jej wzrok zjeżdża na moje usta.

Lecz moje ręce zostały stworzone do zdecydowanie brutalniejszych zajęć niż malowanie portretów pięknych, skromnych dziewczyn.

Liamie, postąp właściwie. Trzymaj się od niej z daleka. To, że oboje pochodzicie z wielodzietnych rodzin i lubicie lody pistacjowe, jest tylko głupim zbiegiem okoliczności. To, że ona też lubi dzikie miejsca, że też dorastała w małym miasteczku i patrzy na ciebie, jakby nie widziała w życiu niczego bardziej fascynującego, nic nie znaczy.

Ona nie jest dla ciebie. Twoje życie by ją pożarło i wypluło same kości.

Odrywam wzrok od okna, przeczesuję włosy dłonią i polecam Declanowi, żeby jechał, byle szybko.

Im szybciej stąd zniknę, tym lepiej dla nas.

Rozdział 3

Tru

Wracam do domu po pierwszej w nocy i w dodatku leje jak z cebra. Jestem taka roztrzepana od rozmyślania o tym, co może się wydarzyć, gdy – czy też jeśli – wilk wróci do naszej knajpy, że muszę sobie nalać kieliszek wina na uspokojenie.

Opieram się na kuchennym blacie, obserwuję zza okna ulewę i rozmyślam o swoim adoratorze. Jest moim przeciwieństwem. To wyrafinowany, ciekawy i pewny siebie mężczyzna. Jest też starszy o dziesięć, a może nawet piętnaście lat. Chyba powinnam uznać za podejrzane, że ktoś taki się mną zainteresował, ale mam przeczucie, że ten gość należy do tych, którzy dostrzegają w ludziach to, co innym umyka. Nie tylko patrzy, ale też widzi.

Być może, kiedy na mnie spojrzał, to dostrzegł rzeczy, które tak usilnie ukrywam. Rzeczy takie jak: niepokój, mroczne tęsknoty, przetarcia na szwach… A może to tylko moje pobożne życzenia?

Po ostatnim łyku taniego chardonnay słyszę stłumiony płacz.

– Och, kochana – mówię do pustej kuchni i wzdycham. – Co zrobił tym razem?

Odkładam pusty kieliszek, przemierzam mieszkanie na bosaka i pukam do drzwi współlokatorki.

– Hej, Elliebellie. Potrzebujesz czegoś?

Słyszę jeszcze kilka pociągnięć nosem, a potem szuranie wlekącej się do drzwi Ellie. Po chwili szuranie ustaje, a Ellie otwiera drzwi, przecierając dłonią czerwone, opuchnięte oko. Jej krótkie czarne włosy sterczą na wszystkie strony, a pokój śmierdzi brudnymi skarpetkami i zrujnowanymi marzeniami.

– Nie trze… Nie trzeba – odpowiada, zwalczając czkawkę.

– Po prostu oglądałam film *Był sobie pies*. Powinni umieścić jakieś ostrzeżenie na początku tego kurestwa.

– Nie widziałam tej produkcji. O czym to?

– O psie, który ciągle umiera i odradza się ze wspomnieniami z poprzednich żyć. Do tego bez przerwy próbuje znaleźć cel w życiu, aż w końcu odnajduje swojego pierwszego pana, który był małym chłopcem, gdy pierwszy raz uśpili psa. Okazało się, że teraz ten mały chłopiec jest już staruszkiem. Na domiar złego na koniec fabuły pies opowiada, że sens życia polega na znalezieniu osoby, z którą powinno się być. No przecież to koszmar! – zawodzi. – Nawet zmyślony pies potrafi znaleźć prawdziwą miłość!

Ellie przeżyła niedawno paskudne rozstanie z chłopakiem. Czwarte… albo dziesiąte. Nie wiem, już się pogubiłam. Za każdym razem zarzeka się, że tym razem kończy z nim raz na zawsze, ale jakimś cudem po kilku tygodniach znowu są razem, a ona zapomina o krzywdach sprzed rozstania, o jego obojętności, o kłamstwach, a nawet o innych panienkach.

Nigdy tego nie zrozumiem.

Kiedy mój były zdradził mnie pół roku po naszej przeprowadzce do Bostonu, wywaliłam jego ciuchy na chodnik i je podpaliłam. Może i jestem introwertyczką, ale z charakterkiem, więc potrafię żywić urazę za trzech. Ale nadal jestem przyjaciółką Ellie i nie zamierzam jej osądzać.

– Chcesz trochę lodów? Kupiłam pudełko w drodze do domu.

– Jesteś kochana – mówi głosem niczym z mowy pogrzebowej. – Ale chyba pooglądam sobie *Kroniki Seinfelda*, a potem zrobię sobie dobrze.

– Dziękuję, że jesteś tak otwarta – odpowiadam, krzywiąc się z niesmakiem. – Naznaczyłaś mnie do końca życia.

– Tak czy siak, dobranoc.

Kiedy zamyka drzwi, udaję się prosto do mojej sypialni i barykaduję się na wszystkie spusty, zanim w mieszkaniu rozlegnie się pomruk urządzeń na baterie.

* * *

Kolejny dzień leje. Deszcz mnie dopada, jak tylko wychodzę z budynku i biegnę z ostatnich zajęć na parking. Udało mi się osłonić

głowę, ale na tym koniec sukcesów, ponieważ od pasa w dół jestem przemoczona.

Rzucam parasol na tylną kanapę mojej rozklekotanej corolli, odkładam laptopa i książki na fotel pasażera, wykopuję kluczyki z torebki i odpalam silnik. To już maj, ale wiosna w Bostonie bywa bardzo nieprzewidywalna. Ostatnio nawiedziła nas fala koszmarnego zimna, dzięki któremu zaraz odmrożę sobie tyłek i trzęsę się jak szalona. Klima nigdy nie była sprawna, ale na szczęście ogrzewanie po zaledwie kilku minutach zaczyna dmuchać w moje policzki ciepłym powietrzem.

Wpadam na chwilę do mieszkania, żeby przebrać się w uniform i wrzucić coś na ząb, a gdy ponownie wychodzę, mam na sobie kalosze i gruby zimowy płaszcz zapięty po samą szyję.

Gdy tylko przekraczam próg knajpy, Carla wybucha śmiechem.

– Wyglądasz, jakbyś wybierała się na ekspedycję do Arktyki.

Piorunuję ją wzrokiem.

– Jesteś tutejsza. Jankesi mają nieuczciwą przewagę w zimnej aurze.

– Mała, mieszkasz w Bostonie prawie dwa lata. Twoja rzadka południowa krew powinna już nieco zgęstnieć.

– Tak, tak – mamroczę, zbywając ją machnięciem ręki. Żałuję, że nie miałam dość oleju w głowie, żeby złożyć papiery na uczelnię prawniczą w Kalifornii albo na Florydzie. Nie byłabym teraz przemoczona, wręcz skuta lodem, lecz opalona i miałabym jasne pasemka we włosach.

Wchodzę do kuchni, gdzie Diego stoi przy grillu i przewraca burgery. Kiedy go mijam, kiwa głową na powitanie i obdarza uśmiechem śnieżnobiałych zębów.

– *Chica*[1], znowu prawie się spóźniłaś.

– Diego, znowu prawie zrobiłam wiele rzeczy.

– Prawie się we mnie zakochałaś? – pyta, uśmiechając się jeszcze szerzej.

To nasz stały żart. Prawdę powiedziawszy, sądzę, że żartuje tak ze wszystkimi kobietami przed siedemdziesiątką, ale bezczelne

flirtowanie uchodzi mu na sucho, bo poza tym jest łagodny i uroczy, a nie obleśny.

– Jeszcze nie, ale kiedy to nastąpi, to na pewno dam ci znać.

– Ach, łamiesz mi serce! – Łapie się teatralnie za pierś, a potem przewraca kolejnego burgera i zaczyna pogwizdywać, natychmiast zapominając o bólu odrzucenia.

Diego jest seksowny, ale w sposób, który powoli dociera do kobiety. Na pierwszy rzut oka wydaje się przeciętny. Ani niski, ani wysoki, ani nabity, ani chudy. Po prostu przeciętny. Ma brązowe oczy, brązowe włosy i dwadzieścia kilka lat. A potem nagle pojawia się olśnienie, dzięki któremu dostrzega się jego wspaniały uśmiech. Po kilku tygodniach nietrudno zdać sobie sprawę, że w jego zwykłych brązowych oczach płonie nieodparty blask. Jeszcze później Diego zaskakuje, podnosząc coś ciężkiego, przez co nie sposób przegapić jego imponujących mięśni, które naprężają się pod białą koszulką. Wtedy cały obraz staje się wyraźny, dzięki czemu można pomyśleć: *No proszę, słodziaczek.*

Problem jest taki, że odrzucam tę myśl, bo nie chodzę do łóżka z kolegami z pracy, a już na pewno nie potrzebuję kolejnej relacji, która odciągnie mnie od cholernych celów. Jednym z nich jest skończenie uczelni, na którą mnie nie stać, przez co wypruwam sobie żyły, bo nie chcę, żeby wyjazd za byłym na drugi koniec kraju, gdzie zaczynał medycynę, okazał się totalnym marnotrawstwem czasu.

Wchodzę do pokoju dla personelu, zamykam torebkę i płaszcz w szafce, a ociekające wodą kalosze zostawiam przy tylnych drzwiach. Wkładam wygodne buty, które trzymam w pracy, ogarniam włosy, związując je gumką w niski kok i opasam się w talii świeżo wypranym białym fartuszkiem. To klasyczny strój kelnerki w tego typu knajpce. Uzupełnia go krótka spódnica, koszula z wykrochmalonym białym kołnierzykiem i białymi spinkami przy mankietach, przy czym sama koszula jest czarna, a nie różowa lub błękitna, jak to zazwyczaj bywa. Nie wyglądam więc jak Flo z tego starego serialu *Alice*, a bardziej jak hotelowa pokojówka.

Zakładam, że Carla zawija dwa razy wyższe napiwki, bo ma duże cycki i bez oporów nachyla się, prezentując facetom, gdy przynosi im rachunek, ale nie boli mnie to. Poza tym Buddy, właściciel lokalu,

idzie mi na rękę, jeżeli chodzi o grafik. Układa go w oparciu o mój plan wykładów, dzięki czemu mam tyle czasu wolnego, ile tylko potrzebuję.

Podczas kilku pierwszych godzin mojej zmiany panuje spory ruch. To pora kolacji, a mamy sporo stałych gości. Jednak po dziesiątej klientela się przerzedza, a po jedenastej zostaje tylko jeden facet, który siedzi przy końcu lady i ponuro wpatruje się w kawę. Przed północą i on się ulatnia. Zostajemy sami z Carlą i Diegiem.

Jestem coraz bardziej przekonana, że już nigdy nie zobaczę wilka. Odstraszyłam go historiami z mojego teksańskiego zaścianka. Zapewne uznał, że do moich hobby zalicza się strzelanie do dzięciołów w samej bieliźnie, udział w bójkach na trybunach NASCAR[2] i wypady pick-upem po piwo na stację benzynową z udomowioną kozą na siedzeniu obok.

Dzwonek przy drzwiach odzywa się w chwili, w której traciłam nadzieję. I oto jest. Wysoki, mroczny, przystojny nieznajomy, który wytrąca mnie z równowagi jednym spojrzeniem, a w ciągu jedenastu miesięcy nawet nie zdradził, jak ma na imię.

Zatrzymuje się pół metra za progiem i wbija we mnie wzrok. Zamieram za ladą. On też się nie rusza. Nie podchodzi ani nie siada. Jak zawsze ma na sobie czarny garnitur i krawat, włosy zaczesane do tyłu, a jego piękne czarne oczy spijają mnie i płoną. Wygląda niczym płatny zabójca i supermodel w jednym.

Mam nieodpartą ochotę ruszyć sprintem przez knajpę i rzucić mu się w ramiona.

Carla przemyka obok mnie z dzbankiem kawy w jednej dłoni i z kubkiem w drugiej.

– Auuu! – wyje pod nosem.

Potrzebuję defibrylatora. Całkiem przytkana obserwuję, jak Carla zbliża się do wilka. Mówi coś do niego i wskazuje na stolik w swojej sekcji, ale on kręci głową, nie odrywając ode mnie wzroku. Carla zerka na mnie przez ramię i szczerzy się od ucha do ucha, po czym obraca się do niego plecami i rzuca na odchodne coś, czego nie słyszę.

On patrzy to na mnie, to na nią. Waha się, po czym oblizuje wargi. To prosty, mimowolny gest, ale przy tym tak seksowny, że prawie wzdycham.

Carla też to czuje, przez co aż chwieje się na szpilkach. Kiedy skręca w moją stronę, ma luźną szczękę i zaszklone oczy zahipnotyzowanej osoby.

Gdy tym razem mnie mija, ma niepewny głos. Pośpiesznie wydusza kolejne słowa:

– Powiedziałam mu, że przyślę ciebie. Jajniki mi właśnie wybuchły, muszę się położyć. Ten facet to żywy ogień.

– Carla.

Zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Daj mi ten dzbanek.

Spogląda na trzymane w dłoni naczynie, jakby dopiero je zauważyła.

Znam to uczucie.

Podaje mi dzbanek i kubek gwałtownym ruchem, a potem idzie na tyły. Pewnie zaraz zamknie się w kabinie w toalecie i z animuszem sama zrobi sobie dobrze.

Nie mogę jej winić. Jeszcze nie zamieniłam z nim słowa, a już dymi mi w kroczu.

Czuję na policzkach pulsujące ciepło. Ruszam, zatrzymuję się kilka metrów przed nim i staram się nie promieniować niepewnością.

– Cześć.

– Czołem – odpowiada.

Ma niski, ochrypły głos i smutną minę. Wygląda, jakby nie był pewien, czy ta prosta wymiana uprzejmości to dobry pomysł.

Studiowało mnie wzrokiem już tylu mężczyzn, że wiem, że niezależnie od przyczyn jego niepewności i tego, jak silna jest ta niepewność, zostanie i porozmawia ze mną. Potrafię rozpoznać to pragnienie. Wcześniej je hamował, ale teraz spuścił je ze smyczy. Wilk mnie pragnie.

Gorszy jest fakt, że ja jego też, a wiem, że nie powinnam. Wilki łączą się w pary na całe życie, ale nie zmienia to tego, że są niebezpiecznymi i dzikimi zwierzętami.

Prędzej zostanę pogryziona niż pocałowana.

Wskazuję bez słowa na boks, który zazwyczaj zajmuje. Waha się jeszcze chwilę, a potem rozprostowuje dłonią przód marynarki i siada. Nalewam kawy do jego kubka, czując na sobie jego spojrzenie. Jestem uszczęśliwiona, zdenerwowana i trochę wystraszona.

– Podać coś jeszcze?

W jego oczach pojawia się błysk. Gdy spogląda na moje usta i zatapia zęby w swojej dolnej wardze, prawie się przewracam.

– Nie powinienem tu przychodzić – stwierdza niskim głosem.

Nie mam bladego pojęcia, w jaki sposób mu odpowiedzieć.

– Yyy… okej?

– Powinienem teraz być na drugim końcu miasta i zajmować się interesami, których nie mam prawa zaniedbać, a jednak jestem tutaj. Rozumiesz?

Chciałam zaprzeczyć, ale jednak się nad tym zastanawiam. W mojej krwi zaczyna krążyć bardzo niebezpieczna adrenalina, która tka w żyłach magię i roznieca we mnie wrażenie, że wszystko jest możliwe. Dodaje mi odwagi.

Serce dudni mi w piersi, patrzę mu w oczy i mówię:

– Tak. Masz ważne obowiązki, ale przyjechałeś się ze mną zobaczyć, choć wolałbyś tego nie chcieć i wiesz, że to wbrew zdrowemu rozsądkowi. A przy okazji, to ja też cię lubię.

Zaciska szczękę i patrzy na mnie pośród namacalnej wręcz ciszy.

Zaskoczyłam go. Podoba mi się to. Nie wygląda na faceta, którego łatwo zbić z tropu.

– Czyli nie masz mężczyzny.

Wow. Jakim cudem sprawił, że zabrzmiało to jak: „wypnij się na stoliku i podnieś spódnicę”? Carla ma rację, to naprawdę żywy ogień.

Odchrząkuję i przenoszę ciężar ciała z nogi na nogę. Mam przy tym bolesną świadomość, że właśnie rozlewa się z mojej twarzy na szyję gorący rumieniec.

– Nie, jestem singielką. – Zerkam na jego lewą dłoń i serdeczny palec bez obrączki. – A ty?

– Ja nie… Związek nie pasowałby do mojego stylu życia – odpowiada szorstko.

Nadal kipię odwagą, więc rzucam ciętym tonem:

– Czyli wolisz przygody na jedną noc?

– Nie. Niczego nie wolę. Poprawka, nie wolałem.

Zachłannie się na mnie gapi. W wyobraźni słyszę zakończenie tego zdania: „dopóki cię nie poznałem”, przez co na mojej skórze pojawia się gęsia skórka.

Stawiam dzbanek na stoliku, siadam w boksie naprzeciwko niego, kładę dłonie na kolanach i stwierdzam:

– Uważam, że to odpowiedni moment, byś zdradził, jak masz na imię. Nie mogę w nieskończoność nazywać cię w myślach wilkiem.

Unosi kąciki ust w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Rozbawiłam go, lecz zamiast włączyć się do tej zabawy, wydaje mi kompletnie zaskakujący rozkaz:

– Rozpuść włosy.

Unoszę brew pytająco.

– Słucham?

– Włosy. Rozpuść je.

Okej, najwyraźniej włączył mu się samiec alfa.

Pewnie jest przyzwyczajony do wydawania rozkazów sterroryzowanym sługusom, które rozbiegają się w panice, gdy tylko władca wyrazi swą wolę. Ma pecha, bo oprócz wybuchowego charakterku i skłonności do pielęgnowania urazów jestem też uparta.

Poleceń słucham co najwyżej w pracy.

– Po kolei. Najpierw powiedz, jak masz na imię. Potem może wymienimy się numerami. Następnie może pójdziemy na randkę. Nie wyglądasz na faceta lubiącego miniaturowego golfa, więc może zwyczajna kolacja? Tak, kolacja. Zabierzesz mnie w jakieś miłe miejsce, a ja będę się śmiała ze wszystkich twoich dowcipów, dzięki czemu lepiej się poznamy. A już długo, długo potem, po kilku randkach, może rozpuszczę dla ciebie włosy. Ale musisz sobie na to zasłużyć. Nie wiem, do jakich kobiet przywykłeś, ale moja mama nie wychowała potulnej pszczółki--robotnicy. Wychowała królową ula. – Patrzę na niego z kamienną twarzą. – Więc nie oddaję miodku za darmo.

Milczy tak długo, że robi się niekomfortowo, ale w końcu nachyla się nad stolikiem, przeplata palce obu dłoni i patrzy mi w oczy

zaciekłym, rozpalonym wzrokiem.

– A ja myślałem, że jesteś nieśmiała.

– Bo jestem – odpowiadam, kiwając głową. – Zwłaszcza przy nieznajomych. Czasami odbiera mi mowę w gębie i wtedy bywa niezręcznie. Ale to nie znaczy, że jestem popychadłem. Większość życia spędzam we własnej głowie, ale kiedy muszę, to potrafię walczyć o swoje.

Wilk dalej na mnie patrzy. Nigdy, przenigdy nikt nie patrzył na mnie z taką zawziętością.

– Ile masz lat? – pyta.

– Dwadzieścia cztery. A ty?

– Więcej.

– O ile więcej?

– O tyle, że powinienem mieć dość oleju w głowie, żeby tego nie robić.

– Czego? Wdawać się w rozmowy w podrzędnej knajpie w środku nocy?

Ponownie oblizuje usta. Przywodzi mi przy tym na myśl lwa smakującego pierwsze kęsy świeżo upolowanej ofiary. Leniwie wodzi wzrokiem po całej mojej twarzy.

– Pobłażać sobie – odpowiada ciężkim tonem.

Przechodzi mnie dreszcz. Ciało daje mi znać, że choć siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna ma na sobie ekskluzywny garnitur i nosi zegarek, za który pewnie mogłabym spłacić wszystkie kredyty studenckie, to nie jest szacownym człowiekiem. Moje tętno chyba wystrzeliwuje w kosmos.

– Więc czemu to robisz? – szepczę.

Przez chwilę jest czystym ucieleśnieniem żaru i głodu. Skupia się na mnie tak bardzo, że zaraz chyba skoczy przez stolik i pożre mnie żywcem. Na świecie nie istnieje nic innego, tylko ja, on i strzelające między nami wyładowania wzajemnego pociągu. Dziwna bańka pragnienia.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale jednak milczy. Chwilę później zaciska pełne wargi, które zamieniają się w ostrą linię. Ciepło wycieka z jego oczu i po chwili patrzy na mnie z lodowatym

chłodem, jakby ktoś zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Nagle wstaje i patrzy na mnie z góry beznamiętnym, mrocznym wzrokiem.

– Tru, miło było cię poznać. Życzę ci dobrego życia.

Rozumiem, że to pożegnanie, dlatego przygarbiona opadam na oparcie boksu i przez moment patrzę na niego z niedowierzaniem. Po chwili parskam smutnym śmiechem.

– Ciebie też. Naprawdę miło.

Posyła mi ostatnie przeciągłe spojrzenie, po czym odwraca się i wychodzi.

Rozdział 4

Tru

Gdy wstaję od stolika i zmierzam w stronę lady, Diego obserwuje mnie z kuchni ze zmarszczonym czołem. Carla podbiega do mnie przed pokonaniem przeze mnie połowy drogi.

Oho, hiszpańska inkwizycja bierze się do roboty.

– Jasna cholera, dziewczyno, co ci powiedział? A ty jemu? Jak ma na imię? Wyjaśnił, czemu przyłazi od tak dawna i nie zaprosił cię na randkę? Dał ci numer? Dałaś mu swój? Umówiliście się? Czemu nic nie mówisz, do cholery, zaraz tu padnę!

– Och, to już moja kolej na zabranie głosu? – prycham.

Ruszam dalej, ale Carla nie odstępuje mnie na krok, a do tego szczypie mnie w rękę.

– Przestań być zmierzła. Co powiedział?

Wracam za ladę, odstawiam dzbanek z powrotem do ekspresu i wycieram dłonie w fartuch.

– W ogromnym skrócie powiedział: cześć, nie powinienem tu przyjeżdżać, masz chłopaka, rozpuść włosy, miło było poznać, na razie. Potem wyszedł.

Carla wzdycha z rozdrażnieniem.

– O, nie. Znowu trajkotałaś o rodzinie, prawda?

– Ani troszkę. Uciekł z własnej inicjatywy.

– Krzyżyk na drogę. Ten facet to gwarantowane kłopoty – woła z kuchni Diego.

Ignorujemy go.

– Chwileczkę… Poprosił, żebyś rozpuściła włosy? – pyta zmieszana Carla.

– No tak.

– I nie rozpuściłaś ich? – dopytuje, świdrując mnie wzrokiem.

– Oczywiście, że nie. Przecież nawet nie wiem, jak ma na imię.

– Ja też nie wiem, ale gdyby chciał, to bym rozpuściła, a nawet zrzuciłabym wszystkie ciuchy, położyłabym się na środku knajpy i zrobiłabym orła.

– Urocze.

Carla wzrusza ramionami.

– Tatusiek ociąga się ostatnio w sypialni, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Mój kobiecy ogród nie był uprawiany od wieków…

W żargonie Carli „tatusiek” to jej mąż, Dave. Nie wiem, czy naprawdę ma taki fetysz i odgrywają rolę tatusia w łóżku, czy po prostu lubi, jak ludzie krzywią się z niesmakiem, gdy używa tej ksywki, ale absolutnie nie zamierzam wnikać. Są atrakcyjną parą, ale nie chcę, by prześladowały mnie detale życia erotycznego koleżanki. Mam wystarczająco bujną wyobraźnię, więc dodatkowe szczegóły są mi zbędne. Kiedyś moja najlepsza przyjaciółka z liceum wspomniała, że jej matka jest bardzo głośna podczas seksu i już nigdy nie byłam w stanie spojrzeć tej kobiecie w oczy.

Nastawiam kawę i z całych sił ignoruję utyskiwania Carli na seksualną posuchę. Mój brak zainteresowania w końcu ją nuży i odchodzi pomóc starszej parze, która weszła do lokalu, gdy mnie przesłuchiwała.

– *Chica*…

Podnoszę wzrok na stojącego po drugiej stronie lady Diega. Opiera się o regał ze stali nierdzewnej, na którym kładzie dania gotowe do wydania i przygląda mi się z troską w oczach.

– Nie podoba mi się ten facet.

– Mąż Carli?

– Nie, jełopie. Ten facet w czerni, który przed chwilą sobie poszedł.

Mam ochotę odpowiedzieć, że niepotrzebnie się martwi, bo już nigdy go nie zobaczę, ale ciekawość bierze górę.

– A to dlaczego?

– Znam takich jak on – odpowiada, kręcąc głową.

Czekam, ale nie rozwija myśli.

– Rozumiem. Dziękuję za drobiazgowe wyjaśnienie. Jest bardzo pomocne.

Diego wzdycha, odpycha się od szafki, krzyżuje ramiona na piersi i posyła mi kwaśne spojrzenie.

– Niech będzie. Chcesz wiedzieć? To ci powiem. Nie zawsze byłem grzecznym chłopcem, którego dziś znasz. W rodzimej dzielnicy nazywali mnie *matón*[3] lub *el pandillero*[4].

– Fascynujące – kwituję to cierpko. – Gdybym tylko znała hiszpański, na pewno byłabym pod ogromnym wrażeniem.

Diego poważnieje.

– To znaczy bandyta, Tru. Zadymiarz.

Bandyta…

Przypominam sobie tatuaże na knykciach wilka i przeszywa mnie dreszcz olśnienia.

Ale przecież to śmieszne. Gadają, że tylko bandyci robią sobie dziary. No przecież to zaśniedziały stereotyp. Dziś bardziej może być prawdopodobne, że wytatuowany facet jest szefem kuchni w modnej restauracji i robi boskie żeberka z makaronem truflowym. A poza tym u Diega nie widzę żadnych dziar, a właśnie przyznał, że był kiedyś bandytą.

– Diego, nie zamieniłeś z nim ani słowa. Nie powinieneś go oceniać, to niesprawiedliwe.

– Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy. Rekin zawsze wyczuje rekina, nawet jeśli pływają na dwóch przeciwległych krańcach oceanu.

– Czyli teraz jesteś rekinem? – pytam z uśmiechem.

– Ludojadem, maleńka – odpowiada z szerokim uśmiechem.

– Zakochałaś się już we mnie?

– Pewnie lada moment się zakocham.

– Dobra, to daj znać. – Obraca się w stronę swojego grilla, ale dodaje jeszcze przez ramię: – A przy okazji, mogłabyś wynieść śmieci z łazienki w klubie? Pełno tam dziewczęcych rzeczy Carli. Nie chcę tego dotykać.

Wiem, że chodzi mu o tampony. Gdyby Buddy raczył zakupić kosz z pokrywą do toalety pracowniczej, to Diego nie musiałby przeżywać swoich traum.

– Wyniosę.

– Dzięki.

Zmierzam do maleńkiej klitki dla personelu, którą nazywamy ironicznie klubem dla VIP-ów. Cztery obrzydliwe plastikowe krzesła ogrodowe ustawione wokół składanego stoliczka karcianego. Na rozklekotanej półce pod telewizor stoi antyczna mikrofalówka. W rogu czai się mikroskopijna lodówka żywcem wyjęta z akademika, na ścianie wisi pęknięte lustro, a przy rzędzie obitych szafek pręży się dumnie i wiecznie cieknący dyspozytor z wodą. Ściany są pomalowane na najpaskudniejszy odcień żółtego, jaki tylko można sobie wyobrazić. Można odnieść wrażenie, że trafiło się do mieszkania palacza, który wypala trzy paczki dziennie i od czterdziestu lat nie opuścił swojego przytulnego gniazdka.

Korzystam z toalety, myję ręce i wyciągam plastikowy wór z kosza na śmieci. Zawiązuję uszy w supeł, wkładam do pojemnika nowy worek i idę do większych, aluminiowych pojemników stojących pod ścianą korytarza wiodącego do zaułka za knajpą, gdzie z kolei jest wielki kontener na odpadki.

Korytarz to jeden wielki burdel, aż szkoda opisywać.

Aluminiowe kubły, z których wylewają się litry śmieci, otoczone są cuchnącymi workami wypełnionymi śmieciami i resztkami jedzenia. Dbanie o porządek na korytarzu to obowiązek chłopaka ze zmywaka, ale zwolnił się kilka dni temu i jeszcze nikt nie przyszedł na jego miejsce.

– Świetnie – burczę pod nosem.

Diego stara się ogarnąć mycie naczyń, dopóki Buddy nie znajdzie nowego chłopaka na zmywak, ale ewidentnie uznał, że wynoszenie śmieci jest poniżej jego godności. Ale to nic poniżej mojej. W dzieciństwie odpowiadałam za czyszczenie boksów dla koni i świńskich zagród w rodzinnym gospodarstwie. Obrzydliwe, śmierdzące odpadki to dla mnie bułka z masłem.

Wracam do klubu, gdzie zakładam płaszcz i kalosze, po czym wracam na korytarz. Otwieram drzwi prowadzące do zaułka, chwytam z podłogi dwa worki i wychodzę na zewnątrz.

Ulewa przeszła w lżejszą i bardziej monotonną mżawkę. Kontener stoi kilka metrów od drzwi, więc docieram do niego po paru krokach.

Niestety klapa jest zamknięta. To ciężkie, metalowe klapiszcze, które trzeba dźwignąć i przytrzymać, wrzucając worki do środka.

Kładę worki na ziemi przy kontenerze i z wysiłkiem unoszę otwierającą się do ściany budynku klapę. Wkładam w to tyle siły, że klapa leci z impetem, po czym z hukiem wali o mur. Wrzucam worki do środka i wracam po kolejne, a potem powtarzam cały proces, bo postawiłam sobie za punkt honoru, że chociaż napocznę sprzątanie syfu na korytarzu, zanim przemarznę i przemoknę do suchej nitki.

Przy czwartym kursie ktoś łapie mnie od tyłu i odciąga od kontenera tak gwałtownie, że tracę równowagę. Zataczam się i wpadam na coś twardego, chyba na czyjś tors. Krzyczę, ale zaciskają mi się na gardle ciężkie ręce, a po chwili w przestrzeń pod moją szczęką wbija się końcówka czegoś lodowatego i ostrego.

– Krzyknij jeszcze raz, a oderżnę ci, kurwa, język.

Głos jest niski, męski i śmiertelnie poważny.

Zamieram z grozy. Odruchowo chwytam za zaciskającą się na moim gardle rękę, którą okrywa marynarka z cienkiego nylonu. Wyczuwam pod nią ścięgna i twarde jak skała mięśnie.

Huczący w uszach puls zagłusza deszcz i odległe odgłosy ruchu ulicznego. Zrozpaczona łapię oddech i zaczynam się trząść.

Nie panikuj, nie panikuj! O Boże! Zabije mnie! Zaraz umrę!

Z cienia po drugiej stronie kontenera wyłaniają się kolejni dwaj mężczyźni. Mają kaptury na głowach, przez co w mroku nie widzę ich twarzy. Za to nie da się nie zauważyć, że są barczyści i napakowani, a ponadto obaj trzymają w dłoniach broń.

Gdy zaczynam łkać ze strachu, facet z tyłu trzęsie mną tak mocno, że aż dzwonią mi zęby.

– Powiem ci, jak będzie – syczy mi wprost do ucha. – Teraz wejdziemy do środka, a ty pokażesz nam, gdzie jest sejf. Potem podasz szyfr. Ci dwaj oczyszczą kasę i ruszymy w swoją stronę. Jeśli będziesz grzeczna, to nikomu nic się nie stanie. Załapałaś?

Ma ciężki bostoński akcent. Kiedy mówi, czuję na cierpnącym z zimna policzku jego gorący oddech. Ma młody głos i wydaje się bardzo silny. Mam przeczucie, że jeżeli czymkolwiek mu podpadnę, to poderżnie mi gardło bez mrugnięcia okiem.

Jest tylko jeden problem, bo Buddy nie ma sejfu…

Jego żona przyjeżdża codziennie o szesnastej po pieniądze z kasy i zawozi ją prosto do banku. Nasze czytniki kart automatycznie przerzucają opłaty na konto. Jeżeli ci goście szukają gotówki, to mieliby więcej szczęścia w pralni samoobsługowej.

Nie zmienia to faktu, że facet popycha mnie już w stronę otwartych drzwi.

– Tu nie ma sejfu! – piszczę spanikowana. Wciąż wbijam palce w jego zaciśniętą dłoń. – Gotówka jest tylko w kasie, ale mało!

– Nie kłam, jebana dziwko! – warczy mi do ucha i ponownie mną potrząsa. – Wiem, że ten stary chuj ma sejf w gabinecie. Sam słyszałem, jak się tym przechwalał.

Moje myśli suną z prędkością światła. Nie potrafię trzeźwo myśleć ani krzyczeć, a tym bardziej uciekać. Nagle orientuję się, że po mojej szyi spływa coś ciepłego i wilgotnego.

Krew. Krwawię! Ten dupek mnie pociął!

W moim mózgu przesuwa się jakaś zapadka, dzięki czemu groza przeistacza się w gniew, który rozpala strach, obejmując panowanie nad moim mózgiem. Wszystkie myśli o współpracy z napastnikami znikają. Przeistaczam się w szamoczące się zwierzę, które słucha już wyłącznie instynktu.

Obracam głowę i najmocniej jak umiem, gryzę napastnika tuż przed łokciem, zatrzaskuję szczękę i wbijam zęby w cienką tkaninę i miękkie mięso.

Facet odskakuje i głośno wyje, po czym się zatacza. Żeby zapobiec jego otrząśnięciu się z zaskoczenia, przesuwam biodra w bok, biorę maksymalny zamach i wymierzam zaciśniętą pięść prosto w jego jaja.

Stęka z bólu, kuli się wpół i upuszcza nóż.

Okręcam się i odskakuję na bezpieczną odległość, a potem rzucam się sprintem. Biegnę zaułkiem najszybciej, jak potrafię. Serce wali mi w piersi. Przebieram nogami i rękami, biorąc łapczywe hausty powietrza.

Dorwali mnie w ostatniej chwili, gdy już prawie udało mi się dotrzeć do głównej ulicy.

Tym razem któryś łapie mnie za włosy, i to tak mocno, że aż podnosi mnie z ziemi. Przez chwilę unoszę się w powietrzu, a potem

walę plecami i potylicą o mokry asfalt. Siła uderzenia powoduje, że wypuszczam powietrze z płuc. Rozpaczliwie sapię i przekręcam się na bok. Staram się wstać, ale powala mnie mocny kopniak prosto w żołądek, a po chwili drugi, prosto w twarz.

Znowu upadam na bok. Kaszlę i krztuszę się, starając się stłumić mdłości. Próbuję zwinąć się w obronną kulkę. Czuję pod policzkiem mokry asfalt. Wszystko jest wilgotne i rozedrgane. Słyszę wysoki pisk w obu uszach.

Uciekaj, uciekaj! Pośpiesz się, wstawaj na nogi i uciekaj z całych sił!

Wciągają mnie z powrotem w głąb zaułka i rzucają na mur. Ten, którego ugryzłam, to chyba ich herszt. Kuca obok mnie i łapie mnie za szczękę.

– Trafiła nam się zadziora, chłopcy – szydzi, wbijając mi palce w skórę.

Drugi uśmiecha się obleśnie i przesuwa otwartą dłonią po kroczu.

– To może być dobra zabawa.

Wszyscy się śmieją niskim, wrednym rechotem, który rozchodzi się w moich żyłach niczym wirus.

Chyba mają chęć nieco się zabawić, zanim wrócą do Buddy'ego po swój łup.

Warga mi pulsuje, oko zaczyna puchnąć, a skopane wnętrzności ryczą z bólu.

Patrzę w twarz nachylającego się nade mną faceta, który też ma na głowie kaptur, ale z tej odległości dobrze widzę jego twarz, a więc błysk w niebieskich oczach, wytatuowane pod lewym okiem łezki, krzywy nos i złowieszczy uśmieszek.

Wiem, co oznaczają. I nie chodzi o to, że często się wzrusza.

– Mam na imię Tru – charczę. – Zapamiętaj je sobie, bo będzie cię prześladowało.

– Ojej – parska. – Poszczujesz na mnie ducha, wieśniaro z Alabamy.

– Nie, po prostu skopię ci dupę, gdy już spotkamy się w piekle – cedzę przez zęby. – I jestem z Teksasu, debilu.

Resztkami sił walę go w jabłko Adama, dzięki czemu jego głowa odskakuje w tył. Facet głośno charczy i się krztusi. Z niemocy siada na dupie i łapie się za gardło, desperacko kaszląc.

Jego towarzysze stoją skołowani przez całe dwie sekundy, a potem jeden z nich rzuca:

– Co, do chuja?

Napastnik wymierza kolejne wściekłe kopnięcie w mój żołądek, a potem unosi dłoń i przystawia mi lufę do twarzy.

Instynktownie podnoszę ręce i zamykam oczy, a całe moje ciało się zaciska, jakby czekało na wystrzał, który nie nadchodzi. Zamiast tego słyszę pełen zdumienia skowyt, głuche łupnięcie pięści wbijającej się w ciało, a potem kreskówkową serię stęknięć i sapnięć. Zaczyna się szamotanina i padają wściekłe przekleństwa. Coś dużego uderza w kontener z głośnym, metalicznym szczękiem, a potem w zaułku niesie się przyprawiające o mdłości echo pękających kości i przeszywający ryk cierpienia. Kolejne łupnięcia, kolejne krzyki, ciężki jęk. I w końcu cisza.

Podnoszę głowę i się rozglądam. Mrużę oczy, żeby dojrzeć coś w półmroku. Kiedy jestem już w stanie się skupić, widzę dwóch mężczyzn leżących nieruchomo na plecach zaledwie kilka metrów ode mnie. Mają zamknięte oczy, deszcz obmywa ich zakrwawione twarze.

Góruje nad nimi ubrany w czerń mężczyzna, który wygląda niczym grabarz. Patrzy na mnie z kamienną miną, a puste dłonie bezwładnie zwisają mu wzdłuż ciała.

Wilk…

Rozprasza mnie jakiś ruch za jego plecami. To facet, który przystawił mi nóż do gardła. Rozpaczliwie próbuje wstać z ziemi, przez co zatacza się i kaszle, lecz jego gałki oczne poruszają się w panicznej trwodze. Zauważa pistolet upuszczony przez jednego z jego kumpli i rzuca się po niego, jednak bezskutecznie.

Wilk obraca się płynnie, łapie zbira za głowę i ostro, a wręcz gwałtownie, skręca mu kark. Bandzior pada na kolana, przechyla się na bok i zamiera w bezruchu.

Wiem po trzasku kręgów, że już nigdy więcej nie pomyli stanu, z którego pochodzę.

Deszcz przybiera na sile, gdzieś w oddali rozlega się grzmot. Na nocnym niebie rozbłyskują krzywe paluchy błyskawicy.

Wilk klęka obok mnie i delikatnie muska moją twarz. Przygląda mi się i przeklina.

– Mocno jesteś ranna? Mów do mnie, mała. Możesz wstać?

Mówi niskim, zaniepokojonym tonem. Jego oczy płoną furią, twarz spowija cień, a z końcówek ciemnych włosów skapują krople.

Wygląda pięknie i przerażająco, jak anioł zemsty niosący zagładę całemu światu.

Próbuję się odezwać, ale to, co wydobywa się z mojego gardła, nie przypomina nawet słowa. Trudno rozpoznać w tym ludzki głos.

Wilk wyrywa komórkę z kieszeni, wystukuje coś na ekranie i przykłada ją do ucha. Informuje dyspozytorkę, że potrzebuje karetki, następnie podaje adres.

Widzę, że cały czas na mnie patrzy, potem ujmuje moją twarz w swoją wielką dłoń, a potem mdleję.

Rozdział 5

Tru

Budzę się w szpitalnym łóżku z wbitym wenflonem w wierzch dłoni i przyjemną mgiełką w głowie. Przez okna wpadają promienie słońca, a na zewnątrz świergoczą ptaszki w koronach drzew. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Na marginesie mojej świadomości majaczy niewyraźny ból, ale musieli podać mi jakąś cudowną miksturę, która – dzięki uprzejmości wkłucia – płynie w moich żyłach i trzyma go na krótkiej smyczy. Wenflon jest połączony rurką z wiszącym na metalowym stojaku przezroczystym plastikowym workiem z jakimś dziwnym płynem. Obok stoi pikające urządzenie, które pokazuje rozmaite abstrakcyjne odczyty w formie jaskrawych żółtych cyferek.

Okruchy wspomnień przetaczają się przez mój umysł jak chmury: syreny, deszcz i jazda do szpitala w pędzącej stanowczo zbyt szybko, sądząc po dzikich skrętach i zmianach pasów ruchu, karetce. Potem wilk siedzący naprzeciwko moich noszy, który przygląda się w milczeniu niczym skała, i trzyma mnie za rękę.

Musiałam co chwilę tracić przytomność, bo nawet nie pamiętam, jak trafiłam do tego łóżka. Mam niejasne wspomnienia pochylających się nade mną ludzi, rozmazanych twarzy i bezdźwięcznie poruszających się ust. Chyba wozili mnie po różnych pomieszczeniach, bo nad moją głową mknęły szczeliny łączące płytki na suficie jak w tunelu na autostradzie. Musiałam mieć jakieś badania i prześwietlenie czy coś takiego, ale tego też nie pamiętam. Najwyraźniej pamiętam przeświadczenie, że umrę straszną, bolesną śmiercią… jednak najwidoczniej nie umarłam. Ocalił mnie mój wielki, zły wilk. Fakt, że na tę myśl szeroko się uśmiecham, dowodzi temu, jak dobry haj rozkręcają leki przeciwbólowe.

– Obudziłaś się.

Gdzieś z prawej strony dochodzi niski głos. Obracam głowę w jego kierunku i widzę wstającego z krzesła wilka. Jest wysoki i imponujący. Spogląda na mnie z góry ciemnymi, enigmatycznymi oczami. Na jego garniturze i krawacie nie ma ani jednej zmarszczki, a każdy włos zajmuje przypisane mu miejsce w schludnej fryzurze.

O rzezi wczorajszej nocy świadczy tylko jeden czerwony punkcik na sztywnym kołnierzu jego białej koszuli oraz siniak na knykciu prawej dłoni.

Zwilżam językiem usta, na co on bierze stojący na szafce obok krzesła kubek i przysuwa mi do ust słomkę. Kiedy upijam łyka, zimna woda przelewa się przez mój język i gardło. Przełykając, patrzę mu w oczy i zauważam, że jest na mnie całkowicie skupiony. Kąciki jego ust ściąga ledwie wyczuwalne napięcie.

Dopijam wodę, opieram się wygodnie na poduszce i leniwie mrugam. Próbuję ustalić, czy nie boję się tego strasznego mężczyzny, który z grobową miną świdruje mnie wzrokiem. Już sama nie wiem, czy jestem odważna, czy głupia. Zdecydowanie uznaję, że to drugie. Hormony przejęły już kontrolę nad mózgiem. Gdyby wyglądał jak troll, to pewnie już dawno darłabym się o pomoc ochrony.

– Założę się, że to pomaga w twojej branży – stwierdzam.

– Co takiego? – pyta, ściągając ciemne brwi.

– To, że jesteś taki seksowny i nieprzenikniony. To powoduje u ludzi rozkojarzenie i zbija ich z tropu. Skoro już ocaliłeś mi życie, to czy w końcu zdradzisz, jak masz na imię? A może jednak mam założyć, że Batman istnieje naprawdę i jesteś miliarderem z fetyszem do lateksowych wdzianek i samczych gadżetów, który nocami węszy po ulicach w poszukiwaniu zbrodni?

Gapi się na mnie w ciszy, na co wzdycham z rezygnacją i sama sobie odpowiadam na pytanie:

– No dobrze, zatem nazwę cię Bruce Wayne, choć muszę powiedzieć, że nie wyglądasz mi na Bruce'a. Bardziej pasujesz na Apolla lub coś w ten deseń.

– Apollo to greckie imię.

– Och, no tak, racja. Absolutnie nie brzmi po irlandzku.

– I oznacza „niszczyciel" – dodaje.

– Pasuje jak ulał! A czy jest jakiś irlandzki niszczyciel? O, a co oznacza Connor? Zawsze uważałam, że to zajebiste imię. Jesteś zabójcą?

Przez chwilę przygląda mi się w zadumie, po czym przykłada mi dłoń do czoła.

– Nie mam gorączki – rzucam, zdecydowanie za bardzo ciesząc się jego dotykiem. – Może jestem nieco zakręcona przez to, co pompują mi z tego worka, ale mój mózg w miarę działa jakoś na dziewięćdziesiąt procent. No dobra, może na pięćdziesiąt, ale chodzi mi o to, że naprawdę chciałabym poznać twoje imię i dowiedzieć się, czym się zajmujesz, bo myślę, że to dość ważne dla rozwoju naszej relacji szczególiki.

Odwraca dłoń i nieśpiesznie sunie opuszkami palców po moich skroniach i kościach policzkowych, po czym zatrzymuje się, by popieścić kciukiem szczękę.

– Nie będzie żadnej relacji – mówi stanowczo.

– Jesteś niepoważny – odpowiadam z uśmiechem.

Jego mina to mieszanka frustracji, irytacji i bezradnego zaciekawienia. Oczarowuję go, co chyba mu się nie podoba.

– Mówiłem ci, że nie angażuję się w związki.

– Tak, ale oprócz tego przez prawie rok siadywałeś przy moim stoliku w knajpie, próbowałeś pożegnać się raz na zawsze, a potem ocaliłeś mi życie. W dodatku przyznałeś, że najbardziej lubisz pistacjowe lody, i to w dodatku po tym, jak palnęłam to żenujące hasełko, że jeśli też je lubisz, to jesteśmy sobie pisani na wieki. Więc coś mi się wydaje, że to znosi twoje relacyjne embargo. Tego nie zaprzeczysz.

Nachyla się niżej, patrząc na mnie z rozpalonym wzrokiem i zaciśniętymi zębami. Głęboko oddycha przez rozdęte nozdrza.

Cholera, ależ on jest gorący.

Do sali wchodzi dwóch policjantów. Na widok nachylającego się nad moim łóżkiem wilka stają jak wryci i wymieniają niepewne spojrzenia. Starszy z nich przenosi spojrzenie na wilka, po czym z szacunkiem kiwa głową i odchrząkuje.

– Liam.

– John.

– Nie wiedziałem, że… – Gliniarz patrzy na mnie.

– Tak – wtrąca wilk, który najwyraźniej ma na imię Liam.

Liam. Lee-mniam. Wow, te środki przeciwbólowe naprawdę mają moc!

Starszy gliniarz ponownie kiwa głową i mówi:

– Czaję. No cóż, gdybyśmy byli potrzebni, to czekamy na zewnątrz.

– Dziękuję, Johnie.

Kiedy pokornie się wycofują, mój mózg zaczyna wirować jak karuzela.

Kim on jest?

Nie jestem w stanie zadać kolejnych pytań, bo tym razem do sali wślizguje się lekarz z zadartym do góry podbródkiem, który ewidentnie jest przekonany o własnym znaczeniu i powadze, włażąc tu w tym swoim błękitnym kitlu i białym fartuchu. Zatrzymuje się równie gwałtownie, jak policjanci, a następnie podejrzliwie mierzy Liama wzrokiem od stóp do głów.

– Jest pan spokrewniony? – pyta doktor.

– Jestem Liam Black.

Lekarz otwiera usta, wybałusza oczy, zasłania się dzierżonym w dłoni rejestrem jak tarczą i głośno przełyka ślinę.

– Jakie są prognozy? – pyta Liam.

Brzmi to mniej więcej tak: „Lepiej, żeby były dobre, bo w innym wypadku nie żyjesz”.

Chichoczę, widząc, jak facet blednie. Liam kładzie dłoń na moim ramieniu i delikatnie je ściska. Zwalczam chęć, żeby się w nią wtulić, ale zamiast tego patrzę na lekarza, który nerwowo oblizuje wargi.

– Tak, prognozy. Aha… – Sprawdza coś w rejestrze. – Brak krwawienia z przewodu pokarmowego oraz nie uwidoczniono obrażeń wewnętrznych. Tomografia nie wykazała krwawienia mózgu. Żebra są poobijane, ale nie złamane, tkanka chrzęstna nienaruszona. – Podnosi spojrzenie i, ignorując mnie, patrzy prosto na Liama. – Kilka dni odpoczynku w łóżku, do tego jakiś tydzień ograniczonej aktywności i będzie jak nowonarodzona. Dziewczyna miała wiele szczęścia.

– A opuchlizna? – dopytuje.

– Opuchlizna? – powtarzam jak papuga i przez otaczającą moją głowę mięciutką bańkę przebiega niepokój.

Do doktora w końcu dociera, że też jestem w pomieszczeniu. Zerka na mnie przelotnie, po czym znów zwraca się do Liama:

– Ustąpi w tydzień, może dziesięć dni, podobnie jak posiniaczenia. Okłady z lodu przyśpieszą gojenie.

– Kiedy zostanie wypisana?

– Zaraz przygotuję dokumenty. Będą gotowe za maksymalnie dwadzieścia minut.

– Uważam, że powinna poleżeć jeszcze jedną noc na obserwacji.

Lekarz jest zbyt zastraszony, by podjąć się próby protestu, więc posłusznie kiwa głową.

– Tak, powinna poleżeć jeszcze jedną noc na obserwacji.

– A gdy już zostanie wypisana, musimy dostać do domu jakieś środki przeciwbólowe.

My? Do domu? Robi się ciekawie.

– Paracetamol powinien wystarczyć…

– Opiaty – wtrąca natychmiast Liam.

Lekarz blednie jak ściana.

– Dopilnuję, żeby otrzymał pan wszystko, co niezbędne.

– Dziękuję.

Gdy do doktora dociera, że było to równoznaczne ze: „spocznij, może pan odejść”, obraca się i wychodzi, a pod siłą ulgi nawet się przygarbia.

Tymczasem Liam przenosi uwagę na mnie.

– Naprawdę masz na nazwisko Black, czy to po prostu ukłon dla twojego ukochanego koloru? Jestem ciekawa świata i w ogóle. Nie neguj tego – rzucam.

Po raz pierwszy odkąd go poznałam, jego usta wykrzywia coś na wzór prawdziwego uśmiechu, który rozmiękcza surowość jego oblicza i pokazuje mi na chwilę zupełnie innego człowieka, który potrafi się radować i być szczęśliwym, a tym bardziej nie zna najróżniejszych sposobów na okaleczanie bliźniego. I który nie wie, ile dokładnie trzeba włożyć siły, żeby skręcić komuś kark…

– Trudno uwierzyć, że miałem cię za nieśmiałą – mamrocze.

– Zazwyczaj celnie oceniam ludzki charakter.

Fajnie, że gdy się do mnie zwraca, jego ton głosu się zmienia. Obniża się, łagodnieje, staje się cieplejszy i bardziej intymny, zupełnie jakbyśmy kładli się razem w łóżku, a on wodził palcami po mojej nagiej skórze.

– Jestem nieśmiała. Mówiłam ci już. Po prostu przy obcych czuję się bardzo niezręcznie.

– Jestem obcy.

– Już nie.

Coś mu się nie spodobało w tej odpowiedzi, bo jego uśmiech znika. Nachyla się, opierając ręce po obu stronach mojej poduszki, przez co znowu wygląda niebezpiecznie, ale jednocześnie pięknie. Ma zaciśniętą szczękę i rozpalone oczy, a jego nos znajduje się kilka centymetrów od mojego. Mimo to jego głos nadal brzmi łagodnie, więc chyba mogę wywnioskować, że się nie gniewa.

– Tru, nie buduj sobie fałszywych wyobrażeń na mój temat.

– Na przykład jakich?

– Na przykład takich, że jestem dobrym człowiekiem.

Mam wrażenie, że chce mnie wystraszyć, ale absolutnie mu się nie udaje. Nie boję się go, nawet gdybym chciała. Patrzę w jego rozżarzone oczy i mówię cicho:

– Uratowałeś mi życie.

– To nie czyni mnie dobrym. – Kiedy przenosi spojrzenie na moje usta, jego głos robi się ostrzejszy. – Kierowałem się egoistycznymi przesłankami.

Gdy ponownie patrzy mi w oczy, dostrzegam wszystko: potrzeby, pragnienia i mroczne żądze. Wywołuje to we mnie drżenie o mocy, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałam.

– Czyli nie jesteś zabójcą – szepczę. – Przecież oni dbają o anonimowość, prawda? A przecież gliny i lekarze cię znają. Ten biedak przed chwilą prawie obesrał się ze strachu. Może naprawdę jesteś Batmanem?

Liam wykonuje kolejny długi wydech rozdrażnienia i patrzy na mnie, nawet nie mrugając.

Ładnie pachnie. To zapach mydła, cygara, testosteronu i spaceru po nocnym lesie. Bezwiednie unoszę dłoń i dotykam jego twarzy. Jego broda jest szorstka i sprężysta.

– Jesteś piękny, wilczku. Mówił ci to już ktoś?

– Ty akurat powinnaś już przestać mówić – odpowiada ozięble.

– Niedawno otarłam się o śmierć i odlatuję na lekach przeciwbólowych, jestem usprawiedliwiona.

Kiedy przesuwam palcami wzdłuż jego szczęki i docieram na usta, cały tężeje. Zamiera, chyba nawet przestaje oddychać. Wygląda, jakby miał ochotę uciec za drzwi.

– Poczekaj – mówię, przyglądając mu się w zdumieniu – wszystko jest na opak. To ja powinnam bać się ciebie, a tymczasem…

– Nie boję się ciebie – mówi, a jego ciemne oczy stają się czarne jak węgiel. – Boję się o ciebie, bo powinnaś się mnie bać z wielu powodów, ale tego nie robisz. – Ścisza głos. – Myślę, że dałabyś mi to, czego chcę, ale gorzko byś tego żałowała.

Patrzymy sobie w oczy, a maszyna monitorująca moje tętno zaczyna wariować.

Dzwonek jego komórki rozprasza urok. Przeklina pod nosem, wyciąga rękę i ucisza piszczącą aparaturę przy łóżku, a potem prostuje się, obraca do mnie tyłem, podchodzi do okna i wyciąga komórkę z kieszeni garnituru.

– Declan – rzuca, a potem długo milczy. – Nie da się nic zrobić. – Kolejna pauza. – Priorytety się zmieniły. On może zaczekać.

Rozłącza się, chowa telefon do kieszeni na piersi i w pełni napięcia i milczenia wygląda przez okno.

– Spóźniłeś się gdzieś przeze mnie?

Na dźwięk mojego głosu obraca głowę.

– No, tak wyszło – stwierdza po chwili.

– Powinieneś iść. Nie chcę ci narobić więcej kłopotów.

Z jakiegoś powodu go to rozbawiło. Patrzy na mnie przez ramię, a w jego oczach tańczą iskierki wesołości.

– Narobić mi kłopotów – mruczy, a potem rechocze, jakbym powiedziała coś naprawdę śmiesznego.

Zachwyca mnie ten głęboki, pełen radości odgłos, ale przypominam sobie o dwóch policjantach, którzy niedawno weszli do sali. Aż przechodzi mnie dreszcz.

– Ci goście, którzy mnie napadli… Będę musiała coś powiedzieć policji. Będą chcieli wiedzieć, co się…

– To już załatwione – wchodzi mi w słowo i ponownie się odwraca.

Mrużę oczy. Wlewające się przez okno za jego plecami światło słońca tworzy wokół jego głowy złotą aureolę. Mój otumaniony lekami umysł podszeptuje, że właśnie takie rzeczy widzą ludzie tuż przed końcem, gdy przychodzi po nich anioł śmierci.

– Załatwione?

Podchodzi bliżej i wyciąga dłoń, żeby pogłaskać mnie po twarzy, ale natychmiast ją cofa i marszczy czoło, jakby był zły sam na siebie.

– Nie musisz rozmawiać z policją… – zawiesza głos. – Chyba że chcesz – dodaje.

Przyglądam mu się badawczo.

– Zgaduję, że już wiedzą, co zaszło.

Przechylam głowę na bok w geście potwierdzenia, ale jednocześnie lekceważenia. Nie potrafię teraz skoncentrować się w takim stopniu, by przemyśleć szczegóły jego związków z miejscowymi organami ścigania, więc wolę skupić się na własnych problemach, których zdecydowanie nie brakuje.

– Muszę zadzwonić do szefa i powiedzieć, że nie zdążę na moją zmianę.

– Już wie, że potrzebujesz trochę wolnego. To nie problem.

Kilka razy szybko mrugam, jakby miało mi to podpowiedzieć, co tu się dzieje.

– Rozmawiałeś z Buddym?

Kolejne pochylenie głowy od niechcenia. Mam wrażenie, że ten człowiek posiada kontakt do każdego w tym mieście i nikt nie odmawia jego życzeniom.

– Kim ty jesteś?

Jego wzrok łagodnieje. Przez kilka dłuższych chwil walczy sam ze sobą, ale w końcu odpowiada:

– Wychodzi na to, że twoim wilkiem.

Moim wilkiem…

Zabójczym obrońcą i mrocznym rycerzem w zbroi od Armaniego, który rozrywa na strzępy każdego, kto ośmieli się mnie skrzywdzić. Ciekawe, co bracia Grimm mieliby do powiedzenia na jego temat. Jest o wiele ciekawszy od smakosza babć z ich *Czerwonego Kapturka*.

Czuję, jak tracę siły, zupełnie jakby ktoś zrzucił mi kilka kilogramów na pierś. Zamykam oczy i ziewam, próbując zwalczyć zmęczenie. Nie chcę jeszcze zasypiać. Chcę, żeby ze mną porozmawiał, odpowiedział na wszystkie moje pytania, patrzył na mnie tymi czujnymi oczami i żeby jeszcze raz się do mnie uśmiechnął, nawet wbrew swojej woli.

Nie odchodź, wilczku. Pilnuj mnie, gdy będę spała.

– Nigdzie nie idę – Dopiero gdy wymruczał te słowa, dotarło do mnie, że wypowiedziałam to życzenie na głos.

Jego usta delikatnie jak piórko muskają moje czoło. A może to tylko moja wyobraźnia?

Nie mam czasu tego rozstrzygać, bo Morfeusz bierze mnie w swoje silne ramiona i muszę mu ulec.

Rozdział 6

Tru

Śni mi się, że biegnę nocą przez gęsty las. Światło księżyca przebija się przez korony drzew, zasypując poszycie cętkami upiornie białej poświaty. Grube korzenie wiją się pośród kopek liści, które rozkopuję w biegu. Moje włosy unoszą się w pędzie, a serce łomocze w piersi jak opętane. Zewsząd otacza mnie wycie, które w mroźnym wieczornym powietrzu unosi się echem pod baldachimem gałęzi. W lesie panuje cisza, nie licząc wycia, mojego ciężkiego oddechu, odgłosów moich stóp i szelestu martwych liści. Jestem naga, ale nie czuję z tego powodu zawstydzenia. Czuję, że mojemu ciału jest wygodniej niż w okowach ubrań, a moje myśli są wolne niczym wicher. Próbuję dogonić wielkie, ciemne zwierzę, gnające pomiędzy drzewami, które majaczy gdzieś daleko z przodu.

Obraca głowę i patrzy na mnie oczami błyskającymi rtęcią pośród cieni. W wilczym uśmiechu obnaża ostre, białe zęby, a potem obniża wielki pysk do ziemi i rzuca się naprzód jeszcze szybciej. Ucieka sprintem, a gdy znika w mroku, zostaję sama i wrzeszczę z frustracji.

Budzę się i gwałtownie siadam zadyszana. Krzywię się, bo ból kłuje mnie przy każdym ruchu.

– Koszmary?

Liam siedzi spokojnie na krześle przy moim łóżku z książką w dłoniach i nogą zarzuconą na nogę. Jest przy tym tak przystojny, że to aż nierealne.

Przełykam ślinę i próbuję jakoś wyhamować rozszalałe serce.

– Nie. Tak w zasadzie to śniłam o tobie.

Patrzy na mnie spokojnie, a w końcu mówi bardzo cicho:

– Czyli jednak miałaś koszmar.

Jest już wieczór, a świat za oknem pociemniał, podobnie jak światło w sali, a hałaśliwy szmer szpitala w godzinach szczytu

przeistoczył się w delikatny szept.

Liam wyszedł, gdy spałam, albo ktoś dostarczył mu świeżą odzież, bo wymowna czerwona kropka na kołnierzyku zniknęła.

– Zawsze nosisz garnitur i krawat? – Kącik jego ust podskakuje. Chyba lubi, gdy zupełnie przypadkowo zmieniam temat, choć nigdy się do tego nie przyznał. – Pytam, bo pewnie o wiele wygodniej zwalczałoby ci się zbrodnię, gdybyś zainwestował w dres.

Zatrzaskuje książkę i posyła mi surowe spojrzenie.

– Czy ja ci wyglądam na mężczyznę, który chodzi w dresie?

Odpowiedź jest tak oczywista, że nie zaprzątam sobie nią głowy.

– Ale co z krawatem? Nie wkurza cię?

– Nie.

– A w domu? Przecież nie możesz spać w garniaku. W czym śpisz?

– W niczym – odpowiada, patrząc mi w oczy.

Jasny gwint. Właśnie zacisnęły się we mnie mięśnie, z których istnienia nie zdawałam sobie sprawy.

Odkłada książkę na szafkę nocną i kładzie dłonie na kolanach, jak gdyby zrezygnowany pogodził się z tym, że nie dam mu spokoju w sprawie garderoby. Ale ja nie chcę być taka przewidywalna, więc znowu zmieniam temat:

– Co tam czytasz?

– Prousta.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Słyszałam nazwisko, ale na tym kończy się moja wiedza.

Bez słowa podaje mi książkę. Okładka jest mocno zużyta, strony pożółkłe, wiele z nich ma zagięte rogi. Przysuwam książkę do nosa i wertuję strony, by dobrze ją poczuć. Potem wracam na początek i patrzę na stronę tytułową, która jest zapisana po francusku.

– Jej tytuł to *W poszukiwaniu straconego czasu* – wyjaśnia Liam.

– O czym to?

– O życiu, śmierci i miłości – odpowiada po chwili refleksji.

– Hmm, czyli same banały.

Zaciska usta. Mam przeczucie, że próbuje opanować wybuch śmiechu.

– To czwarty tom z siedmiu.

– Z siedmiu? – Spoglądam na książkę z nowym respektem.
– Lekko przytłaczające.

– Może poczujesz się lepiej, wiedząc, że w angielskim przekładzie jest ich tylko sześć.

– Och, to znacznie lepiej! – prycham. – Jak tylko stąd wyjdę i zrzucę ten fartuch bez tyłka, to polecę do księgarni po całość.
– Odkładam książkę na szafkę i patrzę na Liama. – A skoro o tym mowa, to chcę już wracać do domu.

Jego twarz robi się mroczna, ulatuje z niej całe rozbawienie.

– Szpitale przypominają mi o cierpieniu – dodaję. Gdy jego wzrok robi się ostrzejszy, odwracam spojrzenie i przełykam ślinę. – To długa historia. Tak czy owak, chcę wracać do domu.

Pomieszczenie spowija gęsta cisza. Czuję, że na mnie patrzy i bacznie lustruje moją twarz, ale ja nie chcę na niego patrzeć, bo wiem, że może przejrzeć mnie na wylot.

– Kiedy zawiozę cię do domu, skończymy z tym raz na zawsze. Zrozumiano? – rzuca nagle.

Z „tym”? To znaczy „z nami”? Nie, żeby jacyś „my” zdążyli w ogóle zaistnieć, ale zdecydowanie chce zdusić tę szansę już w samym zarodku.

Ja z kolei nie chcę, żeby mnie to bolało, a jednak już boli. Nie chcę być zaintrygowana tym groźnym nieznajomym, a jednak jestem. Czuję w sercu, że nie mamy przyszłości i powinnam trzymać się od niego z daleka, z bardzo daleka… ale jest zagadką, którą od tak dawna próbuję rozwikłać, że danie za wygraną, gdy tyle elementów ułożyło się już w całość, byłoby ogromnym rozczarowaniem.

– Tru, spójrz na mnie.

Zamiast go posłuchać, wbijam wzrok we własne dłonie. Są prawie tak blade, jak szorstka pościel, na której spoczywają.

Muszę iść na paznokcie. Dziwne, że przyszło mi to do głowy w takiej chwili.

– Tru – powtarza.

– Słyszę, zrozumiałam. Nie chcesz mnie więcej widzieć.

– Wcale tak nie powiedziałem. Spójrz na mnie.

Jego głos jest zbyt uwodzicielski, nie mogę go dłużej ignorować. Gdy na niego zerkam, pochyla się na krześle z rękami wspartymi na

kolanach i złączonymi dłońmi. Patrzy się z tą swoją przeszywającą intensywnością i stwierdza łagodnie:

– Nie byłbym dla ciebie dobry. Nie wiodę normalnego życia.

Chyba właśnie mnie poinformował, że nie należy do domatorów, jakby nie było to oczywiste. W końcu nosi te eleganckie garnitury, żeby odwrócić uwagę gapiów od kłów i pazurów.

– Mam tego świadomość – odpowiadam z lekką złością. – Myślisz, że umknęło mi, jak rozwaliłeś gęby tamtym dwóm facetom, a trzeciemu skręciłeś kark jak zapałkę?

Napina mięśnie szczęki.

– Czyli się zgadzamy.

Papugując go, żeby sam poczuł, jakie to wkurzające, rzucam:

– Wcale tak nie powiedziałam. – Mruży oczy. Odegrałam się. – A skoro już przy tym jesteśmy – ściszam głos – czy ty… no, wiesz… wszystkich trzech?

– Oczywiście – odpowiada rzeczowo.

Próbuję przygotować stosowną reakcję emocjonalną na swobodne przyznanie się do potrójnego morderstwa dokonanego na moich oczach, bo przecież logicznie rzecz biorąc, powinnam być wstrząśnięta i przerażona, a jednak stać mnie wyłącznie na ciekawość. I choć nie jestem w pełni sił, to doskonale wiem, że to niewłaściwa reakcja.

– Gołymi rękami…

Robi minę, jakby grał rolę kota srającego na pustyni, i gapi się na mnie bez słowa, a jego wzrok z przeszywającego staje się lodowaty i nieprzenikniony. Gość wyniósł enigmatyczność do poziomu sztuki dla koneserów.

W nadziei, że uchyli rąbka tajemnicy, skąd u niego taka biegłość w dziedzinie obijania pysków, łamania karków i zakańczania życia innych ludzi, dodaję pośpiesznie:

– To znaczy, nawet nie wyciągnąłeś pistoletu.

– Nie znoszę pistoletów – rzuca natychmiast szorstkim tonem. – I przestań się zachowywać, jakby ci to imponowało.

– Przepraszam bardzo, ale imponuje. Ja nie potrafię nawet otworzyć słoika z ogórkami bez pomocy.

Oddycha powoli, jakby tłumił chęć wskoczenia na łóżko i potrząśnięcia mną, żeby nauczyć mnie trochę rozumu, albo pocałowania mnie ostro i namiętnie.

Przyglądam mu się przez chwilę, rozkoszując się jego całą stalową samokontrolą i napięciem, jakby miał wokół szyi ciasną obrożę. Mam jednak wrażenie, że pod tym opanowaniem kryje się rezygnacja. Wygląda jak konduktor pędzącego z pełną szybkością pociągu towarowego, który właśnie zauważył, że hamulce się zepsuły, a znajdujący się przed nim most się zerwał, ponadto nie ma już czasu, żeby wyskoczyć z lokomotywy.

– Pytanie, panie Black. Dlaczego tak usilnie stara się pan trzymać ode mnie z daleka?

– Już ci powiedziałem. Nie byłbym dla ciebie dobry.

– A jednak jesteś przy mnie. Już kolejny raz. Sugeruje mi to kolosalne rozterki…

– Lubisz się spierać, co? – mówi z surową miną.

– Szkolę się na adwokatkę. To dobry trening. – Żeby pokazać, co mam na myśli, kłócę się z nim dalej. – Wyglądasz na faceta, który nie oszukuje sam siebie. Widać to jeszcze bardziej niż w przypadku faceta, który nie chodzi w dresie.

– Chcieć a wziąć to dwie różne sprawy – rzuca ostro.

Wziąć*?* Implikacje tego stwierdzenia odbierają mi dech.

Gdy go odzyskuję, budzi się praktyczna strona mojej natury i ogłasza wszem wobec, że nawet jeśli jest skrajnie spragnionym ogierem, to nie zmuszę go do picia wbrew jego woli. Jeżeli tak mocno się upiera, że ta dziwna, uderzająca do głowy chemia, która jest między nami, nie ma przyszłości, to niech tak będzie. Z zasady nie uganiam się za facetami. To niegodne.

Ponadto w pewnym momencie w przyszłości, gdy środki przeciwbólowe przestaną działać, a uraz po napadzie minie, być może dopadnie mnie groza świadomości, że zabił trzech mężczyzn. Teraz po tej grozie jakimś cudem nie ma nawet śladu.

Ponownie skupiam uwagę na gryzącej pościeli i mówię cicho:

– Daj mi chwilę, proszę. Chcę się ubrać.

– Ubrać?

– Chcę wracać do domu. Już ci to mówiłam.

– Uważam, że powinnaś tu zostać co najmniej do jutra.

Powiedział to dość stanowczym tonem, ale przecież nie jest moim szefem. Mam gdzieś, że wszyscy inni padają przed nim na klęczki. Ja nie zamierzam.

– To nie twoja decyzja.

Cisza trwa niekomfortowo długo. Ciekawe, kiedy ostatnio ktoś mu się sprzeciwił. Może nigdy?

W końcu wstaje i zapina marynarkę.

– Dobrze, brawo.

Nawet nie odwracając się, wychodzi z pomieszczenia i zamyka za sobą drzwi.

Wzdycham ciężko i przyglądam się wbitemu w moją dłoń wenflonowi. Skóra wokół niej jest sina i obolała. Ostrożnie odklejam plaster przytrzymujący plastikową rurkę cewnika i biorę głęboki wdech.

Na „trzy" wyrywam z siebie te wszystkie śmieszne rurki.

Lekkie szarpnięcie, pękata kropla krwi i po wszystkim. Odrzucam cewnik na bok i spuszczam nogi na podłogę. Wstaję z lekkim westchnięciem. Z żeber rozchodzą się fale na tyle mocnego bólu, że muszę zagryźć zęby. Ale po chwili najgorsze mija, a ból przechodzi w niemilknące, ale znośne pulsowanie. Ból od razu daje do wiadomości, że to żebra zostały najbardziej poturbowane. Człapię po zimnym linoleum do szafy obok łazienki, bo zakładam, że leżą tam gdzieś moje ciuchy.

Otwieram szafę i zszokowana zauważam, że na wieszaku wiszą moje ulubione dżinsy, czarny wełniany płaszcz i czarny kaszmirowy sweter, który zazwyczaj zakładam, gdy wypada się ładnie ubrać. Są też czarne skórzane buty na niskim obcasie. Na innym wieszaku wiszą moje skarpetki i majtki zamknięte w przezroczystej plastikowej torbie.

Po ubraniu, które miałam na sobie w czasie napadu, nie ma ani śladu.

– Interesujące – mówię na głos, przyglądając się odzieży w szafie.

Czyli wilk był w moim mieszkaniu. Ellie go wpuściła, czy też chuchał i dmuchał, aż drzwi same wypadły z zawiasów? A może

zadzwonił do Ellie i to ona przyniosła ubrania? Ale skąd wziąłby jej numer? Nawet jeżeli przyszła, to czy nie zaczekałaby, aż się obudzę?

Pozwalam tym pytaniom troszkę dojrzeć i skupiam się na bardziej palącej kwestii skorzystania z toalety. Zaraz pęknie mi pęcherz, na bardziej szczegółowe opisy będzie jeszcze czas.

Gdy włączam światło w łazience i patrzę na siebie w lustrze, żałuję, że po prostu się nie przebrałam i nie wyszłam ze szpitala.

Lewą stronę mojej twarzy pokrywają paskudne fioletowoczarne plamy w kształcie bieżnika podeszwy. Lewe oko jest opuchnięte, dolna warga rozcięta, włosy skołtunione i poplątane, a oczy tak nabiegłe krwią, jakbym właśnie obudziła się po panieńskim w Las Vegas i nie pamiętała, skąd mam ten wielki tatuaż Elvisa.

Teraz rozumiem, dlaczego według Liama powinnam jeszcze poleżeć w szpitalu.

Korzystam z toalety, myję ręce, szczotkuję zęby szczoteczką podróżną i pastą, które ktoś zostawił na umywalce. Próbuję jakoś ogarnąć rozszalałą fryzurę, przeczesując włosy dłonią i je uklepując, lecz bezskutecznie. Daję im za wygraną i się ubieram. Każdy ruch wykonuję w ślimaczym tempie, bo moje komórki nerwowe skrupulatnie dbają, bym nie zapomniała o wczorajszym laniu.

Choć tak naprawdę powinnam martwić się o umysł, a nie o ciało…

Widziałam, jak w tamtym zaułku kilka metrów ode mnie zginęło trzech ludzi, a jednak nie zalewają mnie żadne emocje.

No dobra, nie przepadałam za tymi typkami. Poza tym wychowałam się w gospodarstwie pośród zwierząt, które regularnie trafiały na nasz stół, więc widok krwi to dla mnie żadna nowość. Wiem, że życie toczy się przy ścieżce dźwiękowej przemocy w tle. Ale i tak powinnam coś czuć. Choćby nawet wyrzuty sumienia czy wstręt, obrzydzenie albo niedowierzanie. Cokolwiek! Coś innego poza głęboko skrytym poczuciem satysfakcji…

* * *

Gdy otwieram drzwi mojej szpitalnej sali, ukazuje mi się widok Liama pogrążonego w rozmowie z dwoma policjantami, którzy wcześniej próbowali mnie odwiedzić. Stoją jakieś pięć metrów dalej

przy stanowisku pielęgniarek, więc mnie nie zauważają. Daje mi to doskonałą okazję do obserwacji oddziaływania Liama w praktyce.

Gliniarze z nim rozmawiają, a jednak żaden nie ma odwagi patrzeć mu prosto w oczy. Ich spojrzenia są twardo wbite w czubki butów. Przypominają świetnie wyszkolone psy, które czekają u stóp pana na wydanie polecenia.

Kiedy Liam mnie zauważa, spogląda na mnie jak wilk wybudzony z niedawnego snu. A potem mówi coś do gliniarzy tak cicho, żeby tylko oni usłyszeli. Po wszystkim zostawia ich i podchodzi do mnie. Choć już odwrócił się do nich plecami, to obaj uchylają kapelusze, gdy odchodzi.

– Jak się czujesz? – pyta. Jego zmarszczone czoło mocno sugeruje, że nie jest zachwycony, że opuściłam pokój.

– Koszmarnie, ale przeżyję. Nie mogę się doczekać, gdy wrócę do domu i wezmę porządny prysznic. Masz, zostawiłeś to w sali. – Podaję mu *W pogoni za straconym czasem*, które złapałam po drodze, ale on kręci głową i odpowiada:

– Zatrzymaj sobie.

– Nie znam francuskiego.

– Jeszcze nie.

Powiedział to w taki sposób, jakby właśnie wieszczył mi liczne wyjazdy do Paryża. Gdyby tylko wiedział, że nigdy nie opuściłam Stanów Zjednoczonych…

Bierze mnie pod rękę i delikatnie prowadzi w stronę windy na końcu korytarza.

Zegar na ścianie stanowiska pielęgniarek wskazuje, że jest kwadrans po północy. Kiedy przechodzimy obok, pielęgniarka w średnim wieku patrzy na Liama z pełnym zdumienia oburzeniem.

– Nie powinniśmy im dać znać, że wychodzę? Wypisać się, czy coś takiego? – pytam.

– Nie.

Jakżeby inaczej. Przecież on nie musi pytać o żadne pozwolenia.

– A co z moimi środkami przeciwbólowymi?

– Już je mam.

Patrzę na jego puste dłonie i płaskie kieszenie. Jego garnitur jest tak idealnie dopasowany, że wybrzuszyłby się, gdyby tylko spróbował

schować w kieszeni spinacz, a na idealnej sylwetce nie widać żadnych wypukłości poza jedną między jego nogami. Ale tam nie patrzę.

– Chciałabym nieśmiało zapytać, gdzie schowałeś opakowanie z lekiem.

Obdarza mnie spojrzeniem, które w założeniu miało chyba być radosne, ale wyszło cholernie seksownie. Ten facet nie może nic na to poradzić. Z definicji jest jak szalejące piekło. Nawet gdy stara się zachowywać powściągliwie, samoistnie tryskają z niego fale żaru.

Gdy zjeżdżamy windą na parter, żadne z nas się nie odzywa. Kroczymy w ciszy w stronę wyjścia, a po chwili stoimy przy samochodzie. Kiedy Liam pomaga mi wsiąść do czekającego przy krawężniku czarnego escalade'a, nadal trwamy w milczeniu. Odzywa się dopiero, gdy ruszamy spod szpitala, ale nie do mnie, lecz do swojego kierowcy. W dodatku robi to w obcym języku.

Kierowcą jest przystojny facet po trzydziestce o barach futbolowego obrońcy i oczami bystrymi i błękitnymi jak sople lodu. Zerka na mnie w tylnym lusterku, po czym odmrukuje coś do Liama w tym samym języku. Albo ma pecha i urodził się z zołzowatą miną, albo mnie nie polubił. Jego aura jest równie lodowata, jak oczy.

Gdy ponownie skupia wzrok na jezdni, czuję się jak zając, który uciekł z sideł śmierci.

Skupiam się na mglistej nocy za oknem.

– Mówiliście po gaelicku?

– Zgadza się – odpowiada Liam spokojnie. – Ale my nazywamy go po prostu irlandzkim. – Pauza, która teraz nastąpiła, ma spory ciężar. – Znasz go?

– Nie, ale mój dziadek był Irlandczykiem. Ojciec ojca pochodził z Dublina. Dożył stu czterech lat. Kiedy byłam mała, śpiewał mi kołysanki.

Obracam głowę od okna akurat na czas, by dostrzec, jak Liam wymienia porozumiewawcze spojrzenie z kierowcą.

Na tym rozmowa się kończy. Gdy zbliżamy się do mojego mieszkania, Liam robi się coraz bardziej spięty i niespokojny. Co jakiś czas zaciska pięści i rozluźnia dłonie. Mam ochotę zapytać, po co to robi i skąd zna mój adres, ale milczę. Chciałabym postawić

wiele innych pytań, ale i z nich rezygnuję na rzecz ciszy. Jeżeli to koniec naszej szczątkowej znajomości, to dodatkowe szczegóły nie mają znaczenia. Poza tym jestem teraz zbyt zmęczona, by zmagać się z rozmaitymi zagadkami tego świata. Upchnę wszystkie pytania w skrzynce z napisem: „Sekrety wilka" i zamknę ją na kłódkę.

Gdy tylko zatrzymujemy się przed moim budynkiem, Liam wyskakuje z samochodu i podchodzi do drzwi od mojej strony. Po zamknięciu drzwi z jego strony kierowca odzywa się z wyraźnym irlandzkim akcentem:

– Uważaj na siebie. Boston to niebezpieczne miasto. Szkoda by było, gdyby taka ładna dziewczyna znowu nabiła sobie guza. – Świdruje mnie lodowatym spojrzeniem.

To była groźba. Ostrzega mnie, że mam trzymać się z daleka od Liama. Co za kutas.

Konfrontuję się z jego zimnym wzrokiem w lusterku, uśmiecham się szeroko i mówię z całym teksańskim urokiem, na jaki mnie stać:

– Och, niechaj Bóg panu szczęści, panie kierowco. Ale nie musi się pan o mnie martwić. Jestem bezbronna tylko wtedy, gdy schnie mi lakier na paznokciach, ale i wtedy potrafię nacisnąć cyngiel.

Mierzymy się wzrokiem, co przerywa Liam otwierający drzwi od mojej strony. W tym momencie kierowca odwraca spojrzenie, kręcąc głową.

Chyba dostrzegłam na jego twarzy cień uśmiechu, ale mogę się mylić.

Wychodzę z auta, prostuję ramiona i patrzę Liamowi prosto w oczy. Są bardzo wysoko. Liam stoi na krawężniku, a ja na jezdni, więc ma głowę jeszcze wyżej niż normalnie.

– Cóż, chyba czas się pożegnać. Dzięki za uratowanie życia. Odwdzięczyłabym się, gdybym wiedziała jak albo gdybym mogła mieć nadzieję, że mi pozwolisz. Niestety nie mam takiej mocy, więc muszą wystarczyć werbalne wyrazy uznania. Dziękuję jeszcze raz. Życzę dobrego życia.

Wyciągam rękę, czerpiąc perwersyjną satysfakcję z tego, że rzuciłam mu tym samym tekstem, którym on pożegnał mnie w knajpie.

Patrzy na moją dłoń i mruczy coś po gaelicku. Następnie chwyta moją rękę, delikatnie wciąga mnie na chodnik, schyla się i bierze mnie na ręce.

Gdy obraca się i rusza w stronę drzwi mojego bloku, niosąc mnie niczym małe dziecko, mówię zdezorientowana:

– Chwileczkę, mam mały mętlik w głowie. Co się dzieje?

– Zanoszę ciebie i twoją przemądrzałą buźkę do łóżka, oto co się dzieje – burczy w odpowiedzi.

W tym momencie ucisza moją przemądrzałą buźkę na kłódkę i wstrzykuje adrenalinę wprost w moje żyły.

Rozdział 7

Tru

Mieszkam na trzecim piętrze. Liam nie niesie mnie pod same drzwi mieszkania, choć nie mam wątpliwości, że gdyby chciał, to na pewno nie zabrakłoby mu sił. Zamiast tego stawia mnie delikatnie przed drzwiami windy na parterze i wciska przywołujący ją guzik.

Gdy czekamy na windę, nawet na siebie nie patrzymy, ale usilnie czuję jego obecność obok mnie. Ten żar, męskość, niebezpieczeństwo… Cechy, które są jak brzytwa w aksamitnym pokrowcu. Potem przychodzi czas na kolejną milczącą przejażdżkę windą. Mam wrażenie, że cisza strzela od seksualnego napięcia.

Patrzę wprost przed siebie i staram się nie myśleć o scenie w windzie z *50 twarzy Greya*, w której Christian rzuca Anę na ścianę, unieruchamia jej ręce nad głową i ucztuje na jej ciele. Ale oczywiście im mocniej staram się o czymś nie myśleć, tym bardziej o tym myślę, aż w końcu nabawiam się obsesji, nie potrafię przestać i nienawidzę samej siebie.

Wyobrażam sobie, że wciska guzik awaryjnego hamulca, gwałtownie się obraca, zdziera ze mnie ciuchy i wbija we mnie swojego twardego, pulsującego członka, wzdychając gardłowo tuż przy mojej szyi i przygryzając ją, podczas gdy ja jęczę i drapię go po plecach.

Gdy winda się zatrzymuje, a drzwi rozsuwają, jestem cała czerwona i spocona.

– Co się stało? – pyta ostro.

Zauważył, jakżeby inaczej. Jemu nic nie umyka. Jemu i tym cholernym wilczym oczom.

– Nic – odpowiadam tak piskliwie, jakbym nawdychała się helu.

Ściskam w dłoni *W poszukiwaniu straconego czasu* i wychodzę z windy, pieczołowicie unikając jego spojrzenia. Rusza tuż za mną,

a pod drzwiami mieszkania dociera do mnie, że zostawiłam torebkę u Buddy'ego, więc nie mam kluczy, co oznacza, że muszę obudzić Ellie.

Wzdycham ciężko i unoszę dłoń, by wcisnąć dzwonek, ale w ostatniej chwili Liam łapie mnie za nadgarstek. Jego silny uścisk znowu przywodzi mi na myśl scenę w windzie, więc znowu się rumienię jak burak.

– Mam klucz – mamrocze, patrząc mi w oczy.

Moja płonąca twarz z całą pewnością podniosła temperaturę w korytarzu o przynajmniej pięć stopni, ale oboje udajemy, że nic się nie dzieje.

– Skąd?

– Twoja współlokatorka dała mi swój zapasowy – przyznaje, jakby było to coś zupełnie normalnego.

– Ellie dała ci zapasowy klucz? – dopytuję, mrugając z niedowierzaniem.

– Jakoś tak wyszło – odpowiada.

– To dziwne. – Nie ukrywam zdumienia.

– Urocza z niej dziewczyna – zmienia temat.

– Urocza? Słyszałam, jak nazywano ją zgryźliwą, onieśmielającą i wariacko mądrą, ale nigdy słodką. Chyba nie mówimy o tej samej kobiecie.

Opuszcza rękę wzdłuż ciała, wciąż trzymając mój nadgarstek. Obejmuje moją rękę swoją wielką dłonią, co jest jednocześnie uspokajające i bardzo zaborcze. Jego plan trzymania się ode mnie na dystans wypada dość kiepsko.

Patrzy na moje zaczerwienione policzki i mówi:

– Ludzie zazwyczaj spełniają moje prośby.

– Zauważyłam. Co jej powiedziałeś?

– Prawdę.

– Czyli? – dopytuję, unosząc brew.

Jego oczy rozbłyskają jak zwykle ogniem i mroczną intensywnością.

– Że potrzebuję kluczy. Mogę już otworzyć drzwi?

Nic z tego nie rozumiem. Najwyższy czas dać za wygraną. Mój biedny móżdżek potrzebuje urlopu.

– Tak, dziękuję.

W końcu puszcza mój nadgarstek i wyjmuje klucz z kieszeni płaszcza. Otwiera drzwi płynnym ruchem, po czym wchodzi do środka, przytrzymując mi drzwi i wyciągając rękę, jak gospodarz witający gościa w swych progach.

Przyjmuję zaproszenie do własnego mieszkania i kładę książkę na chybotliwym stoliku w przedpokoju, który kupiłyśmy z Ellie na pchlim targu w pierwszym tygodniu po przeprowadzce. Gdy tylko drzwi się za mną zamykają, Liam zdejmuje mi płaszcz i przerzuca go sobie przez przedramię.

Stoimy i gapimy się na siebie, aż w końcu się krzywię i przełykam ślinę, bo odnoszę nieodparte wrażenie, że brakuje mi tchu.

– Jesteś spragniona – oświadcza. – Przyniosę ci trochę wody.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Dziękuję, nie trzeba. Na pewno śpieszysz się do obowiązków, czyli przeczesywania ulic miasta nocą, zapobiegania atakom na niewinnych i zastraszania różnych ważniaków – mówię i wskazuję na drzwi.

Patrzy na mnie dokładnie w czasie jednego uderzenia serca, a potem odwraca się na pięcie i znika w kuchni. Odgłosy jego kroków są niczym najcichszy szept. Niesłychane, że tak postawny mężczyzna potrafi poruszać się tak cicho. To pewnie dzięki długiej praktyce skradania się po lasach na miękkich poduszkach swoich wilczych łap.

Nagle drzwi kuchenne otwierają się ze świstem. Nie wiem, o co mu chodzi i czego szuka, ale w naszej lodówce na pewno nie znajdzie żadnej butelki wody, chyba że szuka resztek chińszczyzny na dowóz albo spleśniałych przypraw.

Trwam na tym świecie głównie dzięki batonikom proteinowym i zupom w puszce, a Ellie żyje dzięki zupom ramen i mrożonym burgerom. Ponadprogramowo mamy w domu masę lodów i wina. Nie jesteśmy dzikuskami, tylko po prostu spłukanymi studentkami. Na tym koniec.

Moje zdziwienie sięga zenitu, kiedy Liam wraca z kuchni z butelką wody w ręce.

– A to skąd się wzięło? – pytam, ściągając brwi.

– Ze źródła artezyjskiego w Alpach Francuskich.

Podobno to ja jestem przemądrzała…

– Nie chodzi mi o miejsce pochodzenia. Skąd to się wzięło w moim mieszkaniu?

– Przyniosłem. – Odkręca metalową zakrętkę i wręcza mi butelkę. Jest szklana i niedorzecznie ekstrawagancka. – Pij, musisz się nawodnić.

Przyglądam się butelce przez dłuższą chwilę i nachodzi mnie myśl, że Liam lubi przynosić rzeczy w różne miejsca. Chyba mam coś wspólnego z tą designerską francuską buteleczką.

Liam chyba słyszy obracające się w moim mózgu tryby, bo nagle przerywa mój potok myśli.

– Tru, nie komplikuj tego nadmiernie. Po prostu pij.

– A ty będziesz tak stał i na mnie patrzył? – Pochyla głowę.
– A co, jeśli nie mogę wypić?

– Boli cię gardło?

– Nie, mam tremę. – Patrzy na mnie bez komentarza. Marszczę nos i dodaję: – Odczuwam mocny niepokój przed publicznymi występami. Robię się wtedy nerwowa.

Podchodzi do mnie z ogniem w oczach, przez co cofam się o krok. On dalej się przybliża, a ja nerwowo odsuwam, aż w końcu uderzam tyłkiem o szafkę i już nie mam drogi ucieczki. Nachyla się w moją stronę, a moje serce zamienia się w konia wyścigowego.

– Truvy, piękna dziewczyno, uparta królowo pszczół. Chcę, żebyś się napiła, bo to usprawni leczenie. Nie dlatego, że próbuję cię kontrolować. Nie buntuj się dla samego buntu – szepcze mi wprost do ucha.

Jego głos jest niszczycielsko seksowny. Obawiam się, że będę musiała złapać się jego marynarki, bo inaczej osunę się na podłogę. Na szczęście nie muszę, bo w końcu się odsuwa i przyszpila mnie spojrzeniem.

Biorę elegancki, długi łyk z fikuśnej butelki, starając się, by nie drżały mi ręce, a serce nie eksplodowało ze stresu. Kiedy kończę pić, Liam mruczy:

– Dziękuję. A teraz położymy cię do łóżka.

Łapie mnie za rękę i prowadzi przez przedpokój, salon i dalej korytarzem aż do mojego pokoju. Nie pyta o drogę, najwyraźniej dobrze się orientuje.

W szparze pod drzwiami pokoju Ellie majaczy światło. Kiedy je mijamy, słyszę dobiegające stamtąd ściszone głosy. Mam nadzieję, że tym razem ogląda coś mniej depresyjnego od *Był sobie pies*.

Gdy docieramy do mojego pokoju, Liam zapala światło i odsuwa się na bok, żeby wpuścić mnie do środka.

Wszystko jest tak, jak było. Nie wiem skąd ta myśl, ale mam wrażenie, że w pokoju powinny pojawić się jakieś dowody wydarzeń w zaułku za knajpą. Jakieś poszlaki wskazujące, że od ostatniej wizyty w pokoju moje życie diametralnie się zmieniło, czy jakakolwiek widoczna gołym okiem różnica. Oczywiście nie licząc śledzącego każdy mój ruch ślepiami drapieżnika wilka.

Stoi w idealnym bezruchu i obserwuje, jak odkładam na wpół pustą butelkę na szafkę nocną, a następnie przeczesuję dłonią rozczochrane włosy.

– Ja, yyy… – Odchrząkam. – Chcę wziąć prysznic przed snem.

To nie miała być prowokacja, ale niech mnie, jeżeli jego oczy nie rozbłysły pożądaniem. Patrzy na łóżko i mruga, a potem znów przenosi na mnie wzrok.

– Oczywiście – stwierdza ochryple. – Sam trafię do wyjścia. Twój płaszcz zostawiłem na krześle w kuchni, a leki masz na blacie w małej torbie.

Prawie o nich zapomniałam. Musiał je tu przywieźć, gdy przyjechał po czyste ubrania. Możliwe też, że zrobił to później albo zlecił to zadanie swojemu opryskliwemu kierowcy.

Z każdą chwilą pojawia się tyle pytań, na które nigdy nie poznam odpowiedzi…

– A klucz Ellie?

Bez słowa wydobywa go z kieszeni marynarki i oddaje mi.

Znowu stoimy i gapimy się na siebie w bezruchu. Jest tak niezręcznie, że zaraz padnę.

– Jeszcze raz ci dziękuję – mówię cicho. – Dziękuję za to, co zrobiłeś w zaułku i w szpitalu. I za książkę. No… ogólnie za wszystko. Wiem, że już cię nie zobaczę, ale na pewno też nie zapomnę.

Zerka na moje wargi i zaciska szczękę. Przez chwilę się waha i wygląda tak, jakby miał coś na czubku języka, ale w końcu bierze głęboki wdech i mocno zaciska usta. Widocznie uznał, że rozsądniej nie wypowiadać swojej myśli.

– Może w innym życiu – rzuca, zwracając się bardziej do siebie. Następnie odwraca się gwałtownie i wychodzi.

Słucham coraz cichszych odgłosów jego stóp, a potem pisku zawiasów drzwi. W końcu zapada głucha cisza, w której niesie się tylko łomot mojego serca i dobiegający z ulicy szmer ulicznego zgiełku.

Liam sobie poszedł, adrenalina przestaje działać i pałeczkę przejmuje wyczerpanie.

Rozbieram się i biorę gorący prysznic. Gdy strumień wody spada na moją rozciętą wargę, krzywię się z bólu. Wszystkie części ciała są obolałe, piekące albo śmiertelnie zmęczone. Boli mnie klatka piersiowa, a żołądek zdecydowanie jest nadwrażliwy. Środki przeciwbólowe działają coraz słabiej i zaczynam czuć się mniej więcej tak, jak wyglądam. Pragnę tylko wpełznąć pod kołdrę i zasnąć na cały rok. Lecz gdy owinięta w ręcznik wychodzę z łazienki, wiem, że nici z tego planu, bo Liam siedzi na krawędzi łóżka i na mnie czeka.

Rozdział 8

Tru

Staję jak wryta i szeroko otwieram oczy. Moje tętno znowu skacze jak szalone. Liam wsparty na opartych o kolana łokciach i z podbródkiem na złączonych dłoniach wpatruje się ze skupieniem w dywan.

Kiedy staje się jasne, że nie odezwie się pierwszy, pytam:

– Jak wróciłeś bez kluczy?

– Nie zamknąłem za sobą drzwi.

– Dlaczego?

Wzdycha ciężko, jakby obawiał się tego pytania. Zamyka oczy, ścisza głos i odpowiada:

– Bo wiedziałem, że będę chciał wrócić.

Tak bardzo wykracza to poza moje dotychczasowe doświadczenia z mężczyznami, że nie wiem, co robić i co myśleć. Pozostaje mi nic innego, jak tylko stać i na niego patrzeć. Bicie mojego serca staje się ogłuszające. Kiedy woda z wilgotnych włosów już dłuższą chwilę kapie mi na plecy, w końcu niepewnie proponuję:

– Jeśli chcesz, to możesz zostać, ale, yyy… Nie jestem w formie na, yyy…

– Do kurwy nędzy, mała – rzuca przez zaciśnięte zęby. – Można powiedzieć o mnie wiele złego, ale nie wykorzystuję rannych kobiet.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i wiem o tym.

Podnosi głowę i patrzy na mnie spod ściągniętych brwi. Nad jego głową zbierają się burzowe chmury.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– A jednak wiem.

Moja pewność siebie wyprowadza go z równowagi. Wstaje, góruje nade mną i posyła mi spojrzenie, które każdego rozsądnego człowieka wprowadziłoby w drżenie. Ale ja najwidoczniej nie jestem

rozsądna, bo nie boję się ani troszkę. Za to zadzieram podbródek i odważnie patrzę mu w oczy.

– Nie jesteś dla mnie zagrożeniem. I nie przekonasz mnie, że jest inaczej.

Podchodzi bliżej z palącym ogniem w oczach.

– Widziałaś, jak zabiłem trzech ludzi.

– Widziałam też, że nie odzywałeś się do mnie przez prawie rok, bo uważałeś, że nie jesteś dla mnie dobry.

– Nie jestem.

– Tak twierdzisz. Wino i cheeseburgery też mi szkodzą, a mimo wszystko dosłownie je uwielbiam. Poza tym byłoby łatwiej to kupić, gdybyś nie ocalił mi życia. Jeżeli ktoś kogoś ratuje, to chyba z definicji jest dla niego dobry. Nadal żyję, co chyba jest dla mnie dość korzystne i dobre. Więc i ty jesteś dla mnie dobry. Jeżeli odpowiesz, że okazałeś się niezbyt dobry dla tych trzech kolesi z zaułka, to… No cóż, tu mnie masz.

Rozdyma nozdrza i przeklina pod nosem.

– Możesz sobie kląć, ile chcesz, wilczku. Nie zmieni to faktu, że ci ufam.

Jest skonsternowany. Zszokowany otwiera szeroko oczy i usta.

– Ufasz mi – powtarza ledwie słyszalnym głosem.

– I co w tym strasznego? Może po prostu znam się na ludziach.

– A może te kopniaki, które zebrałaś w głowę, poluzowały ci coś w mózgu – odgryza się.

– W porządku, wygrałeś. Jestem pomylona, a ty jesteś potworem. Więc proszę, wyjdź.

Nie rusza się. Wygląda, jakby zapuścił korzenie. Patrzy na mnie z pełnym oburzenia niedowierzaniem i sporą dozą złości. Złości na siebie, nie na mnie. Oboje wiemy, że chce wyjść, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobi.

– Dobrze – stwierdzam, starając się ukryć samozadowolenie.

– Skoro już ustaliliśmy, że zostajesz, to pozwól, że przebiorę się w piżamę i położę.

Zerka gwałtownie na moje łóżko. Jakimś cudem pościel nie staje w ogniu od żaru tego spojrzenia.

Nie czekam na dalszą krytykę zdrowia mojego umysłu i wyciągam z szuflady spodenki do jogi, majtki i koszulkę do spania. Następnie wracam do łazienki i zamykam drzwi, a gdy tylko się za mną zatrzaskują, opieram się o nie plecami. Stoję tak i staram się uspokoić oddech, dopóki kolana nie odzyskują pewności, a chaosu moich myśli nie opanowuje coś zbliżonego do ładu.

Przebieram się pospiesznie i suszę włosy, ale jestem zbyt niecierpliwa, więc gdzieniegdzie zostają wilgotne. A potem, jakby nie było niczego niezwykłego w tym, że nocuje dziś u mnie nieziemsko seksowny, tajemniczy i niebezpieczny facet w czarnym garniturze od Armaniego, który walczy właśnie z własnym sumieniem, spokojnie wychodzę z łazienki i włażę pod kołdrę.

Zwijam się w kulkę po mojej ulubionej stronie materaca, przykrywam się pod samą szyję i patrzę na Liama.

Stoi tam, gdzie go zostawiłam, i gapi się, jakby nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje.

– Zaśpiewaj mi kołysankę, wilczku – szepczę. – Jakąś irlandzką. – Zasłania oczy dłonią i cicho wzdycha. – Jeżeli ma ci to pomóc, to po obudzeniu, o ile nadal tu będziesz, mogę udawać konkretnie przerażoną. Będę się darła i w ogóle. Co tam sobie życzysz.

Spuszcza dłonie wzdłuż ciała i wzdycha. To ciężkie westchnienie rezygnacji, dzięki któremu wiem, że wygrałam.

Jeżeli ktoś jest tu w niebezpieczeństwie, to raczej on.

Opuszcza swoją wielką sylwetkę na krawędź materaca i ostrożnie siada, a ja przesuwam się, żeby zrobić mu miejsce. Zwijam poduszkę pod głową i w ciszy obserwuję przez kilka chwil, jak walczy ze sobą. Strzela knykciami, zgrzyta zębami i piorunuje zabójczymi spojrzeniami dywan. W końcu ciągnę go za rękaw marynarki, na co obraca głowę i patrzy na mnie spod opuszczonych rzęs. Ma zaciśniętą szczękę, a lok czarnych włosów opada mu na brwi. Chciałabym wyciągnąć rękę i odsunąć go na bok, ale udaje mi się opanować.

– Tak naprawdę wcale nie musisz śpiewać – mówię równie spokojnie, jak wcześniej. – Jeżeli nie chcesz, to nie musisz nawet mówić. Możemy po prostu pobyć sobie razem.

– Zawsze taka jesteś? – pyta z wyraźnym rozdrażnieniem.

– Jaka?

– Kretyńsko nieustraszona – odpowiada po namyśle.

– Wcale nie jestem nieustraszona. Boję się wielu rzeczy, ale ciebie akurat niespecjalnie.

– I właśnie dlatego jesteś kretynką.

Uśmiecham się do niego, bo i tak absolutnie mnie nie uraził.

– Bardzo przepraszam, ale jestem wyjątkowo inteligentna.

– Inteligentni ludzie nie zapraszają nieznajomych do sypialni w środku nocy, zwłaszcza jeśli niedawno padli ofiarą napadu w ciemnym zaułku.

– Zapraszają, jeżeli tenże nieznajomy ocalił ich przed rzeczonym napadem. Poza tym nie chcę dzielić włosa na czworo, ale wcale cię nie zapraszałam. Siedziałeś tu, gdy wyszłam z łazienki.

– To dość lekkomyślne – stwierdza, będąc jeszcze bardziej naburmuszony moim rozumowaniem.

– Posłuchaj. Skoro moja współlokatorka dała ci klucze, to na pewno ją urzekłeś. Ona nienawidzi w zasadzie wszystkich. Do tego załatwiłeś mi leki, przywiozłeś czyste ciuchy do szpitala, podarowałeś książkę o życiu, śmierci i miłości, a na koniec wsadziłeś drogą francuską wodę mineralną do mojej lodówki, gdzie zapewne czuła się przerażona i zalewała się łzami. Zły facet by tak nie postępował. Nie przekonasz mnie, że jest inaczej. Przejdźmy już dalej, proszę.

Przez chwilę bacznie mi się przygląda, po czym znowu skupia uwagę na dywanie. Zastanawia się, a w końcu opuszcza głowę, przeczesuje wielką łapą włosy, ściska się za kark i znowu wzdycha.

– Przewróć się na drugi bok – mówi w końcu niskim, szorstkim głosem.

W moich żyłach eksploduje gwałtowny strumień płonącej adrenaliny. Z bijącym sercem odwracam się na drugi bok i wlepiam wzrok w ścianę.

Kiedy Liam wstaje, materac subtelnie się porusza. Słyszę szmer i szelest tkaniny, a potem materac znowu ugina się pod jego ciężarem.

Kładzie się za mną i wsuwa zgięte nogi pod moje. Następnie bardzo delikatnie wkłada lewą rękę pod moją głowę, aż moja szyja

wspiera się na jego bicepsie, a policzek dotyka poduszki. Skamieniałam, nie licząc mojego serca, które wali jak opętane.

Co z siebie zdjął? Jest goły? Czy wilk leży właśnie obok mnie zupełnie nagi? Nie, koszulę na pewno zostawił. Ręka, którą wsadził mi pod kark, jest w rękawie. Ale może zdjął spodnie? Marynarkę na pewno. A krawat? Buty? Pasek? Bieliznę?

Mam zawał. Dokonało się. Boże, właśnie teraz umrę.

– Oddychaj – mruczy Liam.

Kiedy biorę haust powietrza, przechodzi mnie dreszcz.

– Tak lepiej.

Zamykam oczy i przez kilka długich minut wsłuchuję się w łupanie mojego serca. Liam w ciszy nieruchomo za mną leży. Jedyne części ciał, którymi się dotykamy, to kolana i jego ręka pod moją szyją, ale jestem boleśnie świadoma każdej jego cząstki, od palców stóp po czubek głowy.

Wytwarza tyle ciepła, że mam wrażenie, jakbym tuliła się do pieca kaflowego.

– Liamie? – szepczę, gdy mój język przypomniał już sobie, jak formułować słowa.

– Hmm?

– Ja… cieszę się, że tu jesteś.

Jego cichy wydech porusza moimi włosami.

– Śpij już.

Czy on sobie wyobraża, że zdołam teraz zasnąć?

Muskam zębami dolną wargę, która jest napuchnięta i obolała. Ciekawe, jak bardzo będzie bolało, gdy mnie pocałuje, bo przecież musi mnie pocałować, pytanie tylko kiedy… Znowu zamieram, bo właśnie potarł nosem o odsłoniętą skórę na moim karku i delikatnie zaciągnął się powietrzem.

Gęsia skórka pojawia się na każdym skrawku mojego ciała. Sutki twardnieją w ułamku sekundy. Prawie jęknęłam na cały głos.

Jego wielka, ciepła dłoń owija się wokół mojego przedramienia i lekko zaciska.

– Spokojnie… – mruczy.

Może jednak jęknęłam na głos. Cholera, a może i przemoczyłam prześcieradło. Czuję wyraźne pulsowanie w kroczu, które zapewne

generuje takie fale, że i on je wyczuwa niczym czujnik wyłapujący trzęsienia ziemi.

Wbijam twarz w poduszkę i cicho skamlę.

– Przyniosę środki przeciwbólowe – mówi spiętym głosem.

Mam ochotę obrócić się i zdzielić go poduszką, ale zamiast tego odpowiadam:

– Oboje wiemy, że nie jesteś taki tępy.

Nie komentuje. Mija minuta, dwie. Wypuszczam powietrze przez zęby, liczę w myślach do stu i od stu do zera. W końcu się uspokajam.

Liam przez cały czas leży w idealnym bezruchu, ciepły i nerwowo napięty, dopóki nie wyczuwa, że się rozluźniłam. Wtedy też głośno wypuszcza powietrze i nieśpiesznie zaczyna wodzić kciukiem po moim przedramieniu. Ale nagle znowu tężeje i burczy:

– Co to?

Otwieram oczy i nadstawiam uszu. Nasłuchuję, czy hałas się powtórzy, bo przed chwilą gdzieś w mieszkaniu rozległo się głuche łupnięcie. Tak, znowu. Powtarza się w równym tempie.

Łup, łup, łup.

Gdy dociera do mnie stłumiony jęk, cała się czerwienię.

Nasłuchujemy w naelektryzowanej ciszy, aż w końcu Liam stwierdza:

– Zgaduję, że twoja współlokatorka ma gościa.

– To jej chłopak – potwierdzam szeptem. – Zerwali, ale, jak widać, musieli…

Łup! Jęk, łup, jęk. Łup, łup, łup, jęk.

– Ponownie się zejść – dopowiada Liam, próbując wzbić głos nad wydawane już na całe gardło jęki Ellie.

Słyszymy też jego, potem Ellie i znowu jej wielokrotnie byłego Tylera, który lubieżnie postękuje, zbliżając się do orgazmu, uderzając, grzmocąc i wbijając zagłówek łóżka Ellie w ścianę.

Boże drogi, to nie może dziać się naprawdę.

Łupanie trwa w nieskończoność, aż tu nagle się urywa. Ellie i Tyler krzyczą razem tak głośno, że aż szyby drżą. Sąsiedzi z naprzeciwka pewnie dzwonią już na policję i zgłaszają morderstwo.

Liam leży sztywno obok mnie i nierówno oddycha. Jego tors przywarł do moich łopatek, więc czuję, jak mocno wali mu serce.

Albo przyciągnął mnie bliżej, albo ja wygięłam plecy. Nieważne. W każdym razie opieram się o niego grzbietem o pierś i brzuch, a tyłkiem o krocze. Jego tętno to nie jedyne, co czuję. Jego erekcja jest potężna, gorąca i zachłannie wbija się w moją pupkę.

Gdy zawodzenia rozkoszy Ellie i Tylera ucichły i zostały już tylko odgłosy naszych nierównych oddechów, wzdycham głęboko i niespokojnie prostuję nogi pod kołdrą.

Liam przesuwa dłoń z mojego przedramienia na biodro i mocno ją zaciska.

– Nie ruszaj się, daj mi chwilę – wydusza ochryple wprost do mojego ucha.

Zamieram.

Mam wrażenie, że trwamy tak przez wieczność, ale w końcu przyciska policzek do mojego karku i głęboko oddycha. Jego ciepły oddech owiewa moją skórę, wślizguje się pod kołnierzyk koszulki i dociera do łopatek, zamieniając moje nerwy w rozżarzone pochodnie.

Doszłabym, gdyby tylko przesunął rękę i lekko uszczypnął mnie w sutek.

– Liamie…

– Cicho – rzuca władczo, a potem dodaje już znacznie mniej pewnie: – Kurwa mać.

Ulicą za oknem suną samochody, gdzieś w oddali ujada pies. Liam brzmi dziwnie, prawie jak wyjący wilk.

– Przepraszam. Ja nie… Zazwyczaj jestem znacznie lepszy w… – Rozlega się bardzo cichy głos Liama.

– Samokontroli? – kończę za niego.

Wzdycha nerwowo.

– Można tak powiedzieć.

Przełykam ślinę, bo usta wyschły mi na wiór.

– Jeżeli poczujesz się lepiej, to wiedz, że ja też kompletnie się nie kontroluję.

– Wiem. I nie czuję się dzięki temu lepiej.

Brzmi, jakby miał zaraz wyskoczyć z łóżka i uciec za drzwi.

– Nie wychodź, proszę cię – szepczę. – Chcę, żebyś został. Żebyś przy mnie został.

– Tru… – burczy ledwie słyszalnym głosem.

– Będę leżała spokojnie i cicho. Popatrz, idę spać. Już prawie śpię. – Udaję chrapanie.

Słyszę coś na wzór śmiechu i moje serce rozsadza nadzieja. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle tak bardzo zależy mi na jego obecności. Może po prostu czuję się przy nim bezpieczniej. Oprócz tego tonę przy nim w hormonach i staję na krawędzi histerii, ale przede wszystkim nadal chodzi o bezpieczeństwo.

Jego wydech znowu porusza moimi włosami. Wiem, że się zastanawia. Walczy sam ze sobą. Wyjść czy zostać? Nie mam pewności, czy jeżeli wyjdzie, to znowu wróci. Jeśli znajdzie w sobie dość siły, by w tym momencie się ode mnie odkleić i odejść, to może mu wystarczyć samozaparcia, by już na stałe trzymać się na dystans. Być może to moje ostatnie w życiu minuty z wilkiem.

Ta myśl wywołuje w moim żołądku eksplozję paniki.

Obracam się płynnym ruchem, obejmuję go lewą ręką w pasie, wbijam głowę pod jego podbródek i przytulam się do jego ciepłej, twardej sylwetki.

Liam ostro zasysa powietrze i sztywnieje.

Znowu trwamy tak dłuższą chwilę. Ja wtulona w niego z zaciśniętymi oczami i wstrzymanym oddechem, a on jak martwy mur z pustaków. Jego serce wali pod moim policzkiem. Nie mam odwagi drgnąć, wypuścić oddechu czy wydać choćby najcichszego dźwięku. Lecz chwilę później lodowy mur między nami powoli, bardzo powoli, zaczyna topnieć.

Dłoń, która spoczywała na moim biodrze przed moim obrotem, wraca na poprzednie stanowisko, tuż nad krzywizną mojej kości biodrowej. Palce jego dłoni delikatnie drżą. Liam kładzie głowę na poduszce, pozbywa się napięcia z kończyn i nieśpiesznie wsysa powietrze do płuc, a potem zakłada rękę za moje plecy i czule przyciąga mnie do siebie, opierając na moich nogach swoją ciężką nogę. Teraz już czuję, że ma na sobie spodnie. Nie wiem, czy to powód do ulgi, czy rozczarowania.

Wzdycham, wypuszczając spomiędzy warg wstrzymywany oddech. Zakopuję się w jego cieple i drżę, gdy jego oddech łaskocze mnie

w ucho. Jest taki duży, przyjemny i rozkosznie ciepły. Otula mnie siłą i męskością. Mogłabym tak leżeć do końca świata.

– To się źle skończy – szepcze.

– Obiecuję, że już się nie poruszę nawet o milimetr.

– Nie mówię o dzisiaj.

– Mógłbyś choć na minutkę przestać mówić zagadkami? Cieszę się tą chwilą.

Wydaje niski, gardłowy dźwięk, który jest męskim odgłosem bólu lub przyjemności, nie potrafię zgadnąć, który z nich pasuje do Liama.

– Ja też. I to na tym polega problem – stwierdza.

Trzyma mnie tak delikatnie, jakbym była kruchą lalką z porcelany, którą może stłuc. Uwielbiam to, ale równocześnie mnie to wkurza. Nie chcę, żeby mnie maltretował, zwłaszcza teraz, gdy cała jestem obolała i posiniaczona, ale mam nadzieję, że gdy się wykuruję, to przestanie obchodzić się ze mną jak z jajkiem. Prawdę powiedziawszy, mam nadzieję, że zrobi się… To znaczy, byłoby miło, gdyby zrezygnował z części tej żelaznej samokontroli i był ociupinkę brutalniejszy. Mówię na przykład o ugryzieniach miłości na karku, o bladych siniakach po jego stanowczych palcach na moich biodrach, o rozkosznym mrowieniu w środku po nocy spędzonej z facetem, który zna się na rzeczy i który potrafi dotykiem wywołać jęki czy drżenie. Potrzebny mi facet, który sprawia, że z lubością się w nim zatracę i będę błagać o więcej.

Na samą myśl przechodzi mnie dreszcz niczym pojedyncza, wysoka i słodka nuta zagrana na skrzypcach.

– Mała, o czymkolwiek właśnie myślisz, przestań – mówi mi na ucho chropowatym głosem, jakby kontrolował się resztką sił.

Czuję, że moje uszy robią się gorące ze wstydu.

– Przepraszam – dyszę.

Znowu się napina. Zamienia się w kulę stresu i nerwów, a frustracja sączy się z niego z każdym oddechem. Szkoda, że jego opory są tak uwodzicielskie, a jego ambiwalencja tak mnie kręci. Ale im bardziej ze sobą walczy i odmawia sobie tego, czego jego ciało naprawdę pragnie, to tym bardziej mnie intryguje. Nigdy nie spotkałam faceta, który czegoś sobie odmawia. Z tego, co słyszałam, faceci chodzą sobie zadowoleni i uważają świat za własny słój

z łakociami. Uwielbiają brać to, na co mają ochotę. A nawet jeśli tacy nie są, to i tak zakładają, że wszystkie łakocie po prostu im się należą. Mają do nich święte prawo, bo przyszli na świat z kutasem między nogami. Uważają łakocie za swoją własność. Ale nie Liam Black. On chce, ale nie zabiera. Nie jest taki, jak wszyscy.

Nie boję się ciebie. Boję się o ciebie, bo powinnaś się mnie bać z wielu powodów, ale tego nie robisz. Myślę, że dałabyś mi to, czego chcę, ale gorzko byś tego żałowała.

Przypominają mi się jego słowa. Ciekawe, co miał na myśli.

Czego taki mężczyzna mógłby się bać?

Jego tors unosi się i ciężko opada.

– Idź spać, mała. Odpocznij trochę.

– A będziesz tu, gdy się obudzę? – Nie odpowiada, ale nie musi. – Mam nadzieję… – szepczę i słyszę jego cichy jęk rozpaczy, który jest przyznaniem się do przegranej.

Do tej pory nie byłam pewna, ale teraz czuję to już w kościach. Nawet jeżeli rano go nie będzie, to szybko wróci.

Teraz najważniejsze pytanie brzmi: dlaczego tak bardzo chce trzymać się z daleka?

Rozdział 9

Liam

Ta kobieta zasypia jak dziecko. Początkowo walczy ze snem i buntuje się uparcie, ale w końcu powieki jej opadają, rytm oddechu się zmienia i nagle odpływa. Ktoś mógłby odpalić tu bombę, a i tak by się nie obudziła.

Ściągam z siebie jej bezwładną rękę. Ma lekko rozwarte usta. Bierze kolejne równe wdechy rozchylonymi, pełnymi wargami. Nie porusza się, gdy wstaję z łóżka, wkładam marynarkę i buty, nakrywam ją kołdrą pod szyję, a nawet gdy bardzo, ale to bardzo długo przyglądam się jej z góry.

Postawienie pierwszego oddalającego mnie od niej kroku okazuje się niepokojąco trudne, ale zamknięcie na klucz drzwi mieszkania jeszcze trudniejsze. Najtrudniejsze jednak jest wyjście z budynku, nie oglądając się za siebie.

Jak można się było spodziewać, Declan czeka w zaparkowanym przy krawężniku escalade. Gdy tylko wyłaniam się z korytarza, odpala silnik. Kiedy wsiadam do samochodu i zajmuję miejsce z tyłu, nie odzywa się ani słowem. Przez dłuższą chwilę jedziemy w ciszy.

– No dawaj, miejmy to za sobą – rzucam w końcu.

– To nie moja rola – stwierdza, nie odrywając oczu od jezdni.
– Zresztą sam wiesz.

Wiem, na tym polega problem. Jeden z wielu.

Opuszczam głowę na siedzenie i zamykam oczy. Za zamkniętymi powiekami chcę zastać ciemność i ulgę, lecz ukazuje mi się uśmiechnięta twarz Tru.

Chryste, te oczy mnie prześladują.

– Ale…

Otwieram powieki i widzę, że Declan przygląda mi się we wstecznym lusterku.

– Ale co?

Przechyla głowę z namysłem i ponownie skupia się na jezdni.

– Zasady są po to, żeby je łamać. Nawet własne.

Parskam śmiechem.

– Obaj wiemy, jak fatalnie by to się skończyło.

– Ona chyba nie jest taka delikatna, jak ci się wydaje.

– Wszystkie takie są.

– Tak, tak. I wszystkie się ciebie boją – zerka na mnie jeszcze raz – ale ona nie. Mnie też się nie bała. To nowość.

– Co masz na myśli?

– To, że gdy was wcześniej podwoziłem i powiedziałem, żeby na siebie uważała, to mi się odgryzła. Wiesz, kiedy ktoś ostatnio mi odpyskował? Nigdy. A ona to zrobiła bez mrugnięcia okiem. W gruncie rzeczy dała mi do zrozumienia, żebym spierdalał. W dodatku zrobiła to z uśmiechem na ustach.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że uważasz to za dobry pomysł?

– Nie.

– No to co?

– Nie wiem. Może nic.

Jego pauza jest ciężka od różnorakich znaczeń. Wiem, że starannie dobierze następne słowa.

– Ale mogła oberwać kulkę albo jeszcze gorzej, a walczyła do końca. Zresztą sam widziałeś. Rzucona na ziemię, przeciwnik w przewadze liczebnej, pobita, z lufą przy głowie, a ona co? Zadawała ciosy. Mogła błagać o litość, płakać i się poddać, ale tego nie zrobiła.

Zawiesza zdanie w próżni, bo dobrze wie, że pamiętam wielu silniejszych od niej mężczyzn, którzy tak się zachowywali.

Wkurzony szarpię za supeł krawata, bo nagle mam wrażenie, że zamienił się w pętlę na mojej szyi.

– Więc jest wojowniczką. To nie znaczy, że postąpiłbym słusznie.

– Ano, nie znaczy – zgadza się, kiwając głową. – Ale może to znaczy, że postąpiłbyś trochę mniej niesłusznie.

Patrzę przez okno i przeklinam pod nosem. Nie mogę uwierzyć, że to powiedział. Kto jak kto, ale on? Spodziewałem się, że będzie

buzował od niewypowiedzianych nagan, a on bierze jej stronę? On ją podziwia, czy mi się zdaje?

– Liamie, jesteś sam od bardzo dawna. Gdybyś tylko zachował ostrożność…

Puszczają mi nerwy. Piorunuję go wzrokiem i wrzeszczę:

– Nie zamierzam ryzykować jej życia!

Jego mina ani trochę się nie zmienia. Nadal swobodnie trzyma kierownicę i nie ucieka panicznie wzrokiem. Po prostu patrzy mi w oczy w lusterku i przekazuje miażdżącą prawdę:

– Mówisz tak, jakbyś już nie zaryzykował.

Zaciskam zęby i wyglądam przez okno. Nienawidzę tego, że ma rację. Nienawidzę siebie, bo pozwoliłem, by sprawy zaszły tak daleko.

Miałem szansę, gdy ograniczałem się do podziwiania jej profilu, kiedy nalewała mi tę paskudną kawę, i zanim ujrzałem, jak zasypia. Nim poczułem, jak pachnie jej skóra po prysznicu i jakie to uczucie, gdy się do mnie przytula, a także jak głęboko satysfakcjonujące jest poczucie, że to właśnie ja ją chronię. Nie, to coś więcej niż satysfakcja. To istne spełnienie. Jakbym tylko po to się urodził.

Ale nie mogę cofnąć swoich czynów. Nie mogę wrócić do dnia, w którym jedenaście miesięcy temu ujrzałem ją pierwszy raz, jak pomagała staruszce przejść przez ruchliwą aleję i podniosła rękę, gdy światło przeskoczyło z czerwonego na zielone. Nie mogę zapomnieć tego, co poczułem, gdy rozglądając się, spojrzała mi w oczy przez szybę samochodu, by po chwili znów skupić całą uwagę na starszej kobiecie.

Była piękna, ale przecież widziałem w życiu tysiące pięknych dziewczyn. Szkopuł w tym, że żadna nie wydawała się taka zaciekła.

Zaciśnięte zęby i usta, ściągnięte brwi… Wyglądała, jakby zamierzała urwać łeb każdemu, kto ośmieli się zatrąbić, gdy w boleśnie ślimaczym tempie przeprawiała się z tą staruszką przez pasy.

Była jak lwica. Usłyszałem jej ryk, choć nawet nie otworzyła ust.

Więc tak, z czystej ciekawości kazałem Declanowi się zatrzymać. Tak, przez głupi kaprys mogłem zobaczyć, jak macha staruszce na pożegnanie po pokonaniu ruchliwego skrzyżowania. Tak, przyznaję,

że pójście za nią do knajpy było nierozsądne, podobnie jak zajęcie stolika w jej części sali. Natomiast powroty w to miejsce to już niewytłumaczalny kretynizm.

Dopóki przebywałem za granicą, mogłem sobie wmawiać, że już więcej jej nie spotkam. Myślałem, że jestem dość silny, by trzymać się na dystans. Ale gdy tylko wracałem, nie mogłem wytrzymać. Musiałem zobaczyć te przenikliwe zielony oczy. Musiałem usłyszeć ten śpiewny głos, zobaczyć ten uśmiech i być przy niej choć na chwilę. Pobłażałem sobie, więc teraz mam naprawdę przejebane, bo zwykła ochota przeistoczyła się w coś znacznie potężniejszego, mroczniejszego i groźniejszego dla nas obojga, nie tylko dla mnie. Mam teraz dwie opcje:

Opcja numer jeden – wezmę ją.

Opcja numer dwa – zrezygnuję z niej.

Nie jestem w stanie się zdecydować.

– Declan.

– Tak?

– Co robisz, gdy nie jesteś w stanie wybrać między dwiema możliwościami?

Nasze spojrzenia spotykają się w lusterku.

– Tworzę trzecią – odpowiada.

Trzecia opcja…

Wziąć ją albo z niej zrezygnować… Takim wyborem w tej chwili dysponuję. Lecz co, gdybym stworzył trzecią opcję? Jak mogłaby wyglądać?

Kiedy mnie oświeca, moje serce niemal się zatrzymuje.

Biorę głęboki wdech i wyglądam przez okno na nocne niebo wstrząśnięty świadomością, że to szalony, brawurowy i niewiarygodnie niebezpieczny pomysł. Najzabawniejsze jest to, że Tru się na niego zgodzi. Zatem to najbardziej egoistyczny plan, jaki kiedykolwiek opracowałem.

Choć o tym wszystkim wiem i jestem świadomy, że to niewłaściwe na dosłownie każdej płaszczyźnie, a samo wcielenie tej opcji w życie jest skrajnie samolubne, to spętała mnie gwałtowna, a wręcz obezwładniająca potrzeba zawrócenia samochodu, wyważenia drzwi

do jej mieszkania, obudzenia jej i natychmiast opowiedzenia o tym wszystkim, co wymyśliłem.

Dlatego też, żeby udowodnić samemu sobie, że zachowałem ostatnie strzępy samokontroli, zaciskam zęby i pozwalam, by Declan wiózł mnie coraz dalej i dalej od mojego obiektu pożądania głęboko w objęcia nocy.

Wiodę życie złożone z mrocznych chwil i przeciwności, a jednak to jedna z najtrudniejszych decyzji, z jaką przyszło mi stanąć twarzą w twarz.

Rozdział 10

Tru

Jeszcze nawet nie otwarłam oczu, ale dobrze wiem, że zniknął.

Leżę w łóżku z policzkiem wciśniętym w poduszkę i wsłuchuję się w odgłosy zgiełku miejskiego poranka. Ciało boli nieco mniej niż wczoraj. Bez dotykania czuję, że opuchlizna wokół oka częściowo ustąpiła. Fizycznie mam się lepiej, za to serce ma się nieporównywalnie gorzej. Nigdy wcześniej nie mierzyłam się z tęsknotą, ale okazuje się bardzo bolesną suką.

Przewracam się na drugi bok i patrzę na zegar. Jest niedziela, więc nie muszę przejmować się zajęciami, ale mam wyrzuty, że odpuściłam zmianę u Buddy'ego. Mamy pracowników na niepełne etaty, którzy mogą mnie zastąpić, ale znając Carlę, to ona weźmie nadgodziny, żeby sobie dorobić. Kilka miesięcy temu jej mąż stracił robotę w warsztacie samochodowym, więc teraz ledwie wiążą koniec z końcem. Wychodzi na to, że w mojej nieobecności można znaleźć jakiś pozytyw. Tak czy owak, nadal czuję się z tym nie najlepiej. Dzieciństwo na farmie może i nie było szczególnie czarujące, ale bez dwóch zdań wpoiło mi etykę pracy.

Ziewam, narzucam na siebie szlafrok i ruszam do kuchni. Muszę się napić kawy, zanim stawię czoła temu dniu. Już coś mi się zdaje, że będzie ciężki, bo incydent w zaułku przewrócił wszystko do góry nogami, zwłaszcza w mojej głowie. I w dodatku wstrząsnął moim libido.

Nie potrafię przestać myśleć o cieple ciała Liama, o drżeniu jego palców, gdy mnie dotykał, i o tym, jak wszystkie włoski na moim ciele stanęły na baczność, gdy przysunął nos do mojego karku i głęboko się zaciągnął moim zapachem.

– Dzień dobry! – rzuca Ellie przez ramię, a ja aż podskakuję ze strachu.

Smaży jajka na bosaka i w samym szlafroku. Jest rozczochrana, stoi do mnie tyłem. Szłam ze wzrokiem wbitym w podłogę, zagubiona w myślach, więc po prostu jej nie zauważyłam.

– Słodki Boże, Ellie – dyszę, kładąc dłoń na galopującym sercu. Wtaczam się do kuchni, powłócząc nogami, i piorunuję wzrokiem jej tył głowy. – Prawie dostałam zawału.

– Zapomniałaś, że masz współlokatorkę? – prycha.

– Nie, zwłaszcza po koncercie, który urządziliście w nocy z Tyem – burczę. – Nic dziwnego, żeś taka radosna od samego rana.

Ellie śmieje się z mojego naburmuszonego tonu, sprawdzając jajka szpatułką.

– Proszę o wyrozumiałość. To nie moja wina, że nasz seks na zgodę jest taki… O ja pierniczę! – Kiedy mijam ją, by przepchać się do szafki, w końcu zauważa moją twarz. – O Boże, Tru! Wszystko w porządku?!

Lekceważąco macham dłonią i sięgam po kubek.

– Wszystko gra. Nie jest tak źle, jak wygląda. Zawsze łażę posiniaczona. Blada cera.

Wstrząśnięta moją prezencją Ellie kładzie wolną dłoń u podstawy gardła.

– Jezus Maria! Liam powiedział, że miałaś drobny wypadek w pracy, więc pomyślałam, że się poślizgnęłaś i wywaliłaś, albo coś takiego. A to wygląda, jakbyś dostała w twarz!

Wypowiedziała „Liam” w taki sposób, jakby byli starymi przyjaciółmi. Dziwne, bo ona naprawdę nikogo nie lubi.

– Kopniakiem, dokładnie rzecz biorąc… – mówię w zamyśleniu.

Szpatułka prawie wypada jej z ręki.

– Kopniakiem?! Kto cię kopnął?

Opieram się o blat z kubkiem w dłoni i mierzę ją wzrokiem.

– Jakiś idiota, ale gorzko tego pożałował. Wróćmy na moment do Liama, bom ciekawa tej opowiastki. Liam puka do naszych drzwi i… co mówi? „Cześć, jestem przystojnym Irlandczykiem, którego nie znasz, ale twoja współlokatorka miała drobny wypadek, więc daj mi zapasowy klucz”?

– No, w ogromnym skrócie chyba można tak powiedzieć – odpowiada po namyśle. – W czasie, kiedy szukałam klucza, zaniósł

zakupy do kuchni.

– Chwila moment. Co?

– Zakupy – powtarza cierpliwie, jak gdybym po prostu jej nie dosłyszała. Gapię się na nią bez słowa, więc wskazuje na lodówkę i dodaje: – Całe siaty zakupów. Rozpakowywał je chyba z pół dnia.

Podchodzę do lodówki kompletnie zdezorientowana i otwieram drzwi. Jest wypchana po brzegi całym kalejdoskopem produktów: wędlinami, nabiałem, gotowymi sałatkami i kawałkami najróżniejszych owoców w kwadratowych, plastikowych pudełkach. No i oczywiście wodą. Ekstrawagancką francuską wodą mineralną w poupychanych w każdym wolnym miejscu szklanych buteleczkach.

– W szafkach też jest pełno żarcia – dodaje Ellie. – Same cuda-wianki. O połowie z tych produktów nigdy nawet nie słyszałam.

Kierowana przeczuciem otwieram zamrażalnik, który jest wypełniony pudełkami lodów pistacjowych.

Obracam się powoli do Ellie, bo odnoszę nieodparte wrażenie, że chyba śnię.

– Czyli… Mam mętlik w głowie…

– Dziwisz się, że twój dziany facet zrobił ci zakupy spożywcze? – pyta drwiąco.

Ściska mnie w dołku.

– Powiedział ci, że jest moim chłopakiem?! – pytam piskliwie.

Ellie przewraca oczami, jakby moje pytania były kompletnie niedorzeczne.

– Posłuchaj. Wiem, że masz fioła na punkcie prywatności i nie lubisz rozmawiać o życiu uczuciowym, szczególnie po przejściach z tym dupkiem, twoim byłym. Wcale cię za to nie winię. Wszystko kumam, ale odkąd się tu wprowadziłyśmy, to żyjesz jak zakonnica. Absolutnie cię nie osądzam! – dodaje pospiesznie na widok mojej miny. – Zmierzam do tego, że ten facet jest szalenie seksowny, nieskazitelnie kulturalny i przynosi ci jedzenie. Zapewne jest skoligacony z jakąś rodziną królewską. Powinnaś się o niego postarać, a przede wszystkim się otworzyć.

– Z brytyjską rodziną królewską? – dociekam, unosząc brew.

– Wiesz, że on mówi z irlandzkim akcentem, prawda?

– No raczej. Przecież Irlandia jest częścią Wielkiej Brytanii, co nie?

– Może nie chwal się tą wiedzą przed nikim z Republiki Irlandii, w sensie tej niepodległej. Bo to nie to samo, co Irlandia Północna.

– Jeden pies – stwierdza, wzruszając ramionami. – Leżą na tej samej wyspie i mają słowo „Irlandia" w nazwie. Powinni to wszystko nieco uprościć, jeżeli nie chcą, żeby ludzie ciągle się mylili. My nie nazywamy Kanady Ameryką Północną, nie?

– Owszem, bo Ameryka Północna to kontynent, na którym leży Kanada, tępaku. Naprawdę skończyłaś studia wyższe?

– Geografia nie jest moją mocną stroną.

– Co ty nie powiesz… – mruczę pod nosem, na co Ellie znowu przewraca oczami.

– Chodzi mi o to, że na pewno ma jakieś arystokratyczne geny, błękitną krew. A na dokładkę jest cholernie seksowny.

– Już o tym wspominałaś – odburkuję.

– Warto to podkreślić.

Zamykam zamrażalnik i lodówkę, a następnie zaczynam masować palcami skronie.

– Mam kompletny mętlik w głowie – narzekam.

– Wspominałaś. Czego nie rozumiesz?

– Po pierwsze i przede wszystkim tego, że dałaś mu klucze.
– Marszczy czoło, jakbym mówiła w jakimś obcym języku.
– Halo? Nie znasz tego faceta! Rozdajesz klucze do naszego mieszkania jak cukierki w Halloween.

Ellie chichocze i wraca do swoich jajek.

– A co, to jakiś włamywacz? Uznał, że zrobienie zakupów to świetna łapówka, dzięki której wedrze się do środka, przywiąże mnie do krzesła i będzie mógł przeczesać moje szuflady z majtkami w poszukiwaniu cennych klejnotów? Dajże spokój. Poza tym włamywacze nie paradują w garniturach od Armaniego i czasomierzach firmy Patek Philippe.

To nic dziwnego, że rozpoznała markę jego garnituru. Ja ją znam, bo Carla mnie o tym uświadomiła. Natomiast, co do zegarków, to wiem tyle, że gdy nazywają się czasomierzami, to muszą być drogie.

– Ale nie znasz go.

Zsuwa jajka z patelni na talerz i ponownie wzrusza ramionami.

– Wiem, że rzadko puszczasz parę z ust. Mogłabyś wyjechać na miesiąc miodowy, a ja nawet bym nie wiedziała, że wyszłaś za mąż, dopóki nie znalazłabym pocztówki w skrzynce. Uznałam, że po prostu mi o nim nie powiedziałaś. – Zerka na drzwi swojej sypialni, gdzie Ty najwidoczniej wciąż smacznie śpi, po czym dodaje: – Powiem ci szczerze, że gdyby zadzwonił do drzwi i powiedział: „Cześć, przyszedłem cię pożreć", to chyba bym je wyważyła i sama pozbyła się ubrań. Jest tak cholernie…

– Seksowny. Tak, wiem. Ted Bundy też był.

Nie wiem, dlaczego tak się irytuję, bo Liam działa na mnie tak samo jak na Ellie i na Carlę. W sumie to chyba na każdą kobietę o zdrowych jajnikach. Oszałamia nawet funkcjonariuszy policji, a przecież oni są szkoleni do traktowania ludzi podejrzliwie.

Liam ma w sobie coś, co sprawia, że człowiek traci przy nim czujność.

– A co z tym palantem, który cię napadł? – pyta Ellie, polewając jajka ostrym sosem. – Co to za jeden? Był naćpany? Aresztowali go? – Odstawia talerz, obraca się i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. – I co ważniejsze, na pewno wszystko gra? Wygląda to dość boleśnie.

Na sto procent nie widziała nic w wiadomościach i nie słyszała plotek o trzech martwych facetach w zaułku za Buddy's Diner. Policja zjawiła się w szpitalu, czyli na pewno coś wie. Liam powiedział, że sprawa jest załatwiona, ale co dokładnie miał przez to na myśli? Że zamiótł sprawę pod dywan i nie wyciekła do mediów? Albo zapłacił gliniarzom, żeby się tym zajęli? Albo, może, pozbył się zwłok z miejsca zbrodni?

– Tru? – pyta Ellie z niepokojem w głosie.

– Tak, tak. Wszystko gra – odpowiadam pewnie i skupiam się na ekspresie. – Po prostu muszę się napić kawy.

– Okej. Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała. Mówię serio. Powinnaś zrobić sobie kilka dni wolnego. Niech te siniaki się zaleczą, zanim wrócisz do pracy.

W tym momencie przypominam sobie, że Liam rozmawiał już o tym z Buddym.

– Hej, mogę pożyczyć komórkę? Zostawiłam torebkę w pracy, a chcę zadzwonić do szefa.

– Pewnie. – Ellie wskazuje na przedpokój. – Torebka leży na stoliku.

– Dzięki. – Nalewam sobie kawy, po czym odnajduję telefon w jej torebce. Wracam do swojego pokoju, siadam na krawędzi łóżka i wybieram numer do knajpy.

– Dziękujemy za kontakt z Buddy's – wita mnie radosna kelnerka. – W czym mogę pomóc?

To Lisa, dziewczyna, która bierze zmiany w weekendy i od czasu do czasu zastępuje Carlę, jeśli się rozchoruje.

– Cześć, Lisa, tu Tru. Jest Buddy?

– Hej, Tru! Nie ma go. Był wcześniej, ale już wyszedł.

– Kurde. A znasz jego prywatny numer telefonu? Ja mam w swojej torebce, ale leży zamknięta w szafce. Muszę z nim pomówić.

– Zaczekaj chwilkę. – Słyszę, jak krząta się po drugiej stronie linii. – Tak, mam. Dyktować?

– Czekaj, sięgnę po długopis. Okej, jedziesz. – Lisa dyktuje mi numer, a ja go zapisuję na karteczce z notatnika i dziękuję jej za pomoc, po czym pytam niepewnie: – A jak tam mają się sprawy?

– Ech, po staremu. Obsługuję stałego klienta, który przychodzi zawsze w niedziele po kościele i nad talerzem naleśników urządza mi wykłady o mojej relacji z Panem Bogiem. Z tego, co zapamiętałam z jego ostatniego wywodu, to martwi się o stan mojej duszy, bo wytatuowałam sobie motyla na nadgarstku.

– Kto się martwi, klient czy Pan Bóg?

Lisa wybucha śmiechem.

– Sądzę, że istota najwyższa ma gdzieś ludzi wstrzykujących sobie atrament w skórę. A jeżeli ma coś przeciwko, to wolę odpuścić sobie niebo. Muszę spadać, kochana, bo jakiś brodaty dziadek z papugą na ramieniu czeka na miejsce.

– Powodzenia.

– Ahoj, druhu! Kurs na beczułkę rumu! – żegna się ściszonym głosem, udając pirata.

Lisa się rozłącza, a ja, kręcąc głową, wybieram numer Buddy'ego.

Lisa na pewno nie ma pojęcia o zajściu za knajpą, co skłania mnie do wniosku, że jakiekolwiek informacje może posiadać wyłącznie mój szef. Przecież plotki szerzą się niczym pożar suchego lasu.

Liamowi jakoś udało się zachować trzy trupy w tajemnicy. Ale jak to zrobił? I co Diego z Carlą wiedzą o moim zniknięciu tamtej nocy?

Mam nadzieję, że dowiem się czegoś od Buddy'ego. Kiedy odbiera, brzmi niepewnie i ostrożnie.

– Halo?

– Cześć, Buddy, mówi Tru.

Odpowiada mi martwa cisza. To dziwne w przypadku faceta, który nawija na okrągło z wszystkimi i o wszystkim, włącznie z samym sobą, przypadkowymi nieznajomymi i parkowymi gołębiami, które lubi dokarmiać.

– Czy dzwonię nie w porę?

– Możesz dzwonić do mnie o każdej porze, moja droga.

Ta „moja droga" brzmi podejrzanie. Buddy to przyjacielski koleś, ale rzadko posuwa się do takich czułości. Do żony zawraca się tylko po imieniu, a są już pięćdziesiąt dwa lata po ślubie.

– Okej. Yyy… Super. Domyślam się, że wiesz, co się stało na mojej ostatniej zmianie.

Znowu cisza, tym razem przepastna i pusta jak kosmos. Po dłuższej chwili milczenia Buddy odchrząkuje i pyta:

– Czy u ciebie wszystko w porządku? – odpowiada.

Niezły unik.

– Tak. Jestem trochę posiniaczona, ale do wesela się zagoi.

Wzdycha ze szczerą ulgą.

– Dzięki Bogu.

Czekam, ale nic nie dodaje i nie zgłasza dodatkowych pytań, co wydaje się jeszcze dziwniejsze.

– Mimo to potrzebuję kilku dni wolnego. Zgaduję, że już o tym wiesz.

– Tak, tak. Pewnie, nie ma sprawy. Możesz mieć tyle wolnego, ile tylko potrzebujesz, moja droga – rzuca pośpiesznie. – Ile tylko potrzebujesz, tyle dostaniesz. Zdrowie jest najważniejsze. Co więcej, jeżeli trauma jest zbyt duża i nie chcesz wracać, to mogę ci załatwiać rentę i zasiłek dla bezrobotnych.

Nie jestem przekonana, czy można legalnie uzyskać oba te świadczenia, ale nie komentuję, bo Buddy gada dalej:

– I wszystko inne, co ci potrzebne. Jeżeli wolisz, to możemy nawet zatrzymać cię na liście płac, dopóki nie znajdziesz sobie czegoś innego. Oczywiście pokryję wszystkie twoje wydatki za leczenie. Po prostu przyślij mi rachunki.

– Nie mam traumy i normalnie chcę wrócić do pracy.

– Och! Aha, to w takim razie…

Nie wiem, czy brzmi na rozczarowanego, czy zadowolonego. Z każdą chwilą robi się coraz dziwniej.

– Ale doceniam propozycję. Również tę w sprawie wydatków za leczenie. Jesteś bardzo hojny. – Marszczę czoło. – Choć, szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy szpital ma w ogóle do mnie kontakt. Liam chyba wszystkim się zajął.

Buddy na chwilę milknie, a gdy ponownie się odzywa, brzmi, jakby każde słowo dobierał z najwyższą ostrożnością.

– Po prostu się cieszę, że wszystko z tobą dobrze. Liczy się wyłącznie twoje dobro.

Odsuwam komórkę od ucha i patrzę na nią z krzywą miną. Po chwili przystawiam ją z powrotem i rzucam:

– Buddy?

– Tak, moja droga?

– Co się dzieje?

Waha się o sekundę zbyt długo.

– Chyba nie wiem, co masz na myśli, moja droga.

– Pozwól, że doprecyzuję. Zwróciłeś się do mnie per „moja droga” cztery razy w ciągu minuty, czyli o cztery razy więcej niż przez cały czas, odkąd u ciebie pracuję. Zaproponowałeś, że zapłacisz mi rentę i bezrobocie, a nawet, że będziesz dalej płacił mi pensję, jeśli nie wrócę do pracy. Ponadto chcesz płacić za moje leczenie, podczas gdy oboje wiemy, że w słowniku pod hasłem: „oszczędny”, zamieścili twoją fotkę z notką biograficzną. – Zawieszam głos i próbuję nadać tej pauzie niezbędny ciężar. – Czy Liam ci groził albo coś w tym stylu?

Słyszę w słuchawce głośne łupnięcie. Mam nadzieję, że Buddy nie spadł z fotela.

– Nie! Ja tego nie powiedziałem! Nie mów mu, że tak powiedziałem, proszę cię!

– Jezu, uspokój się! Tylko pytam.

Buddy dyszy do słuchawki jak zziajany labrador.

– Tru, proszę cię, to niezwykle ważne. Niezwykle! Do jego uszu nie może dotrzeć, że powiedziałem – przełyka głośno ślinę – że choćby wypowiedziałem jakąś negatywną aluzję na twój temat, na jego temat, na… na temat czegokolwiek.

Jego strach jest tak wyczuwalny, że przesącza się przez słuchawkę i zaciska swoją lodowatą łapę wokół mojego gardła.

– Boisz się go – stwierdzam cicho.

– Oczywiście, że się boję – odpowiada rozedrganym głosem. – Sam diabeł boi się tego człowieka. – Chyba dociera do niego, co właśnie powiedział, bo nagle krzyczy panicznie: – Nie miałem tego na myśli! To wspaniała osoba! Mam na jego temat wyłącznie dobre zdanie.

– Buddy, nie powtórzę mu ani słowa z naszej rozmowy – uspokajam go stanowczym głosem. – Obiecuję. Przysięgam. Już dobrze?

Słyszę jakiś szelest, a potem ciężkie westchnienie. Wyobrażam sobie, jak Buddy rozluźnia się w fotelu i przeciera dłonią zlaną potem twarz.

– Dziękuję – szepcze.

– Ale chcę ci zadać kilka pytań.

Jęczy z głuchą rozpaczą, lecz zdecydowanie mnie to nie zniechęca.

– Kim on jest?

Znowu cisza.

– To ty nie wiesz? – pyta w końcu zaskoczony.

– Wiem, że nazywa się Liam Black. I że ma jakieś konszachty z policją, bo gliniarze go rozpoznali, gdy siedział przy mnie w szpitalu. A skoro już przy tym jestem, to cholernie ich wystraszył, zresztą mojego nadętego lekarza też. Więc spokojnie, nie jesteś sam.

Buddy stęka cicho. Chyba to znaczy, że trochę mu pomogło.

– Poza tym mieszkam pod kamieniem. Skąd ty go znasz?

– Tylko ze słyszenia – odpowiada szczerze. – Ale jego reputacja w zupełności mi wystarczy.

– A co, on jest jakąś Babą Jagą z bajek dla dzieci?

Śmieję się z własnego dowcipu, ale Buddy nie podziela mojej wesołości.

– Baba Jaga chciałaby być Liamem Blackiem – odpowiada ze śmiertelną powagą.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

– W takim razie nie mogę ci powiedzieć.

– Jezu, super, szefie. Jesteś niesłychanie pomocny – odpowiadam cierpko.

– Tru, mądra z ciebie dziewczyna. Zawsze tak uważałem. Mądra, twarda i dojrzała jak na swój wiek… – Zawiesza głos.

– Może dzięki dojeniu krów i ujeżdżaniu byków, sam nie wiem.

– Żałuję, że powiedziałam ci choć słowo o moim dzieciństwie.

– Zmierzam do tego, że masz przecież oczy i mózg. Użyj ich.

Chyba nic więcej mi nie powie.

Przez kilka chwil się nie odzywamy, więc w końcu postanawiam obrać nowy kierunek.

– Co powiedziałeś Diegowi i Carli? – dopytuję.

– Powiedziałem prawdę. Napadli cię w zaułku i jakiś miłosierny samarytanin cię znalazł, a potem zadzwonił po karetkę. Mieli masę pytań, zwłaszcza Diego, ale powiedziałem, że w szpitalu jest przy tobie rodzina i że dam znać, jeśli dowiem się czegoś więcej.

– Aha, a jak wyjaśniłeś zwłoki?

– Nie mam informacji o żadnych zwłokach – odpowiada pośpiesznie. – Być może policja… – Nie kończy, kaszle kilka razy, po czym milknie. Daje mi w ten sposób znak, że i tak powiedział za dużo i nie musi sięgać po dalsze szczegóły, żebym zrozumiała, o co mu chodzi.

Czyli gliny odegrały rolę ekipy sprzątającej po Liamie. Intryga się zagęszcza.

– Dałem Carli i Diegowi okazałą premię. Oczywiście ty też dostaniesz – dodaje.

Teraz robię się naprawdę podejrzliwa.

– Premię? Za co?

– Za lojalność. W sensie za tę całą ciężką pracę. Przecież wieczorne zmiany są trudne. Wiem, że odkąd chłopak ze zmywaka

się zwolnił, jest ciężko. Wszyscy wykonywaliście dodatkową pracę.

Milczę przez chwilę, trwając w zamyśleniu.

– Innymi słowy, to przekupstwo.

– Co takiego?! Nie!

– Nie chcesz, żebyśmy gadali o zajściu z tamtej nocy.

– No już, już, nie zachowujmy się teatralnie – prycha.

– Buddy, zaraz przez ciebie zwariuję. To nie ty. Ty nie mówisz „moja droga", nie przekupujesz pracowników i nie porównujesz ludzi do Baby Jagi. Co tak naprawdę się tu wyprawia?

Przez krótką chwilę zbiera myśli, po czym mówi cichym, nabożnym głosem, jakby siedział właśnie w kościele.

– Jesteś teraz pod skrzydłami Liama Blacka. To się dzieje. Poprzestanę na tym, bo to zapewne dla ciebie oczywiste. Nie dodam ani słowa więcej, co najwyżej powtórzę, że masz oczy i mózg. Użyj ich. – Po tych słowach się rozłącza.

Siedzę i gapię się na trzymaną w ręce komórkę. Wiem teraz jeszcze mniej niż przed tą rozmową. Dzwonek do drzwi wyrywa mnie z zadumy. Po chwili z drugiego pokoju dociera do mnie głos Ellie:

– Tru, chodź tu! – woła z wielkim rozbawieniem. – Musisz to zobaczyć.

Rozdział 11

Tru

Gdy wchodzę do salonu, Ellie stoi w otwartych drzwiach do mieszkania ze skrzyżowanymi rękami na piersiach i uśmiecha się od ucha do ucha.

W korytarzu kłębi się trzech kurierów trzymających kolosalne bukiety kwiatów.

– Wchodźcie, chłopaki – mówi Ellie, zapraszając ich entuzjastycznym gestem do mieszkania. – Połóżcie je tam, gdzie tylko jest miejsce.

Dostawcy jeden po drugim wtaczają się do środka. Pomyliłam się, jednak przyszło ich sześciu.

– Co to jest? – Patrzę zdezorientowana, jak rozkładają kwiaty w całym pokoju.

– Dostawa dla Truvy Sullivan. – Wysoki facet w bejsbolówce z logiem w kształcie kwiatka stawia bukiet tulipanów na stoliku kawowym, a potem prostuje się i zwraca do mnie: – Czy to pani?

– Tak, to ja.

– Proszę podpisać się pod piątką – prosi, podając mi dokument na podkładce.

Biorę go do ręki, rozglądając się z niedowierzaniem po mieszkaniu.

– To wszystko dla mnie?

– W furgonetce mamy drugą porcję – odpowiada, wskazując kciukiem w stronę drzwi.

Składam podpis w odpowiedniej rubryczce, oddaję mu podkładkę i patrzę oszołomiona na bukiet długich róż. Płatki są tak ciemnoczerwone i aksamitne, że niemal czarne.

– Nigdy nie widziałam takich pięknych róż.

– Świetne, prawda? – pyta z szerokim uśmiechem - to hybrydowy gatunek o nazwie „czarna magia”.

Następnie wskazuje na tulipany, które przed chwilą tutaj położył. Są boskie i również tak głęboko purpurowe, że blisko im do czerni.

– A te tulipany to „królowe nocy”. A tamte kalie to „czarne gwiazdy” – dodaje, pokazując kolejny bukiet.

– Wyczuwam tu pewien wspólny motyw – komentuję cicho.

– Ale najbardziej lubię te irysy. – Tym razem wskazuje bukiet na stole jadalnym. Kwiaty mają długie, elegancko przyozdobione łodygi i niespotykane, pomarszczone płatki barwy… znowu środka ciemnej nocy.

– Jak się nazywają?

– „Przed burzą”.

Staram się nie brać tej nazwy za zły znak.

– Za minutkę wracamy z resztą – mówi facet, gwiżdże na pozostałych kurierów i wychodzi. Gdy za nim znikają, Ellie obraca się do mnie i stwierdza:

– Mówiłam, że trzeba pilnować tego irlandzkiego ciacha.

– Nie bądź taka zadowolona. Nawet nie wiemy, czy to od niego.

– Serio? – pyta, unosząc brew. – Ukrywasz więcej sekretnych facetów? Gwarantuję ci, że Ty tego wszystkiego nie zamówił. O, popatrz! Jest liścik.

Pochodzi do bukietu róż „czarna magia” i wyciąga spomiędzy kwiatów złotą kopertę. Otwiera ją kciukiem, wysuwa ze środka białą kartkę i czyta na głos:

– „Muszę się z tobą spotkać. L”. – Marszczy nos, obraca liścik na drugą stronę i podnosi na mnie wzrok. – Poza tym jest tylko numer telefonu.

– Wyglądasz na rozczarowaną.

– Jestem rozczarowana. Liczyłam na coś bardziej soczystego. – Wyrywam jej liścik i sama go oglądam. Odręczne pismo jest drobne, pochyłe i dokładne. Ciekawe, czy Liam napisał to sam, czy któraś ze sprzedawczyń czyniła honory. Po chwili wyłapuję jakiś aromat. Unoszę kartkę do nosa, wącham i uśmiecham się od ucha do ucha.

– No co?! – dopytuje Ellie.

– Powiedz, co czujesz – mówię i macham jej kartką przed nosem.

Ellie mruga, pociąga kilka razy nosem, marszczy czoło i w końcu stanowczo oświadcza:

– Testosteron.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu.

– Czyli nie wymyśliłam sobie tego.

– Dawaj to! – Wyrywa mi kartkę, przykłada ją sobie bezpośrednio do nosa i oddycha głęboko. Zamyka oczy, a po kilku chwilach rozkoszy stwierdza: – Chyba mam owulację.

– Jeżeli wsadzisz sobie tę kartkę w majtki, to cię walnę.

Zastanawia się przez chwilę, ale po namyśle oddaje mi liścik.

– Mam lepszy pomysł.

Bez dalszych wyjaśnień obraca się na pięcie i znika w swoim pokoju, a drzwi się zamykają. Słyszę lubieżny męski śmiech, a potem niskie jęki.

Ty chyba wisi Liamowi przysługę.

Kilka minut później wracają chłopaki i układają pozostałe kwiaty w salonie i na kuchennych blatach. Głupio mi, że nie mam torebki i nawet nie mogę dać im napiwku, ale gość w bejsbolówce mówi, że otrzymali już hojne napiwki od zamawiającego.

Gdy zostawiają mnie samą, zastanawiam się, ile gatunków czarnych kwiatów jest na świecie, bo chyba dostałam wszystkie.

Ponownie biorę do ręki liścik, a potem wracam do siebie, łapię za telefon Ellie, który zostawiłam na łóżku, i wybieram numer.

Burkliwe „co” rozlega się już po pierwszym sygnale.

– Liam? Mówi Tru.

– Tru. – Jego głos natychmiast łagodnieje. – Nie sądziłem, że zadzwonisz tak szybko.

– Kwiaty właśnie przyszły. Są niesamowite. Dzię…

– Jak się czujesz? Dobrze spałaś? Wzięłaś leki? Nawadniasz się? Zjadłaś coś?

Śmieję się, bo troska w jego głosie naprawdę mi pochlebia.

– Dobrze, tak, nie, jeszcze nie, dopiero wstałam. Ale obiecuję, że jak najszybciej napiję się drogocennej wody z francuskich gór – odpowiadam i dodaję nieco onieśmielona: – I może dogodzę sobie lodami pistacjowymi. Za nie też dziękuję, jak zresztą za całą resztę.

Chyba mamy w mieszkaniu więcej jedzenia niż w sklepie. Jesteś bardzo życzliwy.

Następuje chwila ciszy, a gdy Liam ponownie się odzywa, brzmi ochryple:

– Nie potrafię przestać o tobie myśleć.

Czuję ciepło na policzkach, ale udaje mi się zachować opanowany głos.

– To dobrze. Bałam się, że to jednostronne szaleństwo. – Liam chce coś dodać, ale wchodzę mu w słowo: – Jeżeli powiesz coś w stylu: „Tak byłoby lepiej", od razu się rozłączę, więc odpuść sobie.

Znowu cisza, która tym razem trwa dłużej.

– W porządku, nic takiego nie powiem, choć muszę przyznać, że wyjęłaś mi te słowa z ust, co jest trochę niepokojące.

– Nie lubisz być przewidywalny, prawda?

– Nie powiedziałem, że nie lubię. Po prostu nigdy nie byłem.

– Mówię z przykrością, wilczku, że jeżeli chodzi o ten temat, to jesteś jak zdarta płyta.

– I niewiele to dało – stwierdza ze śmiechem.

– Kiedy już się na coś zdecyduję, jestem niezłomna.

– Powoli się tego uczę. Musimy się spotkać.

Szorstkość, która nagle pojawiła się w jego głosie, sprawia, że serce zaczyna mi mocniej bić.

– Kiedy?

– Już. – Oddycha głośno i z irytacją. – Wyrwę się dopiero wieczorem. Nie wiem, o której dokładnie.

– Nigdzie się nie wybieram, więc przyjedź, gdy tylko będziesz mógł.

– To może być późno. Bardzo późno.

– Okej, zostawię dla ciebie otwarte drzwi.

Jęczy cicho.

– Co się stało?

– Powinnaś mi odmówić.

Marszczę czoło i śmieję się z niedowierzaniem.

– Jesteś chyba pierwszym mężczyzną w dziejach ludzkości, który wypowiedział te słowa.

– Dla własnego dobra. – Jego głos robi się mroczny. – Bo poproszę cię o rzeczy, na które nigdy nie powinnaś się godzić, Tru. Chodzi o rzeczy, za które powinnaś mnie spoliczkować i wyrzucić za drzwi. Są tak kurewsko samolubne i złe, że gdy o nich usłyszysz, powinnaś uciec, krzycząc: „nie, nie, po tysiąckroć nie!”.

Jestem tak oszołomiona, że przez kilka chwil nie wiem, co mu odpowiedzieć. W końcu odchrząkuję i mówię:

– Widzisz, jak na złość jestem jeszcze bardziej zaintrygowana.

– Obiecaj, że rozważysz odmowę – mówi z naciskiem.

Zasłaniam usta dłonią i zanoszę się śmiechem.

– Serio, to najdziwniejsza rozmowa w moim życiu.

– Ja nie żartuję. Chcę, żebyś poważnie rozważyła nie tylko odrzucenie moich propozycji, ale też odcięcie się ode mnie raz na zawsze. Rozważ, czy warto wpuszczać mnie w nocy do mieszkania, czy nie lepiej natychmiast się rozłączyć i zapomnieć, że kiedykolwiek się spotk…

– Liamie.

– Tak, mała?

– Przestań mi mówić, co mam robić.

Wydaje z siebie niski, gardłowy odgłos rozdrażnienia, jak jakieś zwierzę.

– Powarkuj sobie, ile chcesz, ale zachowujesz się niepoważnie. Przecież nie mogę ocenić, czy to, co powiesz, jest samolubne, złe i warte spoliczkowania, dopóki tego nie usłyszę i nie powiesz mi tego prosto w oczy. Więc odpuść sobie te wszystkie ostrzeżenia, alarmy i wróżby. Umowa stoi?

Cisza.

W słuchawce rozlega się odgłos ciężkich kroków. Sześć kroków, przerwa. Kolejne sześć kroków, znowu przerwa. I znowu kroki.

– Maszerujesz sobie?

– Ciągle cię nie doceniam.

– Dziękuję. To chyba komplement. A co to ma wspólnego z twoim maszerowaniem?

– Jestem rozdrażniony – burczy.

– Ponieważ…

– Nigdy się nie mylę podczas oceniania ludzi.

Robię krzywą minę.

– W takim razie powinnam się cieszyć, że cię rozczarowałam.

Kolejne warknięcie. Niski, seksowny i męski dźwięk niezadowolenia, którego z radością słuchałabym do końca życia.

– Liamie, posłuchaj. Doceniam, że próbujesz się o mnie troszczyć. Rozumiem, że masz wobec mnie bardzo mieszane uczucia i że uważasz, że „my" to zły pomysł. Natomiast nie rozumiem dlaczego. Gdybyś opisał mi problem, ale w inny sposób niż za pomocą jałowego: „nie byłbym dla ciebie dobry", to może mogłabym ocenić realną wartość twoich argumentów.

– Będziesz znakomitą prawniczką – burczy do słuchawki.

– Dziękuję. Tak jak powiedziałam, wyrzuć to z siebie. Powiedz, o co chodzi. Czy ty – staram się wymyślić coś, co naprawdę mogłoby przekreślać związek – jesteś świadkiem koronnym?

Śmieje się nisko i mrocznie.

– Chciałbym.

Wiem, że w ten sposób nie wyjaśni, co ma na myśli, więc brnę dalej:

– Jesteś żonaty?

– Ech, nie.

Zabrzmiał na naprawdę odstręczonego tym pomysłem, więc mu wierzę.

– Jesteś szpiegiem? Baronem narkotykowym? Działającym poza prawem superbohaterem?

– Mała, masz bujną wyobraźnię – stwierdza cierpko.

– Tak to bywa przy niedoborze faktów. Wyobraźnia wrzuca piąty bieg, żeby wypełnić pustkę, i nagle mały pieprzyk na karku przeistacza się w nieoperowalnego guza z przerzutami na wszystkie organy wewnętrzne. Wtedy zostają ci ostatnie tygodnie życia.

– Powinnaś trzymać się z daleka od internetu – mówi po krótkim namyśle.

– Wiem o tym. Raz po lekturze jakiejś strony medycznej wmówiłam sobie, że delikatne drżenie lewej ręki to pierwsze stadium stwardnienia rozsianego. Ale nie zmieniaj tematu. Kim jesteś, Liamie Blacku?

Przez chwilę się nie odzywa. Wstrzymuję oddech, zaciskam dłoń na komórce i wsłuchuję się w trzaski na linii.

– Ja… mam wysoce niebezpieczny zawód.

Powiedział to tak cicho, że prawie go nie dosłyszałam. Nie mam odwagi pisnąć ani słówka, bo wiem, że zdradził ten strzęp informacji po zaciętej walce z samym sobą. Nie chcę go odstraszyć w takim momencie. Słyszę, jak bierze głęboki wdech.

– Ta robota potrafi ciągnąć się za człowiekiem do domu, dlatego nie mam w życiu niczego, z czego w jednej chwili nie mógłbym zrezygnować.

– Zrezygnować? – Nic na to nie poradzę, muszę usłyszeć więcej.

– Muszę być w stanie rzucić wszystko w mgnieniu oka i bez obracania się za siebie. Takie mam życie i prowadzę je w ten sposób od bardzo dawna. Nie mogę się do niczego przywiązywać. Rozumiesz? Każdy, kto by się do mnie zbliżył, mógłby się stać…

– Celem – dopowiadam, gdy przez dłuższy czas nie kończy zdania.

– Słabością – poprawia mnie, jego głos znów nabrał siły. – Wiązałoby się to z odpowiedzialnością, na którą nie mogę sobie pozwolić.

Serce wali mi o mostek tak mocno, że nie mogę złapać tchu.

– A na czym dokładnie polega ten niebezpieczny zawód?

– Na egzekwowaniu – odpowiada ponuro po kolejnej chwili gęstej ciszy.

Nie mam pojęcia, dlaczego zabrzmiało to tak cholernie złowrogo.

– Jakby na egzekwowaniu prawa?

– Ano właśnie tak. Tylko że poza prawem. – Zawiesza głos.
– A przynajmniej poza twoim prawem.

Przełykam ślinę. Moje tętno wystrzeliło w kosmos, zaczynają drżeć mi ręce.

– Okej, to sporo informacji. Szczerze mówiąc, brzmi to tak, jakbyś przyznawał, że jesteś przestępcą.

– Sama wiesz, do czego jestem zdolny – mówi łagodniejszym tonem.

Sam diabeł boi się tego człowieka. Słyszę w głowie głos Buddy'ego, ale uciszam go rozdrażniona.

– Zrobiłeś to, żeby mi pomóc. Przestępcy nie przedkładają dobra innych nad własne.

– Być może mamy różne definicje przestępcy.

– Które z nas będzie broniło w sądzie kryminalistów. Ja czy ty? – rzucam zaciekle.

Tym razem pauza jest dłuższa od poprzednich, a po niej Liam zaczyna się śmiać cicho i z niedowierzaniem.

– Chcesz zostać obrońcą w sprawach kryminalnych?

– Nie śmiej się. Z tego, co słyszę, możesz mnie kiedyś potrzebować.

– Już cię potrzebuję – odpowiada natychmiast. – I nie ze względu na twoje talenty na sali sądowej. Dlatego właśnie to wszystko musi skończyć się katastrofą i dlatego na okrągło cię ostrzegam.

Przez chwilę trwamy w pełnym napięciu milczeniu, aż w końcu mówię:

– Jeżeli naprawdę sądzisz, że to taka katastrofa, to sam powinieneś trzymać się z daleka. Ja nie znam wszystkich faktów. Brakuje mi twardych dowodów. Nie mogę podjąć przemyślanej decyzji, za to ty możesz.

– W sumie to racja – odpowiada szorstko. – I dlatego od prawie roku za każdym razem, gdy cię widziałem, powtarzałem sobie, że to już ostatni raz, ale nigdy się nie udało. Być może wymyśliłem więc działające rozwiązanie dla nas obojga, ale i tak powinnaś odmówić.

Zastanawiam się przez chwilę i w końcu daję za wygraną.

– W porządku, odmawiam.

Cisza. Chyba go zaskoczyłam. Sprawia mi to ogromną satysfakcję.

– Pański ruch, panie Black.

Liam wypowiada moje pełne imię i nazwisko tym gorącym, rozdrażnionym, piekielnie seksownym, pierwotnym tonem, który sprawia, że wydaje mi się, że marzy tylko o tym, by przerzucić mnie przez kolano i sprać po tyłku. Co szczerze mówiąc, byłoby bardzo przyjemnym owocem tej rozmowy.

– Teraz się rozłączę, bo osiągnęłam już dzienny limit warknięć. Ale nie zamierzam zamykać drzwi na noc. Jeżeli nie przyjedziesz, to więcej się ze mną nie kontaktuj. Nie chce mi się bawić w kotka i myszkę. Nie mam do tego cierpliwości. Ale jeżeli to nasza ostatnia

rozmowa i naprawdę mielibyśmy się więcej nie spotkać, to wiedz, że uważam cię za najciekawszego, najbardziej upierdliwego i najpiękniejszego mężczyznę, jakiego spotkałam. Dziękuję za wszystko. Do widzenia.

Rozłączam się i rzucam telefon Ellie przez ramię, po czym siadam na łóżku i aż syczę z niezadowolenia.

Liam Black. Kryminalista? Obrońca uciśnionych? Płatny zabójca? Romantyczny wojownik? Bandzior z ogładą? Dobry facet robiący złe rzeczy, czy zły facet robiący dobre?

Całe te rozmyślania do niczego nie prowadzą, więc ubieram się, dzwonię po taksówkę i jadę do pracy.

Zostawiłam laptopa w aucie, a mam nieprzepartą chęć, by porządnie pogrzebać w sieci.

Rozdział 12

Tru

Mój samochód stoi przed knajpą Buddy'ego, czyli tam, gdzie go zaparkowałam. Wchodzę do lokalu, a za ladą zastaję Lisę, która akurat nalewa kawę jednemu z gości. Zerka na mnie dwa razy, po czym dzbanek prawie wypada jej z rąk, a kawa wylewa się na cały kontuar.

– Tru!

– Wiem, wiem – mówię cierpko. – Wyglądam jak worek treningowy, ale wcale nie jest tak źle, jak mogłoby się wydawać.

– Co się stało?! – Ignoruje zniesmaczonego bałaganem gościa, podbiega do mnie i obejmuje mnie jedną ręką.

Uznaję, że lepiej nie wdawać się w szczegóły, zwłaszcza że Buddy trzęsie się ze strachu, że coś niewygodnego może dotrzeć do Liama, więc wzruszam ramionami i po prostu kwituję:

– Długa historia.

– Ktoś cię uderzył? – pyta półszeptem.

– Można tak powiedzieć. Nie chcę drążyć. Wróciłam po torebkę i samochód.

Lisa bierze mnie pod rękę i prowadzi na zaplecze. Zmiana Diega jeszcze się nie zaczęła, więc przy grillu czuwa ktoś inny, starszy gość imieniem Tony, który nawet nie podnosi na nas wzroku.

Gdy znajdujemy zaciszne miejsce, Lisa obraca się do mnie i oświadcza stanowczo:

– Jeżeli maltretuje cię jakiś facet, to chętnie pomogę. Masz wiele opcji…

– Gdyby mężczyzna podniósł na mnie rękę w gniewie, to szybko by mu uschła. Nie o to chodzi.

– To co się stało? Przewróciłaś się?

– Napadli mnie. Kilku obcych kolesi.

– O mój Boże! – Jej niebieskie oczy robią się wielkie jak spodki. – Słońce, tak mi przykro! Wszystko dobrze?

– Tak, miałam szczęście. – *Wilczek ocalił mi życie.* – Nic mi nie jest, serio. Zdołałam im uciec.

– Gdzie to się stało?

Waham się, bo nie chcę jej wystraszyć.

– W zaułku za restauracją, gdy wyrzucałam śmieci.

– Jasna cholera. – Lisa blednie. – Nikt nam nic nie powiedział! Czy policja złapała tych kolesi?

Boziu, jak mam to wyjaśnić?

– Yyy… chyba ich szukają.

Nie skłamałam, choć prawdy też nie wyjawiłam. Wolę trzymać się wersji wydarzeń Buddy'ego dla Diega i Carli, a biorąc pod uwagę fakt, jak bardzo boi się Liama, na pewno nikomu innemu nie zdradzę jego imienia.

Chcę jak najszybciej dowiedzieć się o nim czegoś w sieci.

– Czy ktoś wytrze tę kawę?! – Woła zza lady klient Lisy. – Kapie mi na kolana!

– Kurczę – mruczy pod nosem Lisa.

– Wracaj do pracy – mówię z uśmiechem. – Dziękuję, że jesteś taka miła.

Przytula mnie jeszcze raz i radzi, bym użyła kremu z arniki na siniaki. Po chwili dodaje, że mogę do niej zadzwonić, gdybym czegokolwiek potrzebowała, a następnie wraca na salę.

Wchodzę do pokoiku dla personelu, wyjmuję torebkę ze swojej szafki i wychodzę bocznymi drzwiami, które prowadzą prosto na parking, bo nie chcę ponownie rozmawiać z Lisą.

I właśnie tam wpadam na Diega, który właśnie przyjechał do pracy. Na mój widok staje jak wryty i otwiera usta z niedowierzania.

Podnoszę uspokajająco dłoń i podchodzę do niego.

– Nic mi nie jest, spokojnie.

Wodzi wzrokiem po mojej twarzy, mamrocząc coś po hiszpańsku. Ma na sobie dżinsy, krótki czarny płaszcz i wysokie buty. Schludnie zaczesał włosy, jest też świeżo ogolony.

Przyciąga mnie do siebie, gdy tylko docieram w zasięg jego ramion.

– *Chica*… – zaczyna rozedrganym głosem. – Kurwa, Jezu Chryste.

Staram się brzmieć swobodnie, bo choć mówiłam, żeby zachował spokój, to ewidentnie szaleje.

– Dobrze wiedzieć, że wyglądam tak strasznie.

Odsuwa się i trzymając moje ramiona, ponownie lustruje mnie spojrzeniem. Ściąga brwi, przy czym wygląda na bardzo zmartwionego.

– Ja i Carla, kurwa mać, nie wiedzieliśmy, co się stało. Zniknęłaś w jednej chwili. Buddy powiedział, że cię napadli. Byłaś w szpitalu?

– Byłam, ale już wszystko gra. Żadnych uszkodzeń poza tym, co widzisz.

Uśmiecham się do niego, licząc, że uniknę spodziewanego przesłuchania. Niestety, ale nie mam tyle szczęścia. Diego zaczyna mnie bezlitośnie prześwietlać od stóp do głów.

– No to co się stało? Ilu ich było? Znałaś ich? Co powiedzieli lekarze? Co robią gliny? Kiedy wracasz do pracy? – Przerywa i dodaje przez ściśnięte gardło: – Czy wybaczysz mi kiedykolwiek, że sam nie wyniosłem tych pierdolonych śmieci?

Wzdycham.

– Nie ma czego wybaczać. Przestań dramatyzować. Wszystko dobrze, naprawdę. Szczerze mówiąc, to chcę o tym wszystkim zapomnieć.

Oblizuje wargi, przełyka ślinę i kręci głową, jakby czemuś energiczne zaprzeczał.

– Nie powinienem był pozwolić ci wychodzić tam samej o takiej porze. Nie powinienem! Co ja sobie, kurwa, myślałem. Powinienem…

– Dość.

Zamyka usta i patrzy na mnie.

– Diego, to nie twoja wina. Na świecie jest pełno złych ludzi, którzy robią złe rzeczy. To nie twoja wina, jasne?

Ponownie bierze mnie w objęcia, ale ten uścisk jest inny i czulszy. Trzyma mnie tak, jakby nigdy nie chciał puścić, przez co już po pięciu sekundach zaczynam się czuć niekomfortowo.

Odsuwam się z niezręcznym uśmiechem i zakładam włosy za ucho, za to on wbija ręce w kieszenie. Przez chwilę stoimy w ciszy, a potem mówi:

– Obdzwoniłem wszystkie szpitale, ale wszędzie mówili, że nie przyjmowali żadnej Truvy Sullivan.

– Naprawdę? To dziwne. – Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– No, też tak pomyślałem – mówi, przyglądając mi się bacznie.

– Może się przesłyszeli i myśleli, że pytasz o Ruby czy Trudie albo coś takiego.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Dokładnie literowałem. Nie mieli cię w żadnym systemie.

Przenoszę ciężar ciała z nogi na nogę i rozglądam się, uciekając wzrokiem przed jego przeszywającym spojrzeniem.

– Yyy, nie za bardzo pamiętam, jak przyjmowali mnie do szpitala. Może podałam im drugie imię albo coś.

– Mhm – mruczy. – Buddy mówił, że jakiś miłosierny samarytanin cię znalazł i wezwał karetkę. Chciałbym mu podziękować. Wiesz, jak się nazywa?

– Eee… Policja pewnie ma jego nazwisko. Tak jak mówiłam, mało pamiętam.

– Wiesz, że koszmarnie kłamiesz, prawda? – pyta po długiej chwili namysłu.

Obracam głowę i patrzę mu prosto w oczy.

– Nie kłamię!

– Ale prawdy też nie mówisz. – Milczę, więc dodaje: – Prawda?

– Dobra, Diego, wiesz co? To jakiś nonsens. Trzech oprychów napadło na mnie za knajpą, bo chcieli ją obrobić, przez co dostałam wciry. Potem trafiłam do szpitala, ale z niego wyszłam i próbuję wrócić do normalności. Czemu dajesz mi w kość?

Podchodzi bliżej i ścisza głos.

– Bo nigdy nie widziałem, żeby Buddy zachowywał się tak dziwnie, jak wtedy, gdy opowiadał o tym mi i Carli. Wyglądał, jakby zaraz miał się zesrać albo uciekać z miasta. I wiem, że nie był z nami szczery, tak jak ty teraz… – Zawiesza głos. – To ma coś wspólnego z tym facetem w czerni, który wiecznie przyłazi i się na ciebie gapi, prawda?

Zaciskam usta i odwracam wzrok.

– Nie.

Słyszę prychnięcie rozdrażnienia. Diego delikatnie chwyta mnie za podbródek i obraca moją twarz do swojej. Praktycznie wwierca się we mnie spojrzeniem.

– *Chica*, jestem twoim przyjacielem. Dlaczego mnie okłamujesz? – pyta łagodnie.

Kurczę, cholera jasna.

– Przepraszam – szepczę. Biorę głęboki wdech i wbijam wzrok w buty. Diego zabiera rękę z mojej twarzy i kładzie ją na moim ramieniu. – Ja po prostu nie mogę. Nie wiem, jak… – Biorę kolejny głęboki wdech i znowu patrzę mu w oczy. – To skomplikowane.

Przygląda mi się jeszcze chwilę, po czym kiwa głową.

– W porządku, nie będę naciskał. Ale wiesz, że możesz na mnie liczyć, prawda? Jeżeli to gówno zrobi się jeszcze bardziej skomplikowane, to zawsze możesz ze mną porozmawiać. Pamiętaj, że nigdy nie będę cię oceniał.

Gula pęcznieje mi w gardle. Potakuję bez słowa i szybko mrugam, bo czuję wilgoć w oczach.

– Ale jeżeli znajdę tego *puto pendejo*[5], który ci to zrobił, to przysięgam, że zabiję – dodaje ostrzej.

Patrzę na niego przerażona.

– Diego! Jak niby mam z tobą rozmawiać po czymś takim?!

Jego brązowe oczy błyskają gniewem.

– Aha, czyli to on cię skrzywdził! Żadni tam nieznajomi w zaułku, tylko on!

– Nie! Przestań odwracać kota ogonem, to nie on!

Obserwuje mnie zza zmrużonych powiek i zaciska mięśnie szczęki.

– Tym razem mówię prawdę – rzucam ze złością. – On mi pomógł!

Mam ochotę kopnąć się w tyłek, gdy tylko te słowa opuszczają moje usta.

Oczywiście Diego podejmuje trop niczym myśliwski ogar.

– Że niby facet w czerni to ten miłosierny samarytanin? – Kręci energicznie głową. – A przyszło ci do głowy, że mógł to ustawić?

– Absurd. Po co miałby to robić?

– Żeby odegrać bohatera i zdobyć twoje zaufanie.

– Naoglądałeś się za dużo seriali kryminalnych.

– A ty nie wiesz, do czego mężczyzna może się posunąć, żeby zdobyć to, czego chce.

Zamykam oczy, chwytam palcami nasadę nosa i mamroczę:

– Nie wierzę…

– *Chica*, jesteś piękna.

Zaskoczona otwieram oczy i patrzę na niego. Diego odwzajemnia spojrzenie z posępną miną.

– Piękna, urocza, mądra i zabawna. Od dwóch lat patrzę, jak faceci przychodzą do naszej knajpy i jak staje im na twój widok. Ale nigdy nie widziałem, żeby mężczyzna patrzył na kobietę tak, jak ten chuj na ciebie.

– A jak patrzył? – pytam po dłuższej chwili wahania, bo ciekawość bierze górę.

– Jakby miał zdechnąć, gdyby nie spojrzał.

Z moim tętnem dzieje się coś dziwnego. Jest roztrzepane i chaotyczne, a serce rzuca się w piersi niczym spanikowany ptak. Czekam chwilę, żeby dojść do siebie, i oświadczam:

– Jadę do domu. Za kilka dni wrócę do pracy.

– Tru…

– Nie, Diego – przerywam mu stanowczo. – Doceniam, że się o mnie troszczysz i cenię twoją przyjaźń, ale na tym koniec tej dyskusji.

Odchyla głowę i patrzy na mnie spod rzęs, a potem uśmiecha się smutno i mówi:

– W porządku, zrozumiałem.

– Dziękuję.

– Ale nie cofam swojego zdania. – Nachyla się bliżej i przypomina: – jak tylko znajdę gnoja, który cię skrzywdził, zabiję.

Mija mnie energicznym krokiem i znika w knajpie, trzaskając za sobą drzwiami.

Stoję w miejscu i wpatruję się w zamknięte drzwi, co powoduje, że przeszywa mnie lodowaty dreszcz.

* * *

Po powrocie do domu rzucam torebkę na stolik w przedpokoju, ściągam buty i lecę do lodówki po butelkę wody. Z pokoju Ellie nie dochodzą żadne odgłosy, więc zakładam, że wyszła gdzieś z Tyem.

Bardzo dobrze, bo nie jestem w nastroju na kolejny recital ryków godowych.

Rozmowa z Diegiem wytrąciła mnie z równowagi. Odkąd się znamy, zawsze był uśmiechnięty, przyjacielski, kochany i miły w obejściu. Dziś zobaczyłam jego drugie oblicze, które jest znacznie mroczniejsze. Miałam wrażenie, że zamienił się w kogoś zupełnie innego.

Kiedy tak się nad tym wszystkim zastanawiam, biorę wodę i laptopa, a potem maszeruję do siebie. Nie mogę się doczekać spotkania z faktami, którymi się uraczę, gdy wpiszę do wyszukiwarki frazę: „Liam Black", ale gdy tylko otwieram drzwi do pokoju, mój pomysł staje się nieaktualny, bo rzeczony przed chwilą mężczyzna siedzi w środku.

Ma na sobie piękny czarny garnitur i krawat, opiera się o moją komodę i spokojnie zajada lody pistacjowe, równocześnie mierząc mnie płonącym wzrokiem.

Zatrzymuję się wystraszona i patrzę na niego.

Serce mi się kurczy, a żołądek skręca. Próbuję zaczerpnąć oddechu, ale nie potrafię.

– Rozłączyłaś się – stwierdza w zadumie. Unosi łyżeczkę z lodami do ust, połyka je i oblizuje jak kobiece ciało. Robi to tak, jakby właśnie zanurzał twarz pomiędzy rozłożonymi udami.

Nigdy nie widziałam niczego równie zmysłowego.

– Ja… ja…

– Nigdy wcześniej nikt się nie rozłączył, gdy ze mną rozmawiał – dodaje tym samym tonem. Skręca nadgarstek i celuje we mnie łyżeczką. – Jesteś pierwsza.

Przełykam ślinę i jakimś cudem udaje mi się sformułować coś na wzór zdania:

– Zasłużyłeś sobie.

Przez chwilę obserwuje mnie z palącą intensywnością, a potem nieśpiesznie odkłada lody na komodę, wrzucając łyżeczkę do

pudełka. Ponownie skupia na mnie uwagę. Czuję się jak w świetle reflektora.

– Podejdź tu. – Jego głos jest spokojny, ale oczy dzikie, a nozdrza rozdęte, jakby zaraz miał zacząć ryć w podłodze jak byk w ziemi.

Jestem naelektryzowana, jakby ktoś podpiął mnie do prądu. Wszystkie moje nerwy krzyczą. Zaciskam dłonie na laptopie i butelce, bo zaczynają drżeć.

Liam oblizuje usta i cały czas mnie obserwuje. Mam wrażenie, że stoję na krawędzi stromego klifu.

– Mówiłeś, że wyrwiesz się dopiero w nocy – szepczę.

Jego oczy lśnią, jakby miał gorączkę.

– Podejdź tu – powtarza ciszej.

Obmywa mnie fala gorąca. Staram się kontrolować oddech. Powoli odkładam laptopa i butelkę na szafkę obok łóżka. Wycieram spocone dłonie o dżinsy i stawiam kilka niepewnych kroków w jego stronę.

Wysuwa rękę, dzięki czemu robię jeszcze kilka kroków i podaję mu dłoń. Kiedy jego palce zaciskają się wokół moich, delikatnie mnie przyciąga, zmniejszając dzielący nas dystans. A potem przyciska mnie do siebie, obejmuje ręką moje plecy i kładzie wielką dłoń na mojej potylicy. Jest ogromny, gorący i twardy. Wbija we mnie spojrzenie, dzięki któremu staję w ogniu.

– Każ mi wyjść – szepcze ochryple. – Powiedz, że to koniec i że nie chcesz mnie więcej widzieć.

Kładę roztrzęsione dłonie na jego torsie, patrzę mu w oczy i kręcę głową.

Liam przymyka na chwilę powieki, bierze głęboki wdech i robi natychmiastowy, rozedrgany wydech. Następnie przykłada moją głowę do swojej piersi i muska moje czoło ustami.

– Ostatnia szansa, mała.

– Jeszcze nie mogę wykopać cię za drzwi. Nie zdążyłeś mnie nawet pocałować.

Obok mojego ucha rozchodzi się jego niski rechot.

– A zatem czekałaś na takie zakończenie?

– Chyba będziemy musieli sami się przekonać.

Zaciska wokół mnie swoje ramiona. Czuję, że stara się być delikatny, ale równocześnie z trudem się powstrzymuje przed

użyciem siły.

Odchylam głowę i dotykam jego twarzy.

– Pocałuj mnie – szepczę drżącym głosem.

Uśmiecha się półgębkiem.

– Lubisz się rządzić.

– Proszę?

Na dźwięk mojej prośby jego oczy ciemnieją, a uśmiech znika z twarzy. Zgrzyta zębami, jednocześnie się wahając, a potem pochyla głowę i muska ustami moje wargi.

Są niezwykle miękkie i delikatne, jak szept, a jednak ich dotyk napełnia mnie żądzą.

Wzdycham lekko i wtulam się w niego, lecz on się odsuwa i mierzy mnie wzrokiem.

Opieram czoło o jego tors i wydaję z siebie jęk rozdrażnienia.

– Jesteś jeszcze obolała – mamrocze.

– Ktoś tu zaraz na pewno będzie obolały.

Jego pierś unosi się w niemym śmiechu.

Obejmuję szerokie barki, przytulam się mocniej i przymykam oczy. Wzdycham, bo całe jego ciało stężało.

– Przecież nie gryzę – utyskuję.

Dłoń, która spoczywa na mojej głowie, zaciska się w garść i łapie mnie za włosy. Drugą ręką sunie w dół pleców, łapie mnie za tyłek i przyciąga mocniej do siebie, żebym poczuła jego wbijającą się w moje biodro erekcję.

– Ale ja gryzę – warczy mi na ucho.

Otwiera usta i gryzie mnie w szyję tuż nad pulsującą żyłką. Robi to lekko. Ugryzienie nie bolało i na pewno nie zostanie po nim ślad, ale przeszedł mnie taki prąd, że jęknęłam jak gwiazda porno. Bezwładnie się o niego opieram i wbijam palce w jego ramiona. Mam wrażenie, że oczy uciekają mi z rozkoszy w głąb czaszki. Ugryzienie przechodzi w delikatne ssanie.

Jego usta są niebiańskie. Aksamitnie miękkie wargi i zachłanny, gorący język… Chcę je czuć na całym ciele. Chcę, żeby jego usta eksplorowały każdy skrawek mojej skóry.

– Liamie. O Boże… – szepczę.

Ociera się o mnie biodrami i ssie mocniej.

Moje sutki są boleśnie twarde. Pragnę, żeby je również zaszczycił ustami i zębami, a szczególnie tymi delikatnymi ugryzieniami. Chcę poczuć szorstkość jego brody w najbardziej wrażliwych miejscach mojej skóry, słuchać niskiego, męskiego pomruku wydobywającego się z jego piersi, gdy złapie mnie w te wielkie ręce, żeby zaprowadzić mnie do łóżka, i sprośnych, niegrzecznych słów, które będzie mruczał mi na ucho, gdy we mnie wejdzie.

Kiedy to sobie wyobrażam, w moim gardle narasta jęk żądzy.

Liam odsuwa się od mojej szyi, ujmuje w dłoń moją szczękę i patrzy na mnie rozpalonym wzrokiem. Widywałam go już na krawędzi samokontroli, ale nigdy nie był w mojej obecności w takim stanie.

– Dwadzieścia osiem dni – sapie ochryple.

Mrugam skonfundowana. Pokój wiruje, ja dyszę coraz szybciej, serce łomocze mi w piersi.

O czym on mówi? Potrzebuje kalendarza?

– Co?

– Jutro muszę wyjechać z kraju na trzy tygodnie, ale gdy wrócę, spędzę tu dwadzieścia osiem dni przed kolejną podróżą.

Gapię się na niego, nie rozumiejąc, dokąd zmierza.

– Chcę, żebyśmy byli razem przez te dwadzieścia osiem dni – wyjaśnia w końcu. – Chcę, żebyś się do mnie wprowadziła, spędziła ze mną cały ten czas. Byś była moja. Cała moja, w każdym sensie i w każdej minucie.

Zawiesza głos, po czym przedstawia najbardziej szokujący element tej propozycji:

– Ale potem już nigdy się nie zobaczymy.

Rozdział 13

Tru

– Chcesz, żebym… – sapię zdumiona.

– Żebyś się do mnie wprowadziła – kończy za mnie.

– Na…

– Na dwadzieścia osiem dni. Potem odejdziesz.

Spogląda na mnie ze świdrującą intensywnością, przez co parskam z niedowierzaniem.

– Mówiłem ci, że nie angażuję się w związki – stwierdza sucho.

– I to ma być rozwiązanie? Permanentna rozłąka poprzedzona miesiącem całodobowego konkubinatu? Dość radykalne wyjście, nie sądzisz?

Przesuwa wzrok na moje wargi.

– Uważam, że to jedyny sposób, żebyśmy dostali to, czego chcemy, i nie doznali przy tym nieuleczalnych szkód – warczy.

Gapię się na niego skołowana, bo chyba sobie jaja robi z tym pomysłem.

– Liamie…

– Tak czy nie? Decyduj.

Unoszę brwi, wysuwam ręce zza jego barków i kładę je na rozległym torsie.

– I to niby ja się rządzę?

– Muszę wiedzieć natychmiast.

– Dlaczego? Gdzie się pali?

– Nie potrafię się skupić na niczym innym – cedzi przez zęby. – Po każdym spotkaniu jest coraz gorzej. Trzeba to jakoś załatwić.

– To? – pytam wojowniczo.

– Nas – wyjaśnia krótko.

Przez chwilę przyglądam się jego rozdrażnieniu i niecierpliwości. Ani odrobinę mi go nie żal. *Co za arogancki dupek…*

– Wiesz, jak wygląda związek między normalnymi ludźmi? Brak wiedzy o przyszłości i niepewność to zmienne, z którymi większość z nas w związkach boryka się na okrągło.

– Ja nie jestem większością – rzuca. – I nie…

– Nie angażujesz się w związki. Wspominałeś – przerywam mu.

Odsuwam się od niego ze złością. Obracam się plecami, krzyżuję ręce na piersi i wbijam wzrok w łóżko. Dlaczego zawsze musi podejmować tak skrajne decyzje?

– Decyduj. – Słyszę za sobą jego bardzo niski głos.

Przewracam oczami i patrzę w sufit.

– Dasz mi chwilkę, żebym złapała oddech?

– Nie dam. Decyduj. Już teraz.

Odwracam się do niego i zauważam, że aż kipi gorącem i niebezpieczeństwem niczym wulkan tuż przed erupcją.

– Jeżeli chcesz odpowiedzi natychmiast, to brzmi ona: „nie”.

Zamiera w bezruchu i patrzy na mnie spode łba. Czuję ciepło rozchodzące się po mojej szyi.

– Ach, rozumiem. Odgórnie założyłeś, że się zgodzę, prawda?

Zaciska usta i nawet nie śmie się odzywać.

Jestem jeszcze bardziej wkurzona, więc zaczynam szybko chodzić po całym pokoju. Czuję się przy tym kretyńsko, bo jest on taki mały, że co cztery kroki muszę zawracać, ale trzeba jakoś rozładować frustrację i napięcie seksualne.

– Mam swoje życie, wiesz? Pracę, uczelnię, przyjaciół. Nie mogę wszystkiego rzucić i na miesiąc zniknąć z powierzchni ziemi.

– Nie powiedziałem, że masz znikać. Nikt cię nie odetnie od świata zewnętrznego.

– Mówiłeś: „cała moja, w każdej minucie”, czy jakoś tak. Uznałam, że przykujesz mnie łańcuchem do łóżka.

W jego oczach zapłonęły iskry. Chyba spodobał mu się ten pomysł.

– Nie – mówi ochryple. – Nie proszę, byś oddała mi się w niewolę.

– Czyli będę mogła odejść?

– Czy to negocjacje?

Zatrzymuję się i piorunuję go wzrokiem. On odwzajemnia się równie stanowczym spojrzeniem spod nisko ściągniętych brwi.

Nawet nie mruga. Jeszcze nigdy nie wyglądał na bardziej seksownego, naprężonego i niebezpiecznego. Zasycha mi w ustach.

– Nie wiem, może – odpowiadam oschle.

Poprawia węzeł krawata, a potem spinki w mankietach. Robi to ze spokojem, jedna po drugiej. Przenosi ciężar ciała z nogi na nogę i patrzy na mnie tak, jakby moje oczy skrywały wszystkie tajemnice tego wszechświata.

– Co by cię przekonało? Niech to będzie cokolwiek.

Jemu naprawdę na tym zależy tak bardzo, że ledwie zachowuje spokój.

Nachodzi mnie dziwne uczucie. Jest mi tak obce, że dopiero po dłuższej chwili je rozpoznaję, ale rozpoznaję je bez pudła – władza. Siła, z jaką Liam mnie pragnie, nie sprawia, że czuję się pożądana, słaba czy zalękniona. Czuję się potężna jak skurwysyn.

– No cóż, po pierwsze musisz mnie pocałować, wilczku – stwierdzam spokojnie. – Muszę się upewnić, czy mężczyzna, z którym mam spędzić dwadzieścia osiem dni, potrafi porządnie całować.

Brązowa brew Liama podrywa się do góry.

– To akurat nie podlega negocjacjom – dodaję, krzyżując ręce na piersi i mierząc go spokojnym spojrzeniem.

Lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów, pożerając głodnymi oczami. Gdy zwilża wargi językiem, z trudem opanowuję głośne westchnięcie. Właśnie wtedy do mnie podchodzi, ujmuje moją twarz w dłonie i przykłada wargi do moich ust.

Od razu widać, że facet potrafi nie tylko całować, ale też pozbawiać kobietę zmysłów pocałunkami.

Jego usta żądają, zabierają, biorą mnie na własność.

Zaciskam dłonie na jego marynarce i robię krótkie, ostre wdechy nosem, bo jego język omiata mój, bez końca zagłębiając się w moich ustach w idealnej równowadze ssania i nacisku, aż zaczynam się wić, niecierpliwie ocierać udem o udo i przywierać do jego twardego kutasa. Mam mgliste wrażenie, że piecze mnie dolna warga. Wprost tonę w jego smaku, w rozkoszy pocałunku, w jego dekadencji, a nawet w tym, jak ujmuje moją twarz w dłoniach i jak przytrzymuje mi głowę, by wziąć wszystko, czego potrzebuje. W zamian otrzymuję

wszystko, czego pragnę, choć nawet sama nie wiedziałam, że mam tak silne potrzeby.

Jęczę w jego usta. Moje serce lśni jak żarówka. Staję na palcach i odwzajemniam jeszcze mocniej pocałunek.

Gdy Liam nagle się ode mnie odrywa, tak kręci mi się w głowie, że prawie upadam.

Stoimy i ciężko dyszymy. Czuję na policzku jego gorący oddech i pulsującą erekcję na moim kroczu.

– Więc jak? – domaga się odpowiedzi szorstkim głosem.

– Więc nie było najgorzej… – odpowiadam słabo.

Przysuwa usta do mojego ucha i szepcze:

– Nie igraj ze mną. – Jego głos jest rozkoszny, mroczny i władczy.

Słodki Boże, marzę, żeby zedrzeć jego ciuchy i wspiąć się na niego jak na drzewo. Majaczę z żądzy. To chyba nienormalne. Nie, żeby w całej naszej sytuacji było coś normalnego, ale nachodzą uderzenia gorąca na dobre ćwierć wieku przed menopauzą.

Mam zamknięte oczy i wciąż trzymam go mocno za marynarkę.

– To był… – zaczynam.

Czeka na werdykt naprężony i tak napięty, że aż chyba naelektryzowany.

– Najlepszy pocałunek w moim życiu, do cholery – kończę.

Liam wypuszcza powietrze z płuc, obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie.

– Czy to znaczy: „tak”?

Stękam z rozdrażnieniem i kryję twarz w jego klacie.

– To takie dziwne.

– Nie myśl za dużo, tylko kieruj się instynktem – poucza mnie. Kwilę zrezygnowana, a on dodaje: – Kurwa, muszę usłyszeć ten odgłos, gdy w tobie będę.

Chyba chce mnie zabić. Próbuje usmażyć mi mózg tonami testosteronu, żeby mógł przerzucić mnie przez ramię, zawlec do jaskini i się ze mną zabawić. Poprawka, żebyśmy mogli pozabawiać się nawzajem. Nie mam wątpliwości, że eksperymencik, który zaproponował, to transakcja dwustronna. Da mi masę rozkoszy, ale równie dużo sobie odbierze. Zadba o to, że gdy dwadzieścia osiem

dni później mnie odeśle, będę miała zeza, miękkie nogi i głupkowaty uśmieszek na twarzy.

Dwadzieścia osiem dni, jest horror o takim tytule. Zwykły zbieg okoliczności czy zły znak?

Ale patrząc inaczej, mogłoby to być cudowne. To mogłoby być absolutne marzenie. Żadnych zobowiązań, tylko nieustający seks z najgorętszym facetem, jakiego spotkałam, a do tego nieco odpoczynku od codziennych spraw.

Och, kogo ja oszukuję? Przecież to szaleństwo!

Odsuwam się i patrzę mu głęboko w oczy.

– Pokusa jest ogromna, ale jak dla mnie to zbyt odjechane i za mało praktyczne.

Liam ignoruje pierwszy komentarz i rzuca się na drugi.

– Mało praktyczne? Niby dlaczego?

– Nie mogę przez miesiąc nie chodzić do pracy.

– Owszem, możesz – przerywa mi. – I jeszcze szef będzie ci płacił.

Wykrzywiam usta, bo wiem, że ma rację. Biorąc pod uwagę, jak Buddy trzęsie spodniami przed Liamem, pewnie zapłaciłby mi za rok z góry, gdybym tylko zechciała.

Okej, przejdźmy do następnego punktu obrad.

– Uczelnia – rzucam hasłem.

– Semestr kończy się za trzynaście dni. Egzamin adwokacki masz pod koniec lipca. Zostają dwa miesiące przerwy.

Patrzę na niego zaskoczona.

– Skąd to wiesz?

– Odrobiłem zadanie domowe. Następny argument, pani adwokat?

– Nie, pytanie pomocnicze. Sprawdzałeś moją przeszłość albo coś w tym stylu? – dopytuję.

– Jeżeli nazwiesz zadanie twojej współlokatorce kilku pytań sprawdzaniem, to owszem.

– Och – wyduszam z siebie.

– Co się marszczysz?

– Zastanawiam się, jakie jeszcze prywatne szczegóły na mój temat zdradziła ci moja współlokatorka. Papla z niej…

– Nie odbiegajmy od tematu. Masz jeszcze jakieś obawy?

Jego oczy wciąż intensywnie płoną. Prowadzą mnie w sidła rozkojarzenia, więc obracam się i przechodzę na drugą stronę pokoju, oddalając się na bezpieczniejszy dystans. Opieram się o małe biurko, przy którym się uczę, krzyżuję ręce na piersi i patrzę na niego spode łba.

– Okej, przejdźmy do sedna. Z tego, co opowiadałeś o swoim życiu, wynika, że czujesz strach. Boisz się, że jeśli będę spędzała z tobą więcej czasu, to znajdę się w niebezpieczeństwie. – Liam czeka i aż paruje niecierpliwością. – A to oznacza, że jeżeli zatrzymam się u ciebie, w twoim domu…

– Tam nic ci nie grozi – wtrąca ostro. – To twierdza. – Unoszę pytająco brew, więc dodaje: – To była przenośnia. Po prostu mam w domu zabezpieczenia technologiczne. – Macha lekceważąco ręką, żeby zasygnalizować, że posiada wiele urządzeń ochronnych, na których temat nie chce mu się szczegółowo rozwodzić. – Chodzi mi o to, że będziesz tam bezpieczna, a nawet znacznie bezpieczniejsza niż tutaj. Do kurwy nędzy, przecież tu nie masz nawet rygla w drzwiach.

Przyglądam mu się badawczo. Milczę zdecydowanie zbyt długo, bo w końcu rzuca niecierpliwie:

– No mów! – wydziera się.

– Wygląda na to, że pomyślałeś o wszystkim – mówię spokojnie. – Problem w tym, że ten misterny plan ma lukę, której nie wypełnią żadne z twoich nieskazitelnych rozwiązań.

– A mianowicie?

– Emocje.

Odpowiada mi ciszą i zgrzytaniem zębów.

– Po miesiącu totalnego oddania się sobie nawzajem, nie będzie łatwo zerwać tej więzi, Liamie. Już teraz jest bardzo intensywnie, a nawet nie…

– To nie będzie problem.

– Skąd ta pewność?

Przez chwilę przygląda mi się bacznie, po czym odwraca się gwałtownie w stronę okna. Przeczesuje włosy dłonią i poprawia krawat.

– Miłość to luksus, na jaki nie mogę sobie pozwolić – mówi cicho.

Patrzę na ten przystojny, ostry profil. Z oblicza Liama nie da się absolutnie nic wyczytać.

Ciekawe, czy kiedykolwiek przebiję się do wnętrza tego mężczyzny i czy kiedykolwiek pozwoli mi zajrzeć za tę czarną, aksamitną kurtynę. Już wiem, że jest zdolny zarówno do przemocy, jak i namiętności, lecz pomiędzy tymi skrajnościami leży jego mroczne serce i tajemnica jego prawdziwego „ja".

Gdzieś w głębi Liama Blacka tkwi klucz do wszystkich jego sekretów, ale wątpię, bym miała okazję kiedykolwiek go odnaleźć. Na tę myśl robi mi się ogromnie smutno.

– A kto powiedział, że mówię o tobie? – szepczę.

Obraca się do mnie z błyskiem w oczach. Nasze złączone spojrzenia tworzą niewidzialny obwód, dzięki któremu powstaje między nami chemia. Moje serce wpada w szał.

– Ostrzegałem cię, że to samolubne rozwiązanie – burczy.

– Owszem. Ostrzegałeś też, że powinnam cię spoliczkować i wykopać za drzwi, ale usilnie starasz się, bym postąpiła odwrotnie. Nie wiem, której wersji ciebie mam słuchać. Kupidyna czy Doktora Dooma?

Liam podchodzi do mnie nieśpiesznym krokiem, nie odrywając wzroku od moich oczu. Kiedy się zbliża, chwyta mnie za nadgarstki i zakłada sobie moje ręce na ramiona. Przyciąga mnie do siebie, nachyla się i mruczy mi wprost do ucha:

– Posłuchaj głosu serca. Nie będę cię namawiał, powiem tylko jedno: nigdy nie pragnąłem nikogo tak jak ciebie. Ofiaruj mi dwadzieścia osiem dni, a w zamian dam ci wszystko, co mam na tym świecie. Nie mogę obiecać ci wieczności, ale mogę obiecać miesiąc, którego nie zapomnisz do końca swoich dni.

Następnie łapie moje włosy w garść i namiętnie całuje. Ten pocałunek jest ostry i rozpaczliwy, a jego namiętność jest wręcz wstrząsająca. Moc jego pragnienia może zwalić z nóg.

Odsłania przede mną tylko zapowiedź, namiastkę tego, co trzyma w zanadrzu. To malutkie okienko, przez które widać bezkresny ocean uczucia, które zamknął na trzy spusty w głębi siebie.

Przeraża mnie to, jak bardzo uzależniający jest ten przedsmak.

Łapię go mocno i odwzajemniam pocałunek z pełną świadomością, że to fatalny pomysł. Naprawdę obawiam się, że wyrażę zgodę na ten plan.

Liam odrywa się ode mnie, ciężko dysząc.

– Wyjeżdżam jutro o szóstej rano – zapowiada ochrypłym głosem. – Masz mój numer. Jeżeli nie odezwiesz się do tego czasu, potraktuję to jak odmowę.

Puszcza mnie i odchodzi. Długie nogi niosą go ze zdumiewającą szybkością. Słyszę, jak drzwi do mojego mieszkania otwierają się i zamykają.

Zostaję sama z kołatającym sercem i milionem pytań bez odpowiedzi. Jak niby mam podjąć taką decyzję, do cholery? A jeżeli się zgodzę, to w co dokładnie się wpakuję?

Zerkam na leżącego na szafce obok łóżka laptopa.

– W porządku, panie Black – mruczę, podchodząc do komputera. – Sprawdźmy, czego można się o panu dowiedzieć.

Rozdział 14

Tru

Po trzech godzinach i dwóch trzecich butelki chardonnay odpowiedź brzmi: niczego. Jakże pomocny Google znalazł sto siedemdziesiąt cztery miliony wyników dla zapytania: „Liam Black". Następnie wgryzłam się w wyszukiwanie zdjęć i w media społecznościowe. Nawet próbowałam sprawdzić jego numer telefonu. Szukałam informacji w materiałach bostońskiej policji. Wpisywałam jego nazwisko plus słowo: „egzekwowanie". Próbowałam różnych wersji zapisu jego nazwiska, przeczesałam irlandzkie strony genealogiczne i amerykańskie rządowe bazy danych, a nawet zapłaciłam trzydzieści dolców za jeden z tych raportów sprawdzających, które ponoć gwarantują rezultaty.

Zasadniczo powykręcałam własny mózg jak precelka, żeby odnaleźć choć strzępek informacji, ale wszystko na nic. Liam Black to duch albo pseudonim.

Rozlega się pukanie do zamkniętych drzwi mojego pokoju.

– Joł! Jesteś przyzwoicie ubrana? – woła Ellie z korytarza.

– Ogólnie staram się prowadzić przyzwoicie. Wchodź.

Wsuwa głowę przez drzwi i patrzy na mnie, a ja prostuję się na łóżku z laptopem na kolanach i aż buzuję z frustracji.

– Wszystko okej?

– Zdefiniuj wyrażenie „okej".

Zastanawia się przez chwilę, a po chwili odpowiada:

– Porządnie się wyspać, dobrze zjeść i dojść choć raz w ciągu ostatnich ośmiu godzin.

– Podzielam twoje ambicje, przyjaciółko.

– To proste przyjemności – mówi z uśmiechem. – A skoro jesteśmy przy jedzeniu, to wybieramy się z Tyem do South Creek Pizza. Piszesz się?

– Trochę jestem zapracowana.

Spogląda na niemal osuszoną butelkę wina stojącą na szafce nocnej, a potem znowu na mnie.

– Czy coś dzisiaj jadłaś?

– A sok winogronowy się liczy?

Robi krzywą minę, otwiera szerzej drzwi, wchodzi do pokoju i staje przede mną, łapiąc się za biodra. Ma na sobie obcisłą czarną mini, krótką, czerwoną, skórzaną kurteczkę i białe skarpetki z koronką, a do tego szpilki. Wygląda jak gwiazda jakiegoś teledysku z lat osiemdziesiątych.

– Nie, pijaczyno. Sok winogronowy się nie liczy. Przyniosę ci trochę pizzy.

– Nie kłopocz się. Mamy w mieszkaniu zapasy na dobre pół roku. Gdyby ktoś zajrzał do naszej kuchni, to pomyślałby, że przygotowujemy się na koniec świata.

Ellie podchodzi i przysiada na krawędzi łóżka. Ściska mnie delikatnie za kostkę i mówi:

– Dziewczyno.

– Noo? – odpowiadam, wpatrując się w monitor.

– Wyglądasz, jakby dopadło cię zaparcie, czyli jak zawsze, gdy coś nie gra. – Kiedy podnoszę na nią spojrzenie, wydyma usta. – Rzuciłaś to irlandzkie ciacho, prawda?

Wzdycham, zamykam laptopa i przecieram oko pięścią.

– Chciałabym, żeby to było takie proste.

– No to co jest?

Z zaciekawieniem i iskrami w oczach obraca się w moją stronę. Ellie niczego nie kocha tak bardzo jak plotek. No, może z wyjątkiem *Kawalera do wzięcia*, ale nie licząc reality show, to plotki są u niej na pierwszym miejscu.

Przez chwilę przygryzam dolną wargę i zastanawiam się, jak dużo mogę jej powiedzieć, aż w końcu decyduję się na wybór najbezpieczniejszej opcji.

– Nic, wszystko gra.

Krzyżuje ręce na cyckach i surowo na mnie patrzy.

Przewracam oczami, podciągam kolana pod brodę i obejmuję je rękami.

– Okej, wcale wszystko nie gra. Tylko że to wszystko jest takie skomplikowane… Zapomnij o tym.

Nie dodaję nic więcej, więc w końcu Ellie mówi:

– Wiesz, że totalnie ssiesz w babskich sprawach?

– Jakich znowu sprawach?

– W pogaduchach, w otwieraniu się, w dzieleniu się uczuciami i rozterkami. – Gdy mówi o uczuciach, pokazuje palcami w powietrzu cudzysłów.

Wielu ludzi już mnie o to oskarżało, więc odruchowo przechodzę do defensywy.

– Nic na to nie poradzę. Dorastałam na farmie! Tam ludzie mają gdzieś twoje problemy, no chyba, że krwawisz z którejś z głównych tętnic albo kończyna wisi ci na skórze.

– Ale już nie jesteś na farmie – odpowiada stanowczo. – Nigdzie w okolicy nie widać traktorów, kogutów ani krowich dojarek. Opowiadaj, co się dzieje z Liamem.

Opadam ciężko na poduszki i wlepiam wzrok w sufit. Wiem, że będzie mnie męczyła, dopóki nie dam za wygraną, więc streszczam całą sytuację w jednym zdaniu:

– Chce, żebym wprowadziła się do niego na miesiąc, po którym już nigdy mamy się nie spotkać.

Zapada długa cisza.

– Czyli jest żonaty i upchnął gdzieś żonę na miesiąc.

– Gorzej – mówię i podnoszę głowę, żeby na nią spojrzeć.

– A co może być gorszego?

– Jak to opisać? – zastanawiam się na głos, po czym znowu kładę głowę na poduszkach. – Liam jest uczuciowo niedostępny.

– Ha! – wybucha śmiechem. – Stara, no tak to już jest, jak tylko masz jądra!

Moje słowa w ogóle nie zrobiły na niej wrażenia, dlatego muszę posłużyć się innym przykładem.

– On jest bardzo, bardzo, bardzo tajemniczy, enigmatyczny i nieprzenikniony.

– Pff – prycha. – A co, chcesz znać wszystkie zawiłości jego prywatnego życia? Jak często sobie wali? Jak często wyrywa sobie włosy z nosa albo goli jaja?

– No, to babskie dzielenie się emocjami rzeczywiście jest kapitalne – wzdycham ciężko. – Już wiem, dlaczego tak to lubisz.

– Skończ z tym sarkazmem. Troszkę tajemnicy w związku to dobra rzecz, a nie problem.

– Ellie, to zdecydowanie ponad troszkę. Mówimy tu o tajemnicy w stylu istnienia wielkiej stopy albo zabójstwa Kennedy'ego, ewentualnie tego, co się dzieje w Trójkącie Bermudzkim. To wielka tajemnica.

– A może sama ją wyolbrzymiasz.

– Niczego nie wyolbrzymiam. Po prostu tak jest.

– Hmm…

Chyba mi nie wierzy. Przez chwilę patrzy na mnie z dezaprobatą, po czym stwierdza:

– Czy mogłabym coś zauważyć? Wiedz, że nie chcę cię urazić.

– Wiesz, że gdy tak zaczynasz, to rozmówca i tak poczuje się urażony, prawda? – utyskuję. – Tak postawione pytanie nie sprawi, że będziesz mniej obraźliwa.

– Potrzeba ci faceta – oświadcza, ignorując moje zastrzeżenia. – I nie patrz tak na mnie. Wiem, co mówię. Miałaś w życiu jeden dłuższy związek…

– Który zakończył się koszmarnie, nie zapominajmy o tym – przerywam jej.

– A po nim już nic, wielkie zero – kończy swoją myśl. – To niezdrowe, Tru. Twoja wagina jest zapewne skurczona jak suszony pomidor. Jesteś za młoda na celibat. Poczekaj z rezygnacją z seksu do kilku lat po ślubie, jak każdy człowiek.

– Nie spodziewałam się, że będę musiała bronić mojego życia seksualnego przed współlokatorką, która jest feministką – rzucam zrezygnowana, patrząc w sufit. – Czy kobiety nie powinny wspierać się nawzajem w podjętych decyzjach?

– Ej, przecież cię nie oceniam – odpowiada, wzruszając ramionami. – Sama miałam tylu partnerów seksualnych, że przestałam się tym przejmować, gdy ich liczba wyrównała mój wiek. Po prostu stwierdzam fakty.

– A czy te twoje urocze fakty mają jakiś cel?

– Owszem.

– Mianowicie? – pytam, przenosząc na nią spojrzenie.

Uśmiecha się z samozadowoleniem.

– Dziewczyno, miesiąc bzykania z najseksowniejszym towarem eksportowym Irlandii od czasów Colina Farrella to jak wygrany los na loterii, spełnienie zasranych marzeń. To idealna droga do powrotu na wody związków, ale bez konieczności podejmowania długofalowych zobowiązań. Swoją drogą, pewnie zapomniałaś, jak wspaniały jest seks bez gumek.

– Kręci mi się w głowie. Jak przeszłyśmy od loterii do gumek?

– Cóż, oczywiście oboje musicie zrobić testy na choroby weneryczne – stwierdza Ellie, włączając rzeczowy ton.

– Nie mam żadnych chorób wenerycznych!

– I chcemy mieć pewność, że on również. Najlepiej postaw to jako warunek przeprowadzki. – Patrzę na nią z niemym niedowierzaniem, więc wzdycha i dodaje: – Stara, no na serio. Spójrz na niego. Kobiety pewnie rzucają w niego swoimi pochwami na ulicy.

– Cudowna wizja – komentuję ozięble. – Bardzo ci za nią dziękuję.

– Mówię tylko, że Liam należy do facetów, którzy wprawiają cipki w szał. Jest bogaty, kulturalny i piękny. Dodaj to wszystko do siebie i masz szaloną cipkę. Ma tyle cipek, że nie mieszczą mu się w kieszeniach.

– Ellie, Jezus Maria, odkąd wysławiasz się jak Snoop Dogg?

– Wybacz, słucham ostatnimi czasy sporo świńskiego rapu. Tyler jest nim mocno zauroczony. Lubi sobie puszczać, gdy jedzie mnie od tyłu.

– Mogłabyś już iść po tę pizzę? – proszę ze zniesmaczoną miną. – Dobija mnie to całe dzielenie się emocjami.

Ellie wzdycha teatralnie, wstaje i patrzy na mnie z góry, podpierając ręce na biodrach.

– Streść mi to. Jak brzmi twój główny argument przeciwko miesięcznemu romansowi z tym wybitnym przedstawicielem rodzaju męskiego?

– Rany, od czego by tu zacząć? – mówię, ale rezygnuję z sarkazmu: – Nic o nim nie wiem. Nie wiem, ile ma lat, gdzie mieszka, z czego żyje i czy ma jakieś ciuchy poza czarnymi garniturami od Armaniego. Nie wiem, co lubi jeść, jakiej muzyki

słucha i na kogo głosuje. Szczerze mówiąc, nie mam nawet pewności, czy pochodzi z tej planety.

– To nie słyszałaś, że faceci są z Marsa? – pyta z kamienną miną.

– O mój Boże. – Zasłaniam twarz laptopem, bo nie chcę na nią dłużej patrzeć.

– Tru, to nie jest materiał na męża, więc w ogóle się tym wszystkim nie zamartwiaj!

Zerkam na nią zza krawędzi monitora. Odwzajemnia się uśmiechem.

– Przeżyjesz z tym boskim Irlandczykiem najlepszy seks w życiu, a potem ruszysz dalej. Goście jego pokroju nie nadają się do długiej drogi.

– Do jakiej długiej drogi? O co ci chodzi?

– Najprostszy przykład: czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, że przyjeżdżasz z nim do swojego domu rodzinnego na Boże Narodzenie?

Zastanawiam się przez chwilę. Liam, elegancki, tajemniczy twardziel, czytelnik zmarłych francuskich powieściopisarzy w ekskluzywnym garniturze od Armaniego… na amerykańskiej farmie. Matka podałby zarżniętą własnoręcznie z rana gęś, ojciec zaproponowałby pokaz własnoręcznie odstrzelonych w stodole zakonserwowanych skunksów i oposów, a bracia schlaliby się i próbowali z nim siłować. Za to siostry zaczęłyby flirtować, nasz byk pewnie znowu uciekłby z zagrody, a babcia próbowałaby opowiadać o dniu, w którym świnka Truvy obżarła się mydlinami.

– Stanowczo i niepodważalnie nie – odpowiadam, zsuwając laptopa na wysokość klatki piersiowej.

– A co z obowiązkami domowymi, koszeniem trawników i zmienianiem pieluch?

– Nie, nie, definitywnie nie!

– I właśnie dlatego ten plan jest idealny! – Szczerzy się jak przewodnicząca kółka dyskusyjnego, która właśnie wygrała puchar.

Siadam, zwieszam nogi z łóżka i mówię ciężko:

– Musiał cię zahipnotyzować, bo przecież nie lubisz ludzi.

– Ogólnie rzecz biorąc, ludzie są do bani – odpowiada, wzruszając ramionami. Ale on jest prawdziwym, rzadkim jak biały kruk, gorącym

ciachem, które musisz wydymać na wszystkie sposoby, aż myszka ci odpadnie. A potem wrócisz do domu i wszystko opowiesz mi ze szczegółami.

– To nie jest kolejny odcinek *Żon Beverly Hills*! To moje prawdziwe życie! – oburzam się, wyrzucając ręce do góry.

– Nie, to tylko miesiąc twojego życia. Ale jeżeli nie jesteś zainteresowana, to przekaż mu, że ja się piszę.

– Ellie!

Widząc moje obruszenie, przewraca oczami.

– No dobra, mogę przystać na trójkąt.

– Och, czyżby? – pytam cierpko. – A co Ty by na to powiedział?

– Dziewczyno – prycha. – Gdybym miała okazję wskoczyć z Liamem pod kołderkę na choćby dziesięć minut, to Ty mógłby nie istnieć.

Odwraca się i odchodzi w stronę drzwi mojej sypialni. Zatrzymuje się w progu, posyła mi surowe spojrzenie i mówi:

– Zjedz coś.

– Dobrze, mamo.

Kręci głową z politowaniem i wychodzi.

Opadam na łóżko i długo myślę. Wodzę oczami po pęknięciach w suficie i rozważam swoje położenie i sytuację, w której się znajduję. Ostatecznie wszystko sprowadza się do walki logiki z hormonami. Pragnę go. To niepodważalny fakt. Nie ulega też wątpliwości, że łączy nas wybuchowa chemia i aż konam z ciekawości, by dowiedzieć się czegokolwiek na jego temat. Bazując na samym pocałunku, jestem pewna, że seks będzie nieziemski, ale Liam jest niebezpieczny. I nie chodzi tu o kwestie w stylu prowadzenia samochodu po kilku drinkach. On jest śmiertelnie groźny, a ja, mieszkając u niego, będę kompletnie bezbronna. Nawet nie wiem, gdzie mieści się jego dom. Co, jeżeli pod koniec tych dwudziestu ośmiu dni uzna, że mnie nie wypuści? Powiedział, że nie chce niewolnicy, ale właśnie tak powinien mówić ktoś, kto jej chce, prawda? Co, jeśli skończę przykuta do ściany w klatce w jego piwnicy?

– Zabezpieczenia – mówię sama do siebie. – Ktoś musi wiedzieć, gdzie jestem, i kiedy mam wrócić.

Okej, to da się zrobić. Mogę uzależnić od tego zgodę. Ponadto mogę codziennie meldować się przez telefon. Na przykład, jeżeli do dziesiątej rano każdego dnia Ellie nie usłyszy ode mnie wieści, to zadzwoni na policję i zgłosi podejrzenie przestępstwa na adres Liama.

Przez całe dwie sekundy wydaje mi się, że to wyborny pomysł, lecz potem przypominam sobie, że Liam chyba opłaca gliniarzy. I że nie znam jego adresu, więc mogłaby jedynie powiadomić prasę. Albo mojego kuzyna Bubbę Joe. Albo kogokolwiek. Chodzi o to, że Ellie mogłaby gwarantować mi bezpieczeństwo, gdyby coś poszło nie tak.

Nie, to zły pomysł.

Jeżeli uważam, że Liam stanowi dla mnie zagrożenie, to w ogóle nie powinnam się godzić. Powinnam natychmiast odmówić i pogodzić się z tym, że to koniec historii o tajemniczym panu Blacku. Problem w tym, że wcale nie jest dla mnie niebezpieczny. Wiem, choć nie mam pojęcia skąd, że Liam nigdy by mnie nie skrzywdził. Zawsze czuję się przy nim bezpieczna. W gruncie rzeczy wierzę, że zaryzykowałby dla mnie własne życie. Przecież raz już tego dowiódł. Tak czy owak, nie jest to nic normalnego. Jego prośba jest odrealniona. Nie mogę zapomnieć o rozważeniu scenariusza odwrotnego do uwięzienia. Co będzie, jeśli bez mrugnięcia okiem pozwoli mi odejść? Jak się będę czuła, jeżeli po dwudziestu ośmiu dniach z radością odeśle mnie i nie będzie chciał więcej widzieć? Uzna za coś zużytego, czego po prostu można się pozbyć, o czym łatwo może zapomnieć.

Warczę zirytowana i przecieram twarz dłońmi, a potem znowu dumam nad tym wszystkim. W końcu uznaję, że jeżeli chcę zdobyć odpowiedzi na choć część pytań, to muszę zwrócić się bezpośrednio do źródła. Dlatego też w końcu wysyłam mu SMS-a z prośbą, by zadzwonił, gdy tylko będzie to możliwe.

Mój telefon odzywa się niecałą minutę później.

– Powiedz, że się zgadzasz – rzuca, zanim zdążyłam się przywitać.

Zwijam się po mojej ulubionej stronie łóżka, przymykam oczy i wzdycham.

– To nie brzmi jak zgoda. – Zauważa.

– Jesteś w stanie zrozumieć, jakie to dla mnie dziwne?

Odpowiada po jednym uderzeniu serca, a jego głos jest nagle o oktawę niższy.

– Jak najbardziej, mała. Potrafię. Dla mnie to też jest dziwne.

– Jakim cudem? Przecież to twój cyrk.

– Bo nigdy nie miałem takiej obsesji na punkcie kobiety – burczy w odpowiedzi.

Uderza mnie naga szczerość w jego głosie.

– Naprawdę? – szepczę.

– Ano, czuję się jak jakiś brudny, zajebany ćpun. – Na kilka chwil chwytam się tych słów i się nimi napawam. – Martwisz się
– kontynuuje. – Niepotrzebnie. Zajmę się tobą, masz moje słowo.

Słyszę w tle jakieś męskie głosy. Jest ich kilka, każdy z nich wydaje się wściekły. Brzmi to na kłótnię prowadzoną po gaelicku.

– Muszę już lecieć. Przez jakiś czas nie będzie możliwości, aby się do mnie dodzwonić. – Jego głos znów robi się szorstki. – Powiedz „tak", Tru. Zrób to teraz.

Otwieram usta, by wypełnić jego polecenie, ale coś mnie powstrzymuje.

Być może chodzi o ton tych głosów w tle, może o to, że nasłuchałam się dość jego żądań, a może umysł właśnie w tym momencie postanowił przypomnieć mi o przestrodze Buddy'ego, bym zawsze korzystała z mózgu i oczu. W każdym razie ni z tego, ni z owego nabieram przekonania, że zgoda na tę wariacką propozycję byłaby błędem. Błędem, po którym mogłabym się nie pozbierać.

– Przykro mi, Liam – mówię cicho. – Ale zamierzam posłuchać twojej rady i odmawiam.

Następuje moment ogłuszającej ciszy.

– Rozumiem.

Biorę w płuca haust powietrza, a serce wali mi w klatce, choć nawet nie wiem dlaczego.

– Miejmy nadzieję, że zdołam uszanować tę decyzję – dodaje mrocznie.

Komórka, którą trzymam w dłoni, milknie.

Rozdział 15

Tru

Po tygodniu siniaki zniknęły, więc wznowiłam pracę, a życie wróciło do normalności. Liam od czasu naszej ostatniej rozmowy się nie odezwał. Nie wiem, czy kiedykolwiek to zrobi, ale wspomnienie pocałunku w sypialni na zawsze odcisnęło piętno w moich myślach, podobnie jak słowa, którymi mnie pożegnał. Przerabiałam je w głowie z tysiąc razy. Tę wymowną pauzę, mroczny głos, znaczenie całości. Nie wiem, co o tym sądzić. Wiem tyle, że nie spodziewał się odmowy i nie był pewien, czy ją zaakceptuje.

Nie pozwoliłam zapuszczać się głębiej w tok myśli, bo to wyjątkowo grząski grunt.

– Organizujesz coś z okazji obrony dyplomu? Rodzinka przyjeżdża?

Pytanie Carli wywołuje u mnie parsknięcie śmiechem. Jest niedzielna noc, a moja zmiana u Buddy'ego właśnie dobiega końca. Niemniej nie śpieszy mi się do domu, bo Ellie i Ty uprawiali w minionym tygodniu tyle hałaśliwego seksu, że już krwawią mi uszy.

Mam wyrzuty, że tak myślę, ale ucieszę się, gdy znowu zerwą.

Tymczasem muszę sobie sprawić zatyczki do uszu, bo inaczej nigdy się nie wyśpię.

– Boże, nie. Oni nigdy nie zapuszczają się poza Teksas.

– Serio? Czemu nie?

– Tata ma klaustrofobię. W samolocie zacząłby wyć jak słoń. Z kolei mama nie rusza się z domu, żeby nie zostawiać go samego, bo albo sfajczyłby dom, próbując sobie zrobić coś do jedzenia, albo pozwoliłby Daisy spać w ich łóżku.

Carla patrzy na mnie przez chwilę.

– Proszę, powiedz, że Daisy to pies.

– Osiołek.

– No tak, mogłam się domyślić – mamrocze i się oddala.

– Sama zapytałaś! – wołam za nią.

Idę na zaplecze z szerokim uśmiechem na ustach. Diego pracuje przy grillu. Kiedy go mijam, podnosi podbródek, ale się nie odzywa.

Odkąd wróciłam do pracy, mało rozmawiamy. Trzyma się na dystans i jestem za to wdzięczna. Po tym, jak mnie wtedy objął i groził Liamowi, nadal czuję się niekomfortowo. Musiał to wyczuć, bo jego żartobliwość i wesołość zniknęły.

W pokoju dla personelu wieszam fartuch w szafce i zmieniam buty. Następnie wkładam płaszcz – nadal nie wiem, co stało się z płaszczem, który miałam podczas napadu – i biorę torebkę.

Kiedy się odwracam, widzę Diega opierającego się o futrynę. Wbija wzrok w podłogę.

– Jestem ci winien przeprosiny – mówi przytłumionym głosem.

Tak mnie zaskoczył, że na chwilę odbiera mi mowę. Zerka na mnie i uśmiecha się nieśmiało.

– Przesadziłem, gdy, no wiesz, powiedziałem to coś o tym facecie w czerni.

To, że go zabijesz?! Tak, wiem.

– Yyy, tak, to było trochę zaskakujące.

– Wystraszyłem cię – mówi, unosząc wyżej kącik ust.

– Szczerze mówiąc, to ogólnie byłam wtedy wystraszona – odpowiadam i odwzajemniam uśmiech.

Diego wzdycha i odbija się od futryny.

– No, nie popisałem się wyczuciem czasu ani manierami. Natrętny chujek-macho to ostatnie, z czym chciałaś się wtedy użerać. Naprawdę mi przykro.

Jestem poruszona. Zachowuje się tak uroczo, przy czym widzę, że mówi szczerze. Wygląda jak mały chłopczyk opierniczony za podwędzenie ciasteczka.

– Przyjmuję przeprosiny – mówię ciepło. – Nie wracajmy do tego.

Przez chwilę przygląda mi się badawczo, a potem uśmiecha się szeroko.

– Umowa stoi.

Po chwili niezręcznej ciszy Diego pyta:

– Jedziesz do domu?

– Tak – odpowiadam, kiwając głową – ale niestety nie do łóżka. Muszę oddać jutro pracę pisemną, a jestem w ciemnym lesie.

– Myślałem, że jesteś już po egzaminach – mówi, marszcząc czoło.

– Tak, ale jeden profesor wychodzi z założenia, że w jego obowiązku leży doprowadzenie studentów do ostatecznej rozpaczy – wyjaśniam kwaśno. – Będziemy harowali jak woły do ostatniej minuty ostatnich zajęć w piątek.

– Do bani. A kiedy masz wręczenie dyplomów?

– Tydzień później, ale nie będę na nim obecna.

– Dlaczego? – pyta zaskoczony. – Tak ciężko na to pracowałaś.

– Po pierwsze, nie znoszę tłumów. Mam uczulenie na tłok. Rozdanie świadectw na zakończenie ogólniaka też sobie odpuściłam. Całe to zamieszanie… – Wzruszam ramionami. – Poza tym moja rodzina i tak nie przyjeżdża, więc nie ma sensu iść.

– Nie zgadzam się – mówi, ściągając brwi. – Musimy uczcić twój sukces. Może wybierzemy się na kolację? Niech to będzie dla ciebie wyjątkowy wieczór.

Zmraża mnie, a potem zaczynam panikować. Skręca mnie w żołądku i wysychają mi usta.

– Yyy… Diego, nie chcę cię urazić, ale to chyba kiepski pomysł. Ty i ja…

– Z Carlą i Buddym – dodaje swobodnie. – I twoją współlokatorką, jeśli chcesz. Im nas więcej, tym weselej, prawda?

– Brzmi miło – odpowiadam niepewnie.

Uśmiecha się od ucha do ucha, obnażając idealnie białe zęby.

– Super. Daj znać, gdzie chcesz świętować i jak dużo nas będzie. Ja zajmę się rezerwacją.

– Dzięki, Diego.

– Dla ciebie wszystko, *chica*.

Odwraca się i odchodzi, a ja patrzę za nim z dziwnym uciskiem w piersi i wrażeniem, że tak naprawdę wcale nie chodziło mu o grupową randkę.

* * *

Miałam rację, ostatni tydzień zajęć to katusze. Nie mam czasu na nic poza nauką, pracą, zajęciami i znowu nauką. Złożyłam podania o staż w kilku miejscowych kancelariach, bo nie mam stuprocentowej pewności, czy zdam egzamin adwokacki za pierwszym podejściem, a takie doświadczenie dobrze wyglądałoby w CV.

Myśli o Liamie uporczywie trwają w zakamarkach umysłu, ale jestem na tyle zajęta, że przez większość czasu udaje mi się je ignorować. Z wyjątkiem nocy. Wtedy leżę w łóżku wgapiona w sufit i, słuchając odgłosów dzikiego seksu Ellie i Tylera, wyobrażam sobie mnie z Liamem razem. To udręka. Ciekawe, czy to kara za jakieś straszne uczynki w poprzednim wcieleniu.

Ale Ellie aż promienieje szczęściem, więc zachowuję się jak dobra przyjaciółka i nie wspominam ani słowem, że jej wspaniałe życie łóżkowe mnie dobija. Zresztą i tak powiedziałaby, że jestem po prostu zazdrosna. I miałaby rację.

W sobotę po ostatecznym zakończeniu zajęć poprosiłam Diega, żeby zarezerwował miejsce na kolację w bardzo modnej knajpie, w której jeszcze nie byłam. Ellie ją zaproponowała. Carla przychodzi z mężem, a ona z Tyem. Buddy odmówił, więc zostało nas sześcioro.

Do restauracji jadę z Ellie i Tyem. Gdy docieramy na miejsce, Diego, Carla i jej mąż Dave czekają już na nas przy barze. Jedno spojrzenie na Diega i pęka mi serce. Założył bardzo ładny granatowy garnitur, a do niego białą koszulę, szary krawat i czarne lakierki wypolerowane na taki połysk, że aż oślepiają. To nie jest strój mówiący „jesteśmy tylko przyjaciółmi”.

Kiedy tylko mnie zauważa, zrywa się z krzesła, mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów i gwiżdże.

– *Chica*, wyglądasz pięknie. Ależ kiecka!

Rzeczona kiecka to czerwona, obcisła sukienka bez rękawów z dekoltem w serek i małymi, kryształowymi guzikami z przodu. Odsłania więcej, niż bym chciała, ale założyłam ją pod przymusem.

– Dziękuję, pożyczyłam ją od Ellie. Zagroziła, że nie pokaże się tu ze mną, jeżeli postawię na mój standardowy… – Obracam się do niej, unosząc brew. – Jak raczyłaś to ująć?

– Lidlowski szyk – śmieje się Ellie, wisząc na ramieniu Tya.

– To oksymoron – stwierdza Tyler, uśmiechając się szeroko do ukochanej.

Zaskakujące, że zna definicję tego słowa.

Ty to blondyn po solarce, a jego płytkość można wyczuć z drugiego końca sali. Wygląd mówi o nim wszystko: typowy bogaty, popularny dryblas z liceum, który myśli fiutem i ma tak okazały fundusz powierniczy, że nigdy nie będzie musiał wykształcać tak niewdzięcznych cech charakteru jak szczerość czy empatia. Fakt, że kobieta pokroju Ellie – mądra, atrakcyjna i pewna siebie – chce mieć z nim cokolwiek wspólnego, należy do wielkich zagadek tego świata. Niemniej, sądząc po natężeniu jej wrzasków, ich seks jest fenomenalny.

– Hej, Tru! – Carla wita mnie z szerokim uśmiechem i bierze w objęcia. Ma na sobie mini w panterkę, która wygląda jak domalowana. Jej dekolt aż kłuje w oczy. – Pamiętasz Dave'a?

Wskazuje na stojącego obok faceta z krwi i kości.

Najlepsze lata od niedawna ma za sobą, ale jest przystojny na ten szorstki, krzepki sposób. Wygląda na gościa, którego chciałoby się mieć obok, gdyby samolot rozbił się na bezludnej wyspie. To właśnie on ścinałby palmy i łapał ryby gołymi rękami.

– Gratuluję obrony, Tru – mówi gromkim barytonem.

– Dziękuję, Dave. Nie sądziłam, że się uda.

– Carla mówi, że będziesz adwokatem z urzędu? – dopytuje, przyglądając mi się z uwagą.

– Taki mam plan.

– Brawo. To miasto potrzebuje młodych ludzi o proobywatelskim nastawieniu. Wydaje się, że dziś młodym zależy tylko na selfie i pozowaniu do zdjęć na Instagramie.

– No, właśnie dlatego instagramowi influencerzy zbijają hajs – oświadcza Tyler, zarzucając grzywką. – Tru musi sobie znaleźć dzianego męża, jeśli chce mieć na czynsz. Proobywatelskim nastawieniem nie da się opłacić rachunków, maleńka – kończy i puszcza mi oko.

Rozdrażniona mrugnięciem, jego protekcjonalnym tonem, a zwłaszcza „maleńką", odpowiadam chłodnym tonem:

– Nie interesuje mnie bogaty mąż, w przeciwieństwie do pomagania ludziom, którzy nie mogą sobie pozwolić na przyzwoitą pomoc prawną.

– Czyli spłukanych kryminalistów? – prycha.

Rozdymam nozdrza, czuję falę ciepła na karku.

– Wielu z tych spłukanych kryminalistów to niesłusznie oskarżeni.

– Jasne, jasne – prycha ponownie.

– Żyjący na marginesie społeczeństwa i cierpiący z powodu nałogów lub biedy – próbuję dokończyć.

– Sami sobie winni – wtrąca, przewracając oczami.

– Którzy potrzebują, by ktoś się za nimi wstawił! – kończę głośno. – I chcę być tym kimś!

Znudzony tematem Ty patrzy gdzieś nad moją głową, przyglądając się zgromadzonemu w lokalu tłumowi.

– I trzymaj się tego, maleńka. Tylko nie licz, że sprawisz sobie kiedyś porządne auto.

Dave piorunuje go wzrokiem, Carla uspokajająco kładzie dłoń na jego potężnym przedramieniu, a Ellie, gdy tylko zaczyna wyczuwać, że rozmowa niebezpiecznie się wykoleja, proponuje radośnie:

– Może chodźmy do stolika, co?

Ellie odciąga Tya od hostessy pracującej w pobliżu baru.

– Co za dupek – burczy Diego, obserwując, jak odchodzą.

– Święte słowa, brachu – wtóruje mu Dave.

Kiedy wzdycham, Carla patrzy na mnie ze współczuciem.

– Zaraz skombinujemy ci drinka, kochana.

– I za to cię kocham – mówię ze szczerym uśmiechem.

* * *

Początek okazał się niefortunny, a potem było jeszcze gorzej. Ty upił się drogą tequilą dla celebrytów i bezwstydnie flirtuje z głupawą, nastoletnią kelnerką. Ellie coraz mocniej zaciska usta, aż w końcu prawie znikają. Dave w zasadzie nie mówi, gdyż woli obalać jedno piwo za drugim, równocześnie mordując Tya wzrokiem. Tylko Carla sztucznie trajkocze, żeby wypełnić czymś niezręczną ciszę.

Najgorsze jednak jest to, że Diego zbyt często i zbyt długo się we mnie wpatruje. Co więcej, gapi się, i nawet nie próbuje tego kamuflować.

Dostaliśmy stolik w rogu sali, daleko od parkietu, więc choć muzyka gra głośno, to da się jakoś wytrzymać, w przeciwieństwie do niemal całej reszty, począwszy od pretensjonalnego jedzenia i pretensjonalnych gości, a skończywszy na równie pretensjonalnym didżeju, który po każdym kawałku rzuca: „I jak tam, imprezowicze?!". Gdybym wiedziała, że mają tu parkiet, to nie przyszłabym za żadne skarby.

Po zjedzeniu kolacji Ty głośno beka i patrzy z utęsknieniem na tyłek odchodzącej z talerzami kelnerki.

– Chce ktoś potańczyć?

– Myślę, że na nas już czas – mówi Dave, spoglądając na Carlę, która sztywno się uśmiecha.

– Eee, dajcie spokój, nie idźcie. – Tyler wali Dave'a w ramię.
– Ziomku, imprezka dopiero się rozkręca.

– Carla… – cedzi Dave przez zaciśnięte zęby.

– Tak, czas na nas! – rzuca nerwowo jego żona, posyłając mi przepraszające spojrzenie. – Tru, dziękujemy za przemiłą kolację. To był świetny pomysł. Widzimy się jutro w pracy!

Wstają z Dave'em z krzeseł akurat wtedy, gdy kelnerka przynosi menu deserowe.

– Czy ktoś miałby ochotę na drinka po kolacji – szczebiocze, uśmiechając się do Tya. – Albo na coś słodkiego?

Ty szczerzy się jak kretyn, podczas gdy wyraźnie zdegustowany Dave wyciąga portfel.

– My podziękujemy. Zajmę się rachunkiem.

Chcę zaprotestować, ale kelnerka mówi:

– Och, już zapłacone, proszę pana.

Wszyscy patrzą po sobie. Kiedy staje się jasne, że nikt nie przypisze sobie tej zasługi, Ellie piszczy radośnie do Tya:

– Kochanie, to twoja sprawka?

– Nie.

– Och. – Przygnębiona, przenosi wzrok na Diega: – Więc twoja?

– Też nie.

– Nasz właściciel zadbał o rachunek – informuje nas kelnerka.

Diego wygląda na zbitego z tropu.

– Gdybym wiedział, że karmią tu za darmo, to wpadłbym wcześniej – bełkocze Ty.

– Jak miło – dodaje Carla z wahaniem, jakby była niepewna własnych słów, bo Dave wygląda na zdecydowanie niezadowolonego z takiego obrotu spraw. Niezadowolony to mało powiedziane. On jest wściekły.

– Znasz się z właścicielem? – pyta, patrząc na mnie ostro.

Odruchowo podnoszę rękę w obronnym geście.

– Nie mam pojęcia, czyje to miejsce. Jestem tu pierwszy raz.

Dave patrzy na kelnerkę, a ona na niego. Dziewczyna uśmiecha się sztucznie, rozkłada na stoliku menu z deserami i rzuca: – No to ja je tu tylko zostawię. – Następnie czym prędzej czmycha.

– Dziwne – stwierdza zdezorientowana Carla. – Dlaczego właściciel zapłacił za naszą kolację? Trwa tu jakiś konkurs dla gości?

Dave łapie Carlę za przedramię i przyciąga do siebie. Podejrzliwie się przy tym rozgląda, jakby spodziewał się, że spod pobliskich stolików wyskoczą uzbrojone zbiry.

– Wychodzimy. Natychmiast.

– Dobrze, kochanie, spokojnie! Co w ciebie wstąpiło?

– Liam Black właśnie postawił nam kolację. To we mnie wstąpiło! – warczy wściekle.

Moje serce zamienia się w kamień.

– Kto?

Carla nie ma pojęcia, o kim mówi jej mąż, ale Diego najwyraźniej wie, bo w jednej chwili krew odpływa mu z twarzy. Patrzy na mnie przerażony.

– A kto to jest Liam Black, do chuja? – parska Tyler, po czym Dave bez dalszych tłumaczeń odciąga Carlę. Śpieszy się tak bardzo, że nawet się z nami nie żegnają.

– Nie pochodzisz stąd, prawda? – pyta Diego Tya, choć nadal patrzy na mnie.

– Pochodzę z Los Angeles! – ogłasza dumnie Tyler.

Diego wstaje i pośpiesznie lustruje wzrokiem salę oraz parkiet.

– To wiele wyjaśnia. – Łapie mnie za nadgarstek i podrywa na równe nogi. – Bierz torebkę. Wychodzimy.

Diego wie, kim jest Liam.

Przechodzi mnie lodowaty dreszcz.

Pośpiesznie chwytam torebkę, macham Ellie na pożegnanie i pozwalam, by Diego prowadził mnie pomiędzy stolikami i przez zatłoczony parkiet ku podwójnym drzwiom po drugiej stronie lokalu. Otwierają się na boki i mają te typowe okrągłe okienka na wysokości twarzy.

Nie wiem dlaczego, ale nie wychodzimy frontowymi drzwiami, tylko zmierzamy prosto do kuchni.

Diego pcha jedno ze skrzydeł drzwi i wciąga mnie do środka.

Kuchnia jest znacznie większa niż u Buddy'ego. Nad skwierczącymi patelniami uwija się z pół tuzina kucharzy, którzy pokrzykują coś do swoich pomocników i gońców. Obsługa sali kręci się wokół jak stado szczurów, trzymając na dłoniach wysoko uniesione tace. Do kuchni co rusz wpadają chłopcy odpowiedzialni za zmywak, przenosząc góry brudnych naczyń.

Panuje tu z trudem kontrolowany chaos. Nikt nawet nie zaszczyca nas spojrzeniem.

– Diego, zwolnij! Czemu wychodzimy tędy?!

– Żeby bramkarze nas nie zatrzymali.

– Czemu mieliby nas zatrzymać?

Ignoruje moje pytanie, a na dodatek ciągnie mocniej za rękę, w biegu kiwając głową młodemu, latynoskiemu kucharzowi, który pracuje przy parującej, sześciopalnikowej kuchence. Diego rzuca coś do niego po hiszpańsku, na co kucharz kiwa głową i przechyla ją w prawo.

Skręcamy we wskazanym kierunku. Zakładam, że tam jest wyjście, ale po dziesięciu kolejnych krokach stajemy jak wryci, bo przez drzwi, które są naszym celem, wlewa się sześciu wielkich facetów w czarnych garniturach. Ustawiają się w formacji po trzech z każdej strony drzwi. Wszyscy łączą dłonie na wysokości pasa i stają w rozkroku. Liczne wybrzuszenia pod ich garniturami sugerują, że dysponują ukrytym arsenałem. Patrzą na nas bez cienia uśmiechu. Hałas i szaleńcza aktywność kuchni natychmiast znikają,

przeistaczając się w niemy bezruch i ciszę, która trwa, dopóki w drzwiach nie ukazuje się Liam.

Zatrzymuje się i krzyżuje ręce na szerokim torsie. Patrzy na Diega, a potem na mnie.

– Dobry wieczór – mówi łagodnie, choć jego oczy płoną.

W tym momencie wszyscy kucharze, pomywacze i kelnerki obracają się na piętach i uciekają.

Rozdział 16

Tru

Moje serce bije tak szalenie, że aż wali w mostek. Adrenalina podpala mi krew. Za dwuskrzydłowymi drzwiami dudni muzyka, lecz w kuchni jest cicho jak w grobowcu, dopóki Diego nie syczy wściekle:

– Ty…

Jeden ze stojących za Liamem osiłków oburzony brakiem szacunku w tonie Diega stawia krok naprzód. Jednak gdy Liam unosi rękę, niechętnie wraca na miejsce.

– Nie przedstawiono nas sobie – stwierdza Liam.

Mówi spokojnie, stoi z rozluźnioną pozą, ale te oczy… Mój Boże! Na miejscu Diega zemdlałabym z przerażenia.

– Ja wiem, kim jesteś – odpowiada Diego drżącym głosem.

– A ja wiem, kim ty jesteś. Ale nas sobie nie przedstawiono.

– To mój przyjaciel – wtrącam zza ramienia kolegi. – Ma na imię Diego. Nie krzywdź go.

Liam przenosi spojrzenie na mnie i unosi kąciki ust w drobnym uśmiechu.

– Tru, nie musisz go o to prosić – warczy Diego.

Liam znów patrzy na niego i uśmiech zanika.

– Czyżby? – pyta.

Gdy Diego puszcza moją rękę i postępuje krok naprzód, wszystkie goryle Liama robią dokładnie to samo. Tworzą potężną linię za swoim szefem, przy czym patrzą na nas bez cienia emocji i wyrazu.

Cholera.

Wychodzę zza Diega, staję przed nim i naśladując postawę Liama, też krzyżuję ramiona na piersiach. Zadzieram podbródek, patrzę mu w oczy i mówię powoli, dokładnie akcentując każdą sylabę:

– Powiedziałam, że to mój przyjaciel.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem, a panująca cisza aż iskrzy od napięcia. Kilku ochroniarzy, płatnych zabójców, czy kim tam oni są, zerka po sobie z uniesionymi brwiami.

– Wiem. Nie skrzywdzę go – odpowiada Liam łagodnie.

– Twoje zbiry też nie. Obiecaj.

Teraz ochroniarze są już wyraźnie zdumieni, a jeden aż wzdycha. Natomiast inny rozdziawia gębę, za to pozostali przywdziewają maski dezorientacji lub niedowierzania. Lecz Liam tylko się uśmiecha, a gdy znów się odzywa, utrzymuje delikatny i pobłażliwy ton.

– Masz moje słowo.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada. Wodzi po mnie rozpalonym wzrokiem od głowy do stóp i z powrotem, aż w końcu się odzywa: – Kolacja się podobała?

– Szczerze mówiąc, to była koszmarna.

– Przykro mi to słyszeć. Będę musiał porozmawiać z szefem kuchni.

– Czy słowo: „porozmawiać” to jakiś szyfr, który znaczy: „rozstrzelać”?

– Nie.

– Sprać?

– Nie.

– Zagrozić rozczłonkowaniem?

– Nie, mała – odpowiada Liam, uśmiechając się półgębkiem.

– To dobrze. Nie chcę mieć na sumieniu rzezi w szeregach twojego personelu. Jedzenie było kiepskie. Atmosfera też, jeżeli cię to interesuje. Ale to nie ich wina. Myślę, że powinieneś podyskutować z kierownictwem.

Oprych stojący po prawej ręce Liama powoli mruga, co w innych okolicznościach byłoby komiczne. Pyskówka z ich szefem to najwyraźniej coś bez precedensu.

Stojący za mną Diego jest wyraźnie zdenerwowany i przestępuje z nogi na nogę.

– *Chica*, mówiłem ci, że ten facet to kłopoty – cedzi. – Zanim dowiedziałem się, jak się nazywa, wiedziałem, że ten facet…

Rzuca coś ostro po hiszpańsku, chyba jakąś wiązankę. Liam odpowiada z najwyższym spokojem także po hiszpańsku.

Przez krótką chwilę kłócą się intensywnie, aż w końcu Diego przechodzi z powrotem na angielski.

– Nie zasługujesz na nią!

Wykrzyknął to głośno, z naciskiem i z emocjami. Mężczyźni za Liamem stężeli, ale on odpowiada, zachowując absolutny spokój:

– Uważaj…

– Nie boję się ciebie.

– Więc jesteś niespotykanie głupi. Kieran, zabierz mi go z oczu – rzuca Liam przez ramię.

Największy bandzior występuje z szeregu, łapie Diega i wlecze go w stronę drzwi.

– Ale jeżeli chłopak będzie miał choć jednego siniaka, odpowiesz przede mną – dodaje Liam na widok mojej miny.

– Tak jest, szefie – sapie Kieran. Niechętnie puszcza Diega, ale lekko popycha go ku wyjściu.

– Tru! – krzyczy Diego. – Posłuchaj, uciekaj od niego! Jest niebezpieczny! Należy do mafii!

Kieran wypycha go przez drzwi, którymi wszedł Liam. Zamykają się za nimi z głośnym, strasznym trzaskiem, który z jakiegoś dziwnego powodu kojarzy mi się z odgłosem zasuwanego wieka trumny.

Należy do mafii.

Więc już wiem. Serce wali mi tak mocno, że odczuwam ból.

Liam spogląda na mnie z niezmąconym spokojem. Wygląda na zupełnie nieporuszonego i niezaskoczonego oskarżeniem Diega. Jest zawsze zimny i opanowany. Z wyjątkiem tych rozpalonych oczu. Boże, jak one płoną.

– Tak dla jasności, nie należę do mafii – stwierdza po chwili, po czym dodaje znacznie niższym głosem: – Ja jestem mafią.

Przebija mnie wzrokiem, podobnie jak jego goryle. I w tym momencie z moich ust wyrywa się cichy, na wpół histeryczny śmiech. Czuję się niepewnie, jakby coś przesuwało gruntem pod moimi stopami. Zaczynam tonąć. Jasne, wiedziałam, że jest niebezpieczny. Wiedziałam, że ma mroczne tajemnice i wiedzie

niezwykłe życie, ale nic nie przygotowało mnie na tę chwilę. Wszystko układa się w całość niczym przeplatające się palce dwóch dłoni lub klucz wsuwający się w zamek.

Myślę o tych wszystkich miesiącach, gdy siedział w mojej sekcji knajpy Buddy'ego, gapiąc się na mnie w zaciekłym milczeniu, ze skupieniem i czujnością drapieżnika.

Myślę o tych wszystkich razach, gdy nazywałam go wilkiem. Moim wilkiem. Pamiętam, jak sprawnie zabił trzech ludzi, jak z nim flirtowałam, jak się do niego uśmiechałam i jak błagałam, by został przy mnie, gdy będę spała.

Myślę o tych wszystkich umysłowych akrobacjach, które wywijałam, zgadując, czym i kim jest. Z odległym poczuciem grozy dociera do mnie, że mroczniejsze oblicze mojej natury, intuicja zakopana głęboko pod racjonalnym rozumowaniem, zwierzęce cząstki mojej krwi, kości i instynktu… to wszystko rozpoznało go od razu. Rozpoznało go i natychmiast zapragnęło bez żadnych zastrzeżeń.

Liam wpatruje się we mnie w ogłuszającej ciszy. Moje policzki pulsują ciepłem. Gdy biorę nierówny wdech i zasłaniam twarz dłońmi, on wydaje krótkie polecenie po gaelicku i jego ludzie natychmiast odwracają się i wychodzą. Gdy znikają za drzwiami, mówi szorstko:

– Ostrzegałem, że nie wiodę normalnego życia. Ostrzegałem, że nie byłbym dla ciebie dobry. Próbowałem cię chronić, Tru.

Zadzieram głowę i patrzę na niego ze złością.

– Gdybyś naprawdę chciał mnie chronić, to trzymałbyś się z daleka.

Coś pojawia się w jego oczach. To rodzaj emocji, której nie potrafię nazwać. Pojawiła się równie szybko, jak zniknęła. Gdybym go nie znała, to pomyślałabym, że to ból.

– Powinienem, ale sama wiedziałaś.

Otwieram usta, by natychmiast zaprzeczyć, ale powoli je zamykam.

Jak mogę się wypierać, skoro wiem, że ma rację?

Na widok mojej miny kiwa głową i oblizuje wargi.

– Wiedziałaś, mała. Co prawda, nie wyjawiłem ci wszystkiego czarno na białym, ale wiedziałaś, kim jestem, odkąd po raz pierwszy na mnie spojrzałaś. Wiedziałaś, a mimo to powiedziałaś, że mi ufasz. Wiedziałaś, a jednak nadal mnie pragnęłaś. – Jego głos robi się bardziej ochrypły.

Drżę, przymykam oczy i szepczę:

– To szaleństwo.

Nagle staje przy mnie. Nawet nie spostrzegłam, jak pokonał dzielący nas dystans. Przyciąga mnie do siebie, obejmuje silnymi ramionami i mocno trzyma.

– Ano, kurewskie szaleństwo – przyznaje namiętnie, wprost do mojego ucha. Unieruchamia mnie w objęciach i dodaje: – I właśnie tego oboje potrzebujemy.

Odchyla moją głowę, szarpiąc mnie za włosy, i całuje. Pocałunek jest głęboki, gorący i desperacki. Trwa i trwa, dopóki się nie wykręcam, by z trudem zaczerpnąć tchu.

Próbuję odepchnąć się od jego torsu, ale to na nic. Jest zbyt silny, nie chce mnie wypuścić. Zamiast tego bierze mnie na ręce i niesie w stronę tylnych drzwi.

– Liamie, postaw mnie na ziemi!

– Nie próbuj się opierać. Na to jest już za późno.

W moim umyśle rozlega się dzwon paniki, a tętno przyśpiesza dwukrotnie.

– Dokąd mnie zabierasz?! – krzyczę.

– Do domu, do mojego łóżka – warczy.

* * *

W ciemnej uliczce za restauracją czeka cała flota czarnych SUV-ów, których rury wydechowe sapią kłębami dymu. Liam otwiera tylne drzwi jednego z pojazdów, kładzie mnie w środku i zapina pas bezpieczeństwa.

– Zostań tu – rozkazuje ostro, a potem usadawia się obok i ruszamy.

Za kierownicą siedzi ochroniarz o lodowato błękitnych oczach, który w nocy po moim wyjściu ze szpitala ostrzegał, bym na siebie

uważała. Zerka na mnie we wstecznym lusterku. Tym razem ma nieco mniej wrogą minę. Co więcej, wygląda prawie tak, jakby się o mnie martwił. To niewielkie pocieszenie.

Pędzimy pod osłoną nocy. Nie potrafię złapać tchu, cała się trzęsę. Gdy wpadamy w koleinę i wzdycham wystraszona, Liam łapie mnie za nadgarstek. Trzyma mocno, jakby się bał, że wyskoczę z samochodu, gdy tylko staniemy na światłach.

Próbuję pozbierać tysiące chaotycznych myśli, by znaleźć odpowiednie słowa, ale równie dobrze mogłabym próbować pochwycić wicher.

– Wróciłeś o tydzień wcześniej – szepczę w końcu, wyglądając przez okno.

– Bo nie wytrzymałem – odpowiada niskim, szorstkim głosem.

O Boże.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

– To moje miasto.

Nie dodaje nic więcej, ale to proste stwierdzenie pozwala mi zrozumieć, że potrafi znaleźć każdego i w każdej chwili, a my, prości śmiertelnicy, nie jesteśmy w stanie mu przeszkodzić.

Spanikowana próbuję złapać trochę powietrza. Głębokie oddechy nie pomagają, podobnie jak nieruchomy przez całą drogę uścisk Liama na moim nadgarstku. Patrzę przed siebie, a puls łomocze mi w skroniach. Czuję na twarzy jego płomienne spojrzenie.

Kiedy docieramy do serca miasta, kierowca skręca do podziemnego garażu nowoczesnego wieżowca z czarnego szkła. Budynek sięga wysoko do nieba, przez co nawet nie widzę jego szczytu. Parkujemy przy rzędzie prywatnych wind pilnowanych przez dwóch facetów w czarnych garniturach. Liam wysiada, a ja nadal siedzę nieruchomo i oddycham nierówno. Gdy Liam obchodzi samochód, otwiera drzwi po mojej stronie i odpina mój pas, powoli się uspokajam.

Łapie mnie za przedramię i pomaga wysiąść. Następnie prowadzi mnie do windy, zaborczo wpijając palce w moje ciało. Jeden z goryli wezwał windę podczas parkowania, więc jej drzwi od razu się przed nami rozsuwają. Mija kilka chwil i już jestem z Liamem sama w windzie. Ten obraca się do mnie i zamyka w brutalnym uścisku,

a potem miażdży moje wargi swoimi. Całuje, jakby zależało od tego jego życie. Diego mówił, że patrzył na mnie tak, jakby miał zdechnąć, gdyby tego nie zrobił. Jego usta są rozpalone i władcze, a ja nie potrafię się im oprzeć. Jestem bezsilna.

Nie. Nie jestem bezsilna. Prawdę mówiąc, teraz gdy szok mija, rozrywa mnie szał. Nie jestem polnym kwieciem, słabą ofiarą ani żadną damulką w opałach. Jestem córką twardej jak stal kobiety z Południa, która w napadach wściekłości zamienia dojrzałych mężczyzn w rozbeczanych chłopców. Noszę w żyłach jej ogień, dumę i szacunek do samej siebie. Nie dam się nosić jak torba z zakupami i nie pozwolę, żeby jakiś autorytarny irlandzki gangster robił ze mnie bezwolną mamałygę, nieważne jak dobrze całuje.

Odpycham Liama i policzkuję go z całych sił.

Odskakuje, ciężko dysząc, i mierzy mnie dzikimi, błyszczącymi oczami.

– Naprawdę myślisz, że pójdę z tobą do łóżka po tym, jak właśnie rozwaliłeś uroczystą kolację na moją cześć, do tego kazałeś poturbować mojego przyjaciela, chełpiłeś się, że jesteś jakimś wielkim mafiosem i wrzuciłeś mnie do auta jak jakąś walizkę?! – wrzeszczę.

– Taki jest plan.

– Tylko że to nie jest mój plan.

Piorunuje mnie wzrokiem. Winda się zatrzymuje, a drzwi się rozsuwają.

– Jeszcze zobaczymy – mówi mrocznie.

Znowu bierze mnie na ręce i wnosi do swojego domu.

To wielki i luksusowy apartament na ostatnim piętrze budynku z oknami od podłogi po sam sufit, za którymi daleko w dole widać rozmigotany światłami Boston. Liam niesie mnie przez całe mieszkanie bez słowa komentarza. Zapalają się automatyczne światła rozjaśniające przestrzeń stłumionym blaskiem. Jego kroki niosą się echem nad marmurową posadzką, a ja trzymam się jego ramion, bo mój puls gna jak szalony.

– Liamie, postaw mnie.

– Za chwilę.

Kiedy wchodzimy do sypialni większej niż całe moje mieszkanie, uruchamiają się kolejne światła. Pokój jest gigantyczny. Po jednej stronie stoi kominek, a po drugiej wielkie łoże. W części salonowej przy jednym z okien zauważam sofę i krzesła. W barku, za szybką, prężą się karafki z ciętego kryształu. Cała przestrzeń jest wyrafinowana i bardzo męska, ozdobiona wyłącznie różnymi odcieniami szarości i czerni.

Liam kieruje się wprost do łóżka.

– Ja nie…

– Milcz.

Opada na czarną, jedwabną kołdrę i z warkotem wilczego głodu ustawia się nade mną. Unieruchamia mi nadgarstki nad głową i bez słowa ponownie bierze moje usta, przywierając biodrami, bym poczuła każdy centymetr jego podniecenia.

Sukienka podwinęła mi się do ud i dostałam gęsiej skórki na całym ciele. Moje tętno pędzi na złamanie karku. Walczę o oddech i czuję, że odlatuję. Mam wrażenie, że lada chwila wybuchnę histerycznym krzykiem albo śmiechem. Jestem ożywiona, wściekła i napalona. Wszystko na raz. Emocje tak szczelnie wypełniły moje ciało, że mam wrażenie, że skóra zaraz pęknie, jakbym miała rozpruć się w szwach.

– Nie jestem twoją lalką do ruchania, do cholery! – dyszę, wijąc się pod nim.

Liam zaczyna mówić po gaelicku. Jego słowa są gardłowe, stłumione łapczywymi pocałunkami lądującymi na moich ustach, karku i piersiach. Nie rozumiem, co mówi, ale nigdy nie słyszałam niczego seksowniejszego.

Przytrzymuje mnie wielką, zaciśniętą na moich nadgarstkach dłonią, natomiast drugą wodzi po moim ciele w górę i w dół. Ściska mnie, eksplorując krzywizny mojej talii, wzniesienia żeber i wypukłości piersi. Gdy szczypie mój naprężony sutek, jęczę głośno, wyginam się w łuk, wbijając w niego piersiami. Żądza i furia tak mnie zaślepiły, że zaraz mogę skonać.

– Nie, nie jesteś moją lalką do ruchania – sapie ochryple w skórę na moim karku. – Jesteś moją królową pszczół. Chorą obsesją. Przyczyną rocznej bezsenności, do cholery.

Skubie zębami mój obojczyk. Jego usta i język wytyczają gorącą ścieżkę w dół mojej szyi, docierając do dekoltu. Muska nosem moje piersi i zaciąga się ich zapachem. Ponownie ściska sutki, drażni je kciukiem przez materiał sukienki.

– Liamie, proszę cię – wzdycham.

– Zaraz cię zerżnę – warczy mi do ucha. – Będzie szybko i ostro, bo bardzo długo na to czekałem. Ale chwilę później to powtórzymy, wtedy nie będę się już śpieszył. – Patrzy mi w oczy, ciężko dysząc. – Gotowa?

Przez pełną napięcia krótką chwilę walczę ze sobą. Nienawidzę się za to, że nie odmawiam stanowczo i bez mrugnięcia okiem. Ale moje ciało nie chce odmawiać. Ono się zgadza jednoznacznie i bez wątpliwości.

Cholera. Pożałuję tego.

– Tak, ale po wszystkim i tak będę na ciebie wściekła – szepczę.

Odsuwa się, siada na piętach, jednocześnie wciąż siedząc na mnie okrakiem. Łapie za dekolt mojej sukienki i rozrywa ją jednym szarpnięciem, a oderwane guziki rozlatują się po całym pokoju i stukają o podłogę.

Głośno wzdycham, a Liam patrzy na mnie, bezbronną i obnażoną z pierwotnym szałem w oczach. Nie licząc stanika, jestem naga do pasa, lecz szybko się to zmienia, ponieważ ponownie szarpie za sukienkę. Pokój wypełnia dźwięk pękającej tkaniny, odrywanych guzików i mój pełen szoku jęk.

Nie daje mi chwili wytchnienia na opanowanie emocji, gdyż kilka sekund później ściąga ze mnie swoją nogę i jednym ruchem zrywa majtki. Ustawia się między moimi rozłożonymi nogami, nurkuje twarzą w krocze i głęboko wbija we mnie swój język.

Wyginam się, krzyczę i zaciskam prześcieradło w garści. Liam wydaje z siebie niski pomruk, który wprawia całe moje ciało w wibracje. Wtyka palec w mój tyłek, cały czas ruchając mnie językiem. Wsadza go i wysuwa, wsadza i wysuwa, a ja skamlę i wbijam biodra w jego twarz.

Ja jestem naga, a Liam nadal w pełni ubrany. Właściwie to ostały się na mnie tylko szpilki, biustonosz oraz strzępy ślicznej czerwonej sukienki Ellie.

Wyciąga dłoń i szczypie moją napęczniałą łechtaczkę, a potem zaczyna ją masować, zgrywając ruchy palców i języka. Gdy zachłannie mnie pożera, aprobując moje reakcje cichymi pomrukami, z samego środka mojego ciała zaczynają emanować fale rozkoszy. Przesuwa usta na łechtaczkę i mocno ssie, wsuwając we mnie swój gruby palec, by zastąpić nim język. Drugą dłonią brutalnie szczypie przez stanik boleśnie twardy sutek. Kiedy skubie łechtaczkę zębami, drapie moje uda zarostem. Dochodzę z krzykiem, który wydobywa się z mojego gardła niczym uwięzione tam zwierzę. Wstrząsają mną gwałtowne drgawki, które rozrywają mnie jak eksplodująca bomba. Wiję się na łóżku, gdzie nie mam szans kontrolować wydobywających się ze mnie odgłosów ekstazy. Zatapiam palce w jego włosach i ciągnę, drapiąc go po głowie, dopóki pulsowanie rozkoszy nie straci na sile. Po chwili padam na materac, szlochając z ulgi.

Liam przesuwa wargi na moje udo i gryzie mnie, jakby chciał wypełnić usta moim ciałem i je połknąć. Unosi się na kolanach i rozpina spodnie. Oblizuje usta, ujmuje w dłoń sterczącego kutasa i zaczyna go masować od podstawy do czubka i z powrotem.

Fakt, że nadal ma na sobie garnitur i krawat, jest szaleńczo seksowny. Twardy kutas, który z pewnością nie może się doczekać, kiedy się we mnie zanurzy, to jedyna odsłonięta część jego ciała.

Rozkładam dla niego szerzej nogi.

Jego oczy rozbłyskują ogniem. Zawisa nade mną, wspierając się na ręce opartej obok mojej głowy, ustawia twardego członka między moimi udami i przesuwa żołędzią po wilgotnych fałdkach, stopniowo popychając go naprzód.

– Poczekaj. Masz zabezpieczenie?

– Jestem czysty.

– Ja też, ale nie stosuję żadnej antykon…

Jednym ostrym pchnięciem wbija kutasa głęboko we mnie. Jest gorący, twardy i agresywny. Rozciąga mnie, sprawiając, że wyginam plecy i otwieram przed nim całe ciało. Wzdycham wstrząśnięta, ale jego obecność we mnie jest zachwycająca.

Liam, balansując na łokciach, chwyta mnie za głowę, szarpiąc za włosy, i warczy:

– W takim razie dojdę w twoich ustach.

Zaczyna mnie rżnąć ostro i bezlitośnie. Wchodzi głęboko, raz po raz uderzając biodrami. W moich uszach dźwięczą jego pomruki przyjemności. Otacza mnie i obejmuje swoim ciężarem, zapachem i dominującą męskością. Bierze mnie w posiadanie niczym z uniesionym mieczem, bitewnym rykiem i wytyczoną na piasku linią głoszącą: „to wszystko należy do mnie".

Jęczę zgorączkowana, a on znowu bierze moje usta, połykając te dźwięki rozkoszy. Przy każdym moim wydechu on robi wdech. Rżnie mnie tak mocno, jakby chciał we mnie wpełznąć i mnie rozerwać od środka. Jakby sam się rozpadał i tylko moja kapitulacja mogłaby go ocalić.

Zarzucam stopy na jego plecy i pozwalam, by brał mnie tak, jak potrzebuje. Gdy prowadzi mnie do niecierpliwie wyczekiwanego końca, zanurzam twarz w jego szyi. Pędzę ku szczytowi po drodze, w którą wyruszyliśmy już dawno temu, gdy tylko przekroczył próg knajpy Buddy'ego.

– Tru – sapie i drży.

Jest blisko, ale ja jeszcze bliżej.

Krzyczę cicho, bo znowu spadam z krawędzi. Rzucają mną konwulsje i wierzgam jak szalona, bo pochłania mnie istna rozkosz. Otwieram usta i próbuję zassać pulsujące na jego szyi tętno. Gryzę go i drapię po plecach, podczas gdy on jęczy z przyjemności. Rytm wybijany przez jego biodra staje się nierówny.

– Kurwa, dochodzisz. Czuję, że dochodzisz!

Przerywa z niskim, rwanym jękiem i sztywno naprężony zatrzymuje się nade mną w bezruchu.

Nadal się pod nim wiję i podrzucam biodrami, dzięki czemu samodzielnie rżnę jego pięknego, twardego kutasa, oddając się najpotężniejszej rozkoszy, jaką kiedykolwiek czułam. Bezwstydnie wykorzystuję jego ciało, gdy on próbuje się hamować. Cały się trzęsie, a niskie westchnienia same wyrywają się z jego gardła.

Mój orgazm trwa i trwa w nieskończoność. Utonęłam w nim. Zataczam się pod siłą kolejnych fal. Tonę, ale kocham każdą sekundę tego seksu.

Kiedy konwulsje słabną i w końcu ustają, stopniowo rozluźniam się pod Liamem, a on warczy:

– Daj mi usta. Natychmiast.

Wychodzi ze mnie, kładzie się na plecach i chwyta twardego członka w dłoń. Pospiesznie wchodzę na niego i biorę kutasa do ust. Gdy tylko moje wargi zsuwają się na wilgotną i naprężoną do czerwoności żołądź, Liam bierze haust powietrza i rzuca siarczyste przekleństwo.

Szeroko otwieram usta i biorę go do samego końca. Jego jęki układają się w moje imię, a potem spuszcza mi się w gardło. Jego kutas pulsuje na moim języku, a całe ciało drży.

– Weź wszystko, kochanie – dyszy. Zaciska gorącą, rozedrganą rękę na moim gardle. – Spij wszystko do ostatniej kropli. – Przechodzi na niewyraźny gaelicki.

Przełykam, a potem jeszcze raz moje usta rozciągają się wokół szerokiego drąga, którego wbija głębiej w moje gardło. Po ostatnim dreszczu zamiera z wycieńczenia. Jego tors ciężko unosi się i opada.

Powoli wyciągam go z ust i oblizuję wargi. Po sekundzie Liam bierze gwałtowny wdech. Podnosi głowę i patrzy na mnie, wciąż trzymając w dłoni sztywnego kutasa.

Schodzę z niego bez słowa, zbieram z podłogi strzępy sukienki Ellie i próbuję osłonić nimi nagie ciało. Podnoszę wysoko głowę, obracam się i wychodzę.

Żegna mnie jego niski śmiech.

Rozdział 17

Liam

Odnajduję ją w jednym z apartamentów dla gości, jak leży w mroku skulona w pozycji embrionalnej. Przykryła się futrzaną narzutą z fotela przy kominku. Wiem, że nie chce wejść pod kołdrę, bo byłoby to równoznaczne ze zobowiązaniem, że zostaje. Zasnęłaby, a wtedy stałaby się wrażliwa i bezbronna. Jakby kiedykolwiek mogła być przy mnie wrażliwa…

Zabiłbym każdego, kto tylko krzywo na nią spojrzy.

Chcę wziąć ją na ręce i podnieść, ale przewraca się na drugi bok, starając się mnie unikać.

– Jeżeli przebywasz pod tym dachem, to śpisz w moim łóżku – stwierdzam stanowczo.

– To może nie powinnam w ogóle zostawać pod tym dachem.

Jej głos jest cichy i spokojny. W mojej piersi rozpala się rozdrażnienie. Nie zawracam sobie głowy kontynuowaniem tej rozmowy, bo wiem, że przerodziłaby się w kłótnię. Po prostu przyciągam ją na krawędź łóżka i biorę na ręce.

– To niedorzeczne – mamrocze.

Nie buntuje się mimo moralnego sprzeciwu. Ukrywa twarz w mojej szyi i pozwala się zanieść do sypialni. Jest cicha i śpiąca, a jej dorodne ciało ogrzewa mój tors.

Gdy kładę ją na łóżku, ponownie zwija się kulkę i patrzy na mnie zza krawędzi narzuty. Wiem, że stara się wyglądać na wściekłą, ale oczy kobiety nigdy nie są tak czułe jak wtedy, gdy patrzy na mężczyznę, który niedawno sprawił, że przeżyła intensywny orgazm.

Moje usta się wyginają. Zauważam z lekkim zaskoczeniem, że się uśmiecham. Patrząc na nią z góry, luzuję krawat i mówię:

– Krzyczałaś moje imię.

Przewraca oczami, a potem mocno je zamyka.

– Co za ego – burczy.

– Przy obu razach – dodaję.

– Byłoby świetnie, gdybyś w końcu się zamknął.

Ściągam krawat przez głowę i upuszczam go na podłogę. Następnie zrzucam z ramion marynarkę i odrzucam ją na bok. Pozbywam się butów i rozpinam pasek. Tru ponownie otwiera oczy i widzi, jak rozpinam koszulę, która zsuwa mi się z opuszków palców na marynarkę. Cały czas bacznie mnie obserwuje, a kiedy to robi, przygryza wargę i wybałusza oczy.

Stoję w bezruchu i pozwalam, by nasyciła się widokiem mojego nagiego torsu. Światło jest przyćmione, ale bez trudu wszystko zobaczy: tatuaże, mięśnie, blizny.

Nagle podnosi się i siada. Narzutka zsuwa się z jej ramienia i ląduje wokół bioder, obnażając piersi. Wydaje się, jakby nawet tego nie zauważała. Mój widok zbytnio ją pochłania.

Po chwili wyciąga rękę i mnie dotyka. Delikatnie wiedzie palcem wzdłuż blizny okalającej moją klatkę piersiową. Co prawda zdążyła już zblednąć, ale wciąż jest gruba i straszna jak w dniu, w którym powstała.

– Musiało boleć – stwierdza cicho.

– Ano.

Patrzy na mnie i przez chwilę analizuje moją minę, po czym znowu opuszcza spojrzenie na moją pierś. Prowadzi palce w dół torsu na brzuch, docierając do pobliźnionej tkanki niedaleko pasa.

– A to?

– Też nie łaskotało.

– Przestań żartować – szepcze, piorunując mnie wzrokiem.

Jest szczera, prawie niewzruszona. W jej oczach odbijają się jakieś złe wspomnienia, które nie mają nic wspólnego ze szramami na moim ciele.

Ujmuję jej szczękę i gładzę kciukiem kość policzkową. Chcę, żeby to spojrzenie bólu zniknęło. Pragnę popchnąć ją na materac i ponownie w nią wejść, żeby krzyczała moje imię, dopóki nie ochrypnie. Chciałbym sprawić, by była moja już na zawsze, ale to niemożliwe. Z ogromnym wysiłkiem odsuwam te sprzeczne emocje.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak, chcę – odpowiada bardzo cicho.

– Ta jest po drewnianym kołku.

Odrywa dłoń, jakby moja skóra zaczęła parzyć.

– Po kołku? – powtarza słabo.

Jest tak przerażona, że aż żałuję, że to nie kłamstwo.

– Powiedzmy, że nie przewróciłem się na niego przypadkiem. Przyjmijmy taką wersję wydarzeń.

Przerażona patrzy na bliznę, więc klękam między kolanami Tru i ujmuję jej twarz w obie dłonie, by ją uspokoić.

– To było bardzo dawno temu, gdy byłem chłopcem.

– Chłopcem… – powtarza, po czym krew odpływa jej z twarzy.

– Przepraszam. Nie chciałem cię zasmucić.

Patrzy na mnie jak na kompletnego kretyna. Nie wiem, co o tym myśleć, ale w końcu wyjaśnia:

– Liamie, ja nie jestem smutna, tylko wkurzona. Co za bydle wbiłoby kołek w brzuch małego chłopca? – pyta bez tchu. – Proszę, powiedz, że spędził resztę życia w więzieniu.

– Nie. Zabiłem go – odpowiadam bez wahania. – Ale to dopiero potem, jak dorosłem.

Z zaciekłością patrzy mi głęboko w oczy.

– To dobrze – stwierdza po chwili ciszy pełnej napięcia.

Natychmiast zdaję sobie sprawę z kilku szczegółów: po pierwsze, nadal jej nie doceniam, po drugie, Declan miał rację, że jest znacznie twardsza, niż się wydaje, a po trzecie, kłamałem, gdy tłumaczyłem jej, że miłość to luksus, na jaki nie mogę sobie pozwolić, ponieważ tak szybko spadam w głąb tej niebezpiecznej przepaści, że być może nie zdołam się już uratować.

– Dlaczego cię to cieszy? – pytam nerwowo.

– Nie wiem – zawiesza głos, by się zastanowić. – Może dlatego, że sprawiedliwość pojawia się tak rzadko, że gdy już przychodzi, to naprawdę czuję satysfakcję.

– Myślisz, że wymierzyłem mu sprawiedliwość za to, co mi zrobił?

– Myślę, że człowiek, który uczynił coś takiego dziecku, miał na sumieniu znacznie gorsze rzeczy, o których nikt nie ma zielonego pojęcia.

Ma rację. Facet, który wbił we mnie ten kołek, należał do najpodlejszych ludzi, jakich spotkałem.

– Wracając do stwierdzenia, że ty jesteś mafią, porozmawiajmy o tym – mówi nagle.

Wstaję, popycham ją na materac, dosiadam okrakiem i wspieram się na wbitych po obu stronach jej głowy łokciach.

– Kochana, im mniej wiesz, tym lepiej.

Prawie stykamy się nosami, więc widzę, jak reaguje na nazwanie jej kochaną. Podoba się jej, ale równocześnie ją to irytuje. To tak typowa dla niej reakcja, że aż muszę zacisnąć usta, by się nie roześmiać.

– Wyobrażam sobie, że mafijni bossowie wydają wyroki śmierci na wrogów i handlują prochami, bronią czy prostytutkami. Tym się zajmujesz? – pyta.

Patrzy na mnie odważnie.

Czuję przyjemne mrowienie dumy. Naprawdę będzie znakomitą prawniczką.

– Nie.

Nadal przewierca mnie wzrokiem. Zapewne rozważa w myślach prawdziwość mojej odpowiedzi.

– Mam wrażenie, że możemy mieć do czynienia z problemem natury semantycznej. Pozwól więc, że zapytam inaczej. Czy zlecasz takie działania innym?

Jasna cholera, będzie wybitną prawniczką. Nie wiem, dlaczego tak mi przez to staje.

– Nie brudzę już sobie rąk.

– To znaczy? – Z uniesioną brwią czeka na wyjaśnienia.

Opuszczam głowę i zaciągam się aromatem jej szyi, zasysam ten zapach głęboko w płuca. Gdy składam delikatny pocałunek na jej obojczyku, przechodzi ją dreszcz, a mój kutas twardnieje jeszcze bardziej.

– Prezes dba o szeroką perspektywę, o rozwój, wartość udziałów, uproszczenie działalności służące maksymalizacji zysków. Nie rozkłada towaru na półkach i nie jeździ dostawczakiem.

– Brzmisz tak, jakbyś zarządzał korporacją.

– Bo tak jest.

Kiedy podnoszę głowę i spoglądam na nią z góry, zarzuca mi ręce na ramiona i patrzy prosto w oczy.

– Ale to nie wszystko, prawda? – pyta cicho.

– Co masz na myśli? – pytam, marszcząc brwi.

Przekrzywia głowę, pozwala wzrokowi dryfować swobodnie po mojej twarzy, po czym odpowiada z namysłem:

– O czymś mi nie mówisz. Strzeżesz jeszcze większych sekretów.

Zamieram. Moje serce przestaje pompować krew, a żyły przeszywa lód.

– Mam rację, prawda? – dodaje ostrzej.

Uspokój się, przecież ona nic nie wie.

– Mówiłem już, że im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Koniec rozmowy.

– Jeżeli myślisz, że to koniec rozmowy, to w ogóle mnie nie znasz.

Cholera, te przeszywające zielone oczy… Ona widzi wszystko.

Schodzę z niej i siadam na krawędzi łóżka. Ona również siada, ale już nie patrzy mi w twarz, tylko wpatruje się w moje nagie plecy.

– Liamie – szepcze. – Boże, co ci się stało?

Życie próbowało mnie zabić, ale nie umarłem. Żałuję.

Muszę zaspokoić jej ciekawość jakimiś wyjaśnieniami, ale niech mnie piekło pochłonie, jeżeli podzielę się z nią wszystkimi paskudnymi opowieściami o tym, jak docierałem od punktu A do B. Napełniłby ją wstrętem. Zresztą, trwałoby to zbyt długo. I teraz to już bez znaczenia. Jestem, jaki jestem, nieważne dlaczego.

– Nie lituj się nade mną – mówię bez animuszu.

– Och, bynajmniej się nad tobą nie lituję, wierz mi.

W jej głosie słychać ostrą nutę. Kiedy na nią spoglądam, przeszywa mnie wzrokiem niczym włócznią.

– Przed chwilą we mnie byłeś – stwierdza. – A to oznacza, że muszę stawiać pytania, a ty musisz odpowiadać. Nie masz prawa mnie uciszać i zachowywać się, jakby moje zainteresowanie cię drażniło.

Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, która byłaby równocześnie tak cierpka i słodka.

Przychodzi mi na myśl przelotne pytanie, czy wilk i lew mogą być dobrymi towarzyszami, ale natychmiast tłumię tę niedorzeczność.

– Jeżeli nie odpowiadam na jakieś pytanie, to dlatego, że wiem, że odpowiedź może ci zagrozić. Połącz to z faktem, że nie zamierzam kłamać, byś poczuła się lepiej, dlatego często będę musiał milczeć.

Mierzymy się wzrokiem. Widzę, że nie jest zadowolona z tego wyjaśnienia, ale bardzo niechętnie je akceptuje.

Jeżeli mój kutas stwardnieje jeszcze bardziej, rozerwie szwy w spodniach.

– A teraz się połóż i rozłóż nogi – mówię spokojnie, patrząc jej w oczy.

Gdy Tru zastanawia się, czy wypełnić mój rozkaz, zapada długa, nerwowa cisza. Nasze krzyżujące się spojrzenia zaraz wywołają eksplozję. Tracę cierpliwość.

– Jeżeli zaraz nie zrobisz tego, co ci kazałem, przerzucę cię przez kolano i zleję do czerwoności.

– Nie ośmieliłbyś się! – rzuca, płonąc z oburzenia.

– Sprawdźmy to.

Jest jeszcze bardziej rozjuszona, ale też bardziej nakręcona. Spodobał się jej ten pomysł, w przeciwieństwie do tego, że jej zagroziłem.

Gdy oblizuje usta, prawie puszczają mi wszelkie hamulce i się na nią rzucam, ale powstrzymuję emocje i czekam, choć z zaciśniętymi zębami. Docieram na najdalszą rubież samokontroli, gdy w końcu kładzie się płynnym ruchem i prostuje ręce nad głową. Kiedy tak się jej przyglądam, oddycha płytko, czujnie mnie obserwując. Ma podniesione i zaciśnięte kolana, włosy rozrzucone na jedwabnej kołdrze, a jej naga skóra jest gładka i lśniąca. Czuję ukłucie zaborczości, które jest znacznie mroczniejsze i potężniejsze niż cokolwiek, czego do tej pory zaznałem. Tru jest moją drugą połową, yang dla mojego yin, światłem dla mojej ciemności. Jest tym, za czym tęskniłem latami, choć nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Jest miękką poduszką, na którą mogę bezpiecznie upaść.

– Jesteś piękna – podsumowuję swoje rozmyślania.

W ciszy sypialni mój głos brzmi surowo i chrapliwie. Płonąca krew wypełnia moje żyły, przez co skóra musi parować żarem. Tru patrzy mi w twarz i jak zwykle widzi wszystko.

– Ja też cię lubię, wilczku. Zdejmuj spodnie – mówi przyjemnym, nieco zadziornym tonem.

Staję przy krawędzi łóżka i patrzę na nią z góry.

– To nie ty tu rządzisz.

– Nie? Hmm… – Przesuwa wzrok na wybrzuszenie pod moim rozporkiem. – To najwyraźniej odniosłam mylne wrażenie.

Tłumię uśmiech i łapię przez tkaninę spodni naprężonego do granic możliwości kutasa.

– Chcesz zagrać w grę? Nazywa się: „Kto pęknie pierwszy?". I spoiler alert: przegrasz.

– Jesteś strasznie pewny siebie. Zbyt pewny, jak mniemam – odpowiada spokojnie, lecz jej oczy płoną ekscytacją.

Szeroko rozchyla kolana. Jest kompletnie obnażona, różowa, mokra i gotowa.

Patrzę na nią z żądzą, która obmywa mnie niczym oceaniczna fala. W moim gardle narasta chutliwy ryk.

– Tak myślałam – szepcze.

W mgnieniu oka zrywam z siebie resztę ciuchów i wkraczam pomiędzy jej nogi, ale w nią nie wchodzę. Po prostu przywieram do jej ciała, balansując na łokciach, i ujmuję jej twarz w dłonie.

– Nie tylko ja jestem zbyt pewny siebie – mruczę, miziając nosem jej szyję. Jej ciałem wstrząsa mimowolny dreszcz, ale nie widzi mojego szerokiego uśmiechu.

Tru sunie rękami w dół mojej szyi. Delikatnie mnie odkrywa i bada, a potem wraca dotykiem do góry i zanurza palce w moich włosach. Patrzy na mnie z rozpalonym wzrokiem i półuśmieszkiem na ustach.

– Więc co z tą twoją grą? Kto pierwszy pęknie? Na czym polega? – pyta, delikatnie bujając biodrami.

Ociera się o mojego twardego fiuta swoją miękkością i wilgocią, przez co kutas zaczyna niecierpliwie pulsować. Jestem nią tak zachwycony, że aż kręcę głową.

– Myślę, że się domyślasz.

Unosi klatkę piersiową, żeby napiętymi sutkami dotknąć mojego torsu, ale cały czas udaje niewiniątko.

– Ależ nie. Naprawdę nie mam pojęcia. – Uśmiecha się.

Łapczywie całuję uśmiech na jej wargach, rozchylam je językiem i zagłębiam się dalej.

Tru roztapia się, jak zawsze, gdy ją całuję. Wzdycha w moich ustach i automatycznie cała się rozluźnia. Zaciska moje włosy w garści.

Napinam biodra, żeby otrzeć się kutasem o jej nabrzmiałą łechtaczkę. Tru jęczy, choć próbuje się powstrzymywać.

Nachylam głowę do jej piersi i pytam szeptem:

– Nie? Nawet się nie domyślasz?

Zasysam jej sutek do ust, a gdy jęczy i wygina się w łuk, przepełnia mnie dzika satysfakcja. Gdy sprawdzam zębami twardość sutka, Tru wypuszcza powietrze z płuc i wbija biodra w moją miednicę.

– Idealna – szepczę, ściskając jej pełną pierś. – Kochana, jesteś, kurwa, idealna. Uwielbiam, jak na mnie reagujesz.

Wymawia moje imię najcichszym szeptem. Potrzebowałem tego. Dzięki temu mam ochotę zaryczeć jak Tarzan i walić pięściami w tors.

Zaczynamy zabawę.

Palce leniwie gładzą, języki cicho mlaskają. Słychać dźwięki pędzących serc i przyśpieszających oddechów. Moją skórę zrasza pot, bo żądza i głód przybierają na sile, ale opanowuję się, opierając się szumowi krwi w skroniach, który jest coraz głośniejszy wraz z każdym prowokującym otarciem bioder.

Leży pode mną, ciepła, pluszowa i miękka tam, gdzie ja jestem twardy. Gdy oplata mnie udami w pasie i przywiera do mojego torsu nagimi piersiami, czuję się jak bezmyślne zwierzę. Chcę wbić kutasa w jej ciepłą wilgoć i zacząć ją ruchać, ale zamiast tego wbijam palce w jej tyłek i zaczynam do niej mówić, szepcząc wszystko, co czuję. Jak bardzo jej łaknę, jak szaleję na jej punkcie, jakie tortury przeżywam, gdy jej nie widzę i jak rozpaczam na samą myśl, że będę musiał pozwolić jej odejść. Tyle że mówię to wszystko po gaelicku, więc mnie nawet nie rozumie.

Wsuwa rękę między nasze ciała i zaciska ją na kutasie. Posuwa nim w górę i w dół swoich mokrych fałdek i szepcze mi na ucho:

– Jak się trzymasz, wilczku?

– Mógłbym tak cały dzień. – Napinam się, ale gdy nabrzmiała żołądź mojego członka się w nią wślizguję, zatrzymuję się i całuję ją głęboko, przeciągle.

– Ja też – dyszy, gdy przerywamy pocałunek, by zaczerpnąć tchu.

Wygląda na nieco oszołomioną. Jest zarumieniona, ma zamglone oczy i zaczyna się trząść.

Przenoszę ciężar ciała na jeden łokieć i nachylam się, by possać jej sutek, a gdy biorę do ust jej pierś, równocześnie łagodnie masuję jej tyłek.

Jej jęk brzmi miękko i nierówno. Muszę wznieść się na wyżyny samokontroli, by nie zarzucić sobie jej kostek na ramiona i nie rżnąć jej, dopóki nie zacznie krzyczeć mojego imienia.

Tru przechodzi do ofensywy, bo znowu wyciąga rękę i zaczyna pieścić mojego pulsującego członka. Gdy łagodnie łaskocze mnie po jajach, biorę ostry haust powietrza. Odwdzięczam się, przyciskając kciuk do jej opuchniętej łechtaczki. Tru też bierze ostry wdech i rzuca się na łóżku. Przez ten ruch wchodzę w nią o kilka centymetrów głębiej i oboje wzdychamy z rozkoszą.

– Wilczku – kwili, podrzucając biodrami, nieudolnie próbując wprowadzić mnie głębiej. – O Boże. Czy… Och!

– Co tam, kochana?

Proszę cię, powiedz: „zerżnij mnie”. Proszę. Jeżeli to potrwa dłużej, to zejdę na zawał.

Wypuszcza powietrze, co brzmi prawie jak szloch.

– Czy przypomnisz mi później, żebym napisała do Carli i podziękowała, że przyszli z Dave’em na kolację?

Nie wytrzymuję i wybucham śmiechem.

– Ależ naturalnie – odpowiadam z powagą.

– Dziękuję ci bardzo.

– Nie ma najmniejszego problemu.

Bardzo ostrożnie posuwam biodra nieco dalej i zanurzam kutasa o kolejne centymetry w głąb jej cieknącej cipki. Tru ciągnie mnie za włosy i przygryza dolną wargę, ale nie pęka i nie błaga mnie, więc głaskam kciukiem jej małą łechtaczkę w górę i w dół, okrężnie i wokoło, przy czym obserwuję, jak zaczyna się rozpadać.

Wygina się, drży, odrzuca głowę do tyłu i bezradnie jęczy. Jej biodra podrygują w synchronizacji z moim kciukiem. Trzęsą się jej uda.

– Chcesz mnie całego, kochana, czy dojdziesz na samym czubeczku?

– Nie dojdę – odpowiada przez zaciśnięte zęby. – O Boże, nie dojdę.

Na pewno, już to widzę, do cholery.

– Chcesz, żebym jeszcze raz wylizał twoją słodką cipkę? – pytam ostro, przystawiając usta do jej ucha. – Wolisz, żebym wsadził ci język i palce?

Jęczy przez ściśnięte gardło. Wije się pode mną jak opętana, zaczyna gorączkowo wierzgać biodrami.

– Oj, nie, nie. Musisz mi powiedzieć, czego chcesz, i poprosić – mówię.

Zaciska w dłoni podstawę mojego kutasa i zaczyna szybciej poruszać tą częścią, która jeszcze w nią nie weszła. Jej palce pokrywają jej własne soki. Znowu pieści moje jaja, rozprowadzając po nich tę rozkoszną wilgoć, aż robią się gorące i śliskie.

Wystarczyłoby jedno pchnięcie i wszedłbym w nią cały. Chcę tego tak bardzo, że muszę ciężko sapać, żeby się powstrzymać.

– Jesteś taki twardy – szepcze z zamkniętymi oczami. – Taki wielki i twardy. Boże, kocham mieć go w środku. Liam, Liam, tak bardzo kocham… – urywa z braku tchu.

Uważnie obserwuję, jak zatraca się w przyjemności, którą jej sprawiam i jak balansuje na krawędzi. Czuję, że w samym środku mojej klatki piersiowej coś się otwiera. Czarne, zaspawane przed wiekami drzwi uchylają się na skrzypiących zawiasach, wpuszczając promień jasnego światła. Chwilę później pojawia się uczucie, którego, jak sądziłem, na zawsze się pozbyłem. Nie zaznałem go, odkąd dawno temu wszystko straciłem – strach.

Nie. Kurwa. Nie, nie możesz. Nie pozwól sobie…

– Tru.

Jej imię wymyka się spomiędzy moich warg. Nie zdążyłem go zatrzymać. To pierwotny i bezradny dźwięk błagania. Kiedy je słyszy, otwiera oczy i rozmarzona wpatruje się w moją twarz.

– Mam pomysł – zaczyna cicho. – Nazwijmy tę grę „Pękamy razem”, żebyśmy oboje wygrali.

A potem mnie całuje i spina biodra tak, że wchodzę w nią do końca. Łapie mnie za tyłek, żebym wbił się jeszcze głębiej. Wreszcie mogę przestać walczyć z poczuciem obezwładniającej ulgi, jakbym właśnie wydawał ostatnie tchnienie.

Całujemy się namiętnie, podczas gdy nasze ciała zderzają się ze sobą, szukając wspólnego rytmu. Jej uda zaciskają się w mojej talii, a cycki obijają się o moją pierś. Gdy nieśpiesznie wsuwam się i wysuwam w jej ciasny żar, wydaje delikatne odgłosy z głębi gardła i pojękuje. Rozkosz skręca się w białą, rozgrzaną kulę u podstawy mojego kręgosłupa.

Jej ciało napręża się i wygina w łuk. Wrzeszczy moje imię. I wtedy dochodzi. Rzuca się, jęczy i zaciska wokół mojego fiuta. Jej skurcze są tak mocne, jakby doiła mnie ręką. Zatracam się. Ja też gorączkowo uderzam biodrami, przez co wbijam się w nią coraz głębiej i mimowolnie sapię.

Wbija palce w mój tyłek, a jej jęk staje się coraz głośniejszy. Czuję ciepło rozchodzące się w miednicy. Napinam mięśnie ud. Nie mogę zaczerpnąć oddechu. Moje ciało staje w ogniu. Wybucham nagłym, gwałtownym wstrząsem. Wychodzę z niej z głośnym westchnieniem i spuszczam się na jej brzuch. Mój fiut buzuje tak intensywną rozkoszą, że aż boli. Tru trzęsie się i dyszy pode mną. Zaczerwieniona skóra na jej piersi lśni moim potem. Padam policzkiem na jej cycki, tym samym ofiarowując jej cały mój ciężar, bo ręce nie są w stanie dłużej mnie podtrzymać.

Gdy wślizguje swoje ręce na mój grzbiet i delikatnie mnie ściska, przewracam się na plecy, zabierając ją ze sobą. Wydaje z siebie odgłos zaskoczenia, ale wygodnie ląduje na górze. Mój wciąż podskakujący kutas utyka między nami.

Przez długi czas leżymy w milczeniu i nasłuchujemy dochodzących z dołu odgłosów odległego miasta, podczas gdy nasze oddechy zwalniają, tętna wracają do normalności, a pot chłodzi naszą skórę.

Po pewnym czasie Tru w końcu się porusza i z policzkiem złożonym na moim torsie mówi sennie:

– Nie chcę psuć nastroju, ale mam zamówić taksówkę, czy twój szofer odwiezie mnie do domu?

Podpieram się na ramieniu, żeby lepiej widzieć jej twarz.

– Jesteś w domu.

Otwiera usta i wybałusza oczy. Dostrzegam moment, w którym dociera do niej znaczenie moich słów, ale na wszelki wypadek wyjaśniam:

– Przynajmniej na dwadzieścia osiem dni.

Rozdział 18

Tru

Patrzę z niedowierzaniem na tę przystojną, poważną twarz.

– Ty chyba nie chcesz mi powiedzieć… Chyba nie wymyśliłeś sobie, że mnie tu zatrzymasz?

– Tak, dokładnie to chcę powiedzieć.

Próbuję się odsunąć i wyrwać z jego ramion, ale jest zbyt silny. Wystarczy, że zaciśnie mocniej objęcia.

– Liamie! Nie!

– Właśnie, że tak, moja piękna królowo pszczół. Przez następny miesiąc jesteś cała moja, czy ci się to podoba, czy nie.

– Nie możesz mnie tu przetrzymywać wbrew mojej woli. To porwanie!

Jego oczy nabierają tego odległego spojrzenia, które czasami u niego obserwuję. Wygląda to tak, jakby szedł popływać w oceanie mrocznych wspomnień.

– Porwanie to najmniejszy z moich grzechów. I mogę cię tu trzymać nawet bez twojej zgody. Nikt mnie nie powstrzyma.

Obserwuje mnie ciemnymi oczami i pozwala, bym przyswoiła sobie jego ostatnie zdania.

Powstrzymuję się przed wbiciem mu palców prosto w oczy, lecz zamiast tego piorunuję go wzrokiem.

– Chcę, żebyś odwiózł mnie do mieszkania. Natychmiast!
– krzyczę.

– Nie.

Moje serce rusza w piersi galopem.

– Liamie, ja nie żartuję.

Przesuwa kciukiem wzdłuż krzywizny mojej kości policzkowej i mówi czule:

– Wiem, mała. Ale to nie twoja decyzja.

Jeszcze chyba nigdy nie byłam tak wściekła i bezradna. Rozpaczliwie chcę do niego dotrzeć, więc zmieniam taktykę. Może logiką coś wskóram.

– Nie mam tu żadnych moich rzeczy.

– Rzeczy? – powtarza, wodząc leniwie wzrokiem po mojej twarzy.

– Ubrań, przyborów toaletowych, książek i materiałów, z których muszę się przygotować do egzaminu adwokackiego.

– Skąd myśl, że ich tu nie ma? – W jednej chwili tracę umiejętność zaczerpnięcia oddechu. Widząc przerażenie na mojej twarzy, Liam spokojnie dodaje: – Powinnaś wiedzieć o mnie dwie rzeczy: po pierwsze, zawsze dostaję to, czego chcę, a po drugie, żeby to dostać, zawsze planuję dziesięć kroków do przodu.

Moje myśli przeistaczają się w wir tornada. Szaleją w nim szumiące wichry, fruwają różne szczątki i odłamki.

Sprowadził tu moje rzeczy. Moje ubrania, książki… Kiedy? Gdy jadłam kolację ze znajomymi? Nieważne kiedy, idiotko! Ważne, że cię porwał! O Boże… Właśnie uprawiałam seks z porywaczem. Przed chwilą porywacz doprowadził mnie do orgazmu.

– Uwolnij mnie – szepczę, chybocząc się na granicy histerii.

– Uwolnij mnie, natychmiast.

– Oczywiście.

Rozkłada ramiona, zakłada sobie ręce za głowę i patrzy, jak z trudem z niego schodzę i oddalam się od łóżka. Spanikowana rozglądam się po pokoju i szukam jakiegoś okrycia. Przecież nie mogę wybiec na ulicę naga.

– Szafa. – Liam jakby od niechcenia wskazuje na zamknięte drzwi po drugiej stronie pomieszczenia.

Obracam się, biegnę w ich stronę i wpadam do ogromnej garderoby. Automatycznie włącza się w niej światło. Szkoda, że nie pozostało zgaszone, bo wszystkie moje ubrania, dosłownie wszystkie, wiszą po jednej stronie garderoby, a na podłodze pod nimi stoi schludnie ustawiony w rządku cały arsenał moich butów. Natomiast po drugiej stronie wiszą szeregi identycznych czarnych garniturów i eleganckich białych koszul.

Gdy krzyczę z frustracji, z pokoju dobiega niski rechot.

Stoję w środku garderoby i się trzęsę, kipiąc z furii. Ten gnojek mnie wyśmiewa. Wyśmiewa mnie!

Przechodzę na jego stronę garderoby, zrywam z wieszaka jedną z koszul i wycieram nią sobie brzuch, a potem z ponurą satysfakcją ciskam nią w kąt pomieszczenia. Następnie podchodzę do moich butów, wybieram parę i wracam do sypialni. Liam nadal leży z błogą miną nagi na łóżku. Jest dokładnie tam, gdzie go zostawiłam.

Rzucam w niego butem, który przelatuje przez pokój i z bezsilnym łupnięciem uderza o dywan leżący półtora metra od łóżka.

Liam się nie rusza, jedynie unosi brew.

– Kiepski rzut, mała. Marne szanse na zawodowstwo.

Moje policzki aż skwierczą ze złości, zionę ogniem z nosa. Podchodzę trochę bliżej łóżka i rzucam drugim butem, tym razem nieco celniej. Liam musi odsunąć się na bok, żeby nie oberwać obcasem moich ulubionych baletek.

– Już lepiej – stwierdza niewzruszony, wracając do poprzedniej pozycji. – Ale jeżeli naprawdę chcesz upuścić trochę krwi, to w szufladzie szafki nocnej leży pistolet.

Zerka na szafkę po drugiej stronie łóżka, a potem na mnie.

– Mówiłeś, że nie znosisz broni palnej.

– Nie znoszę, ale to nie znaczy, że jej nie mam.

Obserwuje z uśmiechem, jak zmagam się sama ze sobą i jak rozważam, czy ruszyć po broń.

– Ty zarozumiały skurwysynie – syczę. – Nie myśl sobie, że cię nie zastrzelę.

– Może najpierw uraczyłabyś mnie jeszcze kilkoma orgazmami. Ot, luźna propozycja.

Mam ochotę wrzeszczeć, ale zapewne sprawiłabym mu tym radość, więc jedynie zaciskam pięści i posyłam mu wzrokiem terrorystyczne groźby.

– Liamie, to nie jest śmieszne. To nie jest żart.

– A kto tu niby żartuje? Bo na pewno nie ja – odpowiada, wzruszając ramionami.

Jeszcze raz patrzę na nocną szafkę, wyobrażam sobie, jak jego czaszka trafiona kulą wprost między oczy eksploduje.

– Jezus, kurwa mać, ależ jesteś seksowna, gdy się złościsz – stwierdza zmysłowo.

– Tak? Zanim wstanie ranek, to może jeszcze uznasz mnie za jakąś zasraną supermodelkę?

Odwracam się na pięcie i wracam do garderoby. Ściągam z wieszaka koszulę i ją zakładam, potem dżinsy, a bielizną nawet nie zawracam sobie głowy. Następnie wbijam stopy w trampki, łapię do ręki kurtkę i wychodzę z dudniącym sercem.

Gdy wybiegam z sypialni, Liam woła za mną:

– Co chcesz na śniadanie?

– Twój łeb na srebrnej tacy!

Biegnę truchtem przez przepastne mieszkanie i próbuję utrzymać panikę w ryzach. Z salonu kieruję się w stronę windy, której drzwi są ukryte we wnęce za palmami.

Naciskam na guzik i czekam, nerwowo maszerując. W końcu drzwi się rozsuwają. Wbiegam do windy, oczekując, że Liam zaraz za mną przybiegnie, ale tego nie robi. Wciskam guzik z literą L, bo zakładam, że oznacza „lobby", i zaczynam obgryzać kciuk, aby w pełni rozkoszować się mentalnym załamaniem, które dopadło mnie podczas jazdy w dół. Gdy drzwi się rozsuwają, ukazuje mi się szereg czterech wielkich ochroniarzy w czarnych garniturach. Sądząc po ich minach, spodziewali się mnie. Za ich barami widzę garaż, do którego przywiózł mnie wcześniej Liam.

Zaciskam zęby i wciskam inny guzik na panelu, tym razem z cyfrą jeden. Gdy winda zatrzymuje się na pierwszym piętrze, wybiegam z niej ile sił w płucach, by po chwili odkryć, że znalazłam się w jakiejś pustej przestrzeni. Żadnych ludzi, żadnych mebli, nicości nie zakłóca choćby jedna roślinka doniczkowa. To po prostu niewykończona pustka mierząca setki metrów kwadratowych. Zewsząd otaczają mnie sięgające od podłogi po sufit okna ukazujące tętniące nocne miasto, ale w środku nie ma kompletnie niczego. Na gołej betonowej wylewce brakuje nawet dywanu.

Wytrącona z równowagi wracam do windy i wciskam guzik z dwójką. To samo. Pustka, echo. Ani śladu życia. Po wizycie na piątym piętrze wiem, co znajdę na szóstym, siódmym, ósmym.

I każdym kolejnym. Nie licząc apartamentu Liama, budynek jest kompletnie pusty. Kupił sobie cały pierdolony wieżowiec.

Patrzę z wściekłością na panel upstrzony bezużytecznymi guzikami i cedzę:

– Zadufany, arogancki, wkurzający, pretensjonalny…

– No, już, już. Spokojnie. – Z głośnika w suficie odzywa się głos. – Z tym pretensjonalnym trochę się zagalopowałaś, nie sądzisz?

Jestem tak rozjuszona, że sięgam po chyba najbardziej niedorzeczny wyraz furii i z całej siły tupię nogą. A potem patrzę w sufit i krzyczę:

– Czyli do tego wszystkiego jeszcze mnie szpiegujesz?! Porwanie ci nie wystarczyło? Musisz też szpiegować?!

– Bo uwielbiam na ciebie patrzeć, mała – odpowiada ciepło.
– Nic na to nie poradzę.

Zanurzam dłonie we włosach, zaciskam oczy i syczę z wściekłości przez zaciśnięte zęby.

– Jeżeli potrzebny ci masaż, żeby nieco rozładować napięcie, to z przyjemnością ci go zrobię.

– A ja z przyjemnością walnę cię w nos!

– Ale brutalna – rechocze. – Wiedziałem, że dobrana z nas para.

Oszalała z frustracji kopię drzwi windy. Jedyne, co tym zyskałam, to siniak na dużym palcu. Odskakuję od nich, miotam się, przeklinam i pokazuję w stronę sufitu środkowy palec. Nie zauważyłam kamery, ale wiem, że Liam widział ten gest, bo znowu się śmieje.

– W końcu będziesz musiał zasnąć, zarozumiały gnoju! A wtedy będę przy tobie! Będę czuwała przy twoim śpiącym ciele ze szpikulcem do lodu!

– Zarozumiały? – pyta, ignorując moje groźby. – Sam nie wiem. Pewny siebie lepiej by pasowało, nie sądzisz?

– Sądzę, że podpalę tę ruderę i zjaram ją do gołej ziemi – burczę pod nosem, wbijając palec w guzik oznaczony „P1”, jedyny poniżej „L”, więc może tamtędy da się jakoś uciec.

– Myślisz, że szpikulec do lodu załatwiłby sprawę? – gada dalej przez mikrofon. – Przydałby się dobry cel, a tobie chyba go brakuje – zawiesza głos. – No, chyba że nadrobisz liczbą dźgnięć.

– Właśnie taki mam plan, panie Black – szczekam. – Te całe pańskie wielkie mięśnie będą wkrótce podziurawione jak szwajcarski ser.

Przez chwilę jadę w milczeniu trzeszczącą windą, ale Liam przerywa ciszę:

– Te całe wielkie mięśnie? Chcesz powiedzieć, że jesteś pod wrażeniem mojego ciała? – Poddaję się. Opadam na ziemię przy drzwiach windy i zaczynam walić w nią czołem. – Bo muszę przyznać, że uwielbiam, gdy prawisz mi komplementy. Tak jak wtedy w szpitalu, gdy powiedziałaś, że jestem piękny. Pamiętasz? – Wzdycha melancholijnie. – To było naprawdę poruszające. Nigdy wcześniej nikt nie powiedział mi niczego równie miłego.

– Byłam na silnych środkach przeciwbólowych – odpowiadam beznamiętnie, nie odrywając czoła od metalowych drzwi.

– To było cudowne – kontynuuje przez głośnik tkliwym głosem. – Chcę, żebyś to powtórzyła, gdy w tobie będę.

– Ha! Będziesz, na pewno! Już nigdy we mnie nie wejdziesz, kolego!

– Chcesz się założyć? – pyta o wiele niższym głosem niż zwykle.

Zaczynam się trząść ze złości. Odsuwam się od drzwi, z całej siły zaciskając pięści, i wściekle na nie patrzę. Kamera jest pewnie gdzieś nad moją głową, więc nie dam mu satysfakcji oglądania mojej twarzy.

– Nie rozmawiam już z tobą.

– Jak sobie życzysz.

Kolejny trzask w głośniku i cisza.

Drzwi rozsuwają się na poziomie P1, ale jestem tam, gdzie wcześniej. Tam, gdzie przyjechaliśmy samochodem. Czterech osiłków patrzy na mnie pozbawionymi wyrazu spojrzeniami.

Niewiarykurwagodne…

Blokuję drzwi ręką, żeby się nie zamknęły.

– Gdzie Declan?

Osiłki patrzą po sobie, ale żaden z nich się nie odzywa. Jeden tępak wzrusza ramionami, jakby nie zrozumiał pytania.

– Wiem, że znacie angielski. Dzwońcie po Declana i powiedzcie, żeby zaraz zwlekł tu dupsko.

Trzech gamoni patrzy na czwartego, który pewnie jest ich hersztem. Spogląda na mnie, marszcząc nos, ale strach zostawiłam już tak daleko za sobą, że pewnie widać to w mojej twarzy. Zaciska usta, wyjmuje komórkę z marynarki i naciska guzik. Przystawia ją do ucha, słucha przez chwilę, a potem odpowiada coś po gaelicku. Po chwili kiwa głową i się rozłącza. Następnie chowa telefon z powrotem do kieszeni i znowu patrzy na mnie bez słowa.

– No i? Przyjdzie?

Przygłup nawet nie mruga, jakbym mówiła do ściany. Lecz kilka chwil później dostaję odpowiedź, bo Declan wyłania się z cienia i zbliża, wychodząc zza rogu, gdzie stoi rząd zaparkowanych cadillaców escalade. Ćmi papierosa, kroczy nieśpiesznie i patrzy na mnie arktycznymi oczami.

Ekipa osiłków rozstępuje się, by zrobić mu miejsce. Staje przede mną, zaciąga się i wypuszcza kłąb dymu prosto w moją twarz.

– Dzwoniłaś?

Jego ton jest suchy niczym pustynia. Nie wiem, czy cała ta sytuacja go bawi, czy zaraz wybuchnie gniewem, bo jego twarz jest równie niezgłębiona, jak jego lodowate oczy.

Rozganiam dłonią dym i stwierdzam:

– Odwieź mnie do domu.

– Myślałem, że masz więcej oleju w głowie – odpowiada, unosząc brew.

– A ty co, jesteś jego niewolnikiem?

Rzędem ochroniarzy porusza fala napięcia, ale Declan jest niewzruszony. Pali spokojnie i mierzy mnie wzrokiem z góry na dół.

– Bardziej bratem. I licz się ze słowami. Może i Liamowi podoba się twoja niewyparzona gęba, ale ja wolę kobiety czujące więcej respektu.

– To chyba dobrze, że nie jestem twoja.

Przechyla głowę na bok i z namysłem przesuwa dłonią wzdłuż żuchwy. Nagle zupełnie niespodziewanie wybucha śmiechem.

– Chyba tak. Od mojej ręki tak bolałby cię tyłek, że nawet nie mogłabyś chodzić.

Osiłki wtórują mu rechotem, przez co rumienię się ze złości.

– Cieszę się, że cię to bawi. Pewnie porwałeś dla niego wiele kobiet, prawda?

Uśmiech Declana znika. Spina ramiona i kiwa głową na ochroniarzy, którzy bez słowa rozpływają się gdzieś w odmętach podziemnego garażu. Gdy jesteśmy już sami, zbliża się do mnie.

– Nie – odpowiada, patrząc mi prosto w oczy. – Nigdy wcześniej nie porwałem dla niego kobiety. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie widziałem, żeby zachowywał się tak z powodu kobiety, a znamy się ponad dwadzieścia lat.

Zaskoczona przełykam ślinę. Nie wiem, jak zareagować na jego słowa.

Declan ponownie zaciąga się papierosem.

– I co, żadnej ciętej riposty?

Krzyżuję ramiona na piersiach i kręcę głową.

– No proszę. Czyli jednak potrafisz ugryźć się w język.

Nieśpiesznie mnie okrąża, nieustannie lustrując wzrokiem i spokojnie paląc papierosa. Gdy ponownie się przede mną zatrzymuje, pstryka papierosem na bok i wypluwa trochę tytoniu.

– Skąd znasz moje imię? Liam ci powiedział?

– Nie, zgadłam.

Unosi brwi.

– W szpitalu słyszałam, jak rozmawiał z tobą przez telefon. Potem wiozłeś nas do mojego mieszkania, no i dzisiaj tutaj. Po prostu założyłam, że Declan to ty.

– Odważne założenie – mówi, oceniając mnie ostrym spojrzeniem.

– Ale celne, bo w końcu przecież miałam rację.

Mruży oczy i po chwili kiwa głową.

– Ano, miałaś. – Wygląda na zaniepokojonego tym faktem.

Sięga do czarnej skórzanej kurtki, wyjmuje paczkę papierosów marki Marlboro, wytrząsa z niej papierosa i wkłada go do ust. Następnie wysuwa paczkę w moją stronę.

– Nie palę.

Cofa rękę, wydobywa otwieraną zapalniczkę z kieszeni dżinsów, odpala papierosa, po czym z głośnym trzaskiem zamyka źródło ognia. Zaciąga się bardzo głęboko, a po wydmuchaniu dymu mówi:

– No dobra. Jeśli masz pytania, to po prostu je zadaj. Odpowiem, jeśli będę mógł.

To tak niespodziewany gest, że przez chwilę tylko gapię się na niego oniemiała. Niecierpliwie popędza mnie ruchem dłoni.

– Mała, do kurwy nędzy, no dawaj.

Próbuję skupić się najważniejszych kwestiach.

– Czy Liam jest szefem bostońskiej mafii?

– Błąd – prycha. – Liam jest szefem irlandzkiej mafii. Kropka. – Patrzę na niego tępym wzrokiem, więc wzdycha ciężko i dodaje: – Oglądałaś *Ojca chrzestnego*, no nie?

Kiwam głową.

– Dobrze. Czyli wiesz, że Pacino był szefem włoskiej mafii z Nowego Jorku?

Wyobrażam sobie bandę gangsterów, którzy pod koniec filmu schylają się, żeby pocałować pierścień Pacino, gdy zostawał głową mafijnej rodziny po śmierci ojca.

– Tak.

– I kojarzysz, że Brando grał ojca Pacino? Stał na czele całej rodziny Corleone w Nowym Jorku i we Włoszech.

– No chyba coś takiego było.

– Pomnóż to sobie razy sto i masz Liama.

– Nachodzą mnie bardzo złe przeczucia – stwierdzam i nerwowo przełykam ślinę.

Declan kiwa głową.

– Liam nadzoruje wszystkich, mała. Ma pod sobą wszystkie rodziny, całą działalność. Po obu stronach oceanu i na całym świecie. Pomyśl o tym tak: kościół katolicki ma dziesiątki tysięcy kościołów, tysiące księży i biskupów, kilkudziesięciu arcybiskupów, a nad nimi kardynałów. Im wyżej jesteś w hierarchii, tym jesteś ważniejszy. A na samym czubku drabiny jest papież, który siedzi sobie tam na złotym tronie. – Robi wymowną pauzę.

– Twierdzisz, że Liam jest papieżem?

– Zgadza się. Tyle że bez tych śmiesznych czapek.

Czyli porwał mnie papież mafii. Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Milczę przez dłuższą chwilę, przez co Declan wygląda na urażonego.

– Nie skrzywdzi cię, nie musisz się o to martwić.

– Martwię się wyłącznie o powrót do domu i dawnego życia.

Przyglądam się, jak pali. Nachodzi mnie myśl, że może byłoby miło nabawić się takiego nałogu. Papieros to świetne narzędzie, bo daje ci chwilę czasu w toku niezręcznych rozmów.

– A do czego ważnego tak ci śpieszno, mała? Do roboty w knajpie Buddy'ego?

– Posada kelnera to uczciwe zajęcie. Ani ty, ani Liam nie możecie się poszczycić niczym podobnym – wypalam urażona jego szyderczym tonem.

– Nie masz pojęcia, czym się zajmujemy – ripostuje ostro.

– Chyba mamy różne definicje pojęcia uczciwości.

Patrzy na mnie przez długą chwilę pełną napięcia, po czym stwierdza łagodniej:

– Nasze definicje pokrywają się bardziej, niż myślisz.

Rozumiem, że w jego słowach jest ukryte jakieś znaczenie. Czuć na kilometr, że od razu pożałował ich wypowiedzenia. Dlatego też ciągnę temat dalej:

– Wyjaśnisz mi to?

Zaprzecza, trwając w milczeniu.

– No więc dobrze, przejdę do sedna. Jak mam się stąd wydostać?

– Nie możesz się wydostać, chyba że postanowi cię wypuścić.

Po raz ostatni głęboko się zaciąga, następnie rzuca niedopałek na beton i miażdży go obcasem.

– Ale dam ci darmową radę, która może pomóc, zanim to nastąpi. Nie okłamuj go, bo od razu się zorientuje, że kłamiesz. Nie zdradzaj go, bo dowie się, że to zrobiłaś. Wtedy czekają cię bardzo nieprzyjemne konsekwencje – kończy, a jego oczy jasno błyszczą.

– Czyżby? – pytam, zmuszając się, by nie mrugać i nie przełykać śliny.

Mija mnie, podchodzi do windy i wzywa ją na dół. W milczeniu czeka na jej przyjazd, a potem obraca się i spogląda na mnie z głębokim namysłem.

– Wszyscy traktują go jak króla, ale ty tego nie rób. On potrzebuje dokładnie tego, co mu dajesz. Tych pyskówek i szczerości. Jesteś prawdziwa, a dla człowieka jego pokroju to coś bezcennego.

Winda pika, a drzwi się rozsuwają. Declan się odsuwa i wskazuje, bym wsiadała.

Wchodzę do windy wolnym krokiem. Wciska guzik prowadzący do apartamentu na najwyższym piętrze, a potem staje w drzwiach ze skrzyżowanymi na torsie rękoma i mierzy mnie wzrokiem.

– A co ze mną? – pytam. – Co z moimi potrzebami? Czemu niby tylko on się liczy?

– Bo ty sobie poradzisz, mała. Jesteś twarda jak szefowie mafii. Kiedy to wszystko dobiegnie końca, czeka cię długie i szczęśliwe życie.

Przechodzą mnie ciarki.

– Brzmisz tak, jakby Liama nie czekało.

– Powiem ci jedno, nie przywiązuj się nadmiernie. Mężczyźni prowadzący życie z jedną nogą w trumnie prędzej czy później wpadają do niej cali.

Drzwi windy się zasuwają i Declan znika mi z oczu.

Rozdział 19

Tru

Gdy drzwi windy otwierają się na piętrze Liama, ten już na mnie czeka bez koszulki i boso. Ma na sobie jedynie czarne bokserki. Jego ciało jest piękne. To najdoskonalsza forma architektury mięśni, szczupła i silna. Szerokie barki, wąska talia i mięśnie brzucha, na których widok anioły łkałyby z zazdrości. I te wszystkie tatuaże. Liam jest majestatycznym gnojkiem.

– Chcę, żebyś natychmiast odwiózł mnie do domu.

– Już coś wspominałaś.

Długim krokiem pokonuje dzielącą nas przestrzeń i bierze mnie na ręce. Gdy obraca się, by ruszyć w głąb mieszkania, warczę:

– Umiem chodzić.

– Wiem, ale noszenie cię to mój przywilej.

Patrzę na jego profil i jestem wściekła, że w takiej chwili potrafi zachować spokój i maniery.

– No dawaj, walcz – dodaje. – Lubię, gdy się ze mną spierasz.

– Tylko dlatego, że znudziło ci się towarzystwo dupowłazów – syczę.

– Przyznaję, to nużące – odpowiada.

– Jeżeli chcesz mnie zanieść z powrotem do sypialni, to oszczędź sobie czasu. Nie zamierzam z tobą spać – oświadczam sucho.

– Jesteś urocza. – Uśmiecha się pobłażliwie, przez co mam ochotę zdzielić go w łeb.

– Liamie, naprawdę…

– Cicho już – rzuca stanowczo. – To na nic. Nie zmienisz mojego zdania.

Wchodzimy do sypialni. Niesie mnie do łóżka i kładzie na jego krawędzi. Kiedy próbuję wstać, popycha mnie z powrotem na łóżko.

Zamykam oczy i siedzę napięta. Oddycham głęboko przez nos, aż nagle po chwili słyszę:

– Rozbieraj się.

Otwieram oczy i patrzę na niego wściekle.

– Chyba żartujesz.

– Potrzebujesz snu.

– Potrzebuję kilofu, a także tego, żebyś przez chwilę się nie ruszał, kiedy będę brała zamach – poprawiam go.

Łapie mnie za szczękę i patrzy mrocznymi, pięknymi i smutnymi oczami.

– Wcale tak nie myślisz – mruczy.

Czuję ukłucie wyrzutów sumienia i nienawidzę siebie za to. Wzdycham i ponownie zamykam oczy.

– Nie, nie myślę – potwierdzam przypuszczenia Liama.

Liam wchodzi na łóżko i wciąga mnie na siebie, układając moje kończyny tak, bym mogła leżeć na nim jak na materacu. Muszę przyznać, że jest bardzo wygodnym i pachnącym materacem. Muszę się dość mocno powstrzymywać, bo inaczej wtuliłabym się w jego szeroki tors.

– Dlaczego to robisz? – jęczę.

– Bo chcę i mogę. Zresztą ty też tego chcesz, ale jesteś cholernie uparta i nie przyznasz się tylko po to, aby nie dać mi tej satysfakcji.

– Po prostu odrzuciłam twoją szaloną prośbę miesięcznego konkubinatu.

– Ale ją rozważałaś.

– Ale odmówiłam.

Głaska mnie po włosach. Jego pierś unosi się wysoko i opada w głębokich oddechach.

– Tru, to już postanowione. Na dwadzieścia osiem dni jesteś moja. Później, jeśli chcesz, możesz nienawidzić mnie do końca życia, ale teraz po prostu się tym ciesz.

– Brzmisz tak, jakbym to ja zachowywała się nierozsądnie!

– Skrzecz sobie, ile chcesz. Postanowione.

Przez chwilę raduję się wyobrażeniem, jak Liam zawyje z bólu, gdy ugryzę go w sutek. Ziewnięcie powstrzymuje mnie przed odruchem, by coś mu odgryźć.

Całuje mnie w czoło i obejmuje. Następnie zaczyna delikatnie i okrężnymi ruchami masować mój kręgosłup.

– Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Och, przepraszam bardzo. Czyżbym miała teraz przyjemność z jakimś innym człowiekiem?

– Muszę też wiedzieć, jaki jest twój ulubiony klejnot.

Zgrzytam zębami i niecierpliwie bębnię palcami o jego tors.

– I jaki masz rozmiar pierścionka.

Pierścionka?! Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Zamurowało mnie. Nie potrafię nawet przełknąć śliny. Z jego piersi wyrywa się śmiech zadowolenia.

– Już wiem, jak przykuć jej uwagę.

Po chwili odpowiadam ostrożnie:

– Mam wrażenie, że przeleciałam przez dziurę w czasoprzestrzeni do jakiegoś innego wymiaru.

Przewraca mnie na plecy i całym ciężarem ląduje na górze. Teraz patrzy na mnie z płomienną intensywnością.

– Nie zmuszę cię do zamążpójścia, jeśli tego się obawiasz – burczy. Moja krtań rozluźnia się na tyle, że mogę wziąć płytki, niepewny wdech. – Choć w sumie mógłbym – dodaje w zamyśleniu i moje gardło znów staje się sztywne jak kamień.

Na widok leniwie rozpościerającego się na jego twarzy uśmiechu, zdaję sobie sprawę, że tylko mnie drażni.

– Ty… Ty psychopato! – dyszę przerażona.

– Nazywano mnie gorzej – stwierdza niewzruszony.

– Złaź ze mnie! – Próbuję go zepchnąć.

– No i znowu… – wzdycha ciężko.

– Złaź!

Ucisza mnie pocałunkiem.

Odrywam się od niego jak najszybciej, ale nie dość szybko, bo już zdążyło mi się spodobać to, w jaki sposób smakuje i jak całuje. Moje ciało zareagowało niemalże natychmiast.

Kiedy to wszystko się skończy, będę potrzebowała długiej terapii.

– Teraz będziemy spali – oświadcza. – Mam płytki sen, więc nawet nie próbuj się wymknąć.

Przewraca się na bok, podnosi kołdrę po jednej stronie łóżka i przyciąga mnie do siebie za rękę. Kładzie się na plecach, przytula mnie do boku, nakrywa nas kołdrą i wzdycha z głębokim samozadowoleniem.

– Liamie?

– Tak, kochana?

– Nie zdjęłam butów.

– Mówiłem, żebyś się rozebrała, to nie chciałaś.

– Czyli nagle spełniasz moje prośby? Miła odmiana.

Nagle coś poruszyło moje włosy i dociera do mnie, że to powietrze z jego ust, towarzyszące cichemu śmiechowi.

– Cieszę się, że cię bawię.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo bawisz – szepcze.

Gapię się w sufit z niedowierzaniem. *To nie może dziać się naprawdę. To nie może być moje prawdziwe życie.*

– Powrzeszczysz sobie na mnie rano – mówi zrelaksowany.

– Teraz po prostu śpij.

– Nie, żebym miała wybór.

– Może nawet polubisz, że ktoś podejmuje za ciebie wszystkie decyzje – odpowiada z ciepłą nutą w głosie.

– Przepraszam uprzejmie, ale to nie średniowiecze. Słyszałeś może, że kobiety uzyskały nawet prawo do głosowania?

– Owszem. Koszmarny błąd, jeśli chcesz znać moje zdanie. Od tego czasu wszystko popisowo się pieprzy.

Znowu się ze mną droczy. Kim jest nowy, radosny Liam i ta uśmiechnięta, żartobliwa wersja gniewnego, rozpalonego wilka? Przecież fakt, że mnie porwał i że spędzimy razem kolejnych dwadzieścia osiem dni, nie może go tak cieszyć, prawda? A jeśli tak, to jakże koszmarne musiał wieść życie, skoro dopiero coś takiego pozwoliło mu się uśmiechnąć?

Nie waż się współczuć! To król mafii! Porywacz! Nie użalaj się nad takim typem!

Opierniczam się w głowie przez kilka minut, dopóki Liam nie trąca mnie nosem w ucho, a potem mruczy:

– Do spania, bo jak nie, to uznam, że czekasz, aż zerwę z ciebie ciuchy i wydupczę cię do nieprzytomności.

Zirytowana obracam się na bok i zakopuję twarz w poduszce.

Liam idzie w moje ślady. Zarzuca na mnie rękę i nogę, tym samym mocno mnie przytulając i całując w kark. Po kilku minutach naszego bezruchu światło słabnie, a potem całkiem gaśnie. Zostaję sama z galopującymi myślami. Liam trzyma mnie mocno nawet po odpłynięciu w sen.

* * *

Budzę się jakiś czas później i nie mam pojęcia, gdzie jestem. Najpierw zmagam się z pustką w głowie. Leżę na boku i pozwalam wzrokowi krążyć po obcym mi pomieszczeniu. Jest cicho i spokojnie. Zza obrzeży zasłaniających jedną z oszklonych ścian ciężkich, szarych zasłon przesącza się światło, z czego z łatwością mogę wywnioskować, że wstał już ranek. A potem słyszę za sobą wolny, ciężki oddech, a w talii czuję ciężar masywnej męskiej ręki. I nagle wszystko wraca.

Jestem w niewoli.

Czekam na uderzenie złości i gniewu, ale czuję tylko niemrawe rozdrażnienie, po którym nadchodzi chęć obrócenia się na drugi bok i zanurzenia w rozkosznym cieple, które czuję na plecach.

Wygląda na to, że syndrom sztokholmski wchodzi do głowy niemal od razu.

– Dzień dobry – mówi Liam gęstym, rozespanym głosem. Rozciąga nogi, bierze głęboki wdech tuż przy moim karku i obejmuje mnie jeszcze mocniej.

Czuję na tyłku jego erekcję i natychmiast się rumienię. Twarde powitanie. Odchrząkuję.

– Cześć.

– Nie uciekłaś.

– Uznałam, że jeśli spróbuję, to przywiążesz mnie do łóżka.

– I słusznie. – Łapie mnie za biodro, wbija we mnie miednicę i bierze głęboki wdech. – Przypomnij mi, dlaczego jesteś ubrana?

– Bo jestem na ciebie wściekła. Porwanie, pamiętasz? Uprowadzanie. Świta ci coś?

– Hmm, no tak. – Wsuwa pode mnie drugą rękę, ściska mocno i muska mnie nosem po karku. – Moja piękna niewolnico – mruczy – muszę w tobie dojść. Co powiesz na seks analny?

Oczy prawie wyskakują mi z orbit, a serce zaczyna szybko bić.

– Jestem stanowczo przeciwna. Stanowczo przez wielkie S. Zwłaszcza z mafijnym papieżem, który porwał mnie z uroczystej kolacji i zamknął w swoim wieżowcu.

– Z mafijnym papieżem? – pyta po długiej chwili namysłu.

– Nieważne. Znowu robię się zła.

Przesuwa dłoń na moją pierś i zaciska ją.

– Pozwól, że zafunduję ci orgazm. Od razu poczujesz się lepiej – mruczy ochryple.

Mniej więcej dziewięćdziesiąt procent moich komórek popiera ten pomysł i aż kwiczy z radości, a pozostałe dziesięć stara się przemocą zmusić je do uległości. Walić tę głupią większość. Ja tu rządzę, a nie moje oszalałe hormony.

– Nie – odpowiadam głośno i wyraźnie, żeby uniknąć wszelkich niedomówień.

– Okej, ty tu jesteś szefową.

– Naprawdę? Od kiedy? – pytam, unosząc brew.

– Od nigdy – odpowiada, rechocząc. – Chciałem cię tylko udobruchać.

– Kumam. A z ciekawości, czy w szafce nocnej po mojej stronie też jest broń?

Jego rechot przechodzi w głośny śmiech. Przerzuca mnie nad sobą tak, że ląduję na plecach po drugiej stronie jego ciała, a potem, jakby uwielbiał to robić, zarzuca na mnie nogę, przyszpilając do materaca.

– No i proszę – mówi, patrząc na mnie czułym wzrokiem z rozespanym uśmiechem.

Jezus Maria, dlaczego on musi być tak cholernie piękny? To wszystko komplikuje.

– Zawsze jesteś taki szczęśliwy po uprowadzeniu niewinnej ofiary?

– Nie – odpowiada ciepło. – Jestem szczęśliwy, bo budzę się obok ciebie.

Cholera, uruchamia swój urok. Mrużę czujnie oczy.

– Nie patrz tak podejrzliwie, to prawda.

– Jeżeli nie wrócę do domu, to Ellie powiadomi policję.

Sunie nosem wzdłuż mojej szczęki, łaskocząc mnie przy tym brodą.

– Ellie wie, że nocujesz u mnie. Uważa, że to świetny pomysł. – *Zdrajczyni!* – A twój szef wie, że przez jakiś czas nie będzie cię w pracy. Przesyła pozdrowienia.

– Od jak dawna to planowałeś?! – pytam, piorunując go wzrokiem.

– Trwonisz czas na to całe zbędne oburzenie. Przejdźmy do ważniejszych spraw. Jak długo będziesz się złościła? Mój kutas cię pragnie, a ja muszę ponownie usłyszeć, jak wykrzykujesz moje imię. Najlepiej w ciągu najbliższych pięciu minut.

– Przywyknij do rozczarowania.

Liam podnosi głowę i patrzy mi głęboko w oczy.

– Nie możesz mnie rozczarować. Nawet jeżeli przez cały ten miesiąc nie dasz mi się dotknąć, to i tak będzie to najlepszy okres w moim życiu, bo spędzimy go razem.

Gapię się na niego z niedowierzaniem. Kopara mi opadła.

– Daj spokój!

Przesuwa spojrzenie na moje usta, jego oczy są rozpalone. Spragniony oblizuje wargi.

– Nie, Liamie. To tak nie działa. Nie możesz ignorować moich życzeń, ignorować mojej wolnej woli i oczekiwać, że z uśmiechem na ustach rozłożę przed tobą nogi.

– Boże, mów dalej – wtrąca namiętnie. – Rozłożyć nogi? Tak, kontynuuj.

Wszystko na nic. Równie dobrze mogłabym sprzeczać się ze ścianą.

– Nieważne.

Chwyta moją dłoń i zaciska ją wokół swojego nabrzmiałego penisa.

– Pragnę cię – szepcze mi na ucho. – Pragnąłem, odkąd cię ujrzałem, ale teraz, gdy już wiem, jak brzmisz, kiedy dochodzisz, pragnę cię jeszcze bardziej. Wiem, jak pięknie wyglądają twoje usta wokół mojego kutasa, jak drapiesz mnie po plecach, jak wykrzykujesz moje imię, kiedy cię rżnę, i jak nigdy niczego w sobie nie kryjesz, dlatego z każdą chwilą chcę cię jeszcze bardziej. Ale co

ważniejsze, chcę, żebyś czuła się przy mnie bezpiecznie, zaufała mi i wiedziała, że zrobię wszystko, by cię uszczęśliwić, włącznie z rozwaleniem komuś łba – zawiesza głos, więc otwieram oczy i patrzę na niego. – A jeżeli zachowanie tej rozkosznie wilgotnej cipki tylko dla siebie ma cię uszczęśliwić, to niech tak będzie – kontynuuje mroczniejszym głosem. – Mogę cię zmusić, żebyś ze mną została, ale nigdy nie zmuszę cię, żebyś się ze mną rżnęła. Jeśli odmawiasz, to więcej nie będę prosił. – Nagle mnie puszcza, przetacza się na krawędź łóżka, wstaje i przeczesuje włosy dłonią. Następnie idzie do łazienki, trzaska za sobą drzwiami i włącza prysznic.

Chwileczkę, czy on jest na mnie zły?!

Zdezorientowana wsłuchuję się w szum wody, dopóki ten nie cichnie. Po kilku minutach Liam ukazuje się nagi w drzwiach łazienki. Kieruje się do garderoby, przy czym nawet nie zaszczyca mnie spojrzeniem. Wyłania się z niej chwilkę później już całkiem ubrany. Czarny garnitur, czarny krawat, biała koszula, czarne skórzane buty. Ponownie jest mrocznym i niebezpiecznym wilkiem z nieprzeniknioną miną i zagadkowym spojrzeniem.

Wychodząc z sypialni, rzuca przez ramię:

– Twoje książki są w bibliotece. Miłej nauki!

Wychodzi, nawet nie oglądając się za siebie.

Rozdział 20

Tru

Pozbieranie myśli w takim stopniu, by wydedukować, że też przydałby mi się prysznic, wypadałoby założyć czyste ciuchy i rozejrzeć się za czymś do jedzenia, trochę mi zajęło. Robię to wszystko po kolei, krok po kroku. Większymi problemami zajmę się później.

Prysznic w głównej łazience jest niesamowity. Ma na środku sufitu deszczownicę, dzięki której czuję się, jakbym brała prysznic pod gołym niebem na tropikalnej wyspie podczas letniej burzy. Oprócz tego, w strategicznie wybranych punktach ścian, umieszczone są natryski strzelające silnymi strumieniami wody ze wszystkich stron.

Moje przybory toaletowe czekają ustawione na blacie za dwiema marmurowymi umywalkami. Rozczesuję mokre włosy, myję zęby i używam dezodorantu, a to wszystko własnymi rzeczami, które zostały podkradzione z mojego mieszkania. Z jednej strony zdumiewa mnie, ile wysiłku Liam włożył w to, żeby mnie tu ściągnąć, a z drugiej mam ochotę wybić mu przednie zęby. Za to inna cząstka mojego umysłu – drobniutka, którą aktywnie staram się ignorować – podszeptuje, że przecież ten cały szaleńczy plan mi się podoba i powinnam przestać opierać się temu, aby w pełni go poprzeć. Koniec końców przez kilka tygodni nie będę musiała słuchać chóru wspólnych jęków Ellie i Tylera. Mogę w ciszy i spokoju uczyć się do egzaminu adwokackiego.

Biorąc pod uwagę fakt, że jestem introwertyczką, dla której idealna randka polega na wspólnym czytaniu na dwóch przeciwległych krańcach kanapy, miesięczne uwięzienie w czterech ścianach z małomówną seksbombą może być prawdziwą nirwaną. Ale może też okazać się piekłem na ziemi.

Niestety podejrzewam, że jeżeli jakimś cudem się stąd wydostanę, to po kilku godzinach trafię tu z powrotem. Ktoś musiałby przemycić mnie z kraju w walizce, żeby wymknąć się z zasięgu wpływów Liama Blacka.

Po kąpieli zakładam czyste dżinsy i koszulkę. Ruszam boso, błądząc od jednego kolosalnego pomieszczenia do drugiego.

Główna przestrzeń dzienna została zaprojektowana w sposób otwarty. Kuchnia połyskuje stalą nierdzewną i czarnym granitem. Salon i jadalnia są oddzielone grubym, zawieszonym pod sufitem płatem barwionego szkła. W pokoju sportowym jest wielki telewizor i potrójne rzędy wygodnych foteli, zupełnie jak w kinie. Biblioteka mieści się po drugiej stronie mieszkania w stosunku do głównej sypialni i jest niemal równie okazała, jak sypialnia. Obok biblioteki jest gabinet Liama.

Staję w drzwiach z dłonią na klamce, patrzę na jego biurko i serce zaczyna mi mocniej bić.

Biurko jest wielkie i czarne, bo jakżeby inaczej. Posiada wszystkie atrybuty biznesowego biurka: stosy papierów, kubek z długopisami i komputer z wielkim monitorem. Nie widzę tylko telefonu. W innych pomieszczeniach też ich nie było.

Przez kilka minut zastanawiam się, czy podejść do komputera i uruchomić go, ale ostatecznie dochodzę do wniosku, że Liam na pewno ustawił sobie hasło. Jeżeli zainstalował kamerę w windzie, to tutaj na pewno też, więc wracam rozejrzeć się w bibliotece.

Wszystkie moje materiały do nauki, podręczniki i pomoce do egzaminu leżą w schludnych kupkach na szerokim drewnianym stole nieopodal wygaszonego marmurowego kominka, który wznosi się pod jedną ze ścian pomieszczenia. Jest tam też mój laptop. W bibliotece nie ma telewizora, ale nie brakuje za to sięgających sufitu regałów z książkami. Ruchoma drabinka czeka oparta o jeden z nich i aż zachęca, by się na nią wspiąć.

Powoli podchodzę, sunąc opuszkami palców po oparciu skórzanej kanapy koloru węgla, podziwiając atmosferę subtelnego luksusu i rozkoszując się zapachem starych książek. To miejsce stanowi spełnienie marzeń każdego bibliofila.

Przez jakiś czas przeglądam regały i jestem pod coraz większym wrażeniem. Wygląda na to, że Liam ma słabość do pierwszych wydań Prousta, ale jego zbiory filozoficzne jeszcze bardziej zwalają z nóg. Ma tu wszystko – od Arystotelesa po Nietzschego i od Kartezjusza po Kanta. Ściągam z półki wysłużony egzemplarz *Rozważań* cesarza Marka Aureliusza, otwieram na zaznaczonej zagiętym rogiem stronie i czytam na głos podkreślony fragment:

Nie żyj tak, jakbyś miał żyć lat dziesięć tysięcy. Los wisi nad tobą. Dopóty żyjesz, dopóki można, bądź dobry.

Wpatruję się w te słowa z osłupieniem. Człowiek rządzący międzynarodowym imperium zbrodni podkreśla sobie fragmenty o czynieniu dobra? Może ten egzemplarz należał niegdyś do kogoś innego? Przeskakuję na początek książki. Na stronie tytułowej widnieje wpis wykonany bogatym w zawijasy żeńskim pismem:

Ukochany,

Oto mądrości spisane przez prawdziwego mędrca, bo wiem, że lubisz takie rzeczy.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin,

Julia.

Dedykacja jest datowana na dziesiątego sierpnia, osiemnaście lat temu.

Wpatruję się w tę notkę i zasycha mi w ustach, a włoski na karku stają dęba. Nagle zamykam książkę i odstawiam ją na miejsce. Jestem wystraszona i zdenerwowana. Mam mgliste poczucie winy, jakbym zrobiła coś, czego nie powinnam. Jakbym zajrzała do zamkniętego pokoju przez dziurkę od klucza i ujrzała ducha. Pozbywam się tego uczucia i tłumaczę sobie, że to niedorzeczne.

Kimkolwiek jest lub była Julia, nie mam żadnych dowodów, że ta książka była prezentem dla Liama. Przecież nie zawarła w dedykacji jego imienia, użyła tylko ogólnego określenia „ukochany". Liam mógł nabyć ten egzemplarz *Rozważań* w antykwariacie. Zanim trafił w jego ręce, mógł wielokrotnie zmieniać właścicieli.

Ponadto osiemnaście lat temu Liam był bardzo młody, chyba nawet młodszy niż ja dzisiaj. Nie wiem, jaka dokładnie dzieli nas różnica wieku, bo nie chciał mi powiedzieć, ale jeżeli kobieta imieniem Julia nazwała kogoś „ukochanym", to ten ktoś

prawdopodobnie był wówczas starszy od Liama. Ta dedykacja brzmi na wyrafinowaną.

Może książka należała do ojca Liama? Może Julia to jego matka? Kolejna pozycja na długiej liście tajemnic tego człowieka.

Wracam do drewnianego stołu i wysuwam spod niego krzesło. Rozsiadam się, przysuwam sobie plan nauki oraz laptopa i próbuję się zalogować na stronę przygotowującą do egzaminu adwokackiego. Dostęp do niej kosztował mnie dwumiesięczną pensję. Od tygodni między zajęciami a pracą przerabiałam pytania wielokrotnego wyboru, ale teraz dociera do mnie, że być może nie będę mogła kontynuować nauki online. I ta świadomość przyprawia mnie o mdłości. Nie znam hasła do wi-fi Liama. Cholera jasna.

Mogę uczyć się bez dostępu do internetu, ale w kursie internetowym mam możliwość odsłuchiwania wykładów na żądanie, mam odpowiedzi na pytania udzielane przez czynnych prawników, dostęp do bazy danych przykładowych odpowiedzi na pytania testowe i pisemne oraz wiele innych znakomitych narzędzi, których będzie mi brakowało, jeżeli będę uczyła się po staremu, czyli tylko z książek. Oczywiście mogło być gorzej. Potrafię uczyć się samodzielnie i nie mam problemów z motywacją. Nie będzie brakowało mi towarzystwa mojej drużyny studentów, bo przez większość czasu i tak ich ignorowałam. Natomiast będzie mi brakowało wykładów online i bazy danych. To przede wszystkim za dostęp do nich zapłaciłam. A to oznacza, że będę musiała poprosić Liama o hasło, czyli będę zmuszona, by z nim porozmawiać.

– O ile chcesz się założyć, że odmówi? – pytam ekran laptopa. – Jeżeli dostanę hasło do wi-fi, to dostanę też dostęp do mojego maila. Będę więc mogła napisać do bostońskiej policji, że zostałam porwana. – Zastanawiam się przez chwilę. – A może porwaniami zajmuje się FBI?

Laptop patrzy na mnie bez cienia wyrozumiałości.

– Masz rację. Kogo ja oszukuję? FBI pewnie też opłaca. Liam pewnie ma prezydenta pod skrótem klawiszowym w telefonie, skoro już przy tym jesteśmy. Przecież każdy wie, że politycy to banda kanciarzy.

Pozwalam sobie na chwilę użalania się nad sobą, po czym otwieram plan nauki i biorę się do roboty.

Skoro już utknęłam w tej podniebnej posiadłości na cały miesiąc, to mogę postarać się jak najlepiej wykorzystać ten czas. Mam bardzo praktyczny charakter.

Cztery godziny później robię sobie przerwę na lunch.

Wiem, która jest godzina jedynie dzięki zegarowi stojącemu na obudowie kominka. Nie mam mojej torebki, więc nie mam też komórki. Czuję się przez to tak, jakby ktoś odciął mi kończynę. Telefon to kolejna rzecz, o którą będę musiała poprosić pana tych włości.

W kuchni, w kolosalnej lodówce ze stali nierdzewnej, znajduję interesujący zbiór poustawianych na półkach, eleganckich i wykonanych z czarnego szkła pojemników w różnych rozmiarach. Otwieram jeden, a w środku jest filet mignon z czosnkowym purée ziemniaczanym. W drugim łosoś glazurowany miso z oblanymi masełkiem szparagami. W trzecim lazania udekorowana płatkami trufli.

Ocierając ślinę z ust, wybieram lazanię i wrzucam pojemnik do mikrofalówki. Kiedy się podgrzewa, przeczesuję szuflady w poszukiwaniu sztućców. Wszystko od łyżeczek po szczypce do sałat jest poukładane z dokładnością godną osobowości analnej[6]. W przeciwieństwie do mojej kuchni, tutaj szuflady i szafki mają te ciche zawiasy, więc nieważne jak mocno nimi trzaśniesz, to i tak zamkną się z łagodnym szeptem powietrza.To bardzo niewygodne, jeżeli akurat kłócisz się w kuchni i musisz zaakcentować swój argument. Kiedy kłócimy się z Ellie, potrafię przeistoczyć walenie szafkami i szufladami w istne dzieło sztuki.

Pochłaniam lazanię na stojąco przy kuchennej wyspie, a następnie opłukuję pojemnik i widelec, żeby potem włożyć je do podwójnej zmywarki. Po posiłku wracam do biblioteki, starając się nie zastanawiać, dokąd poszedł Liam.

Gdy kończę naukę, na zewnątrz jest już ciemno, a miasto mruga do mnie światłami przez oszklone ściany. Miałam właśnie wstać i rozciągnąć się, lecz niespodziewanie ktoś stawia przede mną na

stole kieliszek czerwonego wina. Podnoszę wzrok i natrafiam na spojrzenie Liama. W ogóle nie słyszałam, kiedy przyszedł.

Nadal ma na sobie garnitur i krawat. W prawej dłoni trzyma pokal z brandy. Obraca się bez słowa i oddala ku wielkiej, czarnej kanapie po drugiej stronie pomieszczenia. Odkłada brandy na szklany stoliczek stojący przed kanapą, luzuje krawat, a potem siada i opiera głowę o zagłówek. Ciężko oddycha i przymyka oczy.

Mam irytująco silną chęć, żeby tam podbiec, wskoczyć mu na kolana i się w niego wtulić.

Upijam łyk wina, które jest wybitne. Wyraziste i wytrawne z delikatnym posmakiem przypraw i czekolady. Po chwili, gdy staje się jasne, że Liam do mnie nie przemówi, postanawiam pierwsza przerwać ciszę.

– Jak ci minął dzień, mój drogi?

Nie porusza się i nie otwiera oczu, lecz mimo to mój sarkazm sprawił, że delikatnie unosi kąciki ust.

– Gównianie – odpowiada, lecz po krótkiej pauzie dodaje: – Ale teraz już jest lepiej.

Biorę kolejny łyk. Chciałabym, żeby moje dłonie przestały drżeć.

– A tobie?

– Był – szukam właściwego słowa, które ujęłoby całość moich dzisiejszych doświadczeń, aż w końcu odnajduję dość zaskakujące: – produktywny.

Liam podnosi głowę i zwilża językiem wargi. Wbija wzrok w stojącą na stoliczku szklankę z brandy, ściąga krawat przez głowę, rzuca go na kanapę i rozpina kilka górnych guzików koszuli. Następnie nachyla się i bierze brandy do ręki. Zakręca trunkiem i przez chwilę w idealnej ciszy, po oparciu łokci na kolanach, delektuje się aromatem.

Z profilu jest tak przystojny, tajemniczy i bardzo odległy.

– Liamie?

– Tak, mała?

– Ile masz lat?

– Trzydzieści dziewięć – odpowiada bez wahania, uparcie wpatrując się w trunek.

Jest ode mnie piętnaście lat starszy. Czyli osiemnaście lat temu miał dwadzieścia jeden. Czy dwudziestojednolatek jest dość dojrzały, by kobieta imieniem Julia nazywała go „ukochanym”?

Wiem, że odpowiedź brzmi: „tak”. Wiedziałam to jeszcze przed skończeniem zadawania sobie w myśli tego pytania.

– Przeszkadza ci to? – pyta, gdy nie odzywam się dłuższą chwilę.

– Nie, przeciwnie – odpowiadam bez namysłu.

Obraca głowę i spogląda na mnie z płonącą intensywnością.

Zawstydzona wbijam wzrok w kieliszek wina, który trzymam w dłoni.

– Potrzebuję hasła do wi-fi.

– Oczywiście. Coś jeszcze? Wystarczy poprosić.

Kompletnie zaskoczona podnoszę na niego wzrok. Nadal patrzy na mnie z mrocznym ogniem w oczach.

– Nie masz nic przeciwko?

– Dlaczego miałbym mieć?

– Bo… To znaczy… Co, jeśli spróbuję wysłać komuś maila? – Ściąga brwi, jakby nie wiedział, do czego zmierzam, więc wyjaśniam: – No, z prośbą o pomoc?

Zniewala mnie spojrzeniem. Chcę odwrócić wzrok, ale nie potrafię.

– Wiem, że tego nie zrobisz – stwierdza niskim głosem, patrząc mi prosto w oczy.

Moje serce zamienia się w oszalałego ptaka, który bije skrzydłami o klatkę z żeber.

– Skąd wiesz?

– Bo chcesz ze mną zostać. Odkąd powiedziałaś, że mi ufasz, nic się nie zmieniło – opowiada jeszcze niższym głosem. – Bo wiesz, że dotrzymam słowa i po dwudziestu ośmiu dniach pozwolę ci wrócić do normalnego życia, choć żadne z nas nie będzie tego chciało.

Zalewa mnie fala ciepła, rumienię się i mam wrażenie, że czuję każde zakończenie nerwowe w ciele.

Odrywam od niego spojrzenie i wiercę się na krześle. Nie mam nic lepszego do roboty, więc kręcę winem, przez cały czas czując na sobie wzrok Liama.

– Zjadłaś coś?

– Lunch koło trzynastej, wzięłam coś z lodówki. Wybrałam lazanię. Była dość smaczna.

Uspokój się, nie pękaj. Czemu tak się emocjonujesz? Przecież tylko zapytał o posiłek.

– Chciałabyś wybrać się na kolację?

Gwałtownie obracam głowę i patrzę na niego.

– Masz na myśli wyjście na kolację?

Bierze nieśpieszny wdech i napina szczękę. Kiedy ponownie się odzywa, brzmi, jakby mówił przez zaciśnięte zęby.

– Dokładnie to mam na myśli.

Po chwili dociera do mnie, że go uraziłam. Tak bardzo zbija mnie to z tropu, że potrzebuję chwili ciszy, by przestroić mój mentalny kompas.

– Nie chciałam cię urazić. Po prostu nie jestem pewna zasad. Nigdy wcześniej nikt mnie nie porwał.

Analizuje bacznie moją minę. Jego twarz jest napięta i mroczna. Znowu skupia się na brandy w naczyniu. Unosi ją do ust i pije, dopóki cały bursztynowy płyn nie znika w jego ustach.

– Nie ma żadnych zasad – odpowiada ochryple. – Z wyjątkiem tej, że przez kilka najbliższych tygodni będziesz tu ze mną mieszkała.

Dlaczego jest taki melancholijny? I dlaczego mnie to obchodzi? A najważniejsze: co mi umyka?

– Nurtuje mnie jedna sprawa – zaczynam, a Liam czeka w milczeniu wpatrzony w pustą szklankę znajdującą się w jego dłoni. – Co takiego mam, że uznałeś, że mnie pragniesz?

Choć nie zdradza się żadną zewnętrzną reakcją, to wyczuwam jego zaskoczenie. Nie poruszył się nawet o milimetr, jednak jestem już przyzwyczajona do jego nastrojów, do minimalnych zmian w jego głosie i minie. Jeżeli bacznie mu się przyjrzę, to mogę dostrzec to, jak wiele mówi, zwracając uwagę jedynie na wszystkie nieme znaki.

Odpowiada po bardzo długim namyśle głosem tak smutnym, że mógłby złamać mi serce:

– Dzięki tobie czuję się jak człowiek.

Wzbierają we mnie emocje. Czuję ucisk w piersi i gulę pęczniejącą w gardle. Może to głupie, a nawet szalone, lecz współczucie, jakim darzę tego niebezpiecznego, zagadkowego mężczyznę, jest tak

potężne, że odbiera oddech. Wycierpiał więcej, niż normalny człowiek mógłby w ogóle znieść, a jednak dalej żyje. Jestem pewna skali jego cierpienia.

– Cieszę się – szepczę pod wpływem impulsu.

Podnosi na mnie spojrzenie mrocznych, pustych oczu.

Cholera. To jest złe pod każdym względem. Nie mów tego. Nie mów tego, nawet się nie waż.

– To może włoska kuchnia?

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym burczy:

– Jadłaś włoski lunch.

– Ulubione rzeczy nigdy mi się nie nudzą.

– Mnie też nie.

Mam wrażenie, że nie mówi o jedzeniu, ale nie mam czasu, by się nad tym zastanowić, gdyż wstaje, podchodzi do mnie i delikatnie całuje, po czym opuszcza bibliotekę.

Rozdział 21

Tru

Przebrałam się w sukienkę i baletki, którymi wczoraj rzucałam w Liama, po czym poszliśmy na kolację. Wybrał uroczą włoską knajpkę naśladującą wystrojem toskańską willę z dwiema przestrzeniami jadalnymi okalającymi centralny dziedzińczyk. Restauracja jest zbudowana z terakotowych cegieł, które zdążyły obrosnąć bluszczem. W drzewkach oliwkowych na patiach, dziedzińcu i krawędzi dachu migoczą dziesiątki białych światełek. To miejsce jest magiczne, romantyczne i totalnie zaskakujące. Jest też całkowicie puste. Pomijając kelnera, który przyprowadził nas do stolika, w restauracji nie ma żywej duszy.

Liam zauważa, że rozglądam się skołowana.

– To mój lokal. – Rozkłada białą serwetę i kładzie ją sobie na kolanach.

– Och, czyli że zwykli ludzie nie mają tu wstępu?

– Nie dziś – wyjaśnia, a przez jego twarz przemyka cień uśmiechu.

Zakładam, że zamknął restaurację, żebyśmy mogli zjeść na osobności. Nie potrafię zdecydować, czy to romantyczne, czy zaborcze, ale potem przypominam sobie pojemniki w jego lodówce i nachodzi mnie kolejna myśl, że pewnie zrobił to ze względu na bezpieczeństwo. Może papież mafii nie może jeść publicznie, bo byłoby to dla niego albo dla mnie zbyt niebezpieczne. A może myśli, że zaczęłabym krzyczeć i prosić ludzi o pomoc?

Zatopiona w tych myślach bawię się lśniącą łyżką do sałatek, aż nagle Liam mówi:

– Biorąc pod uwagę, że jesteś taka nieśmiała i niezręczna wśród nieznajomych, uznałem, że w samotności poczujesz się swobodniej.

Moje palce zamierają. Podnoszę na niego spojrzenie. Liam usilnie tłumi uśmiech.

– Czyli pamiętasz tamtą rozmowę.

– Pamiętam wszystko.

Wygodnie dla siebie zapomniał o rozmowie, w której powiedziałam, że nie chcę się do niego wprowadzać.

Żeby ukraść nieco czasu, rozkładam serwetkę na kolanach i upijam łyk wody ze szklanki. Przypominam sobie, jak pocałował mnie przed wyjazdem na kolację. Pocałunek był delikatny i krótki, w niczym nie przypominał wcześniejszych zachłannych inwazji na moje usta. Jakby celowo się powstrzymywał i nie chciał mnie wystraszyć. Nie znoszę tego, że bywa tak wrażliwy i dżentelmeński, ale kiedy tylko mu pasuje, to całkowicie się zmienia i wyrzuca maniery do kosza.

– No co? – pyta ostro.

Tak samo nie znoszę tego, że potrafi czytać mi w myślach, do ciężkiej cholery.

– Właśnie sobie myślałam, że jesteś bardzo skomplikowanym człowiekiem.

– Nie chcę cię rozczarowywać, ale jestem najprostszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałaś. – Patrzę na niego z ironicznym uśmieszkiem, więc łagodnie dodaje: – Za słabo mnie znasz.

Coś w jego głosie sprawia, że krew zaczyna szybciej krążyć w moich żyłach.

– A poznam cię? Poznam kiedyś wszystkie twoje sekrety?

Spogląda na mnie spokojnym, niczego nieodsłaniającym wzrokiem.

– Coś musiałoby pójść bardzo źle, żebyś je poznała.

– Chciałabym wiedzieć o tobie wszystko! – wypalam.

Tym razem zaskoczyłam nas oboje. Liam napina mięśnie szczęki, przełyka ślinę, a jego jabłko Adama podskakuje. Widzę, że zastanawia się, czy kontynuować ten temat. W końcu ulega własnej ciekawości i pyta:

– Dlaczego?

Brakuje mi odwagi, by odpowiedzieć, patrząc prosto w jego czujne oczy, więc wbijam wzrok w serwetkę. Przygryzam wargę, biorę głęboki wdech i przyznaję:

– Dlatego, że mnie fascynujesz. Różnisz się od wszystkich ludzi, jakich znam. Masz ostre krawędzie, które potrafią zadrapać, ponadto przywykłeś do przemocy, ale bywasz też czuły. Pod tą straszliwą powłoką jesteś wrażliwy. I bardzo smutny, tak myślę. To intrygująca mieszanka.

Zapada cisza, która aż kłuje w uszy. Nie ośmielam się na niego spojrzeć.

– Myślałem, że jesteś na mnie wściekła.

Wytrącona z równowagi biorę głęboki haust powietrza.

– Bo jestem. Bardzo. Ale równocześnie biczuję się tymi wszystkimi przemyśleniami i mimo to cię pragnę – dodaję bardzo cicho.

Kolejny okres naelektryzowanej ciszy.

– Spójrz na mnie – mruczy Liam w końcu.

Patrzę na niego z łomoczącym sercem. Jego oczy lśnią, a na twarzy odbija się ogromny ból.

– Dziękuję – mówi.

– Za co?

– Za szczerość. Za to, że jesteś sobą.

– Nie ma za co… – Patrzymy na siebie. Mam wrażenie, że serce wyskoczyło mi z piersi.

Przy stoliku zjawia się kelner.

– *Buonasera signore*[7]. – Kłania się Liamowi, a mi z szacunkiem kiwa głową. – *Signorina*[8].

– *Buonasera* – odpowiada Liam. – *La lista dei vini, per favore*[9].

Z niedowierzania parskam śmiechem, na co kelner posyła mi pytające spojrzenie.

– Przepraszam, proszę mnie ignorować. Cukier mi spadł, nie jadłam od lunchu.

Liam dodaje coś po włosku, co wywołuje u kelnera uśmiech. Po chwili mężczyzna odchodzi, pogwizdując, i znika za rogiem.

– A więc znasz też włoski – mówię, na co Liam wzrusza ramionami. – Do tego gaelicki, hiszpański i francuski. Jakiś jeszcze?

– Kilka.

– Nauczyłeś się ich w szkole?

– Raczej na zajęciach praktycznych.

Opieram się na krześle i patrzę na uśmiech godny Mony Lisy, który zagościł na jego twarzy.

– Oho, znowu jesteśmy mgliści i tajemniczy. W tym też się szkoliłeś?

– Prawdę mówiąc, owszem. Przeszedłem pewne szkolenie.

Bierze ze środka stołu koszyk z pieczywem, który przykryty jest białą lnianą serwetką, i mi go podaje. Odsuwam ją i ukazują się cudowne, świeże ciabatty pieczone z oliwą, solą i rozmarynem. Pachną niebiańsko.

Biorę jedną, kładę ją na talerzyku na pieczywo i oddaję koszyk Liamowi. Następnie smaruję ciabattę masłem z leżącej obok mojej szklanki okrągłej maselniczki. Odrywam kawałek pieczywa i wkładam go sobie do ust. Kiedy na języku eksploduje jej smak, wzdycham z rozkoszą.

– Miło, że nie wierzysz w te niskowęglowodanowe bzdury.

– Jeżeli węglowodany są dobre dla Sophii Loren, to mi tym bardziej nie zaszkodzą.

Zasłużyłam tą uwagą na jego uśmiech.

– Nie jesteś nieco za młoda na Sophię Loren?

– Widziałam kiedyś jej zdjęcie w bikini z podpisem, że zawdzięcza figurę spaghetti. Pomyślałam, że jest urocze. Żal mi kobiet, które nie kochają jedzenia. Jedzenie jest niemal lepsze od seksu.

– Bardzo daleko mu do seksu – odpowiada natychmiast zmysłowym głosem.

– Mówisz tak, bo nie spróbowałeś jeszcze tego pieczywa.

Liam śmieje się i kręci głową.

Kelner wraca z listą win grubą jak moje przedramię. Liam ją przegląda, wertuje kartki, a potem znowu mówi coś po włosku. Kelner ponownie się kłania i odchodzi.

Przez chwilę milczy, ale w pewnym momencie rzuca nagle:

– Gdybyś mogła wybrać się w dowolne miejsce na świecie, to jakie byś wybrała?

To dość dziwaczny zwrot w rozmowie, ale zastanawiam się nad odpowiedzią. Odrywam kolejny kawałek ciabatty i myślę dalej.

– Prawdopodobnie do Argentyny.

– Ciekawy wybór. Byłaś tam?

– Nigdy nigdzie nie byłam, ale w miasteczku, w którym dorastałam, mieszkała Valentina. No i ona była w Buenos Aires. Musiała mieć z siedemdziesiąt lat, ale była piękna i seksowna jak na starszą kobietę. Wyobraź sobie, że miała o połowę młodszych kochanków. Czasami widziałam ją, jak jeździła przez miasto na karym koniu z czerwonymi wstążkami wplecionymi w grzywę. Nieustannie podśpiewywała. Śpiewała i śmiała się, jakby rozmyślała o jakiejś rozkosznej tajemnicy. Moja matka uważała ją za wariatkę, ale mnie ta kobieta zachwycała. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że wiodła ciekawe i wspaniałe życie. Też tego chciałam.

Liam przygląda mi się tak intensywnie, że zaczynam czuć się nieswojo.

– Dlatego przeprowadziłaś się do Bostonu? Dla wspaniałego życia?

Śmieję się cicho i cierpko.

– Przeprowadziłam się, bo mój ówczesny chłopak zaczynał medycynę na tutejszym uniwersytecie medycznym.

Liam przygląda mi się jeszcze wnikliwiej. Widzę, że chciałby wiedzieć więcej, ale milczy. Nie drąży, więc kontynuuję sama.

– Kilka miesięcy po przeprowadzce mnie zdradził z dziekanką z uniwerku. Uwierzyłbyś? Od początku wiedziałam, że jest ambitny, ale trzeba przyznać, że połasił się na łakomą zdobycz.

– Jest cholernym idiotą.

– Dziękuję.

– Chcesz, żebym połamał mu nogi?

Wygląda na to, że pyta poważnie, więc zastanawiam się przez chwilę, ale ostatecznie zaprzeczam.

– Nie warto się fatygować. Poza tym już się zemściłam.

Liam nachyla się na krześle, kładzie ręce na stoliku i mierzy mnie spojrzeniem ostrym niczym brzytwa.

– Jak?

– Wywaliłam wszystkie jego ciuchy na ulicę i podpaliłam je. – Przyznanie się do tego nieco mnie zawstydziło, więc dodaję pośpiesznie: – To może i małostkowe, ale poczułam się lepiej.

– Oj, tak. Zemsta to skuteczne lekarstwo – mówi łagodnie Liam, patrząc na mnie uważnie.

Ponownie zamienił się w mojego wilka, któremu lśnią oczy. Wróciła jego pierwotna energia. Przechodzi mnie dreszcz, ale nie ze strachu.

– Kochałaś go?

– Tak myślałam.

– Czyli nie.

– To nie mogła być prawdziwa miłość, bo uporałam się z tym wszystkim dość łatwo. Moje ego ucierpiało bardziej niż serce.

W tym momencie wraca kelner z butelką winą i dwoma kieliszkami. Obserwujemy w milczeniu, jak ją odkorkowuje i nalewa odrobinę do kieliszka. Mimo to cały czas czuję, że Liam skupia uwagę na mnie. Jest promienna i gorąca, jakbym siedziała w letnim słońcu.

Teraz skupia się na kosztowaniu wina. Zakręca płynem w kieliszku, wącha, upija łyk, bada go na języku. A potem kiwa głową kelnerowi, na co temu ogromnie ulżyło.

Nalewa wina do mojego kieliszka, potem uzupełnia kieliszek Liama i odchodzi.

– Toast – mówi Liam, unosząc kieliszek.

– Za? – pytam, naśladując jego gest.

Oblizuje usta i patrzy na mnie zachłannie.

– Za podpalanie rzeczy.

Stukamy się kieliszkami, patrząc sobie w oczy. Pijemy, odstawiamy kieliszki i w tej chwili nachodzi mnie wrażenie, że nastąpiło coś ostatecznego, że coś zostało postanowione. Być może ustaliliśmy, że na pewno jestem szalona, bo przecież właśnie wzniosłam toast z porywaczem. Może zaraz włączę się w ciepłą rozmowę z duchem zmarłej babci.

– No więc… – urywam.

– No więc… – powtarza, sugerując, bym dokończyła.

– Masz swój wieżowiec.

– Tak naprawdę to dzierżawię go poprzez jedną z moich korporacji.

– Jedną z? Bycie pierdymiliarderem na pewno jest miłe.

– To przede wszystkim wyczerpująca rola.

Zaskakuje mnie to stwierdzenie, co Liam bardzo dobrze wyczytuje z mojej miny.

– Posiadanie pieniędzy powyżej pewnego poziomu to prawdziwe brzemię. – Wzdycha.

– Powątpiewam.

– W tej sprawie musisz mi zaufać.

– Wolałbyś wrócić do biedy z dzieciństwa?

– Pamiętasz, że to powiedziałem – mówi ponownie zaskoczony.

– Ja wszystko pamiętam.

Jego spojrzenie robi się ostrzejsze, więc odwracam wzrok i upijam łyk wina.

Liam bębni palcami w blat, przez chwilę bacznie mi się przygląda, po czym przechyla głowę na bok.

– Dlaczego wybrałaś prawo karne? – pyta, zmieniając temat.

Mój puls lekko przyśpiesza. Nie chcę o tym mówić, bo mogę wejść na jedno z wielu emocjonalnych pól minowych. Spuszczam wzrok na koszyk z pieczywem i ostrożnie odkładam kieliszek.

– Długa historia.

– Chętnie jej wysłucham. – Nie odzywam się, więc próbuje pociągnąć mnie za język. – Chcesz bronić celebrytów?

Patrzę na niego ostro, a błysk rozdrażnienia aż skręca mi żołądek.

– Skąd ten pomysł?

– Studia prawnicze są drogie. Kosztują minimum sto tysięcy. – Patrzy na mnie wyzywająco. Ma rację, więc jestem jeszcze bardziej poirytowana niż przed chwilą. Pozostaje mi tylko uciec spojrzeniem. – Z obrony kryminalistów nie ma pieniędzy. No, chyba że masz bardzo zamożnych klientów – dodaje.

– Nie dbam o pieniądze.

– W takim razie należysz do bardzo wąskiego grona ludzi.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że pieniądze to brzemię.

– Nie unikaj pytania.

Jestem już porządnie wkurzona, znowu uciekam spojrzeniem i wzdycham z irytacją.

– No dobrze. Wybrałam ten kierunek, bo wiem z autopsji, jak gówniany jest system sądownictwa dla ludzi, których nie stać na dobrego prawnika. Jeżeli jesteś biedny i zostałeś o coś oskarżony, to masz przejebane. Niezależnie od tego, czy jesteś winny, czy niewinny. Biedacy nie mając dostępu do wygodnych więzień

z luksusami, gdyż tam trafiają tylko politycy, szefowie funduszy inwestycyjnych albo milionerzy.

– Wolność wilków bardzo często oznacza śmierć dla owiec – mruczy Liam po długim namyśle. Patrzę na niego pytająco, więc dodaje: – To cytat Isaiaha Berlina.

– Makabryczny.

– Ale prawdziwy. Na świecie są tylko dwa rodzaje ludzi, są to drapieżnicy i ofiary. Biedni zawsze są ofiarami. Ubóstwo jest równoznaczne z bezradnością. Ale o tym chyba już wiesz.

Patrzymy na siebie i oboje nawet nie mrugamy.

Kelner – który, jak się okazuje, ma wyborne wyczucie czasu – wraca z dwoma talerzami w rękach. Kładzie je przed nami z wdziękiem i wyjaśnia, co nam zaserwowano. Po włosku rzecz jasna, więc nie rozumiem ani słowa.

Kiedy odchodzi, Liam tłumaczy:

– Poprosiłem szefa kuchni, żeby przygotował nam menu degustacyjne. Będziesz mogła spróbować niewielkich porcji wszystkich najlepszych pozycji z karty. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Przez chwilę zmagam się z rozdrażnieniem, po czym odpowiadam:

– Cudownie, dziękuję.

Liam przygląda się, jak jem z naburmuszoną miną, przy czym głośno stukam sztućcami, a w końcu stwierdza:

– Znowu jesteś na mnie zła.

Opadam ciężko na oparcie krzesła i wzdycham.

– Chodzi o to, że rozkopywanie cmentarzy jest niebezpieczne. Prędzej czy później znajdziesz coś cuchnącego.

Patrzy na mnie, jakbym była najciekawszym stworzeniem na świecie.

– Zgadzam się w stu procentach.

To najbardziej obciążone znaczeniami zdanie, jakie w życiu słyszałam, lecz Liam nie daje mi okazji, by zagłębić się w temat, gdyż przechodzi do kolejnego pytania z długiej listy pytań w tym kompletnie przypadkowym przesłuchaniu.

– Masz więcej z matki czy z ojca?

– Bez wątpienia z matki. Tata jest bezradny. Wystarczy zostawić go samego na dziesięć minut, a na pewno coś spłonie, wybuchnie albo ulegnie zalaniu. Jest człapiącą katastrofą. Bez nadzoru matki zabiłby się przypadkiem lata temu. – Nie potrafię powstrzymać uśmiechu na myśl o ojcu. – Ale dorastanie przy takim tacie było bardzo zabawne. Był jak kolega. Dzieciak, który bez przerwy wymyślał nowe zabawy. Ma wspaniałą wyobraźnię. Nie spotkałam nikogo, kto tak bardzo cieszyłby się chwilą, żył tu i teraz. Nigdy nie oglądał się za siebie, nawet na mgnienie oka. Jest jak wielki, pocieszny kowboj albo mistrz zen. Kręci się pod nogami, wywołując same kłopoty, ale równocześnie obiema rękami z radością czerpie z życia.

Dociera do mnie, że znowu bełkoczę bez sensu, więc urywam nagle i biorę kolejny łyk wina. Gdyby Liam zechciał przyjrzeć mi się jeszcze uważniej, to musiałby chyba zaciekawić się atomami, z których zbudowane są moje kości.

– Masz czerwone policzki.

– Bo pulsuje w nich dużo krwi. Przestań tak na mnie patrzeć, to rumieńce znikną.

– Nie chcę, żeby zniknęły. Uwielbiam, gdy się przy mnie rumienisz. – Wiercę się bezładnie na krześle, więc dodaje: – I gdy się wijesz.

Podpieram się na łokciu opartym o blat i zasłaniam oczy dłonią.

– Wolałabym, żebyś tak mi się nie przyglądał.

Liam wyciąga ręce nad stołem, łapie mnie za nadgarstek i odsłania moją twarz, żebym mogła dostrzec jego minę, płonący wzrok i żądzę.

– Wcale nie, kochasz to.

Jego palce spoczywają w punkcie nadgarstka, w którym można wyczuć puls, więc musi czuć, jak wali mi serce i jak oszalało poruszone jego spojrzeniem, tonem jego głosu oraz skwierczącym powietrzem między nami.

– Masz rację, kocham to. – Biorę głęboki wdech. – A ty kochasz to, że dostrzegam, jakim człowiekiem naprawdę jesteś.

Jego palce się zaciskają. Milczy, lecz jego oczy stają w ogniu.

Kiedy kelner wraca z kolejnymi talerzami, Liam posyła mu złowróżbne spojrzenie, na co biedak odwraca się na pięcie i umyka tam, skąd przyszedł. Gdy znika, Liam mówi:

– Mówiłem szczerze. Nie zamierzam naciskać w sprawie seksu.

Rumieniec robi się jeszcze gorętszy.

– Ale będziesz ze mną spała. W moim łóżku. Zrozumiano?

– Dlaczego? – pytam po nerwowym zaczerpnięciu haustu powietrza.

– Bo cię potrzebuję – odpowiada ostro. – I jeżeli nie możesz mi dać jednego, to musisz dać drugie, do cholery.

– A co z moimi potrzebami?

– Czego wydaje ci się, że potrzebujesz?

– Zacznijmy od swobody wyboru.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym puszcza mój nadgarstek. Odpręża się na krześle i kładzie dłonie na kolanach.

– Może udasz się do damskiej toalety. Jest tuż za rogiem.

Zdumiona patrzę w kierunku, który wskazuje. Gdy przenoszę wzrok z powrotem na niego, patrzy na mnie z zupełnym spokojem, jakby ta sugestia była czymś kompletnie normalnym.

– Nie potrzebuję skorzystania z toalety.

– Naprawdę?

Co jest, do cholery?

– Naprawdę, Liamie. Nie potrzebuję.

– A ja myślę, że potrzebujesz.

Jego oczy błyszczą. Skrywają coś, czego nie rozumiem, ale wiem, że ma jakiś powód, by wysłać mnie do łazienki.

Po chwili namysłu odsuwam krzesło i odchodzę. Przemierzam dziedziniec i skręcam we wskazanym kierunku. Gdy tylko znikam mu z oczu, przystaję na chwilę i opieram się dłonią o ceglaną ścianę, żeby dać sercu szansę na uspokojenie. Zwalnia do normalnego rytmu, więc ruszam dalej korytarzem, po drodze mijając męską toaletę. Na ścianie wisi strzałka wskazująca, że damska łazienka jest po prawej tuż za rogiem. Skręcam zgodnie ze znakiem, staję jak wryta i gapię się osłupiała. Tak jak głosił znak, oto mam przed sobą damską toaletę, ale trzy metry dalej zionie wyrwa. Nie ma ściany ani żadnych drzwi, jest po prostu łukowate przejście wprost na ulicę.

Serce zaczyna łomotać mi w piersi. Mogłabym po prostu wyjść i zniknąć. Oczywiście Liam zdaje sobie z tego sprawę. Właśnie daje mi wybór.

Stoję i pieczołowicie zaczynam się zastanawiać. Mam wrażenie, że minęło dużo czasu, ale może trwa to tylko kilka sekund. Biorę rwany wdech, który nie wiem, jak długo wstrzymywałam, po czym otwieram drzwi do toalety i wchodzę do środka.

Rozdział 22

Tru

Kiedy wracam do stolika, czekają już nowe potrawy, a puste talerze zostały zabrane. Liam kończy właśnie kieliszek wina.

Siadam i jemy w milczeniu zakłócanym jedynie kolejnymi wizytami kelnera, który zabiera naczynia i podaje następne dania. Wypijam szybko dwa kieliszki wina i nawet nie wnikam w psychologię mojego mózgu, skoro nie uciekłam. Nie muszę się zastanawiać, przecież dobrze wiem, że kroi się na totalną katastrofę.

Gdy zjedliśmy już wszystkie potrawy i teraz tylko popijamy cappuccino, odzywa się Liam:

– Zostawiłaś wczoraj torebkę w samochodzie. Poprosiłem Declana, żeby zaniósł ją do biblioteki.

Ma na myśli torebkę z komórką w środku, której nie użyję, żeby zadzwonić na policję albo do kogokolwiek innego po pomoc.

– Dlaczego kręcisz głową?

– Bo ciągle czuję zaskoczenie.

– Teraz już wiesz, co naprawdę czujesz.

Odrywam spojrzenie od pianki w filiżance i patrzę na niego.

– Wygląda na to, że zawsze celnie przewidujesz, jak się zachowam.

– Naprawdę? – pyta, a na jego twarz powraca enigmatyczny uśmiech.

Nie odwzajemniam go, więc Liam szybko poważnieje. Wygląda na sfrustrowanego. Nachyla się nisko nad stolikiem i szepcze:

– Powiedz, o czym myślisz.

– Na pewno dobrze wiesz.

– Chciałbym to usłyszeć – zgrywa się.

– Czyli naprawdę wiesz – Poważnie zaczynam czuć niepokój.

– Chyba cię to niepokoi.

– Dziwisz się?

– Może poczujesz się lepiej, jeśli zapewnię, że nigdy nie użyję tego przeciwko tobie.

Odstawiam filiżankę i wzdycham ciężko, masując czoło.

– Przyprawiam cię o ból głowy?

– Nie. Po prostu to jest bardzo…

– To wcale nie jest skomplikowane, Tru – mówi ochryple.

– Pomogłoby, gdybyś przestał czytać w moich myślach – stwierdzam kwaśno.

– Nic na to nie poradzę. Jesteś jak otwarta księga.

– A nie mógłbyś chociaż udawać?

– Mówiłem, że nie będę cię okłamywał, żeby poprawić ci samopoczucie.

– Chwileczkę. Powiedziałeś też, że jestem nieprzewidywalna.

– Nie. Powiedziałem, że wciąż cię nie doceniam.

– Chyba nie dostrzegam różnicy – mówię po chwili namysłu.

– A mówiłem, jak pięknie wyglądasz, gdy dochodzisz? – warczy z płomiennym wzrokiem.

– Wow! – Parskam śmiechem. – Dajże chwilę na odzyskanie równowagi. Gdzie jest stabilizator karku, gdy akurat go potrzeba?

– Wyglądasz wtedy pięknie. Twardnieje mi na samo wspomnienie.

– Obiecałeś, że nie będziesz naciskał – rzucam rozdrażniona.

Przygląda mi się rozpalonym wzrokiem i chyba słusznie uznaje, że posunął się za daleko, bo opiera się na krześle i swobodnie zarzuca nogę na nogę.

– Racja. Chciałabyś coś jeszcze zjeść?

Mój Boże, nawet matce Teresie zabrakłoby cierpliwości do tego faceta.

– Nie – odpowiadam ozięble. – Dziękuję za kolację, było cudnie.

– Nie ma za co.

Wyczuwam, że z całych sił próbuje ukryć, że jest rozbawiony moją postawą. Jeszcze bardziej mnie to rozjusza.

– Liamie?

– Tak, mała?

– Podnosisz mi ciśnienie – rzucam szczerze.

W jego ciemnych oczach tańczy rozbawienie. Wstaje, rzuca serwetkę na stolik i wyciąga do mnie rękę.

– Chodź. Jak wrócimy do domu, to będziesz mogła jeszcze raz porzucać we mnie butami.

Lustruję wzrokiem jego dłoń i mam ochotę użreć go w palec.

Ostatecznie jednak podaję mu swoją i pozwalam się zaprowadzić do samochodu, którym wracamy do wieżowca. I tak nie ma miejsca, w którym wolałabym w tej chwili być.

* * *

Pierwsze, co Liam robi po powrocie do mieszkania, to włączenie muzyki.

– Co to? – pytam, wchodząc za nim do salonu, gdzie bawi się pilotem.

– Gotan Project. Są z Paryża, ale grają argentyńskie tango z elementami elektronicznymi.

– Z elementami elektronicznymi? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Połączenie elektronicznej muzyki tanecznej i tradycyjnego tanga. – Odkłada pilota na stolik i obserwuje, jak słucham zaintrygowana gęstym, mocnym bitem.

– Seksowne – mówię, akcentując każdą sylabę, co wywołuje jego uśmiech.

– Owszem. A muzyka to nie jedyna seksowna rzecz, jaką może pochwalić się Argentyna.

– Masz na myśli kobiety? – pytam, unosząc kącik ust.

– Mam na myśli atmosferę, kulturę, pogodę i styl życia Argentyńczyków. To ludzie pełni pasji.

– Bywałeś tam?

Wodzi wzrokiem po moim ciele od twarzy do bioder.

– Owszem. Nie dziwię ci się, że chcesz tam lecieć. To kraj, w którym z radością można się zatracić.

Unosi rzęsy. Nasze spojrzenia się spotykają. Widzę, że wie co nieco o zatracaniu. Patrząc mu w oczy, zaczynam sądzić, że ja również.

Emocje atakują moje ciało jak nadchodzący przypływ. Czuję ciepło, a potem zimno. Panikuję, bo nie wiem, czy trwać nieruchomo, czy uciekać.

– Chyba pójdę się jeszcze trochę pouczyć.

Kiwa głową i odwraca się, przymykając powieki. Rusza korytarzem w stronę głównej sypialni i rozluźnia krawat, po czym skręca za róg i znika mi z oczu.

Biorę nerwowy wdech. Jestem na pełnym morzu w dziurawej łodzi i nadchodzi sztorm. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. W zasadzie to sztorm już nadszedł. Pozostaje kwestią czasu, kiedy utonę lub nauczę się pływać.

W bibliotece rzeczywiście znajduję moją torebkę, która leży na stole obok laptopa. Wyszukuję telefon i odblokowuję ekran. Na widok piętnastu nieodebranych połączeń od Diega ciężko wzdycham. Przysłał też kilka panicznych SMS-ów. Ostatniego napisał wielkimi literami:

PROSZĘ, DAJ ZNAĆ, ŻE NIC CI NIE JEST!!!

Wybieram jego numer, bo boję się, że jeśli z nim nie pogadam, to zrobi coś głupiego.

– Tru! – krzyczy już po pierwszym sygnale. – Dzięki Bogu! Wszystko dobrze?

– Tak, jak najbardziej. Wszystko dobrze.

Milknie na chwilę i bierze głęboki haust powietrza.

– Jezus Maria, odchodziłem od zmysłów.

– Przepraszam za wczoraj. Nie miałam pojęcia, że on…

– Kurwa mać, nie przepraszaj za niego! – Milknę zszokowana zaciętością jego tonu, więc od razu łagodnieje. – Cholera, przepraszam. Nie chciałem na ciebie krzyczeć. Po prostu strasznie się martwiłem. Nie przyszłaś dziś do pracy i pomyślałem… – Znowu milknie na kilka chwil, po czym dodaje znacznie ciszej: – Pomyślałem, że cię skrzywdził.

– Nigdy by mnie nie skrzywdził – stwierdzam z pełnym przekonaniem.

– Tru, nie bądź naiwna – odpowiada czule. – Mówimy o człowieku, który zlecił egzekucje dziesiątek swoich wrogów. Krzywdzi ludzi dla przyjemności.

A może dlatego, że sobie zasłużyli.

Ta myśl tak mnie zaskakuje, że mu nie odpowiadam. Nie chcę jej drążyć, a tym bardziej wypowiadać na głos.

– Posłuchaj, wiem, że mało o nim wiesz…

– Wiem wystarczająco.

Tym razem to jemu zaskoczenie odbiera mowę.

– Zatem wiesz, że jest szefem irlandzkiej mafii? – pyta w końcu.

– Już wiem.

– Ale dowiedziałaś się dopiero wczoraj?

– Tak.

– Czyli zasadniczo okłamywał cię w sprawie swojej tożsamości.

– Próbował mnie chronić.

Diego śmieje się chrapliwie i z niedowierzaniem.

– Jesteś zbyt mądra, żeby w to uwierzyć.

Złość nieśpiesznie budzi się w moich trzewiach niczym rozwijający się wąż.

– Skrzywdził cię? – pytam.

– Nie – odpowiada po pełnej zaciętości pauzie.

– A wiesz dlaczego?

– Bo go o to poprosiłaś – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Właśnie. I jeżeli sądzisz, że pełnię w tym wszystkim rolę bezbronnej ofiary, to się mylisz.

– Może i nie jesteś bezbronna, ale jesteś ofiarą.

Ciepło rozlewa się po mojej szyi, rozpala moje uszy, parzy twarz.

– Nigdy w życiu nie byłam ofiarą, a już na pewno nie jestem nią teraz.

Zapada długa, ciężka cisza.

– Słucha nas, prawda? Stoi obok, przystawia ci lufę do głowy i podpowiada, co masz mówić.

– Nie – odpowiadam z naciskiem. – Nie słucha. Nie ma tu żadnej lufy i nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby decydować za mnie, co mam mówić. Nie traktuje mnie w ten sposób.

– Nie wierzę ci.

– Trudno, ale taka jest prawda.

– Czy ty się słyszysz?! – rzuca podniesionym tonem. – Bronisz go! Tru, on jest gangsterem. Bandytą!

– Jeżeli dobrze pamiętam, to przyznałeś, że też kiedyś byłeś bandytą – odpowiadam spokojnie, choć drżą mi ręce, a żołądek zacisnął się w supeł.

– Ja sprzed dziesięciu lat i Liam Black obecnie to dwie kurewsko różne sprawy!

– Masz przestać na mnie krzyczeć albo rozmowa skończona.

Słyszę, jak oddycha ciężko i nierówno. Wiem, że jest wściekły.

– Czyli jesteś teraz jego dziewczyną albo coś w tym stylu?

Albo coś w tym stylu… Na moich ustach pojawia się blady uśmiech.

Ciekawe, kim się stałam. Kobietą odnajdującą przyjemność we własnym upadku? Osobą, która może pielęgnować w umyśle dwie skrajnie sprzeczne idee i jakoś z tym funkcjonować?

Idea numer jeden: Liam jest kryminalistą.

Idea numer dwa: Liam jest dobrym człowiekiem.

Nie wiem jak, dlaczego i kiedy zmieniłam się w kogoś, kto potrafi usprawiedliwić najgorsze cechy drugiego człowieka. Czuję, choć tego w pełni nie wiem, że przysłuży się to większemu dobru. Wiem tyle, że wierzę w Liama, w cały jego mrok, ale też piękne światło. I ta wiara jest dla mnie świętością, choć równie dobrze może być przekleństwem.

– Posłuchaj, zadzwoniłam się zameldować. Chciałam przekazać, że u mnie wszystko gra.

Wypuszcza powietrze z ust.

– Mogłaś zadzwonić wcześniej, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko gra. Widziałaś, jak ten koleś wypchnął mnie z knajpy. Mogłem gnić w jakimś zaułku z kulką w czaszce!

– Wiem, że tego nie zrozumiesz i pewnie nie uwierzysz, ale gdy on powiedział, że cię nie skrzywdzi, to było jak obietnica.

– Gdy ja powiedziałem, że nie chcę, byś prosiła go o ochronę dla mnie, to też była obietnica – warczy.

– Co to niby ma znaczyć? – pytam, ściągając brwi.

– To znaczy, że umiem o siebie zadbać. Nie tylko pan Liam Black ma koneksje i na pewno nie on jeden wie, jak sprawić, żeby ktoś zniknął.

Włoski na rękach stają mi dęba.

– Diego, proszę cię, nie rób niczego głupiego. Nie ma sensu eskalować sytuacji. Nikomu nic się nie stało…

– Jeszcze nie – wtrąca posępnie. – Ale jeżeli myślisz, że kontakt z kimś takim może zakończyć się bez rozlewu krwi, to sama się

oszukujesz.

Nagle się rozłącza.

Gapię się na trzymany w ręce telefon, przy czym jestem tak zaniepokojona, że nie mogę trzeźwo myśleć. Obracam się i wychodzę z biblioteki. Ruszam długim, pustym korytarzem prosto do głównej sypialni.

Liam leży na plecach na swoim wielkim łożu i gapi się w sufit. Ma skrzyżowane kostki, a dłonie założył pod głowę. Jest do połowy nagi, nie zdjął tylko czarnych dżinsów.

– Jakim cudem prawie każdy w tym mieście wie, kim jesteś, ale w internecie nie mogę znaleźć o tobie ani jednej informacji?
– pytam bez ogródek.

Odpowiada mi cicho i spokojnie. Brzmi zupełnie inaczej niż ja, piskliwa i na granicy histerii.

– Zatrudniam ludzi, którzy pilnują, żeby moje nazwisko nie trafiało do internetu. Słowa przekazywanego z ust do ust nie da się powstrzymać. Czemu jesteś zdenerwowana?

– Rozmawiałam właśnie z Diegiem – wyjaśniam wkurzona i przestępuję z nogi na nogę.

Przerzuca spojrzenie z sufitu na mnie i czeka.

– Uważa, że jestem twoją ofiarą.

– Więc kompletnie cię nie zna.

– Porwałeś mnie.

– Ale mimo tego nie czujesz się jak ofiara, prawda? – pyta ciszej z błyskiem w oczach.

Przypominam sobie otwarte wyjście na ulicę we włoskiej restauracji.

– Nie. – Gdy w jego oczach pojawia się ciepło, dodaję: – Ale mogę się oszukiwać. Może hormony uknuły udany przewrót w moim mózgu.

Jego masywny tors unosi się i opada w ciężkim oddechu. Ponownie wlepia wzrok w sufit.

– Naprawdę przestaję lubić tego dzieciaka – mówi cierpkim tonem, ale wiem, że to nie groźba.

– Diego mi tego nie wmawiał, sama wpadłam na ten pomysł. – Liam milczy, a po namyśle dodaję łagodnie: – No dobra, nie oszukuję

się. – Nie rusza się, ale znowu spokojnie obraca gałki oczne w moją stronę. – To znaczy… Jasne, moje hormony odprawiają ostatnio cyrki. Ale ogólnie to myślę, że po prostu… – biorę głęboki wdech i postanawiam, że będę z nim absolutnie szczera – mentalne przyzwyczajenie się do tej sytuacji chwilkę mi zajmie.

– To zrozumiałe – mruczy.

Patrzę na niego. Patrzę na to ciało, na tę twarz, na te mięśnie i tatuaże, których agresywną, seksualną energię okiełznuje siłą woli. Czuję tak ostre ukłucie żądzy, że aż mnie to przeraża.

– Podobno zabiłeś dziesiątki wrogów – rzucam, by z tym walczyć.

– Więcej – odpowiada niewzruszony.

– Och… – wzdycham cicho i odchrząkuję. – No cóż. Doceniam szczerość. – Śmieję się głupkowato. – Chyba.

– Ambiwalencja to wredna suka, prawda? – pyta po tym, jak przez chwilę przygląda mi się badawczo. To retoryczne pytanie, więc je ignoruję.

– Obawiam się, że Diego będzie problemem.

– Dla kogo? – pyta Liam, unosząc brwi.

– Dla ciebie.

– Musisz mieć o mnie bardzo niskie mniemanie – stwierdza z kwaśną miną.

– Goliat zlekceważył Dawida. I patrz, jak skończył.

Marszczy czoło, mruży powieki i wpatruje się we mnie z drugiego końca pokoju jak w kryształową kulę, z której próbuje wyczytać przyszłość. Nagle w jego oczach pojawia się zrozumienie.

– Ty się o mnie martwisz – mówi zdumionym tonem.

– Nie podniecaj się tym tak – odpowiadam sztucznie. – Po prostu staram się zachowywać praktycznie.

– Będę o tym pamiętał. Dziękuję. – Jego oczy są teraz równie życzliwe, jak ton głosu.

– Ale nie twierdzę, że chcę, żebyś go nastraszył albo cokolwiek innego, jasne? I dyrektywa „nie krzywdź go” nadal obowiązuje. Po prostu daję ci znać, jak mają się sprawy.

– Zrozumiałem.

– Obiecujesz?

– Słowo harcerza.

Uśmiecha się szeroko, przez co odbiera mi dech w piersi. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy, a potem odwracam się i wracam do biblioteki. Głowa wrzeszczy, żebym nie pozwalała sobie na uczucie względem tego nieznajomego, który nagle zagarnął moje życie, ale serce ostrzega, że już na to za późno. Staram się uczyć, ale szybko daję sobie z tym spokój. Nie mogę się skupić. Dzwonię do Ellie, ale trafiam na pocztę głosową. Zostawiam jej wiadomość, że zatrzymam się na jakiś czas u Liama, o czym zresztą sama już wie. Dodaję, że na przyszłość byłabym wdzięczna, gdyby raz na jakiś czas stanęła po mojej stronie. Będąc już przy telefonie, wykorzystuję okazję, więc wysyłam Carli SMS-a z podziękowaniem za przyjście na moją kolację, ale nie odpisuje. Kiedy tak siedzę z komórką w ręce, nagle przytłacza mnie świadomość ostatnich wydarzeń. Napaść w zaułku, poznanie tożsamości Liama, dziwaczne zachowanie Diega, ukończenie studiów, pobyt w tym wieżowcu… Wszystko to mnie zalewa i atakuje z każdej strony.

Pochylam się, kładę głowę na rękach na stole i zamykam oczy. Próbuję nie płakać.

Zasypiam w tej pozycji na krześle z twarzą na blacie. Jakiś czas później właśnie tak znajduje mnie Liam. Bez słowa bierze mnie na ręce i zanosi do łóżka.

Rozdział 23

Tru

Nie rozumiem, jakim cudem przestępczy geniusz, którego nazwisko przeraża dorosłych mężczyzn, może być taki tulaśny. Leżymy w jego ulubionej pozycji na łyżeczkę. Jego wielkie ciało oplata moje, jakby ktoś odlał nas z wosku. Liam nie zaprzątał sobie głowy ubraniami, po prostu położył mnie na łóżku i przykrył nas kołdrą, a potem obrócił mnie na bok i się we mnie wtulił. Teraz jego ciepły oddech łaskocze włoski na moim karku.

– Wygodnie? – pyta sennie.

– Fizycznie jak najbardziej.

– Niezgoda z samym sobą to jedna z najtrudniejszych spraw na tym świecie – mruczy, wiedząc to, o czym nie mówię.

– Brzmisz, jakbyś miał osobiste doświadczenie w tej sprawie.

– Bo mam. Mam także pewne zalecenie.

– Słucham?

– Odpuść. Zaakceptuj fakt, że nosisz w sobie sprzeczności. Jeżeli żyjesz w zgodzie z własnymi podstawowymi wartościami, to wszystkie wewnętrzne dywagacje i zamartwianie się są jedynie szumem, który masz prawo ignorować.

Mój wilk-filozof… Zastanawiam się nad jego słowami, patrząc w ciemność.

– Posłuchajmy ich. Wiem, że masz gotową listę – ponagla mnie.

Nie powinnam się już dziwić, ale i tak pytam:

– Skąd wiesz?

– Bo kiedyś też byłem idealistą.

Jego głos jest aż ciężki od jakiejś emocji. Może to żal? A może po prostu zmęczenie?

– Okej. Kolejność przypadkowa, ale pięć moich najważniejszych wartości to nonkonformizm, samodzielność, życzliwość, szczerość

i odwaga.

– Pięć najważniejszych. Z ilu?

– Z dwunastu.

Nie widzę jego uśmiechu, ale go czuję.

– Posłuchajmy wszystkich.

– Ciekawość, wolność, wytrwałość, poczucie humoru, wdzięczność, odosobnienie i chęć nauki.

– Porządna lista – stwierdza po chwili milczenia.

– Dziękuję.

– Ale jedno mnie nurtuje. Odosobnienie? Większość ludzi nie lubi samotności.

– Samotność a odosobnienie to dwie zupełnie różne sprawy. Zawsze najbardziej samotnie czuję się w gęstym tłumie.

Milczy w zadumie, a potem przytula mnie mocniej i wzdycha w moje włosy. Czuję, że ze sobą walczy, ale nie wiem dlaczego.

– Liamie, jak stałeś się tym, kim jesteś? – pytam szeptem.

– A kim jestem?

– Człowiekiem stojącym na szczycie góry z ludzkich kości.

Bierze głęboki wdech i przykłada czoło do mojego karku. Jest ciepłe, jakby gorączkował.

– Mogłem wspiąć się na szczyt albo być jednym ze szkieletów – mówi gęstym głosem.

– Jesteś szczęśliwy?

– Żartujesz? – pyta, wybuchając ostrym śmiechem.

– Nie.

– Szczęście to złudzenie – odpiera.

– To smutne, że tak myślisz. Większość ludzi uważa szczęście za podstawowy sens życia.

– I właśnie dlatego większość ludzi jest przygnębiona – odpowiada z ledwie słyszalną nutą zniesmaczenia. – Cenią szczęście wyżej niż całą resztę bardziej niż rzeczy ważniejsze. Ale szczęście to tylko emocja niemal pozbawiona znaczenia.

Jest zdenerwowany. Poruszyłam wrażliwy temat, ale on tyle razy drażnił mnie niebezpiecznymi tematami, że nie zamierzam się wycofywać.

– A co jest ważniejsze od szczęścia?

– Honor – odpowiada bez wahania i z pełnym przekonaniem. – Jeżeli człowiek nie ma honoru, to równie dobrze może umrzeć.

Jego odpowiedź zawisa w powietrzu. Jest połyskująca i groźna niczym dobyty z pochwy miecz, którego ostra krawędź przyciąga światło tak samo jak moją ciekawość. Dlaczego szef mafii mówi z taką zawziętością o honorze? Zabrzmiał bardziej jak żołnierz skłonny oddać życie za Boga i ojczyznę, jak rycerz zaprzysiężony w służbie królowi. Człowiek, który stawia wartości nad życie.

Przypominam sobie dziwną uwagę na temat uczciwości, którą Declan wygłosił na parkingu. Ciekawe, czy to jakoś wiąże się z tym, co Liam mówi o honorze. Czy mężczyznom mającym do czynienia z władzą, przemocą i ludzkim cierpieniem takie wartości są w ogóle przydatne?

Czuję dziwne, intuicyjne buzowanie na zakończeniach nerwowych, więc obracam twarz w jego stronę i mówię:

– Liamie?

– Tak?

– Dopisuję honor do mojej listy.

Mocno przyciska tors do moich łopatek, więc nie może się wyprzeć, że jego serce nagle zaczęło mocniej bić. A to upewnia mnie bardziej niż jakiekolwiek słowa w przekonaniu, że miałam rację, gdy oskarżyłam go, że skrywa więcej tajemnic. Dochodzę do wniosku, że Liam Black to istny labirynt tajemnic, przekładaniec samych kłamstw.

Będę zrywała warstwę po warstwie, aż znajdę jego prawdziwy środek, choćbym miała przypłacić to życiem.

* * *

Po tej nocy popadamy w pewną rutynę. Kiedy budzę się rano, Liam już nie śpi. Jemy razem śniadanie, po czym ja maszeruję uczyć się do biblioteki, a on wychodzi robić Bóg jeden wie co przez cały dzień. Nie dopytuję, a on nie opowiada. Po kolacji spędzamy razem wieczór przy kominku, czytamy, rozmawiamy albo siedzimy sobie w ciszy. Dziwi mnie, że potrafimy przebywać razem całymi godzinami bez

konieczności mówienia. To dziwnie cudowne i pokrzepiające. Chyba oboje potrzebujemy takiego pokrzepienia.

Często przyłapuję go na obserwowaniu mnie. Wtedy podnoszę spojrzenie znad książki i napotykam jego wzrok. Czasami zadumany, kiedy indziej mroczny. Za jego oczami czai się dziki, zamieszkany przez groźne stwory i pełen ukrytych sideł ciemny las. Ale nieważne, jak mroczne jest jego spojrzenie, bo zawsze płonie w nim tęsknota. Po tamtej pierwszej nocy więcej mnie nie dotknął. Dotrzymuje obietnicy, że nie będzie naciskał, jak uświęconego ślubu. Śpimy w jednym łóżku i często się dotykamy. Prędzej czy później dostaje erekcji, ale zachowuje się, jakby jej nie dostrzegał, bo najzwyczajniej w świecie trzyma kutasa przy sobie.

Po tygodniu tej rutyny mam chęć skonać. To bez wątpienia prawda, że odrzucenie podsyca ogień żądzy. Jeżeli chcemy czegoś, czego nie możemy dostać, to możemy oszaleć. Ostrzegł, że więcej nie poprosi. Na Boga, nie rzucał słów na wiatr, a teraz to ja męczę się z tłumioną żądzą. Nie wiem, czy taki miał plan, czy naprawdę dotrzymuje obietnicy, ale leżenie w ciemności obok jego ciepła to conocna tortura.

Ósmego dnia pękam.

Jesteśmy w kuchni. Siedzę na wysokim taborecie przy wyspie z czarnego marmuru, obserwując, jak Liam wkrawa banana do moich płatków. To prosta, bardzo przyziemna czynność, ale jest bez koszulki, wygląda bosko, a po nocy ma potargane włosy. Chęć, by za nie szarpać, gdy będzie zanurzał twarz pomiędzy moimi nogami, jest niczym przeszywająca serce strzała.

– Będziemy potrzebowali prezerwatyw – stwierdzam niby od niechcenia, bawiąc się łyżeczką.

Liam zamiera z bananem w jednej i nożem w drugiej dłoni. Gwałtownie obraca głowę i patrzy mi w oczy.

– W szafkach nocnych i w łazience ich nie ma – kontynuuję swobodnie, jakby jego spojrzenie wcale nie spalało mnie na popiół. – Sprawdzałam.

Oblizuje usta, na których sam widok twardnieją mi sutki. Potem po prostu kiwa głową i wraca do krojenia banana. Ja w tym czasie muszę

się mocno trzymać krawędzi blatu, żeby nie spaść z krzesła i nie zamienić się w mokrą plamę na podłodze.

Zjadamy śniadanie w tak gorącej ciszy, że zalewa mnie pot. Po prysznicu i wizycie w garderobie Liam wychodzi, tak jak to robi każdego dnia, całując mnie na odchodne w czoło. Jednak tym razem w ostatniej chwili obniża głowę i mówi mi na ucho gardłowym głosem:

– Będziesz musiała poprosić.

Odchodzi, nie oglądając się za siebie, a ja zostaję sama, dymiąc z podniecenia, ale też z wściekłości.

Nie potrafię skupić się na nauce, więc maszeruję jak wariatka po całej bibliotece i salonie, po wielokroć okrążam kuchenną wyspę, przez cały czas wyginając palce dłoni.

Gdy Liam wraca późnym popołudniem, jestem w totalnej rozsypce.

Znajduje mnie na kanapie w salonie, gdzie siedzę z podkulonymi nogami i sączę czerwone wino. To już drugi kieliszek. Dzięki przyjemnemu mrowieniu wywołanemu alkoholem Liam wygląda jeszcze seksowniej niż zwykle. Gorący, z ostrą szczęką i oczami rozżarzonymi jak węgle.

Przyniósł małą brązową torbę.

Nie wita się ze mną, a ja nie witam się z nim. Za to gapimy się na siebie, jakbyśmy się założyli, kto pierwszy mrugnie.

Kładzie torbę na stoliku kawowym, popycha go w moją stronę, po czym się prostuje. Rozluźnia krawat, nie spuszczając mnie z oka. Czeka, bym coś powiedziała.

Jezusie Nazareński, jak on wszystko utrudnia.

Odkładam kieliszek na stolik i wstaję.

– Głodny?

– Kurewsko – warczy, pożerając mnie wzrokiem.

– Miałam na myśli kolację.

Zdejmuje krawat przez głowę i rzuca go na podłogę.

– Nie. Powiedz to.

Moje tętno szaleje. Liam jest we władczym nastroju. Jest dziki i niecierpliwy. Nastroszył futro, obnażył kły i pazury.

Oblizuję nerwowo wargi i wycieram spocone dłonie w dżinsy.

– Yyy…

Zrzuca z pleców marynarkę, pozwala, by spadła na ziemię, a potem szybko rozpina koszulę i wyciąga ją ze spodni. Przez cały ten czas świdruje mnie wzrokiem i nawet nie mruga.

– Yyy, ja… – Cały czas próbuję cokolwiek z siebie wykrztusić.

Rozpina pasek. Moje piersi stają się cięższe, a sutki boleśnie sterczą. Nagle zaczynam oddychać z trudem.

– Liamie.

Praktycznie wyrywa ze szlufek pasek, który wydaje przy tym głośny świst, przez co wzdycham wystraszona.

– Tak, mała? – pyta. Jego głos wydaje się cierpliwy w przeciwieństwie do płonących żywym ogniem oczu.

Wiem, że „kochaną” nazywa mnie tylko w łóżku. Nigdzie poza sypialnią.

– Czy mógłbyś… Zechciałbyś…

Owija pasek wokół dłoni, a potem głośno nim strzela. Podskakuję wystraszona i wypalam przez ściśnięte gardło:

– Zechciałbyś się ze mną kochać?

To nie było pytanie, ale on ma to gdzieś. Obchodzi stolik i rozkazuje:

– Bierz tę torbę.

Ledwie zdążyłam ją złapać, bo bierze mnie na ręce i przerzuca sobie przez ramię.

Jasna cholera. Właśnie przerzucił mnie przez ramię.

Jedną dłoń zaciskam na papierowej torbie, drugą na jego koszuli. Bujam się na boki, bo bardzo szybko niesie mnie do sypialni, przytrzymując swoją wielką, położoną na moich udach dłonią. Chyba powinnam czuć się w tej sytuacji kretyńsko, ale mam szeroko otwarte oczy i aż kipię ekscytacją, a moje serce dudni jak opętane.

Za pierwszym razem się rżnęliśmy. Za drugim uprawialiśmy seks. Tym razem będziemy się kochać, a to znacznie lepsze, lecz równocześnie gorsze. I zdecydowanie, zdecydowanie bardziej niebezpieczne.

Kładzie mnie na łóżku, zawisa nade mną i głęboko mnie całuje. Przeszukuje językiem moje usta, a dłoń zanurza w moich włosach. Obejmuję rękoma jego szerokie barki. Moje nogi leżą lekko zgięte po

obu stronach jego talii. Zaciskam w dłoni małą brązową torbę, jakby zależał od niej mój los. Liam odsuwa się, siada na piętach i pozbywa się koszuli, podczas gdy ja leżę płasko na plecach i po prostu na niego patrzę. Czuję się przy tym jak naelektryzowana.

– Powiedz to jeszcze raz – rzuca głosem ociekającym żądzą.

– Kochaj się ze mną, proszę – szepczę.

– Połóż ręce nad głową.

Natychmiast wypełniam polecenie. Zdejmuje mi dżinsy i majtki, a potem zadziera moją koszulkę nad piersi, na ramiona, zawijając ją pod moim podbródkiem. Mój biustonosz ma zapięcie z przodu, więc od razu korzysta z tego przywileju i rozpina go. Teraz ujmuje moje piersi w dłonie i zaczyna ucztę. Ssie mocno napięty sutek, przez co wyginam się w łuk i zaczynam jęczeć, a potem przechodzi na drugi i robi to samo. Przechodzi od jednego do drugiego, przy czym absolutnie się nie spieszy. Bawi się mną, podczas gdy już skamlę z przyjemności i wbijam biodra w jego miednicę.

– Powiedz, czego chcesz.

– Twoich ust.

– Masz już moje usta, kochana – mówi, przygryzając delikatnie sutek.

– Nie tu. Tam, niżej.

– Na palcach stóp? – szepcze prowokacyjnie i gryzie mocniej.

– Między nogami, proszę – jęczę niewyraźnie, z rozkoszą.

– Lubisz mieć moje usta na cipce?

Jestem już cała w amoku. Jego głos jest tak gorący i mroczny, że odbiera mi rozum. Zaczynam bełkotać bezładnie:

– Tak, proszę. Kocham to. Chcę, szybko, proszę, chcę cię już!

Przez jego tors przetacza się pomruk podobny do ostrzeżenia pilnującego terytorium zwierzęcia. Liam zjeżdża w dół mojego ciała, po drodze muskając zębami brzuch i biodra. Przygryza jedno udo, a potem nurkuje w miejsce, w którym nogi łączą się z kroczem, i bierze głęboki wdech, wydając z siebie odgłos samczej żądzy.

Czuję, że moja twarz robi się purpurowa. Przygryzam wargę i bezradnie podrzucam biodrami.

Otwiera mnie kciukami i składa możliwie najdelikatniejszy pocałunek na mojej pulsującej łechtaczce, przez co aż dziurawię

paznokciami papierową torbę.

– Spójrzmy tylko na tę różowiutką cipkę – szepcze, delikatnie szczypiąc moje miękkie fałdki. Wsuwa we mnie palec. – Och, jesteś już taka mokra. Kurewsko mokra.

Kiedy zaczyna ssać łechtaczkę, łkam i wstrząsają mną niekontrolowane spazmy.

Delikatnie wsuwa i wysuwa palec, jednocześnie mnie wylizując. Drugą rękę wyciąga, żeby pieścić moje piersi. W tym momencie zapominam o torbie i poleceniu, że mam trzymać ręce nad głową, i zanurzam drżące palce w jego włosach.

Jęczę nisko i przeciągle, na co on mówi:

– Boże, kocham ten dźwięk. Prawie tak mocno jak to, gdy wykrzykujesz moje imię przy orgazmie.

– Proszę, doprowadź mnie do końca. Boże, tak, proszę, Liam, muszę dojść – sapię na bezdechu.

– Wiesz, że doprowadzę, kochana. Przecież wiesz, że dobrze o ciebie zadbam.

Wsuwa we mnie drugi gruby palec i wraca do ssania łechtaczki.

Dyszę i coraz bardziej gorączkowo rzucam biodrami. Moja skóra płonie. Sypialnia staje się zbyt nagrzana, zbyt ciasna. Liam doprowadza mnie na samą krawędź orgazmu, ale zatrzymuje mnie tuż przed upadkiem w otchłań. Wstaje, zdejmuje resztę ubrań i rozkazuje:

– Zakładaj.

Gorączkowo szukam papierowej torby. W środku jest pudełko gumek, które szybko rozrywam. Małą plastikową paczuszkę otwieram zębami, a potem siadam na krawędzi łóżka i rozedrganymi palcami rozwijam prezerwatywę na sztywnym członku Liama.

Obserwuje mnie mrocznym, przeszywającym wzrokiem, trzymając za zaciśnięte w garści włosy. Gdy tylko kończę swoje zadanie, popycha mnie z powrotem na materac i wbija się we mnie.

– Najpierw musisz dojść na moim fiucie – warczy mi na ucho. – Od tygodni mam obsesję na tym punkcie.

Całuje mnie, a potem składa na moim ciele cały swój ciężar. Zatapiam się w materacu i wiruję biodrami, dopasowując się do jego rytmu. Wszystko zaczyna przypominać sen. Powietrze jest gąbczaste

i zacienione, mój nos wypełnia się ciepłym, wyraźnym zapachem jego skóry i włosów. Jego szeroki kutas mnie rozkosznie rozciąga. Gorączkowo pragnę tarcia, ruchów w górę i w dół, jego stęknięć z głębi płuc i tego, że pod jego ciężarem czuję się taka malutka i bezpieczna. Brakowało mi wrażenia, że moje serce szeroko się otwiera.

Przerywa pocałunek, żeby wydyszeć w ucho moje imię. Jego głos jest miękki, rozpaczliwy i zabarwiony smutkiem, którego nie rozumiem.

Kiedy zmierzam do orgazmu, wzbierają we mnie emocje. Walczę z nimi i nie chcę im ulec, bo boję się, że będą zbyt potężne, wręcz obezwładniające. I on o tym skądś wie, dlatego spowalnia ruchy biodrami, unosi głowę i patrzy na mnie.

– Nie waż się przy mnie powstrzymywać, kochana – warczy ochryple. – Skoro na więcej nie możemy liczyć, to daj mi wszystko, co tylko możesz.

Czuję w oczach gorące ukłucie łez. Odwracam wzrok, moje serce galopuje, ale w tym momencie Liam ujmuje moją twarz w dłonie i zmusza, bym na niego spojrzała.

– No już – mówi. – Daj mi wszystko.

– Boję się.

– Wiem, ale i tak to zrób.

Moje gardło się zaciska. Liam patrzy na mnie z góry, ujmując w głębi moje spojrzenie i rżnie mnie wolniej, ale głębiej. To pchnięcie niczym nie różni się od pozostałych, a jednak unosi mnie i rozrywa na strzępy. Jęczę, wyginam się, patrzę na niego szeroko otwartymi oczami i aż podskakuję od niekontrolowanych wstrząsów, a jednocześnie zaciskam wokół niego ręce, uda i cipkę.

– Kurwa. Tak, kurwa – dyszy. – Tru, jesteś taka piękna. Patrz na mnie i nie odwracaj wzroku.

Z mojego gardła wyrywa się cichutki szloch. Łóżko ucieka spode mnie, muszę z całej siły złapać się Liama, bo inaczej spadnę i osunę się w przerażającą ciemność, która czyha na mnie tam, daleko w dole. Nie wiem, co widzi w moich oczach, gdy dochodzę, ale traci przez to kontrolę.

Wzdycha głośno, zamyka oczy i całuje mnie. To dziki, ostry i szaleńczy pocałunek. Zaczyna zgorączkowany uderzać biodrami, przy czym głęboko we mnie wchodzi. Kładzie dłoń na spodzie mojego uda, żeby otworzyć mnie jeszcze szerzej.

Ja wciąż dochodzę i jestem upojona ekstazą. Jęczę w jego usta, a on bierze mnie na własność.

Liam dochodzi gwałtownie, odrzuca głowę do tyłu i krzyczy w sufit, napinając każdy mięsień w ciele.

Czuję, jak we mnie pulsuje. Patrzę bez tchu, jak poddaje się potężnemu orgazmowi, tymczasem moje skurcze zaczynają słabnąć. Bezwładnie leżę pod nim i dyszę. Mam szeroko rozrzucone nogi, a paznokcie zanurzone w mięśniach jego pleców.

Pada na mnie, dzięki czemu czuję, jak jego serce wali na mojej skórze. Po kilku chwilach, gdy udało mu się złapać oddech, przewraca się na plecy, ciągnąc mnie ze sobą. Kładzie moje ciało na swoim – pierś na piersi, brzuch na brzuchu, uda na udach – wtulając moją głowę w swoją szyję i zamyka mnie w miażdżącym uścisku. Mam wrażenie, że leżymy w tym milczeniu bardzo długo. Wsłuchujemy się w swoje nierówne oddechy i coraz spokojniejsze rytmy bicia serc, podczas gdy stłumione odgłosy nocnego miasta docierają do nas z żyjących daleko w dole ulic. W końcu Liam mruczy coś po gaelicku.

Obracam głowę na jego ramieniu i patrzę mu w twarz. Wpatruje się w sufit z wyrazem twarzy, który niepokojąco kojarzy się z udręką.

– Co się dzieje? – pytam szeptem.

Zamyka oczy, przełyka ślinę i bierze głęboki wdech.

– Ja nie zbliżam się z ludźmi – odpowiada zmęczonym tonem. – Nigdy. Żyję tak od bardzo dawna.

Moje serce znowu zaczyna bić nieco szybciej. Przez chwilę obserwuję, jak zmaga się sam ze sobą, przez co w moim ciele ponownie odzywa się niepokój.

Obraca głowę i patrzy mi w oczy. Kiedy patrzę w jego, dostrzegam, że szaleją w nich oceany ciemności.

– Wszystko miałem pod kontrolą – szepcze, głaszcząc mnie po policzku. – Ale ciebie nigdy się nie spodziewałem.

Rozdział 24

Tru

Nie wiem, co powiedzieć. I tak mam ściśnięte gardło, więc fakt, że odebrało mi mowę, niewiele zmienia. Po prostu patrzę w oczy Liama z niepokojącym przeczuciem, że to coś, co narodziło się między nami, bardzo szybko wyrwie się spod kontroli. Szczerze mówiąc, to chyba już się wyrwało. Wiem o tym, bo dostrzegam w mrocznej głębi jego oczu to, co sama odczuwam – to samo pragnienie i tę samą przemożną, palącą potrzebę. Jeżeli teraz jest tak dobrze, płomiennie, satysfakcjonująco i dziko, to później będzie tylko lepiej. Lepiej, czyli też bardziej uzależniająco. A przez to ostatecznie, pod koniec, zostanie tylko nagi ból. Po raz pierwszy odkąd go poznałam, strach zatapia w moim sercu swoje długie, lodowate paluchy.

– Obiecaj mi coś – szepczę niecierpliwie.

– Co tylko zechcesz – odpowiada natychmiast. – Tylko powiedz.

Przełykam ślinę i zbieram się na odwagę.

– Nie pozwól, żebym się w tobie zakochała – wyduszam bardzo cicho.

Rozchyla wargi i patrzy na mnie w milczeniu, podczas gdy moje serce wali jak młot kowalski. Po chwili przewraca mnie na plecy i przygniata swoim ciężarem. Nie mija wiele czasu, a on zarzuca nogę na moje uda, podpiera się na łokciu, ujmuje moją twarz w wielką dłoń i patrzy rozpalonymi oczami.

– A mogłabyś się zakochać? – pyta szeptem.

O Boże, on tego chce. Chce, żebym się w nim zakochała i oddała mu absolutnie wszystko, także moje kruche serce.

Zastanawiam się, czy go nie okłamać albo nie obrócić wszystkiego w żart. Rozważam setki bezpieczniejszych wyjść, dzięki którym mogłabym zaliczyć miękkie lądowanie, ale natychmiast wszystkie skreślam, ponieważ jedynie prawda może mnie ocalić.

– Jestem już w połowie drogi – przyznaję drżącym głosem.

Liam wygląda, jakbym wbiła mu nóż w brzuch. Zamyka powieki, powoli oddycha, ściąga ciemne brwi, a potem obdarza mnie czułym, długim pocałunkiem.

Nie rozumiem, jak ten potężny i brutalny mężczyzna może być tak niewiarygodnie delikatny. W chwilach takich jak ta mogę przez moment ujrzeć jego drugie oblicze. Nagie i pełne emocji, które raz na jakiś czas przebija się na powierzchnię przez pokrywę żelaznej samokontroli. Tak bardzo chciał trzymać się ode mnie z daleka, a jednak za każdym razem wracał niczym nieustępliwy przypływ. A ja zawsze cieszyłam się z jego powrotów na moją orbitę. Przyciąganie między nami sprawia właśnie takie wrażenie. Jest nieuchronne jak grawitacja, a my jesteśmy dwiema planetami w ruchu złączonymi czymś znacznie silniejszym niż nasza indywidualna wola, czymś podstawowym i niezaprzeczalnym.

Czymś, co, jak sądzę, okaże się dla nas niszczycielskie, lecz teraz jest już za późno, by odejść. Trafiłam do wilczego leża i jestem zniewolona jego urokiem. Wkrótce będę musiała pomyśleć, jak się tu dostałam i jak się pozbieram, gdy wilk odejdzie.

* * *

Budzę się kilka godzin później i zauważam, że jestem sama. Taka pobudka wywołuje we mnie dezorientację. Głównie dlatego, że nie lubię budzić się sama.

Wstaję, korzystam z toalety, po czym zakładam spodenki do jogi i koszulkę. Wychodzę z sypialni i błąkam się po ciemnym mieszkaniu w poszukiwaniach Liama. Spod drzwi jego gabinetu wydobywa się słaby strumień światła. Kiedy ruszam w ich stronę, zastanawiam się, czy nie rozsądniej byłoby wrócić do łóżka spać, ale odrzucam ten pomysł na dźwięk dochodzącego zza drzwi głosu Liama. Są minimalnie uchylone, więc jego głos jest stłumiony, ale słyszany.

– Mam gdzieś konsekwencje. Chcę wyjść.

Wydaje się wzburzony.

– To zwykłe pieprzenie, dobrze o tym wiesz. Nikt nie zapłaci więcej ode mnie.

Zaintrygowana zbliżam się na palcach.

– Doskonale wiem, że jesteśmy już blisko! – mówi podniesionym głosem. – Myślisz, że nie rozumiem, co leży na szali?! – Na chwilę zawiesza głos, a potem warczy: – Osiemnaście lat wystarczy. To w ogóle cud, że tyle wytrzymałem.

Przychodzi mi na myśl dedykacja na tytułowej stronie tamtej książki z biblioteki, która pochodziła sprzed osiemnastu lat. Dedykacja od Julii dla „ukochanego".

Osiemnaście lat „czego" wystarczy?

Skradam się coraz bliżej i bliżej, a serce wali mi ze strachu. Liam milczy, najwyraźniej słucha rozmówcy, kimkolwiek on jest.

– Bo to ich nie wskrzesi! – ryczy nagle.

Przypominam sobie, jak stwierdziłam, że stoi na górze ludzkich kości i przechodzi mnie dreszcz.

– Poczekaj chwilę.

Rozlega się odgłos kroków. Liam otwiera gwałtownie drzwi i patrzy na mnie, stojąc w samych bokserkach. Nawet nie zdążyłam obrócić się, a co dopiero uciec.

Przełykam ślinę, a moje tętno szaleje.

– Przepraszam, szukałam cię. Skoro jesteś, to może lepiej wrócę do łóżka.

Przerażona, że mnie przyłapał, obracam się do ucieczki, ale chwyta mnie i wciąga do gabinetu. Rzuca coś do słuchawki po gaelicku, po czym się rozłącza, a potem obejmuje mnie i zamyka w niedźwiedzim uścisku.

Stoimy przytuleni przez kilka długich chwil, dopóki Liam nie opanowuje przyśpieszonego oddechu. Co jakiś czas jego torsem wstrząsają drgawki.

– Wszystko dobrze? – szepczę, opierając policzek na piersi, w której głośno bije jego serce.

– Wkrótce będzie – odpowiada chropowatym tonem. Bierze głęboki wdech i pociera nosem o moją szyję. – Dlaczego nie śpisz?

– Bo sobie poszedłeś.

Zamiera, po czym się odsuwa i przygląda badawczo.

– Nie tylko ty masz lekki sen – dodaję, starając się brzmieć jak najbardziej swobodnie.

– Chodź.

Wypuszcza mnie z uścisku, łapie za rękę i prowadzi korytarzem do sypialni. Kładzie telefon na szafce obok łóżka, obraca się i delikatnie popycha mnie na materac. Po kilku sekundach leżymy na łyżeczkę, z tym że teraz żadnemu z nas nie chce się spać.

– Tym razem nie przyniosłeś mnie na rękach – stwierdzam, gdy automatyczne światła gasną.

– Mówiłaś, że tego nie lubisz.

– Nieprawda. Mówiłam, że umiem chodzić – odpowiadam po chwili namysłu.

– Czyli jednak lubisz.

– Nie dyskutuj, to nie było pochlebstwo.

Liam zaczyna zwalniać oddech. Czuję, że część napięcia uchodzi z jego ciała, ale jestem tak zaciekawiona, że postanawiam zaryzykować i zadać pytanie, choć dobrze wiem, że mogę go tym zdenerwować.

– Z kim rozmawiałeś?

Odpowiada dopiero po długiej chwili nerwowej ciszy.

– Z bratem. – Kolejna pauza. – Zaszła pewna… konieczność biznesowa, która wywołuje trochę problemów.

Liam mówił, że im mniej wiem, tym lepiej, ale nie potrafię się oprzeć i drążę dalej:

– Cała twoja rodzina prowadzi te interesy?

– Nie, zostało nas tylko dwóch.

Zostało?

– Zostało przy wspólnej pracy? – dopytuję szeptem.

– Zostało przy życiu.

Moje serce zaciska się w pięść.

– Twoi rodzice… oni też?

– Ano – wzdycha ciężko.

Mówił, że miał siedmioro rodzeństwa. Licząc rodziców, miał dziesięcioosobową rodzinę. I zostało ich dwóch? Jak to możliwe?

– Liam, tak mi przykro… – Waham się. – Doszło do jakiegoś wypadku?

– Do pożaru – odpowiada bardzo cicho.

Przypominam sobie blizny na jego plecach i jak przyznał mi rację, że grzebanie na cmentarzach jest niebezpieczne. Robi mi się niedobrze.

– O Boże.

– Śpij już.

Widać, że nie chce o tym rozmawiać. Rozumiem, ale jeżeli sądzi, że teraz zasnę, to chyba oszalał, dlatego leżę w bezruchu na długo po jego zaśnięciu i zagubiona w myślach pod osłoną nocy wsłuchuję się w jego równy oddech.

Rano Liam jest zamyślony i wyraźnie czymś zaabsorbowany. Nie pytam, czy się wyspał, bo wiem, że nie. Rzucał się nerwowo na łóżku, podczas gdy ja gapiłam się w sufit, rozmyślałam, snułam domysły, zastanawiałam się, kim jest Julia i co się działo przez ostatnie osiemnaście lat w jego życiu. „Bo to ich nie wskrzesi!", krzyczał przez telefon. Nie potrafię przestać o tym myśleć, podobnie jak o pożarze, w którym zginęła większość jego rodziny. Ten człowiek nosi w sobie tyle tajemnic, że nie potrafię ich zliczyć.

Przed wyjściem Liama z domu kochamy się pod prysznicem, a wieczorem robimy to znowu, gdy tylko przekracza próg mieszkania. Tym razem nawet nie zdejmuje ubrań. Po prostu wchodzi do biblioteki, całuje mnie namiętnie, a potem przygważdża moją twarz do rozłożonych na stole książek. Podwija mi sukienkę, zrywa majtki i rżnie mnie od tyłu, przytrzymując jedną ręką za biodra a drugą za kark. To zwierzęcy seks. Uwielbiam go. Później karmi mnie stekiem i purée ziemniaczanym kęs po kęsie. Siedzę na krawędzi wyspy kuchennej, a on stoi między moimi nogami i czujnie patrzy, jak za każdym razem moje usta zamykają się wokół widelca.

Jest nagi od pasa w górę, przy czym piekielnie seksowny. Te naprężone mięśnie i tatuaże aż kłują mnie w oczy.

Mam na sobie jedynie jego białą koszulę od garnituru. Co jakiś czas muska moją pierś albo biodro, a czasami nawet schyla się, żeby mnie pocałować lub powąchać. Jestem niemal pewna, że na tej wyspie też będziemy się kochali, ale teraz przeszkadza nam dzwonek mojej komórki leżącej na blacie naprzeciwko.

Liam podchodzi, patrzy na ekran, a następnie odłącza telefon od ładowania i podaje mi go bez słowa. Napis na ekranie głosi:

„Największa fanka Dolly”. *Święty Boże, matka dzwoni.*

Zerkam nerwowo na Liama, który teraz uśmiecha się półgębkiem. Wysuwa jeden z wysokich taboretów schowanych pod krawędzią wyspy, siada na nim, opiera się na łokciach o blat i wspiera podbródek na złączonych dłoniach, dając do zrozumienia, że chętnie posłucha rozmowy.

Zastanawiam się przez ułamek sekundy nad odebraniem telefonu, bo nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł, ale dociera do mnie, że jeśli nie odbiorę, to matka obdzwoni wszystkich ludzi, którzy mnie znają. Lepiej mieć to z głowy. Przystawiam komórkę do ucha i łapię palcami za podstawę nosa między oczami.

– Cześć, mamo.

– Cześć, kochanie! Ale dobrze cię słyszeć! Jak się miewasz?

Na dźwięk jej teksańskiego zaśpiewu czuję niewytłumaczalną ulgę.

– W tej chwili? Mam wyrzuty sumienia, że nie dzwonię do ciebie częściej.

– Bądź poważna, Truvy – prycha. – Żyjesz teraz w wielkim mieście i jesteś zajęta. A poza tym wiesz, że tu, na farmie, zawsze wszystko po staremu. No, nie licząc tego, że tatuś spalił stodółkę.

Mrugam zaskoczona, choć nie powinno mnie już dziwić, że tata coś puszcza z dymem.

– Tę, w której trzymał zdobycze myśliwskie?

– Nie inną. Cuchnęło jak w piekle. Płonące futerka potrafią narobić prawdziwego smrodu.

– Wyobrażam sobie – stwierdzam z krzywą miną.

– Te biedne wypchane stworzenia uleciały do nieba w tak czarnym i paskudnym chmurzysku, że zjawił się u nas sam inspektor do spraw zdrowia hrabstwa, żeby sprawdzić, co się dzieje. – Mama mlaska głośno. – Tatuś, biedaczysko, wychodził z siebie. Wiesz, że odstrzeliwał i wypychał te szkodniki od dwudziestu lat. Teraz będzie musiał zaczynać od zera.

Na myśl o ojcu rozpaczającym nad swoją drogocenną kolekcją, czyli dymiącą kupką zwęglonych, wypchanych trucheł zwierząt, mimowolnie się śmieję. Każdemu okazowi towarzyszyła przykręcona

do drewnianej podstawki złota plakietka z imieniem – tak, nadawał im imiona – oraz datą unieśmiertelnienia.

To cud, że wyrosłam na w miarę normalnego człowieka.

– Jak to się stało?

– Sprawił sobie nowego grilla. Jakżeby inaczej, prawda? – zaczyna opowiadać cierpkim głosem. – Starego, wielkiego, lśniącego grilla na gaz. Płomienie strzelały spomiędzy rożnów jak z rur tej rakiety, na której Evil Knievel wskoczył do kanionu Colorado. I oczywiście musiał postawić to buchające ogniem ustrojstwo przy stodółce, bo chciał cieszyć się obiema swoimi największymi pasjami naraz. Stary dureń!

Śmieję się tak mocno, że aż bolą mnie policzki.

– Tatuś spalił stodołę ze swoimi okazami za pomocą potężnego grilla?

– Mhm, oczywiście, że tak. I do tego zmarnował piękne steki, które z samego ranka przywiozłam z masarni. Od zeszłego tygodnia śpi na kanapie.

Po moich policzkach spływają łzy śmiechu. Liam patrzy na mnie tak, jakby nigdy w życiu nie słyszał ciekawszej rozmowy.

– Dobrze, że kogoś to śmieszy – stwierdza mama kwaśno.

– Przepraszam, ale to naprawdę przezabawne – mówię po odzyskaniu oddechu i wytarciu oczu.

Mama chrząka głośno.

– Taki już mój żywot. Wyszłam za człowieka, któremu nie można powierzyć wymiany żarówki, bo na pewno wywali korki w zasięgu czterech hrabstw.

– Ale właśnie za to go kochamy.

– Kochamy, kochamy… – odpowiada cieplejszym tonem.

– Ma szczęście, że Bóg obdarzył go tymi słodkimi dołeczkami w policzkach i południowym urokiem. A skoro mowa o miłości, to czy spotykasz się aktualnie z kimś wyjątkowym, skarbie?

Głupieję z paniki. Zmuszam się, by nie patrzeć na Liama, więc wbijam wzrok w sufit.

– Yyy…

– Ojej, to brzmi poważnie. – Wybucha śmiechem.

– Bez dwóch zdań jest ciekawie.

– Jak mu na imię?

Odchrząkuję głośno.

– Liam.

Wspomniany mężczyzna podrywa głowę na dźwięk własnego imienia, tymczasem moja matka warczy jak kot.

– Mrr, seksownie.

– Mamo, właśnie zatykam uszy.

– A jak wyglądają jego relacje z naszym Panem?

– Na miłość boską… – wzdycham.

– Nie możesz zaufać mężczyźnie, który nie powierzył serca Jezusowi.

Zaczynam żałować, że odebrałam.

– Skoro musisz wiedzieć, to powiedziałabym, że jego drogi nie pokrywają się ze ścieżkami Pana.

Nadal patrzę w sufit, ale kątem oka widzę, że Liam pytająco uniósł brew.

– O rany. No cóż, to pracuj nad tym. Ma porządną pracę?

– Jest bardzo zamożny – odpowiadam po chwili wahania.

– Nie o to pytałam – rzuca z nagłą podejrzliwością w głosie.

Próbuję wymyślić, co powiedzieć bez zmyślania, bo przecież nie mogę okłamać matki. Mogę natomiast nieco naciągnąć prawdę. Nie chcę tego robić przy Liamie, więc zeskakuję z wyspy i oddalam się na kilka kroków.

– Jest prezesem międzynarodowej korporacji.

Mama wydaje z siebie odgłos świadczący o żywym zainteresowaniu.

– A czy ta korporacja jest w dobrej kondycji? Ma przed sobą pomyślną przyszłość?

– Powiedziałabym, że działa w rozwojowej branży.

Pójdę za to do piekła.

– Tata by go polubił?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Cóż, ma coś na swoją obronę. Z całą pewnością jest rodzinnym człowiekiem i bardzo pilnuje mojego bezpieczeństwa.

– Wspaniale! – Aż czuję, jak mama promienieje. – A kiedy ty i ten twój Liam obdarzycie mnie wnuczętami, kochanie?

– Nieźle, dotarłaś do sedna już po trzech minutach. To chyba rekord.

– Oczywiście najpierw musicie się pobrać – stwierdza, kompletnie mnie ignorując.

– Dziękuję za tę pierwszorzędną radę życiową.

Mama przez chwilę milczy, a gdy w końcu się odzywa, jej głos jest już zupełnie inny.

– Truvy, życie jest krótkie. Krótsze niż dziś zakładasz. Nie możesz tego odkładać zbyt długo, bo w pewnym momencie zorientujesz się, że jest już za późno.

O, nie. Tylko nie to.

Zatrzymuję się przy drzwiach do łazienki, opieram się o ścianę i zamykam oczy.

– Wiem, mamo.

– W przyszłym tygodniu miałby urodziny i kończyłby dwadzieścia siedem lat.

Milczymy przez chwilę. Dzielimy się ciszą i bolesnymi wspomnieniami.

– Pod koniec lipca podchodzę do egzaminu adwokackiego – mówię cicho. – Jeżeli zdam, to dzień później złożę podanie o przyjęcie na stanowisko obrońcy publicznego. Mamo, moi klienci unikną losu Michaela. Przysięgam.

Mama bierze głęboki, świszczący wdech.

– Jestem z ciebie taka dumna – mówi łamiącym się głosem.

– Dziękuję.

Słyszę w tle jakiś huk i przekleństwa. Mama wzdycha z irytacją.

– Idź i powiedz mu, że go kocham – mówię.

– Powiem, kochanie. My ciebie też kochamy.

– Wiem. Trzymaj się.

Po pożegnaniach się rozłączam. Kiedy się obracam, Liam stoi dziesięć centymetrów za mną. Podskakuję i krzyczę z zaskoczenia.

– Kim jest Michael? – pyta bez żadnych ogródek.

Kładę dłoń na łupiącym sercu i biorę głęboki wdech.

– Wystraszyłeś mnie!

– Michael – ponagla mnie.

Widzę, że dopóki mu nie wyjaśnię, to będzie jak ogar na tropie zwierzyny, więc bardzo niechętnie wyjaśniam.

– Michael to mój brat.

Przygląda mi się bacznie.

– Twój zmarły brat – mówi ciszej.

Kiwam głową i odwracam wzrok. Już nawet nie zaskoczył mnie fakt, że zgadł. Delikatnie ujmuje mój podbródek i obraca tak, bym musiała na niego spojrzeć.

– Co się stało?

Mam wrażenie, że jakaś niewidzialna dłoń złapała mnie za serce i ścisnęła. To ostatni temat, który chcę poruszać. Z doświadczenia wiem, że ta niechęć nie jest Liamowi obca.

Patrzę w jego płonące oczy i szepczę:

– Przykro mi, ale nie lubię o tym rozmawiać.

Liam patrzy na mnie w intensywnym milczeniu, zaciskając mięśnie żuchwy.

– To z jego powodu poszłaś na prawo? – pyta po chwili.

Przełykam ślinę, a w moich oczach wzbierają słone łzy.

– Gdy na zemstę jest już za późno, sprawiedliwość musi dokonać się inaczej.

Jego mina się zmienia. Przed chwilą był zacięty, skupiony niczym światło w soczewce. Teraz na jego twarzy odbija się pełne zdumienia zrozumienie. Jakby po raz pierwszy ujrzał mnie w pełnym świetle.

– Otóż to – szepcze, przy czym wygląda jak porażony prądem.

Kiedy tak na siebie patrzymy, rozkwita między nami coś wielkiego i przerażającego. Czuję w powietrzu osobliwą więź opatrzoną niewysłowioną świadomością, identycznością i wspólnym doświadczeniem, które łączy nas czarną nicią, tak samo zmieniając nasze życia.

Tym doświadczeniem jest śmierć.

Możemy się różnić, ale w najważniejszych kwestiach jesteśmy z wilkiem podobni.

Bierze mnie w ramiona i całuje zachłannie. Od tego dnia już mnie nie opuszczał.

Rozdział 25

Tru

Po oderwaniu się od codziennej rutyny nadającej upływowi czasu kształt i znaczenie, ten zwalnia. A może i całkiem znika? Tak czy owak, po utracie gruntownego osadzenia w świecie w postaci pracy i uczelni, moje dni płynnie przechodzą jeden w drugi. Jedynymi znakami upływającego czasu są wschody i zachody słońca, które i tak są do siebie na tyle podobne, że w końcu tracą znaczenie.

Funkcjonujemy z Liamem w izolacji, którą sami sobie narzuciliśmy. Jesteśmy odcięci od świata zewnętrznego, ale za niczym nie tęsknimy. Jemy razem, śpimy razem, rozmawiamy godzinami, oglądamy stare filmy i unikamy aktualnych wiadomości, pozostając zamknięci w naszej bańce. Oboje nie odbieramy telefonów. Całkowicie oddajemy się sobie nawzajem i nic tego nie zakłóca. Czuję się tak, jakbyśmy przeprowadzili się na zupełnie inną planetę albo wynaleźli zupełnie nowy styl życia. Unikamy tylko dwóch tematów, czyli przeszłości i przyszłości. W świetle zasad obowiązujących w naszej kapsule czasu ma to sens. Dla nas przeszłość i przyszłość nie istnieją. Jest tylko teraz, bo zadajemy sobie pytanie, czy w ogóle może istnieć coś innego.

Jedyny problem polega na tym, że każdego ranka, kiedy się budzę i widzę jego rozespaną, uśmiechniętą twarz, kolejny kawałeczek mojego serca kapituluje. Błagałam, by obiecał, że nie dopuści, bym się w nim zakochała, ale jak można obiecać coś takiego? Miłość nie słucha logiki. Podobnie jak czas, miłość ma własną fizykę i uniwersalne zasady, których nie mamy szans kontrolować.

Co jakiś czas zamykam się w łazience i udzielam sobie surowej reprymendy przed lustrem, ale nawet moje odbicie wie, że to na nic. Serce i tak pragnie tego, czego pragnie, a ja coraz bardziej pożądam

tego, żebyśmy mogli już na zawsze trwać w naszym zagięciu czasoprzestrzeni.

– Szybciej? – warczy gardłowo do mojego ucha.

Jego palce są między moimi nogami. Leżę naga po mojej stronie łóżka, a on leży za mną. Zaczynam drżeć, bo rucha mnie nieśpiesznie, równocześnie masując moją łechtaczkę.

– Jest idealnie. Właśnie tak. Och… – wzdycham.

Liam delikatnie szczypie łechtaczkę, przez co wyginam się w łuk. Jego długi, twardy kutas wślizguje się we mnie i wyślizguje wręcz nieznośnie wolno. Na odległym horyzoncie widzę przez okno pomarańczową poświatę słońca. Nikt nie wymyśli lepszej pobudki.

Liam całuje mój kark i ssie skórę tak mocno, że na pewno zostanie siniak. Kolejny okaz w zbiorze miłosnych ukąszeń. Podkręca biodrami rytm, równocześnie gryząc mnie i pomrukując z zadowoleniem.

Każda jego część jest wielka: wielki kutas, wielki tors, wielkie dłonie i chropowate palce. Jego sylwetka i ciepło przytłacza moje zmysły, emanując samą męskością. Nigdy wcześniej nie spałam z takim wielkim facetem i znaczna różnica w rozmiarach naszych ciał okazała się bardzo przyjemna na nieoczekiwany i dziki sposób. Jest dużo większy, dużo silniejszy fizycznie, a jednak jeszcze przy nikim nie czułam się tak potężnie. Może to dzięki świadomości, że jeżeli tylko odpowiednio na niego spojrzę, to zamienia się z brutala w potulnego wilczka. Wystarczy, że pochylę nieco głowę, przygryzę dolną wargę i Liam już się rozsypuje.

Przewraca mnie na brzuch bez słowa ostrzeżenia. Unosi się na kolanach, cały czas ze mnie nie wychodząc. Podnosi wyżej moje biodra, żebym też uklękła. Przyciska moje piersi do łóżka, a policzek do pomiętego materaca i maksymalnie wypina mój tyłek.

Łapie mnie za biodra i posuwa kilka razy, pomrukując z rozkoszą. Zamykam oczy i jęczę.

– Uwielbiam cię w tym stanie, kochana – sapie. – Spójrz na siebie i na ten boski tyłek.

Chwyta mnie całą dłonią za pośladek, miętosi go i uciska, a potem wymierza mi ostrego, szczypiącego klapsa, na co podskakuję i wzdycham. Dzięki ruchom mojego ciała wbija się jeszcze głębiej.

Teraz jest we mnie na tyle głęboko, że jego jaja uderzają z plaskiem o moje wilgotne fałdki, co sprzyja powstawaniu kolejnych jęków z głębi mojego gardła.

– Podoba ci się?

– Cudownie…

– Moja słodka, niegrzeczna dziewczynka – szepcze z uwielbieniem.

Synchronizuję swoje ruchy do jego pchnięć. Kocham fale, które za każdym razem rozchodzą się w moim ciele. Moje sutki są twarde i obolałe. Jestem tak mokra, że czuję wilgoć spływającą po udach.

Liam kładzie pode mną rękę i znowu zaczyna się bawić moją łechtaczką, dzięki czemu moje jęki robią się nierówne i gorączkowe.

– Kurwa. Kurwa, Tru, tak mi dobrze… – Teraz przechodzi na gaelicki. Nie wiem, co mówi, ale brzmi to tak niegrzecznie, że aż się rumienię, więc moje policzki zaczynają pulsować jak cała reszta ciała.

Następnie Liam nachyla się nade mną, opiera jedną dłoń na materacu, a drugą oplata mnie w talii. Jego pchnięcia stają się jeszcze głębsze i szybsze. Bierze mnie od tyłu, oddychając coraz szybciej. Moje piersi bujają się rytmicznie, a ja zaciskam prześcieradło w garściach. Gdy już niemal szczytuję, on zwalnia.

Skamlę w proteście, ale Liam siada na piętach i ciągnie mnie za sobą, usadzając na swoich udach. Obejmuje mnie obiema rękami w talii, przykleja tors do moich pleców, nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Dojdziesz dla mnie?

– Tak – odpowiadam.

Napina uda i kręci biodrami, by wejść we mnie do końca. Jęczę i ciężko dyszę. Liam zaciska wielką dłoń na mojej piersi.

– Daj mi usta.

Obracam głowę i pozwalam jej opaść na jego ramię. Całuje mnie głęboko, a jego język jest gorący i ciekawski. Sięga niżej i zanurza palce w mojej wilgoci. Przez chwilę leniwie masuje łechtaczkę, a potem przesuwa dłoń dalej, w miejsce, w którym jesteśmy złączeni. Delikatnie eksploruje moje fałdki rozciągnięte na jego grubym, twardym fiucie.

Jęczę mu do ust jak w gorączce. Jestem tak blisko orgazmu, że całe moje ciało już drży w oczekiwaniu na finał spełnienia. I wtedy zupełnie niespodziewanie uderza otwartą dłonią w moją cipkę. Uderzenie nie jest mocne, ale przeszywają mnie tak silne fale ekstazy, że krzyczę na głos i wyginam się jak kocica. Chwilę później uderza moje krocze drugi, a potem trzeci raz. W końcu dochodzę pośród krzyków. Trzęsę się w konwulsjach oparta o jego ciało, a on trzyma mnie mocno ręką, która obejmuje moje żebra niczym stalowy pas, i szepcze mi na ucho komplementy.

Gdy gwałtowne drgawki ustają, jestem spocona i bezwładna. Niemalże płaczę z ulgi. Liam całuje mnie ponownie, tym razem czulej, a potem odsuwa się ode mnie i popycha na plecy. Ustawia się między moimi rozłożonymi udami i osuwa się na tyle nisko, że ocieramy się o siebie klatkami piersiowymi. Ponownie wchodzi we mnie, patrząc mi głęboko w oczy.

– Kochasz mojego kutasa, prawda, kochana?

Przytakuję, bo jestem obezwładniona emocjami i doznaniami, przez które nie jestem w stanie mówić.

– Wiem o tym – kontynuuje spokojnie. Całuje mnie po szyi i szepcze tuż przy moim gardle: – Jest cały twój. Jak wszystko inne. Cały twój… ja…

Przerywa z jękiem i rżnie jeszcze głębiej.

Zaciskam powieki i wmawiam sobie, że wcale nie chciał powiedzieć: „Ja jestem cały twój”, choć desperacko chcę w to wierzyć. Równie dobrze mogłabym wierzyć w Świętego Mikołaja i Wróżkę Zębuszkę. Liam nie jest mój, ja nie jestem jego, a ta nasza dziwaczna baśń już wkrótce się zakończy. I to bez ostatniego wersu o treści: „żyli długo i szczęśliwie”. Jedyne realne pytanie brzmi: „Jak bolesny okaże się upadek?”. I czy kompletnie mnie złamie…

* * *

Godzinę później nadal leżymy w łóżku, tym razem przodem do siebie. Liam mnie obejmuje, nasze ciała są złączone, a moje palce stóp spoczywają na jego dużych stopach.

– Tak z ciekawości, jaki masz numer buta?

Unosi pytająco brwi.

– Jeżeli się zastanawiasz, czy założę twoje szpilki i będę łaził w nich nago, to absolutnie nie.

Śmieję się cicho na myśl o tej wizji.

– Jesteś dziwny.

– Ty jeszcze dziwniejsza.

Uśmiechamy się do siebie. Muska mój nos czubkiem swojego. Ten prosty gest jest tak uroczy, że czuję ukłucie rozpaczy w sercu. Przymykam oczy. Po krótkiej chwili odchrząkuję i mówię:

– Zgaduję, że nosisz szesnastkę.

– Błąd. – Otwieram oczy i patrzę na niego, jak się cwaniacko uśmiecha. – Więcej – dodaje, ale przygląda mi się badawczo i jego uśmiech blednie, a spojrzenie nabiera intensywności.

– O co ci chodzi?

Do diabła z nim i tymi jego przeszywającymi wilczymi oczami.

– O nic. Po prostu… życie.

Ujmuje moją twarz w dłoń i ściąga brwi.

– Powiedz – żąda.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Przełykam ślinę i spuszczam wzrok na jego podbródek, żeby uciec spojrzeniem.

– Nie chcę rujnować tej chwili.

– Za późno. Już spodziewam się najgorszego.

– Mogłam się nie odzywać.

– Mów. Natychmiast – domaga się ostrzejszym tonem.

Cholera, ta moja niewyparzona gęba…

– Dobra – zaczynam niepewnie. – Yyy… ile dni nam zostało?

Ciało Liama tężeje. Wygląda, jakby przestał nawet oddychać.

– A co? Chcesz odejść wcześniej? – pyta ochryple.

Zaciskam oczy i kręcę głową. Zbieram się na odwagę, by wyznać prawdę.

– W ogóle nie chcę odchodzić.

Przez długą, straszną chwilę Liam trwa w doskonałym bezruchu. Nie licząc płytkiego, szybkiego oddechu, zamarł w milczeniu.

– Przepraszam, nie chciałam cię rozzłościć – szepczę.

Wypuszcza powietrze z płuc i przytula mnie mocniej.

– Rozzłościć? Jezus, Tru… – wyrzuca z siebie.

Uznaję, że mam to interpretować jako brak złości i że nie jest na mnie wściekły. Rzadko wiem, co naprawdę czuje. Cokolwiek poczuł, to teraz oddycha o wiele ciężej. Serce wali mu jak młot, a jego ramiona miażdżą niczym imadło. Po kilku chwilach milczenia chyba się opanował. A przynajmniej jego głos brzmi normalnie, gdy w końcu oświadcza:

– Trzy dni.

Moje serce przewraca się na drugą stronę, żołądek wypełniają motyle, a w gardle zbiera się nieprzyjemna gorycz, od której robi mi się niedobrze.

Trzy dni. Mój Boże, jesteśmy tu razem od tygodni. Minęły jak jedno mrugnięcie oka.

Leżę spięta i nieruchoma zbyt długo, bo Liam warczy niecierpliwie:

– Tru, do jasnej cholery, mów do mnie, bo zaraz ocipieję.

– Chcę, żebyśmy dalej się widywali – wyrzucam z siebie i biorę haust powietrza.

Liam wzdycha boleśnie i wypuszcza mnie z uścisku. Następnie przewraca się na plecy i wbija wzrok w sufit.

W mojej klatce piersiowej rozpala się ogień paniki. Podpieram się na łokciu i patrzę na niego szeroko otwartymi oczami.

– Wiem, że myślisz, że nie byłabym przy tobie bezpieczna przez tę twoją pracę, ale przecież możemy trzymać to wszystko w tajemnicy. Wrócę do mojego mieszkania i do pracy. Wtedy będziemy mogli spotykać się raz na jakiś czas albo może tylko w weekendy, albo…

– Nie – mówi bez cienia emocji i tak stanowczo, jakby wbił mi nóż w serce.

Kładę się na plecy, płonąc ze wstydu. Zasłaniam twarz dłońmi i krzyczę na siebie w duchu, bo zachowuję się jak kretynka. Żałosna, namolna, zabujana jak nastolatka kretynka. Wystarczy na mnie spojrzeć, jak błagam. Matka byłaby wstrząśnięta. W sumie to sama jestem wstrząśnięta. Nienawidzę siebie za tę słabość.

Podnoszę się gwałtownie i zwieszam nogi z łóżka. Chcę uciec do łazienki, żeby zebrać się do kupy, ale Liam łapie mnie w ostatniej

chwili. Przyciąga mnie do torsu i unieruchamia. Siedzę pomiędzy jego udami przykuta łańcuchami, w które przeistoczyły się jego ręce.

– Gdyby był jakiś sposób, to na pewno bym go odkrył – mówi z wyczuwalnym bólem. – Nie mam drogi wyjścia, rozumiesz? Nasza robota… Nawet nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało i co musiałem załatwić, żeby wyłączyć się na tak długo.

– Ile kosztowało ciebie?! – wypalam zirytowana. Czuję ciepło na karku, moje tętno wzlatuje pod niebiosa. – A co ze mną?

– Masz przed sobą całe życie – odpowiada podniesionym głosem. – Skończyłaś prawo. Wkrótce zdasz egzamin adwokacki i zostaniesz prawniczką. Spełni się twoje marzenie.

Tym razem przerywam mu ostrym parsknięciem nieprzyjemnego śmiechu.

– Daj sobie spokój z tymi gadkami motywacyjnymi! Marzenie, o którym mówisz, przypomina wieczny koszmar. Wcześniej nie aspirowałam do takiego życia. Pchnęła mnie ku niemu najgorsza rzecz, jaka przytrafiła się mojej rodzinie, jaka przytrafiła się konkretnie mnie. Brat był moim najlepszym przyjacielem. Był najlepszym człowiekiem, jakiego znałam, i został, kurwa, zamordowany! – Przerywam nagle, bo duszę się szlochem.

Liam obejmuje mnie w milczeniu.

Mój wstyd narasta, bo przecież on też zaznał dotkliwej straty. Ma nade mną sporą przewagę w tej koszmarnej kategorii. Ja straciłam tylko brata, a on rodziców i sześcioro rodzeństwa.

– Przepraszam – szepczę roztrzęsiona, zamykając oczy. – Dałam się ponieść emocjom. Wiem, że ty… że twoja rodzina… – Oddycham głęboko, żeby się uspokoić. – Zapomnijmy o tym.

– Twój brat został zamordowany? – pyta niskim i kompletnie wypranym z emocji głosem, nie licząc ledwie słyszalnej nuty mroku i groźby.

– Tak – odpowiadam zdenerwowana jego tonem.

Czeka. Jego ciało aż wibruje napięciem. Chce wyjaśnień, ale ja nie mam ochoty wnikać w szczegóły, więc streszczam wszystko zwięźle:

– Ten cytat, który przytoczyłeś w restauracji o wilkach i owcach… – Wzdycham ciężko, bo ogarnęło mnie nagłe zmęczenie. – Michael był jedną z tych pechowych owiec.

– A ty postanowiłaś poświęcić życie, żeby go pomścić – stwierdza powoli. Jego głos robi się jeszcze dziwniejszy. Jest zaciekły i rozgorączkowany, jakby właśnie odkrył zakopany skarb, jakby natknął się na piracką skrzynię, z której aż wylewają się klejnoty i złoto.

Kiedy obraca głowę, czuję, jak jego płonący wzrok wypala mi piętno na policzku.

– Co sobie pomyślałeś, gdy powiedziałam, że gdy na zemstę jest za późno, to sprawiedliwość musi dokonać się inaczej?

– Powiedziałaś matce, że nie pozwolisz, by to, co go spotkało, przytrafiło się któremuś z twoich klientów. Uznałem, że miał jakieś problemy umysłowe albo narkotykowe, że umarł z przedawkowania albo się zabił. Założyłem, że był prawnikiem i po prostu chcesz pójść w jego ślady.

– Nie był prawnikiem. Nawet nie skończył studiów. Po prostu był poczciwym chłopakiem bez kasy, który lubił rekreacyjnie coś zażyć od czasu do czasu. I miał pecha wejść w drogę bardzo potężnemu człowiekowi.

Czuję, że za moimi plecami Liam zamiera i znowu milknie, usilnie się nad czymś zastanawiając. Nie wiem, czy to koniec rozmowy, ale w końcu mówi pod nosem:

– Jakby los od początku to planował.

– Nie rozumiem, co masz na myśli – stwierdzam, marszcząc czoło.

Popycha mnie delikatnie, bym wstała, po czym schodzi z łóżka i staje na podłodze. Obraca mnie do siebie i chwyta za szczękę, zmuszając, bym spojrzała mu w oczy.

Jego oczy jeszcze nigdy nie były tak morderczo czarne. Teraz są czarne jak bezdenna otchłań w najciemniejszym zakamarku piekieł. To czerń seryjnego mordercy.

– Teraz się ubierzemy, potem coś zjemy, a po posiłku opowiesz mi dokładnie, co spotkało twojego brata. Nie pominiesz żadnego szczegółu… – zawiesza głos, po czym dodaje z płonącym wzrokiem: – Nazwiska tego potężnego człowieka również.

Rozdział 26

Liam

Tru pyta, dlaczego chcę poznać nazwisko tego człowieka, ale jej nie odpowiadam. Prowadzę ją do garderoby, żeby coś na siebie narzuciła, ubieram się i niecierpliwie czekam na nią w kuchni.

W końcu podchodzi do mnie boso, lecz w jednej z moich białych koszul.

Teraz to jej standardowy strój. Zakłada go nawet do nauki. Podwija rękawy, a skraj koszuli mimo wszystko sięga do połowy jej szczupłych ud. Zazwyczaj nie zakłada nic pod spód, bo wie, że i tak z niej to zerwę.

Siada przy kuchennej wyspie. Kładę przed nią miskę płatków śniadaniowych. Patrzę, jak je, ale szybko odkłada łyżkę i wzdycha.

– Liam, na miłość boską, przestań się tak gapić. Głowa mi zaraz wybuchnie.

– Cierpliwość nie zalicza się do moich cnót.

– Wiem o tym, wierz mi – kwituje cierpko.

Patrzymy na siebie. Muszę się hamować, żeby nie okrążyć wyspy i nie wziąć Tru w ramiona. Już dawno przestałem liczyć, ile mamy wspólnego, bo lista wydłużała się zbyt szybko. Ale to… To już nie jest wspólne doświadczenie, a znak.

– Słucham – mówię.

Jej oczy zachodzą cieniem. Przez chwilę żuje dolną wargę, a potem wbija wzrok w miskę z płatkami.

– Skoro za trzy dni rozstaniemy się na zawsze, to jakie to ma znaczenie?

Targa mną niecierpliwość, ale zachowuję kamienną twarz i spokojny głos.

– Chcę dowiedzieć się więcej na ten temat, to dla mnie ważne.

Podnosi wzrok, błyszczy tymi swoimi zielonymi oczami i rzuca ostro:

– Och, naprawdę? To musi być bardzo niekomfortowe uczucie.

– W porządku, zasłużyłem sobie – odpowiadam, wytrzymując jej wściekłe spojrzenie. – Ale mimo to opowiedz mi, proszę.

Widzę, że moje „proszę" ją zdumiało i przeklinam się za to, że bywałem taki gruboskórny. Muszę zapamiętać, by na przyszłość pilnować manier. Zapewne Tru zastanawia się, czy spełnić moją prośbę, a ja teraz czekam, wznosząc się na wyżyny cierpliwości i samokontroli. To w chuj, kurwa, trudne.

W końcu przeczesuje dłonią swoje długie, ciemne włosy i bierze głęboki wdech. Siada prosto, prostuje ramiona i spotyka moje spojrzenie.

– Moja rodzina jest biedna, już ci mówiłam. Dorastałam w gospodarstwie z niewielkim areałem, które zbudował jeszcze mój dziadek. Za moich czasów popadało w ruinę, bo tata mógłby służyć za definicję przeciwieństwa złotej rączki. Gdy próbuje powiesić zdjęcie na ścianie, to za każdym razem wali się młotkiem w kciuk. Gdy wchodzi na drabinę, żeby wymienić żarówkę, spada na podłogę. Cierpi na skrajną niezdarność, więc dom walił się z roku na rok. Nie jest tak źle, ponieważ nieźle idzie mu uprawa i hodowla, więc zawsze mieliśmy co jeść. Cała dziesiątka była najedzona.

– Każde z dzieci miało swoje obowiązki, natomiast Michael odziedziczył po ojcu niezdarność. Bardziej szkodził, niż pomagał. Gdy po raz trzeci wjechał traktorem w oborę, matka raz na zawsze zabroniła mu pracy na farmie. – Tru wykonuje dłonią niecierpliwy gest. – Mówiąc krótko, nie miał obowiązków na roli, a do tego właśnie skończył szkołę średnią, ale bez perspektyw na studia czy pracę, nie narzekał więc na brak wolnego czasu. Zaczął przesiadywać w miejscowej spelunie, wpadł w szemrane towarzystwo i zaczął dorabiać sprzedażą prochów. To była prawdziwa drobnica. Trochę zioła i piguł, ale trzeba pamiętać, że w Teksasie marihuana jest całkowicie zakazana. Nakrycie kogoś na paleniu a przyłapanie na sprzedaży to dwie różne sprawy. Ale najgorsze jest przyłapanie na sprzedaży razem z synem miejscowego sędziego. – Milknie i spogląda na swoje dłonie.

– Zwłaszcza jeżeli ten sędzia w ogólniaku kochał się w twojej matce – kontynuuje smutno. – Ale ona złamała mu serce i wyszła za innego. – Znowu milknie. Widzę, że przemierza wspomnienia, a na jej twarzy odbija się ból. Znowu muszę się powstrzymywać, żeby nie porwać jej w ramiona. Po chwili zbiera siły na kontynuację opowieści. – Syn sędziego miał dobrego prawnika, bo jakżeby inaczej. Ich rodzina była bogata i mieli koneksje. Prawnik dowodził, że mój brat był mózgiem szajki sprzedającej prochy. Jakby Michael mógł być mózgiem czegokolwiek! Na sali rozpraw powiedział, że Michael zmusił i wmanipulował syna sędziego w handel, co było totalną bzdurą. Tamten gówniarz był chodzącym koszmarem. Jeżeli już, to scenariusz musiał wyglądać dokładnie odwrotnie, ale nasza rodzina nie miała pieniędzy na prawników, więc przydzielili nam obrońcę z urzędu. To była prawdziwa rzeź – ciągnie z coraz większą zaciętością. – Synalek sędziego wyszedł na wolność bez jednego dnia w więzieniu. Nie dostał nawet prac społecznych. Natomiast mój brat usłyszał najsurowszy wyrok przewidziany prawem, choć wcześniej był nienotowany.

– Jak brzmiał wyrok?

Waha się, po czym mówi cicho:

– Pięć milionów dolarów grzywny i czterdzieści lat w więzieniu federalnym.

Takich wyroków nie dostają nawet seryjni gwałciciele.

Zgrzytam zębami z wściekłości, ale się nie odzywam.

– W każdym razie mógłby wyjść trochę wcześniej za dobre sprawowanie. Ten obrońca z urzędu przygotowywał apelację, ale nie zdążył jej złożyć, bo po miesiącu w więzieniu Michael został zakatowany na śmierć pod prysznicem.

Mam ochotę kogoś zastrzelić, ale dukam tylko:

– Tak mi przykro.

– No, mnie też – mówi i bardzo ciężko wzdycha.

– Czy udało im się ustalić, kto go zabił?

Tru podnosi głowę i patrzy na mnie. Jej oczy są zaciekłe i lśnią powstrzymywanymi łzami.

– Jeden ze sprawców się przyznał. Był na dożywociu bez prawa skrócenia wyroku, więc miał gdzieś, czy doliczą mu kilkadziesiąt lat.

Ubodło go natomiast to, że nie zapłacili mu za zabójstwo tyle, ile obiecali.

Tru znowu przerywa opowieść, a mój gniew goreje jeszcze mocniej.

– Sędzia – cedzę.

Przełyka ślinę i kiwa głową.

– Ale oczywiście pan sędzia miał pełno kumpli w organach ścigania i w lokalnej polityce. Oskarżenie nic nie dało. Kilka tygodni później znaleźli tego więźnia martwego w celi. Uznali, że zmarł z przyczyn naturalnych. Wyobrażasz to sobie? – pyta bez emocji. – Trzydziestoletni facet cieszący się dobrym zdrowiem, bez żadnych stwierdzonych chorób nagle umiera z przyczyn naturalnych. Prawdziwa tajemnica stulecia!

Dłużej nie wytrzymuję. Obchodzę wyspę i biorę ją w ramiona.

Tru zakopuje twarz w mojej piersi, obejmuje mnie w talii i bierze zdławiony, rwany wdech. Trzymam ją, dopóki nie przestaje drżeć, a potem całuję ją czule w głowę.

– Dziękuję, że się tym ze mną podzieliłaś. Wiem, że trudno ci o tym mówić. Powiedz jeszcze, jak nazywał się ten sędzia.

Podnosi głowę i patrzy na mnie wilgotnymi oczami.

– Po co?

– Bo to będzie jak oczyszczenie.

Przygląda mi się przez chwilę, po czym energicznie kręci głową.

– Nie, Liam. Nie chcę mieć krwi na rękach.

Nie powinno mnie już zaskakiwać, że tak dobrze mnie zna, a jednak nadal zaskakuje. Ale nie ma co zaprzeczać.

– Tylko ja będę miał krew na rękach – mówię niskim głosem.

– Podaj nazwisko.

– Moja definicja zemsty obejmuje jedynie szkody na mieniu oraz decyzje zawodowe.

– Moja nie. Chcę go zabić dla ciebie.

Tru krzywi się i zamyka oczy.

– Jestem sobą głęboko rozczarowana, bo wydaje mi się to romantyczne – mówi, ale potem odpycha mnie lekko i dodaje stanowczo: – Nie. Koniec dyskusji.

Uśmiecham się. Przecież mogę sam dokopać się do nazwiska tego sędziego.

Niespodziewanie rozlega się dzwonek mojego telefonu podpiętego do ładowania na kuchennym blacie. Ignoruję dzwoniący telefon, który szybko milknie, lecz po chwili znowu zawodzi. Kilka sekund później przychodzi SMS.

Ar mhaith leat tae?

To wiadomość od Declana, w której proponuje mi herbatę. To hasło oznacza, że rozpętało się jakieś gówno.

Mówię Tru, że muszę pilnie zadzwonić, i zostawiam ją samą w kuchni. Kiedy wychodzę do gabinetu i zamykam za sobą drzwi, czuję na sobie jej zaciekawione spojrzenie.

– Tak, proszę mi podać herbatę – rzucam po irlandzku, gdy tylko Declan odbiera.

To kolejny szyfr. Gdybym odpowiedział: „Nie, wolałbym kawę", wiedziałby, że nie możemy bezpiecznie porozmawiać.

– Złapałem kogoś, kto próbował podłożyć zaadresowane do ciebie IED.

Wyczuwam po głosie, że jest rozbawiony.

Interesujące…

Jeszcze bardziej interesujące jest IED. Gdy któryś z moich wrogów próbuje mnie ukatrupić, to zazwyczaj sięga po truciznę lub snajpera. Próba wysadzenia mnie w powietrze improwizowanym ładunkiem wybuchowym to nowość.

– Gdzie?

– W uliczce za Cosentino's.

Cosentino's to jedna z moich restauracji. Ta, w której Tru celebrowała z przyjaciółmi ukończenie studiów.

– W uliczce? Skąd wiesz, że to ja byłem celem?

– Bo powiedział tak facet, którego Kieran przyłapał na gorącym uczynku na montowaniu tego chujostwa – wyjaśnia Declan, głośno rechocząc.

Przypominam sobie ostrzeżenie Tru sprzed kilku tygodni i ciężko wzdycham.

– Niech zgadnę. Dość przystojny Latynos przed trzydziestką, do tego pyskaty.

– Dokładnie tak. Jakiś bliski przyjaciel?

– Coś w tym stylu. Gdzie go trzymacie?

– Zawiozłem go do magazynu w dokach. Trzymam go tam od północy, ale nie chciałem… – Odkasłuje. – Nie chciałem ci przeszkadzać. Co mam z nim zrobić? Nakarmić rybki?

– Nie, przywieź go tu. Chcę z nim pogadać. I nie chcę na nim zobaczyć ani jednego siniaka. Rozumiemy się?

– Przyjąłem. Napiszę z P1.

Rozłącza się. Zamykam drzwi do biblioteki na klucz, a następnie otwieram ukryte za regałem drzwi na korytarz prowadzący do windy technicznej. Wsiadam do niej, zjeżdżam na P1 i czekam.

* * *

Dwadzieścia minut później staję przed skutym mężczyzną z czarnym kapturem na głowie. Klęczy na zimnym betonie podziemnego parkingu, syczy i rzuca się jak wściekły kot. Musi trzymać go dwóch moich największych chłopaków.

Declan stoi obok mnie z ramionami skrzyżowanymi na piersi i przygląda się z zaciekawieniem.

Spod kaptura dobiega rozjuszony męski głos. Facet drze się tak głośno, że na parkingu odbija się echo.

– Pozabijam was wszystkich, wy *pinche puto pendejo babosos!* Zdejmijcie to i zmierzcie się ze mną jak mężczyźni!

– Tak z ciekawości – zwraca się do mnie Declan, wykorzystując chwilę ciszy – co to znaczy „*pinche puto*”, czy co on tam rzęzi?

– Pierdolone pedalskie wszy na włosach łonowych – tłumaczę.

– Niełądnie – krzywi się Declan. – Dziś nikt nie używa już słowa „pedalskie”. Jest obraźliwe.

– Ale reszta ci nie przeszkadza?

– Chłopak jest kreatywny – odpowiada Declan, wzruszając ramionami. – Ma bogatą wyobraźnię.

Tłumię westchnienie, obracam się od Declana i zwracam bezpośrednio do mojego gościa:

– Witaj, Diego.

Przestaje się wić. Jego ciężki oddech porusza kapturem.

– Kto to?

– No teraz to naprawdę mnie uraziłeś. Liam Black.

– Spierdalaj.

– Mnie też miło cię znowu widzieć.

– Gdzie jest Tru, do cholery?! – drze się znowu.

– Mieszka ze mną. Przekażę, że o nią pytałeś. A teraz daj słowo, że zaniechasz prób wysadzenia mnie w powietrze, to będziesz mógł odejść w swoją stronę.

Chyba go to zaskoczyło, bo zamarł w bezruchu, a czarny kaptur przechyla się na bok.

– Nie zabijesz mnie?

– Pech chciał, że nie mogę.

– Haha! No tak! – rży jak stara wiedźma. – Obiecałeś Tru! Przykro mi, dupku, ale przestanę próbować dopiero wtedy, gdy cię wysadzę!

Naprawdę przestaję lubić tego dzieciaka.

– Liam nie może cię zabić, ale ja mogę – wtrąca Declan spokojnie. – Więc licz się ze słowami, bo wsadzę ci nóż między żebra i pokroję jak indyka.

To ucisza Diega. Klęczy przede mną, wibrując ze złości. Dociera do mnie, że ten dziwny dźwięk dochodzący spod kaptura to zgrzytanie jego zębów.

Każę Kieranowi, żeby postawił go na nogi i zdjął mu kaptur.

Kiedy Diego już wstaje i może wziąć oddech bez zasłony na twarzy, piorunuje mnie wrogim wzrokiem. Patrzy na mnie bez mrugnięcia okiem jak jadowita kobra.

– Skąd ta nienawiść, Diego? Myślałem, że ostatnim razem rozstaliśmy się w zgodzie.

Jest tak wściekły, że aż wychodzą mu ścięgna na karku. Cała jego twarz jest czerwona.

– Aleś, kurwa, zabawny – prycha. – Dla ciebie to wszystko tylko jebany żart. Ona też, prawda? Wykorzystasz ją, wyrzucisz i nawet powieka ci nie zadrży. Oczywiście, o ile najpierw nie zabije jej zbłąkana kula przeznaczona dla ciebie!

– Jeżeli bronisz jej honoru, próbując mnie zabić, to twoje wysiłki są chybione.

Diego parska krótkim, sarkastycznym śmiechem.

– A co ty, kurwa, możesz wiedzieć o honorze, bandycki śmieciu?

Declan rozkłada ręce i stawia krok naprzód. Zatrzymuję go, kładąc dłoń na jego ramieniu. Decyduję osobiście zbliżyć się do Diega. Podchodzę na mniej niż pół metra, staję i patrzę mu prosto w oczy.

– Więcej niż jesteś w stanie sobie wyobrazić – mówię cicho.

Wygląda tak, jakby naprawdę chciał napluć mi w twarz, ale rzuca okiem na stojącego za mną Declana i rezygnuje.

– Jesteś w niej zakochany – kontynuuję spokojnym tonem.

– W pełni rozumiem…

– Czyżby?

– Tak. Przerwij mi jeszcze raz, to Declan odetnie ci język. Obiecałem jej, że cię nie zabiję, ale nie wspominałem ani słowem o pozbawieniu cię zdolności mowy.

Zasługuje na podziw, że nie odsuwa się ani nawet nie krzywi, choć widać, że się boi, bo krew odpłynęła mu z twarzy, a jego źrenice wyraźnie się skurczyły.

– Wracając do sprawy, nie musisz jej bronić.

Odzywa się dopiero po chwili, kiedy nabiera pewności, że skończyłem:

– Ty też nie musisz jej bronić.

– Zgadzam się.

Nie wie, co o tym myśleć. Przestępuje z nogi na nogę, patrzy to na mnie, to na Declana, oblizuje wargi i próbuje wymyślić, co dalej robić.

– Diego, posłuchaj. Chcę cię prosić o przysługę.

Mruga zaskoczony, po czym odpowiada kategorycznie:

– Nie.

– Przecież nawet nie wiesz, o co chodzi.

– Nie chcę mieć u ciebie żadnego długu.

Dobrze, że chłopak jest chociaż przystojny, bo głupi jak but.

– Nie, to ja będę miał u ciebie dług.

Wygląda na zdezorientowanego, a potem podejrzliwego.

Mam ochotę przewrócić oczami, ale powstrzymuję się i mówię:

– Za kilka dni Tru wróci do pracy i do swojego mieszkania. Chcę, żebyś miał na nią oko. Nie oburzaj się i, do kurwy nędzy, przestań odgrywać jebanego macho. Tru nie znosi, jak ktoś traktuje ją jak

bezradną damę w opałach. Po prostu jej pilnuj, żeby nic się jej nie stało. Wiem, że mogę na ciebie liczyć w tej sprawie.

Rozdziawia gębę. Zdecydowanie nie wie, co myśleć. Wygląda, jakby zapadł w śpiączkę.

Przywracam go do rzeczywistości delikatnym uderzeniem otwartą dłonią w policzek.

Podskakuje, mruga oczami, a potem krzyczy:

– Chcesz, żebym ją dla ciebie niańczył, gdy ty sobie wyjedziesz w jakąś podróż czy coś w tym stylu, prawda?

– Nie wybieram się w żadną podróż. Wyjeżdżam na dobre.

A zostawienie Tru mnie zabije.

– I tyle? Po prostu ją wyrzucisz? – pyta z niedowierzaniem. Ten dobór słów sprawia, że mimowolnie zgrzytam zębami. Nie odpowiadam, więc dopytuje: – Czy ona o tym wie?

– Pamiętaj, o co prosiłem. Kieran, podrzuć go pod ogród zoologiczny. Może będzie chciał odwiedzić rodzinkę.

Obracam się i ruszam w stronę wind. Już skończyłem z Diegiem, ale ewidentnie on ze mną jeszcze nie.

– Człowieku, wiesz, że ona cię przede mną broniła?! – krzyczy za mną. – Ostrzegałem ją, że gwarantujesz kłopoty, jeszcze zanim dowiedziała się, kim jesteś, gdy jeszcze byłeś tylko zbokiem gapiącym się na nią w knajpie. A ona za każdym razem się za tobą wstawiała! Wiesz, jak to się nazywa? Lojalność. Założę się, że rzadko masz z tym do czynienia, chyba że słono zapłacisz. Mówiłem jej o tym, ale ona mnie nigdy nie słucha. A teraz ty wyrzucisz ją jak wczorajsze śmieci. Wtedy przekona się, kim naprawdę jesteś.

– Dawaj dalej, kretynie – wtrąca Declan. – Mój nóż nie smakował krwi od czterech dni. Jeszcze jeden i padnie rekord, a na to nie mogę pozwolić.

Wciskam guzik przyzywający windę, obracam się i patrzę, jak Kieran wlecze Diega do SUV-a. Ciągnie go tyłem, więc nasz gość jeszcze raz patrzy mi w oczy.

– Przynajmniej się dowie. Jesteś złem, zwłaszcza dla niej.

Kieran otwiera tylne drzwi samochodu i wpycha go do środka. Zanim trzaska mu drzwiami przed nosem, chłopak nachyla się i krzyczy:

– Dobro możesz komuś wyświadczyć tylko tym, że skonasz!

Podchodzi do mnie Declan, kręcąc głową. Zamarłem w miejscu, zmrożony ostatnimi słowami Diega, które odbijają się echem w mojej głowie. Declan staje przy mnie obok wind i rechocze.

– Trzeba przyznać, że dzieciak ma jaja.

– Ano… – odpowiadam, a krew pulsuje mi w żyłach.

Myliłem się, sądząc, że Diego jest głupi jak but. To jebany geniusz.

Rozdział 27

Tru

Liama nie ma bardzo długo, ale gdy wraca do kuchni, gdzie na niego czekam, od razu widzę, że coś jest nie tak. Jest spięty, ma szał w oczach, płytko oddycha, na zmianę zaciska i rozluźnia pięści, jak to ma w zwyczaju, kiedy jest zdenerwowany. Nie wiem, czy jest rozjuszony, zaniepokojony, czy targają nim inne emocje, ale wiem, że zaraz oszaleję.

– Wszystko w porządku?

Podchodzi prosto do mnie, ściąga mnie z kontuaru, zamyka w niedźwiedzim uścisku i zaciąga się zapachem moich włosów, oddychając nierówno.

– Liamie? – Jestem wgnieciona w jego tors, więc moje słowa są stłumione. – Trochę ciężko mi oddychać.

Chwyta mnie za przedramiona, odsuwa się i patrzy na mnie z gorącą intensywnością. Jego szczęka pracuje, choć on nic nie mówi.

– To musiał być ważny telefon – stwierdzam i przyglądam mu się czujnie. – Wszystko dobrze?

– Nie. To znaczy, tak. Będzie dobrze. Mam nadzieję.

Nadzieję*?* Przecież on nie używa takich słów. Nigdy nie widziałam, żeby był taki rozproszony, a wręcz rozedrgany. Zachowuje się tak, jakby ktoś podpiął go do prądu. Wygląda, jakby przed chwilą usłyszał, że wygrał największą loterię w historii, ale warunkiem odbioru pieniędzy jest odcięcie sobie nogi zardzewiałym nożem.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie.

– Rany, ale niespodzianka – rzucam cierpko.

Bierze mnie z powrotem w objęcia i zaciska moje włosy w garści.

– Muszę wyjść na kilka godzin – szepcze mi wprost do ucha.

– Jak wrócę, to masz być gotowa. Naga, w łóżku, mokra i gotowa.

Żadnych „ale”!

Na Boga, ale ten człowiek potrafi podnieść ciśnienie.

Chcę zaprotestować, ale ucisza mnie ostrym, władczym i ocierającym się o desperację pocałunkiem. Jeszcze nigdy nie całował mnie tak dobrze, więc, zamiast wydrzeć się, że jest cholernym macho bez krzty manier, po prostu się rozpływam.

Puszcza mnie tak nagle, że zataczam się na bok i, wzdychając, podpieram się o kuchenną wyspę. Liam odchodzi w stronę wind, nie obracając się za siebie. Znika, gdy tylko drzwi windy się rozsuwają. Poszedł sobie, a ja zostałam sama, patrząc za nim z niedowierzaniem.

Nie mam pojęcia, co się właśnie stało, a znając Liama, nigdy się nie dowiem.

* * *

Poranek upływa mi na nauce w bibliotece. Za nieco ponad miesiąc podchodzę do egzaminu adwokackiego i choć pilnie przerabiam podręczniki, to przede mną nadal jest masa materiału.

Liam nie wraca na lunch, więc biorę z lodówki pojemnik z eskalopkami drobiowymi, podgrzewam je w mikrofalówce i jem sama. Na stojąco, przy kuchennym zlewie. Po posiłku wracam do biblioteki i uczę się jeszcze kilka godzin, całkowicie zatracając się w pracy.

Jakiś czas później spoglądam na zegar i zauważam zaskoczona, że minęła osiemnasta. Chyba mamy z Liamem różne definicje kilku godzin, bo nie ma go cały dzień. To przykre, biorąc pod uwagę fakt, że zostały nam trzy dni.

Jem kolację i próbuję się nad sobą nie użalać. Potem jeszcze trochę się uczę. Kiedy myśli o Liamie skutecznie przeszkadzają mi w skupieniu, w końcu daję za wygraną. Wychodzę do salonu, zwijam się w kulkę pod kocem na wielkiej kanapie i czekam.

Musiałam twardo zasnąć, bo budzę się z przeczuciem, że minęło sporo czasu.

Słońce schowało się za horyzontem. Zmierzch maluje pokój ciemnymi odcieniami fioletu i błękitu. Siadam zdezorientowana,

zastanawiając się, dlaczego mój ruch nie uruchomił automatycznych świateł, i węszę w powietrzu. Czuję dym papierosowy.

Obracam się, rozglądam i zauważam, że dobiega od stojącego do mnie plecami mężczyzny, który patrzy przez wielkie okna na migoczące w dole miasto.

Zeskakuję z kanapy z oszalałym ze strachu sercem i spanikowana cofam się o kilka kroków.

– Kim pan jest?!

– Spokojnie, mała. To tylko ja – rzuca cicho przez ramię.

Declan. Po chwili ulgi ponowie rozpala się we mnie strach.

– Co się stało? Gdzie Liam?

Nie odpowiada od razu. Odchyla głowę i wypuszcza w powietrze kilka idealnych okręgów dymu. Przygląda im się, dopóki nie znikają. Gdy w końcu się odzywa, mówi jeszcze ciszej niż wcześniej.

– Zbieraj swoje rzeczy. Czas ruszać.

– Ruszać? Dokąd?

– Do domu.

Moje serce zamiera w piersi. Robi się zimno, dłonie zaczynają mi drżeć.

Liam nie wróci i nie pożegna się ze mną. Przysłał Declana, żeby odwalił za niego brudną robotę. Żeby sam nie musiał użerać się z moimi emocjami i żebym nie robiła mu scen. A przecież zostały nam trzy dni!

– Chcę z nim porozmawiać. – Zabrzmiałam rozpaczliwie. – Zadzwoń do niego, natychmiast.

Declan w końcu odwraca się od okna i patrzy na mnie z drugiej strony salonu. Jego błękitne oczy połyskują w mroku, a twarz jest pozbawiona wszelkich emocji w ten wystudiowany, kontrolowany sposób.

– To koniec, mała. Nie pogarszaj sytuacji.

Mam ochotę wrzeszczeć z frustracji i walnąć go w gębę. Mam ochotę coś rozwalić, cokolwiek! Ale zamiast tego mówię:

– Declan, nie traktuj mnie z góry. Mam prawo z nim pomówić.

– Prawo? – Jego głos jest jak brzytwa. Stawia kilka kroków naprzód, przy czym wygląda naprawdę groźnie. – Nie, nie masz żadnych praw. Nie jesteś jego żoną ani krewną. Nawet nie jesteś jego

przyjaciółką. Postawmy sprawę jasno, mała. Jesteś dziunią, którą sobie dymał przez kilka tygodni. Nikim więcej.

Ból odbiera mi dech. Czuję się tak, jakby uderzył mnie z całej siły w brzuch.

Podchodzi jeszcze bliżej, a ja patrzę na niego skrzywdzona i przerażona. Nie jestem w stanie się ruszyć. Zatrzymuje się pół metra ode mnie i patrzy mi w oczy.

– Nikim więcej, prawda?

Dziwne. Zabrzmiało to tak, jakby rzucał mi wyzwanie.

– Nie… – odpowiadam rozedrganym głosem.

Przygląda mi się uważnie, zaciągając się papierosem. Wydmuchuje dym prosto w moją twarz.

Nie znoszę, gdy to robi.

– W takim razie kim jesteś? – pyta.

To musi być gniew albo ból. To może być nawet bunt, w każdym razie, zanim zastanowiłam się nad odpowiedzią, wykrzykuję mu w twarz:

– Kobietą, która go kocha!

Declan się nie rusza i nie mruga. Zmienia się tylko jego spojrzenie. Lodowate głębiny jego oczu na ułamek sekundy ogrzewa błysk emocji, który jednak natychmiast znika, pozostawiając za sobą chłód jeszcze większy niż wcześniej.

– Jesteś gówniarą, która nie potrafi odróżnić seksu od miłości – mówi tonem ociekającym pogardą. – Dorośnij.

Moja dłoń zupełnie odruchowo frunie naprzód. Policzkuję Declana, wykorzystując każdy gram drzemiącej we mnie siły, a z mojej piersi wyrywa się przy tym zwierzęcy ryk.

Jego głowa odskakuje na bok. Przez długą chwilę pozbawioną oddechu stoi bez cienia reakcji jak zamrożony, ale potem powoli obraca głowę i na mnie patrzy.

Różowe odbicie mojej dłoni błyszczy na jego policzku.

Patrzę na niego, ciężko dyszę i cedzę:

– Jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie gówniarą, to złamię ci nos, arogancki skurwysynie.

Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Wiedziałem, że cię lubię – rzuca ostro, łapiąc mnie za przedramię.

Ciągnie mnie w stronę wind, ignorując moją złość i nie zważając na to, że próbuję się wyrwać. W drodze w dół, do garażu, także nie zwraca na mnie uwagi. Ignoruje mnie, gdy wpycha mnie do samochodu i zapina mi pas bezpieczeństwa. Także w drodze do mojego mieszkania ma mnie kompletnie w dupie, choć przez całą drogę gnębię go, żeby dzwonił do Liama. Nawet mu w tym celu ubliżam.

Zatrzymuje się z piskiem opon przed moim budynkiem, wywleka mnie z auta i z zaciśniętą szczęką bez słowa prowadzi pod drzwi. Stawia mnie na wycieraczce i otrzepuje rękawy, jakby pozbył się jakiejś paskudnej przesyłki.

Jestem boso. Nawet nie mam na sobie bielizny.

Przed chłodnym wieczornym powietrzem chroni mnie tylko biała koszula Liama, a to dlatego, że jestem romantyczną idiotką, która utonęła w smutnych, pięknych oczach gangstera i, jak wariatka, zaczęła nosić jego ciuchy.

– Nie wierzę, że zostawił mnie w taki sposób! – krzyczę na Declana, który zmierza z powrotem do samochodu. – Musiało się coś stać! Powiedz mi, o co naprawdę chodzi!

– Jezus Maria, święty Józefie, kobieto! – Rozdrażniony wyrzuca ręce w górę. – Zamkniesz kiedyś tę zasraną jadaczkę?!

– Gdzie jest Liam? Dlaczego nie wrócił? Wiesz, z kim rano rozmawiał przez telefon?

Declan odmaszerowuje, tupiąc nogami i mamrocząc coś pod nosem bez udzielenia mi odpowiedzi. Zostaję sama na tej wycieraczce i się trzęsę. Rzeczywistość zaczyna docierać do mojej świadomości jak śmiertelna trucizna.

To koniec. Naprawdę koniec. Ja i Liam to przeszłość.

Z mojego mieszkania dochodzą głośne odgłosy kroków. Ellie otwiera wściekle drzwi i krzyczy:

– Co to za wrzaski, do ciężkiej cho… – urywa na mój widok, ściąga brwi i lustruje mnie wzrokiem.

– Tru? Co ty tu robisz?

– Mieszkam tu, zapomniałaś? – odpowiadam.

I natychmiast zalewam się łzami.

Rozdział 28

Liam

Gdy słyszę dzwonek mojej komórki i widzę, że to Declan, prawie schodzę na zawał. Od razu odbieram.

– I co powiedziała? – warczę na powitanie.

– Lepiej zapytaj, czego nie powiedziała! – odpowiada rozdrażniony. – Nie chciała się zamknąć. Zachowywała się tak, jakby uciekła z psychiatryka albo zamieniła się w wiedźmę. Bez przerwy wrzeszczała na całe gardło!

Wyobrażając sobie jej złość, smutek i ból, a to wszystko wywołane przez mnie, ciężko wzdycham.

– I walnęła mnie! – Śmieje się trochę ze złością, a trochę z podziwem. – I to solidnie! Trudno uwierzyć, że ma tyle pary! – Gdy ponownie wzdycham z pełnią cierpienia, Declan prycha: – Och, przestańże kwilić i jęczeć. Jest wściekła jak sam diabeł, ale dalej cię kocha.

Prawie upuszczam telefon. Potem znowu prawie mam zawał.

– Powiedziała tak? – chrypię do trzymanej w rozedrganej dłoni komórki.

– Ano, tak powiedziała. Ale nie musiała. Kobieta potrafi się tak epicko wściec tylko w sprawie faceta, którego kocha.

Miękną mi kolana. Opadam na najbliższe krzesło, odrzucam głowę do tyłu i zamykam oczy.

Kocha mnie. Powiedziała Declanowi, że mnie kocha.

Gdybym teraz umarł, to odszedłbym szczęśliwy.

– Ej, Romeo, jesteś tam?

– Jestem, jestem – odpowiadam pełnym emocji głosem.

– Jaki jest następny ruch?

Otwieram oczy, podnoszę głowę i patrzę na siedzących za stołem wpatrujących się we mnie agentów FBI.

– Wkrótce dam znać – odpowiadam i się rozłączam.

Rozdział 29

Tru

Tej nocy nie jestem w stanie zasnąć. Niezmordowanie chodzę po sypialni, a mój umysł wiruje. Niedobrze mi, jestem wściekła, zraniona, zdezorientowana, wściekła, zawstydzona, zaskoczona i jeszcze raz wściekła.

Czy wspomniałam, że jestem wściekła? Jestem tak rozjuszona, że mam wrażenie, że zaraz urodzę jakiegoś potwora stworzonego z czystego gniewu. Mam ochotę rozwalić na kawałki wszystkie meble w zasięgu wzroku.

To jemu zależało na tym całym układzie. To on wymyślił tę całą przeprowadzkę. I to on mnie porwał, żeby to wszystko urzeczywistnić! I to on wysłał swojego zastępcę, żeby wyrzucił mnie jak brudny talerz na trzy dni przed planowanym końcem… Mógł chociaż zachować się jak dżentelmen i załatwić to osobiście. Oczywiście, gdyby przyszło co do czego, to na pewno uległabym emocjom. Płakałabym i w ogóle, ale na pewno bym nie błagała.

No dobra, błagałabym. Uzależniłam się od jego czarodziejskiego kutasa.

A poza tym, co okazuje się tragiczne, straszne i kretyńskie, kocham go. Dlatego wniosek jest prosty, że bez błagania by się nie obyło. Ale to nie usprawiedliwia go. Dlaczego przerzucił odpowiedzialność pozbycia się swojego dobrowolnego więźnia na innego mężczyznę, który jest pozbawiony wszelkiej ogłady i dmucha damie dymem papierosowym w twarz? Mam nadzieję, że Declanowi zostanie paskudny siniak po moim ciosie.

Jeżeli kiedyś spotkam Liama Blacka na ulicy, to gorzko tego pożałuje.

– Kogo ty oszukujesz? – szepczę do załzawionego odbicia w lustrze. – Bo mnie nie oszukasz.

Moje poturbowane odbicie patrzy na mnie z lustra nad biurkiem. Obie wiemy, że gdybym spotkała Liama na ulicy, to rzuciłabym mu się do stóp jak pomylona psychofanka i wyłabym, żeby tylko przyjął mnie z powrotem.

A więc to tak wygląda miłość!

Co za koszmar…

* * *

Z samego rana pod moimi drzwiami pojawia się czterech oprychów w czarnych garniturach, którzy przywieźli kartonowe pudła z moimi rzeczami. Rzucają je bez słowa na progu i obracają się, by odejść.

– O nie! Ja wam dam! – drę się za nimi.

Największy, jeśli mnie pamięć nie myli – Kieran, obraca się do mnie z uniesioną brwią.

Odsuwam się na bok, odsłaniając przejście do mojego mieszkania, i wskazuję kciukiem za siebie.

– Wchodzić.

– O co chodzi? – pyta Kieran z ciężkim irlandzkim akcentem.

– Zgaduję, że to wasza banda kilka tygodni temu zapakowała moje klamoty i wywiozła je do Liama, mam rację?

Goryle patrzą po sobie niepewnie.

– Tak sądziłam. – Odsuwam się jeszcze bardziej i wskazuję zamaszystym gestem na moją sypialnię. – Wiecie, gdzie co ma leżeć.

Kieran wybucha śmiechem, ale jego pogarda nie robi na mnie wrażenia, więc po chwili milknie i gapi się spode łba.

Krzyżuję ramiona na piersi i odwzajemniam groźne spojrzenie.

Godzinę później moje ciuchy, przybory toaletowe i książki leżą na właściwych miejscach w sypialni. Kieran i ekipa oprychów ulatniają się bez słowa, przy czym wyglądają tak, jakby nawet nie mieli pojęcia, co się stało.

Ellie stoi w otwartych drzwiach mieszkania i bacznie im się przygląda.

– Znasz to stare powiedzenie, że udręka kocha towarzystwo?

– No, i co?

– Znowu zerwaliśmy z Tylerem, więc przynajmniej nie będziesz cierpiała samotnie. Mój żałosny tyłek dotrzyma ci towarzystwa.

Leżę na plecach na podłodze w salonie i gapię się w sufit przygnieciona do ziemi tęsknotą za mężczyzną, którego już nigdy nie zobaczę.

– O co poszło tym razem?

Ellie wzdycha ciężko, zamyka drzwi do mieszkania i wchodzi do kuchni.

– Oświadczył, że czuje się stłamszony. – Rechocze posępnie. – Najwyraźniej dziewczyna, z którą spotykał się za moimi plecami, go nie tłamsiła.

– Do dupy. Dobrze się czujesz?

– Przeżyję. Przez kilka ostatnich dni obżerałam się z wściekłości. To zawsze pomaga.

Relacjonuję jej zwięźle, jak podle zachował się wczoraj Liam. Jak każda dobra przyjaciółka, jest święcie oburzona w moim imieniu. Mam drobne wyrzuty sumienia, że nie potrafię się w tej chwili zrewanżować i zdobyć na podobne oburzenie w sprawie Tylera, ale sądząc po moim nastroju w ostatnich godzinach, wkrótce rozbiję lustro albo wyrzucę jakiś wazon przez balkon i będziemy mogły razem szaleć ze złości.

Ellie wyciąga coś z lodówki, podchodzi do mnie i siada obok po turecku.

– Chcesz trochę lodów pistacjowych? – pyta. – Została ich tona. Starczy nam do końca życia. – Wyciąga do mnie pudełko z lodami i łyżeczkę.

Patrzę na nią bez słowa, po czym wybucham płaczem.

Ellie uznaje to za odmowę, więc zaczyna jeść sama i co kilka łyżeczek pocieszająco poklepuje mnie po plecach.

* * *

Jestem rozżalona i mam złamane serce, więc przez trzy dni ukrywam się w mieszkaniu. Nie wychodzę i do nikogo nie dzwonię. Oczywiście poza Liamem, bo zamieniłam się w żenujący wrak, ale jego numer jest zdezaktywowany.

Co za okrutny, straszny, tchórzliwy, zakłamany, zły i pozorujący, że ma serce, gnojek. Tęsknię za nim każdą komórką mojego jestestwa.

Teraz już rozumiem, że racjonalni ludzie potrafią w pewnym momencie pęknąć i podjąć się gwałtownych czynów. Ludzkie ciało nie zostało stworzone do przechowywania tak silnych emocji.

Czwartego dnia dochodzę do wniosku, że mam siebie po dziurki w nosie. Moje serce wciąż jest złamane, ale leżenie i ciągłe pochlipywanie w niczym nie pomoże. Poza tym nadal czeka mnie egzamin adwokacki, o ile w ogóle się na niego zwlekę. Szczerze wątpię, bym zdołała go zdać w obecnym stanie, ale jeżeli obleję pierwsze podejście, to przecież będę mogła pisać poprawkę. Chyba że po drodze zabujam się w kolejnym enigmatycznym nieznajomym i znowu zrujnuję sobie życie.

Dzwonię do Buddy'ego i informuję go, że wracam do pracy.

– Dobrze, moja droga – odpowiada przybity, jakby tego nie chciał, ale nie miał wyboru. Z jakiegoś dziwacznego powodu wywołuje to wredny uśmieszek na mojej twarzy.

Pierwszą osobą, jaką widzę po przyjeździe do knajpy, jest Carla. Gdy wchodzę przez drzwi, patrzy na mnie z niedowierzaniem, natychmiast zostawia gościa, od którego przyjmowała zamówienie, i rzuca się biegiem przez salę, po czym dopada mnie w rozpaczliwym uścisku.

– Jezusie Nazareński, wyglądasz jak nieopróżniany od roku śmietnik! Tak się cieszę, że cię widzę! Martwiłam się! Wszystko dobrze? Bo wyglądasz kiepsko. Jak śmierć! O Boże… – podnosi głos. – Nie wierzę, że mieszkałaś z gangsterem!

Kiedy w końcu milknie, żeby wziąć oddech, odklejam się od niej, przy czym czuję się, jakbym miała z tysiąc lat na karku.

– Dziękuję, że powiadomiłaś całą restaurację o moim pogmatwanym życiu uczuciowym. Ciebie też dobrze widzieć. Doceniam podnoszące na duchu słowa na temat mojej prezencji. I owszem, u mnie wszystko dobrze.

Siedzący przy najbliższym stoliku starszy facet nawet nie próbuje się kryć, że nas podsłuchuje.

– Proszę pilnować swoich spraw, proszę pana – rzucam do niego.

– Siedziałem tu pierwszy – burczy, wzruszając ramionami i wracając do swojego pastrami na ryżu.

– Chodźmy na zaplecze – mamroczę pod nosem do Carli.

Maszeruję przez salę jadalną, a ona drepcze tuż za mną, wciąż zasypując mnie pytaniami i błagając o przebaczenie za to, że nie zadzwoniła po kolacji z okazji mojej obrony. Miałam rację: Dave narzucił jej embargo.

Ci cholerni faceci uwielbiają się rządzić. Powinnam założyć grupę wsparcia dla kobiet, które przetrwały obcowanie z samcami alfa. Na całym świecie zapewne są nas miliony. To całe rzesze kobiet, które pielęgnują poturbowane nadzieje, serca i macice.

Po dotarciu do kuchni napotykamy Diega, który klasycznie stoi za grillem i przewraca burgery.

– Wróciłaś – mówi i obdarza mnie szerokim uśmiechem i błyskiem białych zębów.

– Wróciłam.

Stoję tam niezgrabnie i boleśnie skrępowana w ciasnym mundurze, przez co jestem bardziej świadoma swojego ciała teraz niż u Liama, kiedy to spędzałam całe dnie tylko w jego koszuli.

– Przytuliłbym cię, ale jestem cały w tłuszczu. – Diego obraca kolejnego burgera i tłuszcz pryska na jego fartuch. – Wszystko dobrze? – pyta, zerkając na mnie.

– Nigdy nie bywało lepiej – kłamię. – A u ciebie?

– Również – odpowiada, podnosząc rękę.

Jak na kogoś, kto przy naszej ostatniej rozmowie miotał morderczymi groźbami, zachowuje się dziwnie nonszalancko. Ale jego huśtawki nastrojów mogłyby konkurować z moimi, więc zapominam o tym i idę dalej, kierując się do pokoiku dla załogi. Carla wisi na mnie jak mała małpka na plecach matki.

Zamykam za nami drzwi, padam na najbliższe plastikowe krzesło i krzywię się z bólu. Już nawet zdążyłam zapomnieć, jak koszmarnie są niewygodne.

Carla przysuwa sobie drugie i siada tak blisko, że stykamy się kolanami. Po chwili łapie mnie za ręce, jakby zamierzała zainicjować wspólne modły.

– Dziewczyno – wyrzuca z siebie na bezdechu. – Liam Black?!

Wybałusza oczy i czeka, żebym coś powiedziała.

Tymczasem ja zaczynam się krztusić. Twarz mi się marszczy i z trudem wyduszam przez ściśnięte gardło:

– Nie wymawiaj tego głupiego nazwiska. Nienawidzę go.

– Aha, no, rozumiem – komentuje cierpko. – Masz to wypisane na tej zabeczanej buźce.

Pociągam nosem i próbuję nie poddać się łzom napierającym na moje oczy.

– Co Dave ci o nim powiedział? – pytam, żeby odwrócić uwagę od mojej historii i uniknąć erupcji płaczu.

– Tylko tyle, że należy do największych i najgorszych mafiosów na Wschodnim Wybrzeżu. I zakazał mi się z tobą kontaktować, dopóki masz z nim do czynienia. Oczywiście nie pochwalę mu się, że wróciłaś do pracy.

– Nie musisz okłamywać męża dla mnie.

– Dla ciebie? Dla mnie, tłumoku. Lubię tę robotę, a poza tym: czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. – Ściska mnie za rękę.

– Niemniej, jeżeli Dave zajrzy tu akurat podczas twojej zmiany, to choćby miałoby to być za rok, to udawajmy, że to twój pierwszy dzień po powrocie.

– Och, jakże misterną sieć konspiracji tkamy – stwierdzam żałośnie.

– Przestań – prycha. – Małżeństwo to instytucja zbudowana na białych kłamstwach i zaprzeczeniach. Gdy mąż i żona zaczynają być wobec siebie bezwzględnie szczerzy, to cały system w szybkim czasie może się zawalić. Opowiadaj, co się działo po tamtej kolacji.

Biorę głęboki wdech, robię wydech i zamykam oczy, a potem opowiadam jej wszystko, nie pomijając zupełnie niczego.

Pod koniec historii jestem emocjonalnie wypompowana, ale ulżyło mi, że to z siebie wyrzuciłam. Oto dzielę się emocjami, po babsku. Ellie byłaby dumna. W tym momencie coś do mnie dociera. Przecież podczas tamtej kolacji nie miałam pojęcia, że właścicielem knajpy, w której jedliśmy, jest Liam. Nie miałam też pojęcia, że mnie porwie. Carla i Dave wyszli przede mną i Diegiem, a od tamtego wieczoru z nią nie rozmawiałam, więc…

– Skąd wiesz, że mieszkałam u Liama?

Carla rzuca konspiracyjne spojrzenie przez ramię i szepcze:

– Diego mi powiedział.

Marszczę czoło. Próbuję sobie przypomnieć, co powiedziałam Diegowi podczas naszej ostatniej rozmowy przez telefon:

„Czyli jesteś teraz jego dziewczyną albo coś w tym stylu?”.

„Posłuchaj, zadzwoniłam się zameldować. Chciałam przekazać, że u mnie wszystko gra”.

Dzwoniłam do niego dzień po kolacji. Nie wspomniałam ani słowa o tym, gdzie mieszkam, a później już z nim nie rozmawiałam. Co dziwniejsze, gdy weszłam dziś do knajpy, Carla powitała mnie słowami: „Nie wierzę, że mieszkałaś z gangsterem!”.

„Mieszkałaś”, w czasie przeszłym.

– Kiedy Diego ci o tym powiedział?

– Nie pamiętam… – Zastanawia się. – Chyba kilka dni temu.

Moje serce zaczyna bić szybciej. Prostuję się na krześle.

– Ile dni temu? Tylko dokładnie, bo to ważne.

– Yyy… – Ściąga brwi i wpatruje się w sufit, po czym oświadcza: – Pięć. Pamiętam, bo tego samego dnia dostałam okres i Diego znowu zaczął ubolewać nad tamtą nocą, kiedy kazał ci samej wynosić śmieci.

Pięć dni temu mieszkałam jeszcze u Liama.

Pięć dni temu odebrał telefon, po którym wybiegł z kuchni i wrócił zupełnie odmieniony.

Pięć dni temu widziałam go po raz ostatni.

Diego wiedział o moim zerwaniu z Liamem wcześniej ode mnie.

Z walącym sercem zrywam się na nogi. Wybiegam do kuchni i zatrzymuję się przy samym grillu.

– Rozmawiałeś z nim, prawda?

Diego zamiera w trakcie szorowania grilla drucianką. Waha się przez chwilę, po czym pyta jak niewiniątko:

– Z kim?

Czuję ciepło rozlewające się na moim karku. Muszę zagryźć zęby, żeby nie zacząć wrzeszczeć.

– Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Dobrze wiesz, z kim rozmawiałeś. Co mu powiedziałeś? Co on ci powiedział? Gadaj natychmiast albo… albo… albo wezwę policję!

Sięgnęłam po instynktowną groźbę zupełnie od czapy, która jest najbardziej absurdalna na świecie. Przecież nie mam żadnych podstaw, żeby szczuć Diega policją. Może z wyjątkiem tego, że zbrodniczo mnie wkurza. Niemniej reaguje tak zaskakująco i gwałtownie, że staję jak wryta.

Obraca się do mnie i krzyczy wściekle:

– Nie możesz dowieść, że podłożyłem tę bombę! Nie masz żadnych dowodów!

Stoję z rozdziawioną gębą i gapię się na mojego rozmówcę, do którego powoli dociera, że nie miałam pojęcia o żadnej bombie… aż do tej chwili.

Rzuca druciankę na grill, odwraca się ode mnie i prycha bez emocji:

– Kurwa mać.

– Próbowałeś wysadzić kogoś w powietrze? – szepczę przerażona, a z mojej twarzy odpływa cała krew.

Podpiera ręce na biodrach i, nadal obrócony do mnie plecami, wzdycha ciężko.

– Nie kogoś, tylko jego.

Łapię się za gardło. Straciłam świadomą kontrolę nad rękami, więc same podskoczyły mi do krtani, uchwyciły się jej i zaczęły drżeć. Cofam się o kilka kroków na miękkich nogach. Chcę odwrócić się i uciec, ale moje nogi mają inne plany, więc po prostu stoję bezradna i rozedrgana jak jesienny listek.

– Dlaczego?

Milczy przez chwilę, a potem obraca się i staje ze mną twarzą w twarz. Ma zaciętą minę, wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości. Na starszego i zmęczonego. W niczym nie przypomina chłopaka, którego znałam.

– Nie zadawaj głupich pytań, Tru. Dobrze wiesz, dlaczego chciałem to zrobić. I nie żałuję. Żałuję tylko tego, że mi się nie udało.

Diego próbował zabić Liama. Jeszcze trochę tego gówna i moje serce nie wytrzyma.

Robi mi się słabo, zasłaniam dłonią twarz. Moje gardło jest suche jak pustynia. Zataczam się w stronę stojącego na ladzie dystrybutora

z mrożoną herbatą i lemoniadą, łapię szklankę i nalewam sobie herbaty. Piję prawie do dna, a potem obracam się i podpieram o ladę.

Carla wychodzi z pokoiku na zapleczu. Zauważa, że stoimy z Diegiem naprzeciwko siebie w nerwowym milczeniu, przez co mija nas szybkim krokiem i znika na sali jadalnej.

Chcę coś powiedzieć, ale Diego mnie uprzedza:

– Poprosił mnie, żebym o ciebie zadbał.

Łup, łup, łup.

Moje serce wali jak szalone, po czym mam wrażenie, że się całkowicie zatrzymuje.

– Co? – szepczę.

– Powiedział, że wyjeżdża na dobre. Chciał, żebym miał na ciebie oko.

Wyjeżdża na dobre? Co to znaczy?

Odpowiedź na moje pytanie pojawia się wtedy, gdy Carla wraca na tyły z miną, jakby ujrzała ducha.

– Yyy, Tru? Lepiej tu przyjdź, bo na pewno chcesz to zobaczyć.

– Co takiego? Co się stało?

Wskazuje na wiszący w rogu sali jadalnej pod sufitem telewizor, w którym lecą właśnie wiadomości z ostatniej chwili. Pasek informacyjny głosi: „Liam Black aresztowany”.

Szklanka wyślizguje się z mojej dłoni i rozbija o podłogę jak pocisk.

Rozdział 30

Tru

Dziennikarka jest ładną, nienaturalnie radosną blondynką o uśmiechu godnym reklamy pasty do zębów i maniakalnym błysku w błękitnych oczach.

– W dzisiejszym temacie dnia zanurzamy się w szemrany półświatek zorganizowanej przestępczości. Liam Black, jeden z najsłynniejszych domniemanych gangsterów Bostonu, został zatrzymany przez agentów federalnych. Dowiedzieliśmy się dziś z sensacyjnego komunikatu FBI, że prowadzone od dawna śledztwo w sprawie pana Blacka przyniosło wystarczającą ilość dowodów, by wystąpić o nakaz aresztowania. Zarzuty obejmują między innymi wymuszanie okupów, malwersacje i morderstwo. Jeżeli zostanie uznany za winnego, może usłyszeć nawet wyrok dożywocia.

Na ekranie pojawia się skuty Liam wprowadzany do jakiegoś gmachu rządowego przez sześciu uzbrojonych mundurowych. Wygląda spokojnie. Głowę trzyma wysoko, ramiona prosto. Mimo kajdanek jest większy i potężniejszy od wszystkich wokół.

Spomiędzy moich warg wyrywa się cichy jęk przerażenia. Zaraz chyba zwymiotuję.

„Powiedział, że wyjeżdża na dobre. Chciał, żebym miał na ciebie oko”.

Wiedział. Liam wiedział, że zostanie aresztowany.

O Boże… Tamta rozmowa telefoniczna. To dlatego zachowywał się po niej tak dziwnie. Ktoś zadzwonił go uprzedzić.

– W tej chwili pan Black przebywa w areszcie bez możliwości wyjścia za kaucją – kontynuuje dziennikarka. – Nasze źródła donoszą, że nie jest skłonny do współpracy z władzami. Ze względu na rzekome związki z kilkoma międzynarodowymi syndykatami zbrodni oraz powagę ciążących na nim zarzutów, jest uznawany za zatrzymanego wysokiego ryzyka i miejsce jego pobytu pozostaje

tajne. Już wkrótce przekażemy więcej informacji w tej przełomowej sprawie. Shawn, oddaję głos do studia.

Na ekranie pojawia się kolejny wyszczerzony od ucha do ucha dziennikarz. Tym razem to facet z błyszczącymi od brylantyny czarnymi włosami i pomarańczową skórą. Zaczyna gadać, ale do mnie już nic nie dociera.

Liam został aresztowany. Możliwe, że spędzi resztę życia w więzieniu. Kolejny człowiek, którego kocham, trafił za kraty. I może go spotkać to samo, co Michaela.

Muszę go stamtąd wyciągnąć.

Rzucam się biegiem. Najpierw pędzę do pokoiku personelu i łapię torebkę, którą podczas rozmowy z Carlą położyłam na podłodze obok krzesła. Następnie wybiegam tylnymi drzwiami i gnam do samochodu. Otwieram drzwi drżącymi rękami, przy czym kluczyki dwukrotnie wypadają mi z rąk. W końcu wsiadam do środka, zatrzaskuję drzwi i odpalam silnik.

Gdy przedzieram się przez zatłoczony parking, dostrzegam w tylnym lusterku stojącego w drzwiach knajpy Diega. Skręcam i ten znika mi z oczu.

Nie pamiętam drogi do mieszkania. Gdy docieram na miejsce, nie mogę wytrzymać oczekiwania na windę, więc wybiegam na górę schodami, przekraczając po trzy na raz. Serce wali mi jak szalone, a mięśnie ud płoną, ale po chwili wpadam do mieszkania.

Nie mam bladego pojęcia, co robić. Wiem tylko, że przyda się dużo alkoholu.

Ellie siedzi na kanapie w salonie i czyta jakieś czasopismo. Patrzy na mnie zaskoczona i się odzywa:

– Hej, czy ty czasem nie wyszłaś chwilę temu do roboty?

– Odpowiadam zdławionym stęknięciem, więc Ellie wzrusza ramionami i dodaje: – Dobrze, że wróciłaś wcześniej. Liam czeka w twoim pokoju.

Wszystkie komórki w moim ciele wydają z siebie zsynchronizowany ryk. Mięśnie się zaciskają, nie licząc dłoni, bo te robią się bezwładne. Torebka wypada mi z rąk i spada na podłogę z głuchym łupnięciem. Stoję, dysząc, i gapię się na Ellie z szeroko

otwartymi oczami. Staram się ustalić, czy dobrze ją usłyszałam, czy też może mój mózg w końcu eksplodował.

– Wiem, wiem – wzdycha, wstając. – Nie podobało ci się, jak rozegrał to rozstanie, a ja powinnam wziąć twoją stronę, bla, bla, bla. Ale w tym facecie jest coś wyjątkowego, Tru! Nie potrafię mu odmówić! Zapytał grzecznie, czy może zaczekać w twoim pokoju, więc co miałam zrobić?

Przez otwarte drzwi frontowe za moimi plecami wlewa się zimne powietrze, które omiata moją skórę.

– Oglądałaś wiadomości? – skrzeczę z trudem.

Ellie marszczy brwi.

– Nie, a co? W knajpie coś się stało? – pyta gniewniej. – Wrócił ten facet, który cię napadł?!

Nie wie, że Liama aresztowali, ale przecież to fakt nie do podważenia, więc jakim cudem niby czeka w moim pokoju, do cholery?

– Nikt mnie dziś nie napadł. Jesteś pewna, że to Liam? – pytam, ale słyszę siebie jakby z oddali.

– No, przecież jeszcze nie oślepłam – odpowiada z oburzeniem. – Oczywiście, że jestem pewna. Gdy tylko otworzyłam drzwi i go zobaczyłam, moje krocze stanęło w ogniu.

Jasna cholera. Musiał uciec z aresztu. Uciekł i przyjechał się tu ukryć. A ja oczywiście pomogę mu, jak tylko będę mogła.

To by było na tyle z mojej kariery prawniczej.

Łapię się za trzepoczące serce i na nogach miękkich jak galareta ruszam powoli przez salon w stronę drzwi mojej sypialni.

– Okej, zaczynam się bać – stwierdza Ellie, patrząc na mnie z niepokojem.

– Wszystko jest okej. Po prostu… tylko… mam migrenę – odpowiadam ochryple.

Docieram pod drzwi, kładę dłoń na klamce i oddycham głęboko, starając się nabrać odpowiednią ilość odwagi, by ją nacisnąć. Wchodzę do środka i szybko za sobą zamykam drzwi.

Ma na sobie idealnie dopasowany czarny garnitur od Armaniego i piękne buty z czarnej skóry. Stoi tyłem, dzięki czemu widzę jego szerokie i silne barki. Trzyma w dłoniach książkę i pochyla głowę nad jej stronami.

– Zawsze kochał Prousta – mówi z nutą zadumy. – Nigdy tego nie zrozumiem. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to stek napuszonych bzdur. No ale to on zawsze był tym wrażliwym.

Irlandzki akcent jest bogaty i gardłowy, z lekkim i nierównym pomrukiem, dokładnie jak u Liama. Podobnie jak twarz mężczyzny, który w końcu się do mnie obraca tak, że mogę ją zobaczyć. Podobnie jak jego oczy, są równie pięknie ciemne i przeszywają tą samą inteligencją. W gruncie rzeczy wszystko w tym człowieku jest identyczne. Nawet tatuaże na knykciach lewej dłoni i ten, który nieco wystaje nad kołnierzykiem białej koszuli.

Ale to nie on. To nie Liam.

Podobieństwo jest całkowite, więc nikt inny nie byłby w stanie dostrzec różnicy, ale ja w ostatnich tygodniach spędziłam z Liamem każdą chwilę. Spałam, jadłam, śniłam i przeżywałam z nim jeden niewiarygodny orgazm za drugim. Nawet dzieliliśmy momenty radości i ciszy. W mojej pamięci, sercu i w każdym zakątku mojej duszy wyrył się jego zapach, błysk oczu i tembr głosu. Poznałabym go wszędzie. A przede mną na pewno nie stoi Liam Black.

Kolana się pode mną uginają. Drżąc jak osika, padam na krawędź łóżka i gapię się na tego znajomo wyglądającego nieznajomego, przypominając sobie tamtą noc, gdy obudziłam się i podsłuchałam, jak Liam rozmawiał z kimś w gabinecie.

„Z kim rozmawiałeś?”

„Z bratem”.

– Co, nawet mnie nie przytulisz? – pyta nie-Liam, unosząc brew.

– Nie wspominał, że jesteście bliźniakami – szepczę.

Brat Liama wydyma usta w geście rozczarowania.

– Malutka, jeżeli mamy zostać rodziną, to oczekuję, że będziemy się witali uściskiem.

Przymykam oczy, bo nie chcę spaść z łóżka.

– Tru, tylko mi się tu nie załamuj – ostrzega surowo. – Na jakiś czas musisz zachować trzeźwość umysłu. W samolocie będziesz mogła sobie zemdleć.

Otwieram oczy i patrzę na niego. Jest wysoki i imponujący, to prawdziwe ucieleśnienie biznesmena. Ale widzę, że stara się tłumić uśmiech. Dobrze się bawi.

– W samolocie?

Podchodzi do mnie, klęka na jednym kolanie i ujmuje mój podbródek w wielką, szorstką dłoń. Jest tak potężny, że nawet w tej pozycji patrzy mi prosto w oczy.

– Mam pytanie, mała – zaczyna z błyskiem w oku i tym słodkim jak miód akcentem.

Mój mózg przestał pracować. Usta też. Potrafię się zdobyć tylko na sapnięcia i stęknięcia.

– Yyy… Tak, mhm?

– Gdybyś mogła się wybrać w dowolne miejsce na świecie, to jakie byś wybrała?

Ponownie zamykam oczy, a pokój zaczyna wirować.

Czuję, że puszcza mój podbródek i wstaje. Następne uczucie to lekkie uderzenie w nasadę nosa. Gdy otwieram oczy, patrzy na mnie i wręcza mi białą kopertę, którą właśnie pacnął mnie w nos.

– Bilet i paszport są na nazwisko Ruby Diamond. Panią Ruby Diamond, by być dokładnym. – Zawiesza głos. – Pragnę zaznaczyć, że nie mam pojęcia, dlaczego mój brat ma tak ograniczoną wyobraźnię, jeżeli chodzi o wymyślanie fałszywych tożsamości. Ja nazwałbym cię Persnickity McFinicky albo jakoś równie śmiesznie.

Biorę kopertę i przykładam ją do piersi tuż nad galopującym sercem.

– Ruby Diamond to grana przez Dolly Parton postać z *Unlikely Angel*, telewizyjnego filmu bożonarodzeniowego z 1996 roku.

– O, czyli wasz wewnętrzny żarcik. Ale słodko! – Czuję, że ma ochotę przewrócić oczami, ale mówi tylko: – A teraz zmiataj. Odlatujesz za pół godziny z prywatnego terminalu na lotnisku. Wezwałem ci już taksówkę.

Jak na zawołanie, z ulicy dobiega dźwięk klaksonu.

– Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę? Przecież niedawno wyszłam do pracy.

– Ja wiem wszystko. – Patrzę na niego tępo, więc uśmiecha się i dodaje: – Jestem szpiegiem. To część moich obowiązków.

Jest szpiegiem.

Szpiegiem? Co tu się dzieje, na miłość boską?!

Łapie mnie delikatnie za łokieć i pomaga mi wstać. Odsuwa z mojego czoła kosmyk włosów, zakłada mi go za ucho i mówi:

– Nie musisz się pakować. Liam wszystkim się zajął. Dowieź tylko swój zgrabny tyłek do samolotu i startuj.

Jestem tak skołowana, że zaczynam mimowolnie zezować.

– Będę prawniczką tutaj, w Bostonie. Za kilka tygodni mam egzamin adwokacki – wypalam, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

To niedorzeczne, ale chyba odpuszczę. W końcu niecodziennie szpieg, a przy okazji bliźniak twojego osadzonego w areszcie kochanka-gangstera, pojawia się u ciebie znienacka i obdarza nową tożsamością.

– A może zostaniesz prawniczką w Argentynie, mała.

Z mojego ciała uchodzi całe powietrze. Patrzę na kopertę wybałuszonymi oczami.

– W Argentynie?

– Kto wie? Różnie bywa. W każdym razie ja spadam. Miło było poznać. – Jego głos nabiera surowości. – Naturalnie nie muszę mówić, że masz nikomu nie mówić, dokąd się wybierasz i że mnie spotkałaś.

– Naturalnie. – O, udało się. Tym razem zabrzmiałam prawie jak normalny człowiek.

Przechodzi przez pokój w stronę drzwi. Naciska klamkę i otwiera, ale zanim wychodzi, krzyczę za nim:

– Zaczekaj!

Zatrzymuje się i zerka na mnie przez ramię.

Mam milion pytań, ale mój mózg przypomina obecnie precla.

– Jak masz na imię? – rzucam pierwsze, co przyszło mi do głowy.

Uśmiecha się. To dość niebezpieczny uśmiech. Tajemniczy, wygłodniały i dziki. Pasowałby wilkowi.

– Killian. Wkrótce znowu się zobaczymy. Bezpiecznej podróży, Tru.

Odnotowuję wstrząśnięta, że tym razem w jego głosie nie było ani cienia irlandzkiego akcentu.

Następnie puszcza mi oczko i znika.

Zza mojego okna ponownie dobiega niecierpliwy ryk klaksonu. Taksówka czeka.

Ułamek sekundy temu siedziałam jak skamieniała, a teraz ruszam z prędkością światła, jakby ktoś wcisnął jakiś guzik w moim umyśle. Nie zaprzątam sobie głowy zdejmowaniem uniformu z pracy. Podbiegam do szafy, zrywam sweter z wieszaka i naciągam go na siebie, pędząc przez salon. Ściskam kopertę w dłoni, jakby zależało od niej moje życie.

Kto wie, może zależy.

Ellie nadal siedzi na kanapie z czasopismem w ręce.

– Tak jest, przyjaciółeczko – stwierdza, nawet nie podnosząc wzroku. – Leć za tym ciachem i zwlecz tu z powrotem jego dupsko. Nikt nie ma prawa wychodzić z fochem od Truvy Sullivan, wyjątkowej suczy.

Chwytam ją i obejmuję pośpiesznie.

– Kocham cię, Elliebellie.

Patrzy na mnie z szeroko otwartymi brązowymi oczami.

– Ja ciebie też…

Obracam się i wybiegam z mieszkania.

– Jeżeli będziecie mieli ochotę na trójkącik, to ja się piszę!
– woła za mną.

Rozdział 31

Tru

Na południowej półkuli zima zaczyna się w czerwcu, więc choć w Bostonie było bardzo przyjemnie, to gdy wychodzę na pas startowy w Buenos Aires, wita mnie deszcz i ziąb. Niemniej pocę się jak w sierpniu w Miami. Lot trwał ponad dwanaście godzin, w dodatku bez międzylądowań. Nie spałam, nie jadłam i nie piłam, nie licząc drinków na wódce donoszonych przez miłą stewardessę. Ale jakimś cudem się nie schlałam. Alkohol pewnie wyparował zaraz po dotarciu do mojego układu krwionośnego, bo cała płonę. Serce, dusza, umysł, spocone dłonie… Wszystko stoi w ogniu.

Ubrany elegancko szofer czeka z parasolem przy drzwiach zaparkowanej tuż obok samolotu limuzyny. Wychodzi po mnie pod powietrzne schody, czy jak tam nazywają się te rozkładane schodki, którymi opuszcza się samolot, i bez słowa prowadzi mnie do samochodu.

Ruszamy z wysoką prędkością w szary, mżysty poranek. Nawet jeżeli szofer zastanawia się, dlaczego mam na sobie strój hotelowej pokojówki i dlaczego wyglądam, jakby wielokrotnie poraził mnie prąd, to nie zadaje żadnych pytań.

Centrum miasta jest rozległe i kosmopolityczne, dużo tłoczniejsze od Bostonu z jego wieżowcami i zakorkowanymi ulicami. Lecz po pewnym czasie ciasnota i beton ustępują zielonym polom i pagórkom. Po mniej więcej trzech kwadransach skręcamy na żwirowy podjazd, wzdłuż którego rosną okazałe wierzby płaczące. Na ciągnących się za rzędami drzew pastwiskach konie skubią trawę. Długi podjazd meandruje przez piękną okolicę, ale w końcu kończy się u stóp imponującej stalowej bramy.

Widniejący obok znak wyryty w drewnie głosi: *Estancia Los Dos Hermanos*[10].

Szofer naciska guzik na pilocie. Brama otwiera się powoli i ze zgrzytem zawiasów. Pokonujemy ponad kilometr serpentyną w górę niewysokiego wzgórza. Po dotarciu na szczyt widzę rozciągającą się w dole dolinę. W oddali znajduje się duży budynek w stylu ranczerskim, który jest pokryty czerwoną dachówką i okolony werandą. W pobliżu stoi drewniana stodoła, stajnie dla koni i kilka mniejszych zabudowań gospodarskich. Trochę dalej jest staw, na którym spokojnie dryfuje stado gęsi.

W otwartych drzwiach budynku stoi mężczyzna. Jest wysoki, ciemnowłosy i szeroki w barach. Ma na sobie dżinsy, wysokie buty oraz białą koszulę rozpiętą pod szyją i z podwiniętymi rękawami. Jego przedramiona pokryte są tatuażami.

Poznaję go nawet z tej odległości. Nie widzę jego twarzy, ale serce podpowiada mi, kim jest.

Czuję tak obezwładniającą ulgę, że zaczynam szlochać. Płaczę przez całą drogę w dół zbocza do tego domu. Nie uspokajam się nawet wtedy, gdy limuzyna parkuje przed domostwem, a mężczyzna wybiega nam naprzeciw, pokonując długimi susami cały dystans. Ogarnia mnie jeszcze większe wzruszenie, gdy gwałtownie otwieram drzwi, choć samochód nie zdążył do końca się zatrzymać. Zalewam się łzami, gdy z niego wybiegam i potykam się o własne nogi, po czym prawie upadam na kolana. Oczywiście Liam chwyta mnie tuż przed uderzeniem o ziemię, ponieważ za żadne skarby nie pozwoliłby mi upaść. Pewnie dlatego tak bardzo lubi nosić mnie na rękach.

Podnosi mnie na równe nogi i bierze w swoje mocarne ramiona, a ja szlocham w jego szyję. Delikatny deszczyk zrasza mi włosy. Zaciskam ręce tak mocno, że zaraz chyba go uduszę.

– Witaj, królowo pszczół – szepcze szorstko prosto w moje ucho.

– Witaj, wilczku – wyduszam przez łzy.

– Słyszałem, że mnie kochasz.

Ale papla z tego Declana.

– W sumie to jesteś nie najgorszy.

Liam tuli mnie mocno, a potem ofiaruje głęboki, namiętny pocałunek, dzięki któremu zanoszę się jeszcze większym płaczem.

Śmieje się wesoło, obraca i rusza do domu, niosąc mnie na rękach.

* * *

Jestem w tej chwili zbyt wyczerpana, by domagać się wyjaśnień, jak uciekł spod kurateli władz i przedostał się do Argentyny. Zresztą mój mózg jest tak rozburzony, że w życiu nie przetworzy tylu danych, więc po prostu pozwalam się zanieść do sypialni tego cudownego, przytulnego wiejskiego domostwa i położyć na łóżku.

Liam w ciszy zdejmuje ze mnie sweter i buty. Zaraz potem ściąga swoje kowbojki, a następnie układa nas na materacu i mocno mnie obejmuje. Tym razem leżymy przodem do siebie, a nie jak zazwyczaj – na łyżeczkę.

Ujmuje moją głowę w dłoń i mruczy:

– Jak lot?

– Trwał bez końca.

– Śmierdzisz wódą.

– Przypomnij mi, gdy się obudzę, że masz za to oberwać.

Zapadam w tak głęboki i pozbawiony marzeń sen, że równie dobrze mogłabym nie żyć.

Kiedy się budzę, światło jest zupełnie inne, ale poza tym wszystko wygląda tak samo. Leżymy z Liamem w pozycji, w której odpłynęłam. Tyle że teraz on też śpi.

Przez chwilę przyglądam się i pozwalam, by moje roztrzepane serce nieco się uspokoiło, a potem wyciągam rękę i muskam jego szczękę. Dotykam opuszkami palców jego szorstkiej, sprężystej brody. Wtulam się w męską szyję, wącham ją i wzdycham z głębokim zadowoleniem.

Gdyby kilka miesięcy temu ktoś mi powiedział, że zakocham się w zbiegłym szefie mafii do tego stopnia, iż sam zapach jego skóry będzie przepełniał mnie szczęściem, uznałabym go za pomyleńca.

– Gdybym cię nie znał, to pomyślałbym, że niuchasz mnie jak klej – burczy zaspanym głosem.

– Wcześniej mnie do tego ciągnęło, ale teraz rozumiem, że wąchanie kleju może uzależniać.

Unosi powieki i patrzy na mnie ciepłymi, pełnymi miłości oczami.

– Witaj ponownie.

– Cześć. Czyj to dom?

– Mój i brata.

– Czyli *Estancia Los Dos Hermanos* to Domostwo dwóch braci. Braci Black.

– Ranczo dwóch braci – poprawia, przyciągając mnie bliżej. Pochyla głowę i delikatnie łaskocze mój kark nosem. Teraz wącha mnie tak samo jak ja jego przed chwilą, przy czym wydaje z siebie gardłowy pomruk przyjemności.

– Liam?

– Tak, mała?

– Macie na tym rodzinnym ranczu prezerwatywy?

Odsuwa się i uśmiecha od ucha do ucha. Jest taki przystojny, że odbiera mi dech w piersiach.

– Powinienem częściej wysyłać cię w loty międzykontynentalne.

– Po prostu nie wiem, kiedy wpadnie tu FBI i ile zostało nam czasu, więc chcę zapewnić sobie porcję miłości, która wystarczy na całe życie.

Delikatnie całuje mnie w usta.

– FBI tu nie wpadnie.

– Ach, no tak. To przecież amerykańska agencja. Jak się nazywa argentyńska odpowiedniczka?

– Federalna Policja Wywiadowcza, ale ona też nie wpadnie.

– Skąd ta pewność?

– Nie mają powodów, żeby mnie szukać.

– Ale jesteś zbiegiem – stwierdzam, marszcząc czoło.

– Nie, mała. Nie jestem. A co do tych prezerwatyw…

Siadam gwałtownie i patrzę na niego z góry, a moje serce odpala się niczym silnik samochodu wyścigowego.

– Jak to nie jesteś? Widziałam w telewizji, jak aresztowało cię FBI!

– Naprawdę? – Na jego usta wypływa nieśpiesznie ciepły uśmiech. Gładzi mnie palcami po wewnętrznej stronie ręki.

Zaraz naprawdę oberwie.

– Tak! Pokazywali cię w wieczornych wiadomościach! Sześciu agentów federalnych prowadziło cię po schodach… – urywam, a w moim umyśle pączkuje zrozumienie. Liam uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Killian?! – szepczę.

– Posiadanie bliźniaka bywa w takich przypadkach bardzo pomocne.

– Ale… ale… on też nie siedzi w więzieniu! Przyszedł do mojego mieszkania! Dał mi bilet i paszport. Do tego najpierw miał irlandzki akcent, a potem nie. Na końcu powiedział, że jest szpiegiem. Chwileczkę – wzdycham. – Ty też jesteś szpiegiem?!

Liam rechocze i ściąga mnie niżej, żeby złożyć na moich ustach głęboki, namiętny pocałunek.

– Jesteś urocza.

Ukrywam twarz w jego szyi i zawodzę:

– Proszę, powiedz, że twój akcent nie jest udawany!

Otula mnie ramionami i całuje w głowę.

– Nie jest udawany. Jego też nie. Killian po prostu nauczył się naśladować wiele innych akcentów. To pożyteczna umiejętność w szpiegowskim fachu. Żałuj, że nie słyszałaś australijskiego akcentu w jego wykonaniu. Brzmi jak krokodyl Dundee.

Odpycham go lekko, ponownie siadam i lustruję go wzrokiem, aż drżąc od krążącej w żyłach adrenaliny.

– No dobra, co się dzieje? Tak w skrócie. Mów.

Liam podpiera się na łokciu, uśmiecha do mnie i wyciąga rękę, żeby pogłaskać mnie po policzku.

– Jesteś taka piękna – mruczy. – Od początku tak uważałem. Te oczy… – wzdycha. – Wiesz, że to nimi mnie ujęłaś już od pierwszej chwili? Spojrzałem w te morskie oczy, gdy pomagałaś staruszce przejść przez ulicę.

Popycham go na plecy, dosiadam okrakiem i krzyczę:

– Zamknij się już i gadaj, co tu się dzieje!

Liam wybucha śmiechem, przyciąga mnie do swojego torsu i obejmuje.

– Dzieje się to, że jesteśmy tu oboje bezpieczni. A ty mnie kochasz. Wszystko inne może zaczekać.

A potem całuje mocno i namiętnie. Zanurza dłoń w moje włosy, a jego usta są bardzo władcze.

Nie przeszkadzam mu, gdy zaczyna rozpinać mój uniform, gdyż ma rację, wszystko inne może zaczekać.

* * *

Kilka godzin później leżymy w swoich objęciach cali spoceni i nasyceni, a deszcz delikatnie stuka o dach, zamieniając szmaragdowe pastwiska w baśniowy świat mżawki i tęczy. Gdzieś w oddali pieje samotny kogut. Ten dźwięk przypomina mi Teksas. Kiedy moja głowa spoczywa na piersi Liama, odruchowo się uśmiecham.

– Z czego się śmiejesz? – pyta, wychylając się nieco, by zobaczyć moją twarz.

– Z kogutów.

– Auć, moje ego – odpowiada i śmieje się z głębi piersi.

– Nic ci nie będzie. Chodzi o to, że koguty są takie głupie. Powinny piać o świcie, ale wszystkie, z którymi miałam do czynienia, wyły, kiedy im się podobało. Przez cały dzień i całą noc. Mogłyby to skumać, sieroty.

– Może w pobliżu przechodzi jakaś zgrabna kurka i się popisują – mówi, bawiąc się kosmykiem moich włosów.

– To by miało sens – odpowiadam po namyśle. – Koguty mają wiele wspólnego z mężczyznami.

Liam przewraca się na bok, obraca mnie na plecy i zarzuca swoją ciężką nogę na moje ciało. Uśmiecha się podparty na łokciu, aż cała roztapiam się od środka.

– Więc oboje jesteśmy tylko głupimi zwierzętami, co?

– Oczywiście – odpowiadam i jestem pewna, że moje oczy zamieniły się w małe serduszka.

Chwilę później rozkoszujemy się przeciągłym, leniwym pocałunkiem.

– Jeżeli mam opowiedzieć ci całą historię, to muszę zacząć od początku, a to długa historia – mruczy mi wprost do ucha.

– Zamieniam się słuch – odpowiadam z mocniej bijącym sercem.

Liam bierze głęboki wdech, kładzie się wygodnie na plecach i przytula mnie do swego boku. Przez chwilę milcząco spogląda w sufit, na zewnątrz deszcz pada coraz mocniej. Po chwili zaczyna opowieść niskim, spokojnym głosem:

– Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Był pracowitym, rodzinnym mężczyzną, który co niedzielę chodził do kościoła i sumiennie przekazywał dziesięcinę, choć rzadko kiedy miał grosz przy duszy. W tamtym czasie w Irlandii szalał koszmarny kryzys. Bezrobocie wystrzeliło w górę, trwały strajki głodowe, bez przerwy wybuchały zamieszki. W naszym miasteczku ludzie głodowali. Nikt nie miał pieniędzy, do tego brakowało jedzenia. Kasę mieli tylko gangsterzy i to oni wszystkim rządzili. Nie wiem, od czego się zaczęło, i pewnie już nigdy się nie dowiem. W każdym razie mój ojciec podpadł czymś lokalnemu gangsterowi, Eoinowi McGrathowi. To właśnie on wbił mi w bebechy drewniany kołek. – Przerywa i zamyka oczy, ale po chwili gęstej ciszy kontynuuje: – McGrath i jego pachoły zaczęły gnębić moją rodzinę. Goniły moje siostry w drodze ze szkoły do domu, wybijały nam szyby cegłówkami, zabiły naszego kota i powiesiły go na drzwiach do domu. Matka była przerażona, że skrzywdzą któreś z dzieci albo jeszcze gorzej, więc nalegała, żebyśmy przeprowadzili się dalej w głąb kraju, do jej owdowiałej siostry. Liczyła, że to rozwiąże nasze problemy. Myliła się. McGrath i tak nas znalazł. Pewnej nocy obudził nas swąd dymu i krzyki matki. Wybiegliśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy ich przyczynę. Okaleczyli ojca, przywiązali go do drzewa i podpalili. Był cały w płomieniach, ale nadal przytomny. Konał z cierpienia. Płonął żywcem. To Killian zachował trzeźwy umysł, by pobiec do domu po pistolet i go… – Liam przerywa nagle i bierze ciężki wdech.

Zamieram w przerażeniu, bo widzę to wszystko w jego oczach: rozpaczającą matkę, płonącego ojca i brata, który unosi broń, celuje, a potem strzela ojcu w głowę.

To była akt miłosierdzia, ale jaką cenę płaci Killian, żyjąc z czymś takim na sumieniu?

Nawet sobie tego nie wyobrażam.

– Pogrzebaliśmy szczątki ojca pod okopconymi gałęziami drzewa, przy którym umarł. A potem wyruszyliśmy z Killianem na

poszukiwania człowieka, który za to odpowiadał. Wzięliśmy pistolet, auto ciotki i pojechaliśmy z powrotem do miasteczka. Odszukanie Eoina i jego bandy nie było trudne. Siedzieli w pubie i świętowali. Ja miałem rzeźnicki nóż, a Killian pistolet, ale byliśmy małymi, oszalałymi z żalu chłopcami. Nie mieliśmy szans ze zgrają dorosłych byków.

– Ile mieliście lat? – pytam szeptem, gdy znowu na chwilę milknie.

– Trzynaście.

Skręca mnie w żołądku.

– Wywlekli nas na ulicę, odebrali nam broń i skopali nas dla zabawy. Potem nas związali i zawieźli z powrotem do gospodarstwa ciotki. – Liam znacznie obniża głos. – Dla mnie odłamali osmalone gałęzie tego samego, kurwa, drzewa. Połamali je na kawałki i naostrzyli, a potem unieruchomili mnie na ziemi i wbili je kamieniami. Jeden przez mój brzuch, a drugi przez ramię, głęboko w ziemię. Przybili mnie do ziemi. Killian miał mniej szczęścia. W pistolecie ojca zostało pięć kul. Przerzucili linę przez gałąź, powiesili go na niej za nadgarstki i wykopali krzesło. McGrath postanowił poćwiczyć na nim celność. Nie chybił ani razu.

– Jezu Chryste! – krzyczę w trwodze.

Liam ignoruje mnie i ciągnie dalej:

– Gdy tylko samochody McGratha pojawiły się w zasięgu wzroku, matka i ciotka powinny rzucić wszystko, zabrać dzieci i uciekać w pola. Było ciemno. Może wtedy zdołałyby uciec, ale nie zrobiły tego. Patrzyły z domu, jak McGrath i jego banda maltretują mnie i Killiana. Potem zatarasowali drzwi wejściowe, oblali werandę benzyną, podpalili dom i odjechali z głośnym śmiechem. Wtedy szybko wyrwałem kołki z brzucha i z ramienia. Nie wiem, skąd miałem na to siły. Potem odciąłem Killiana. Nawet nie sprawdzałem, czy żyje, tylko od razu pobiegłem do domu, ale trawiły go już płomienie. Widziałem przez okno matkę, która siedziała na podłodze i obejmowała moich braci i siostry, którzy razem się kulili. Wybiłem szybę pięścią i wskoczyłem do środka, ale już się nie ruszali. Czad dopadł ich szybciej niż ogień. Próbowałem zaciągnąć matkę bliżej okna, ale była taka ciężka, a dym taki gęsty… – Znowu przerywa. Zaciska szczękę, a serce łomocze mu w piersi. Leży nieruchomo i bez

słowa. Jest zatopiony we wspomnieniach. – Killian mnie stamtąd wyciągnął – kontynuuje po chwili ze słyszalnym wysiłkiem. – Miał pięć ran postrzałowych, a i tak zdołał ocalić mi życie. Nie wiem, co działo się potem. Po wielu dniach ocknąłem się w szpitalu, a Killian leżał w łóżku obok.

Mam wrażenie, że kowadło miażdży mi pierś. Z kącika mojego oka płynie łza, która spływa po skroni i pada na ramię Liama.

– To cud, że przeżyliście.

– Nie powinnyśmy. Lekarze tak mówili. Z biegiem czasu Killian nabrał przekonania, że przetrwaliśmy to wszystko z jakiegoś powodu, a masakra naszej rodziny nie może pójść na marne. Wysłali nas do przytułku dla chłopców pod wezwaniem św. Szczepana, sierocińca wyjętego żywcem z powieści Dickensa, gdzie doczekaliśmy pełnoletności. Potem Killian zaciągnął się do wojska, a ja przeniosłem się do Dublina i dorwałem robotę w księgarni. Poznałem tam dziewczynę. Myślałem, że się pobierzemy i będziemy wiedli normalne życie, ale kilka lat później zginęła w wybuchu. To były porachunki mafijne, a ona znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Julia zginęła przy kawiarnianym stoliku o dziesiątej w niedzielny poranek. Rozerwało ją na strzępy. Jej szczątki musieli identyfikować z pomocą danych dentystycznych.

Wzdycham cicho. Oto rozwiązała się tajemnica Julii, która pisała miłosne dedykacje w książkach filozoficznych. Padła ofiarą bezmyślnej przemocy jak wszyscy bliscy Liama. Nic dziwnego, że tak bardzo obawiał się zbliżenia ze mną.

– Właśnie wtedy uznałem, że Killian ma rację, że masakra mojej rodziny nie może pójść na marne – mówi dalej ostrzejszym tonem. – Stwierdziłem, że śmierć Julii również. Pomyślałem, że ktoś musi zapłacić cenę za te straszne czyny i że to ja ją wyegzekwuję. Wtedy wstąpiłem to DWW.

– Co to za skrót? – przerywam mu.

– Departament Wywiadu Wojskowego, czyli takie irlandzkie CIA.

Siadam gwałtownie i patrzę na niego z wybałuszonymi oczami i szalejącym pulsem. Wtedy przypominam sobie, co podsłuchałam z jego niegdysiejszej rozmowy z Killianem:

„Osiemnaście lat wystarczy. To w ogóle cud, że tyle wytrzymałem”.

– Pracujesz pod przykrywką! – krzyczę z sercem w gardle.

Wyciąga rękę do mojej twarzy, a jego oczy lśnią od emocji.

– Nie ekscytuj się tak. To nie jest szlachetne przedsięwzięcie. Robiłem to wszystko z chęci zemsty, a nie z poczucia obowiązku względem ojczyzny. Łaknąłem krwi. Chciałem, żeby mafia zapłaciła za wszystko, co mi zabrała. Wiedziałem, że jeżeli mam to osiągnąć, to muszę pracować od środka.

Jestem tak oszołomiona, że złożenie zdania sprawia mi trudność.

– Ale jak… przez cały ten czas… Jakim cudem nikt się nie dowiedział?

Przymyka na chwilę oczy.

– Kto z kim przystaje, takim się staje.

– Co masz na myśli?

Wzdycha ciężko.

– To, że mszczenie się świetnie mi szło. Zasłynąłem z bezwzględności…

Otwiera oczy i patrzy na mnie. Za jego źrenicami rozciąga się nieprzebyty mrok.

– Moja reputacja była zasłużona. Nie poprzestawałem na przekazywaniu informacji oficerom prowadzącym w nadziei, że władze zgromadzą dość dowodów, by wytaczać bandziorom procesy. Byłem oskarżycielem i sędzią w jednej osobie. Sam wydawałem wyroki, a litość nie należała do moich cnót.

Rozedrgana myślę o własnym bracie i zastanawiam się, czy sprawiedliwość lepiej wymierzać na mój sposób, czy na sposób Liama.

Czy cel uświęca środki? Czy w ostatecznym rozrachunku to w ogóle ważne? Czy nie najważniejsze jest to, że źli ludzie w końcu dostają to, na co zasłużyli?

Liam bacznie mi się przygląda. Na chwilę zostawia mnie samą z moimi myślami, po czym wraca do opowieści:

– Początkowo zamierzałem zabić tylko McGratha i jego ekipę, a następnie dowiedzieć się, kto stał za tamtym zamachem pod księgarnią. Ale szybko zrozumiałem, że w przestępczym półświatku jest znacznie więcej złych ludzi, a ich działalność absolutnie nie ogranicza się do Irlandii. Im wyżej wspinałem się na drabinie

mafijnej hierarchii, to tym więcej wiedziałem i tym wyraźniej widziałem pełny obraz.

– Miałem obsesję, musiałem dowiedzieć się, kto siedzi na samym szczycie i pociąga za wszystkie sznurki. Chciałem odciąć łeb wężowi.

Padam na plecy, wbijam wzrok w sufit i próbuję to wszystko przyswoić.

– Declan. On wie, prawda? – pytam bez tchu.

– To on zwerbował mnie do DWW i przez te wszystkie lata zabezpieczał moje tyły.

Przebiegły sukinsyn. Kilka rzeczy, które zrobił i powiedział, natychmiast układa się w całość, aż krzywię się z niesmakiem. Chyba jestem mu winna przeprosiny. Niemniej zachowywał się jak palant i dmuchał mi dymem w twarz, więc może jednak nie.

– Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Killian?

– W wojsku zaprezentował pewne zdolności, które zainteresowały rząd. Trafił do roboty antyterrorystycznej i kontrwywiadowczej w MI6, ale długo tam nie zagrzał. Jak na jego gust, w agencji panowały zbyt korporacyjne porządki. Killian nie znosi słuchać poleceń, więc został wolnym strzelcem.

– Nie mogę ci opowiedzieć, jak wyglądała jego dalsza kariera, bo sam nie wiem, ale nauczył się tych wszystkich niesamowitych umiejętności i nawiązał kontakty z władzą na całym świecie, więc ustaliliśmy, że będziemy współpracowali dla wspólnego celu.

– Odcięcia łba wężowi – wtrącam.

– Otóż to. Pracując od wewnątrz oraz od zewnątrz.

– I jak wam idzie?

– Z wężem, na którego polujemy, jest taki problem, że w miejsce każdej odciętej głowy wyrasta nowa – odpowiada cicho.

Milkniemy i wsłuchujemy się w deszcz. Kogut ponownie pieje, ale po chwili i on milknie.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że zajmujesz się egzekwowaniem. Wtedy zabrzmiało to bardzo dziwnie, a gdy dowiedziałam się, że jesteś w mafii, stało się jeszcze dziwniejsze, ale teraz… Teraz wszystko ma sens.

Liam przewraca się na bok, podpiera na łokciu i patrzy na mnie.

Obracam głowę i odwzajemniam spojrzenie, usilnie próbując to wszystko sobie ułożyć. Wciąż mam tak wiele pytań…

– Czyli to aresztowanie przez FBI to była ustawka? Współpracowałeś z nimi?

Przytakuje.

– Przekazałem im w zamian sporo cennych informacji i byli bardzo wdzięczni.

– Ale po co w ogóle sfingowałeś to zatrzymanie? – pytam, marszcząc czoło.

Wygładza palcem zmarszczki na moim czole i czule gładzi moje brwi.

– Bo z mafii można wyjść tylko na dwa sposoby. Przez śmierć albo więzienie. Uznałem, że śmierć z ręki któregoś z moich wrogów byłaby niedogodna – zawiesza głos – biorąc pod uwagę, że jestem zakochany.

Biorę paniczny wdech. Łzy wypełniają mi oczy, a gardło się zaciska, więc skrzeczę z trudem:

– Więc co teraz? Rzekomo będziesz do końca życia gnił w celi, ale w rzeczywistości musisz spędzić resztę życia w ukryciu?

Liam nachyla się i składa na moich wargach słodki pocałunek.

– Nie, teraz kolej Killiana. W mafii będzie nowy papież.

Rozdziawiam gębę z niedowierzania, a Liam zanosi się serdecznym śmiechem.

– Zostanie zwolniony z aresztu z powodu jakichś niedopatrzeń formalnych w śledztwie i będzie kontynuował moje dzieło. Już nie może się doczekać. Jeżeli uważasz, że lubię się rządzić, to powinnaś go lepiej poznać.

Nadal gapię się na niego jak ciele na malowane wrota, więc ponownie się ze mnie śmieje.

– W gruncie rzeczy cała ta zamiana to jego pomysł. Ja planowałem, że odpalą mnie w więzieniu, oczywiście tylko na użytek serwisów informacyjnych, i wycofam się z branży, żebyśmy mogli żyć bezpiecznie na uboczu. Wychodzi jednak na to, że mój brat pali się do odgrywania roli władcy międzynarodowego imperium przestępczego. Nie mam bladego pojęcia, co tak bardzo pociąga go w mojej fusze, no ale nic na to nie poradzimy.

Kilkukrotnie szybko mrugam, próbując poukładać komórki mózgowe.

– Czyli twój brat nadal będzie działającym na własną rękę szpiegiem, ale przy okazji przejmie twoją robotę, czyli udawanie szefa mafii, podczas gdy w rzeczywistości będzie pracował dla obcego rządu… albo dwóch.

– Ano.

– A ty przejdziesz na emeryturę i zaniechasz zemsty.

– Ano.

– I będziemy żyli długo i szczęśliwie.

– Ano.

– I będę musiała podziękować za to Killianowi.

Chciał odruchowo przytaknąć i temu, ale zorientował się w ostatniej chwili.

– Co? Nie! To był mój pomysł! To ja wycofałem się z interesu!

Udaję, że wcale nie jestem przekonana, wydymam wargi i patrzę na niego z uniesioną brwią.

– Nie słyszałaś, jak mówiłem, że śmierć z ręki wroga byłaby niedogodna, bo jestem zakochany?! – woła z oburzeniem.

Nie potrafię dłużej grać. Moja kamienna mina zamienia się w szeroki uśmiech. Obejmuję jego szerokie barki i szepczę:

– Tak, słyszałam. Po prostu chciałam usłyszeć to jeszcze raz.

– O ty, mała… – rzuca, próbując się odegrać za mój żart. Nie kończy zdania, tylko po prostu nachyla się i całuje mnie.

Na świeże powietrze wychodzimy dopiero po kilku godzinach.

Epilog

Tru

Cztery tygodnie później

– Świetnie ci pójdzie.

– Wcale nie. Obleję ten pieprzony egzamin. Wczoraj poszło fatalnie, a dziś będzie jeszcze gorzej. Obleję.

– Nie oblejesz.

– Obleję!

– Oblejesz, jeśli nie zmienisz nastawienia. Nabierz trochę pewności siebie. Zakuwałaś jak szalona. Jesteś gotowa.

– Przypomnij mi, po co przejmuję się tym absurdalnym dwudniowym i dwunastogodzinnym egzaminem, skoro Uniwersytet Argentyński przyznał mi już stopień prawniczy? Przecież zarejestrowałam się w Colegio de Abogados i mam wszystko, co jest potrzebne do praktykowania prawa w Buenos Aires. Włącznie z punktami potrzebnymi do zaliczenia egzaminu adwokackiego w Massachusetts.

– Bo to cel, na który pracowałaś latami – mówi Liam stanowczo przez telefon. – I nie chcesz z niego rezygnować tylko dlatego, że zamieszkałaś w innym kraju. A co ważniejsze, obiecałaś to matce.

– Och, no tak.

– Ano. Właśnie tak. Nie chcę jej podpaść na samym początku znajomości.

Stoję przed salą konferencyjną w Hynes Convention Center w Bostonie, gdzie zaraz ma się zacząć drugi dzień egzaminu adwokackiego, dosłownie za chwilę. Opieram się o ścianę i uśmiecham na myśl o spotkaniu Liama z moimi rodzicami. Za kilka miesięcy lecimy do Teksasu z wizytą na Święto Dziękczynienia.

Kiedyś uważałam, że to niemożliwe, ale teraz żyję w alternatywnej rzeczywistości. Ziściło się wszystko, co wydawało się nieprawdopodobne.

– Cholerka, zamykają drzwi. Muszę lecieć!

– Powodzenia, zadzwoń zaraz po egzaminie.

– Wiesz, że zadzwonię, o najbardziej władczy z władców.

– I lepiej nie zapomnij, bo przerzucę cię przez kolano i spuszczę lanie – warczy Liam.

– Obiecanki-cacanki. Do zobaczenia jutro.

Cmokam do telefonu i rozłączam się, zanim wysunie kolejne seksualne groźby. Rozpraszające myśli o takim laniu to ostatnie, czego teraz potrzebuję. Ale już za późno.

Wchodzę do środka, biorę od kobiety przy drzwiach pojemnik na komórkę, zajmuję wyznaczone mi miejsce i z największym wysiłkiem wypieram z umysłu myśli o moim rozkosznym wilczku i tym, co może mi zrobić.

Oprócz wyłączonej komórki mam plastikową torbę z butelką wody, kanapką na lunch, podpisaną zgodą na przystąpienie do egzaminu oraz kilkoma ołówkami, którymi wypełnię dzisiejszą część egzaminu składającego się z mniej więcej miliarda pytań wielokrotnego wyboru. Dotyczą prawa umów, deliktów, prawa karnego, konstytucyjnego, postępowania dowodowego i prawa własności. W torbie mam też dokument ze zdjęciem, ten prawdziwy. Bo choć Ruby Diamond to cudowne nazwisko, takowa dama nigdy nie zgłaszała chęci podejścia do egzaminu adwokackiego stanu Massachusetts. Cholerna szczęściara…

Wszyscy na sali są równie zdenerwowani, jak ja.

Sześć godzin później wyglądamy, jakby nas mdliło, a nasze mózgi przestały działać i wymagały resetu twardych dysków.

Jestem pewna, że oblałam, ale przynajmniej dotrzymałam słowa danego matce.

Uruchamiam telefon, odkładam pojemnik na komórkę na stół przy drzwiach i wychodzę z pomieszczenia. Skręcam w lewo do wind, którymi mam zamiar zjechać na parking, ale gdy zauważam mężczyznę opierającego się o pobliską ścianę, staję jak wryta.

Przechyla głowę w bok i krzyżuje na piersi potężne, wytatuowane przedramiona. Jedną z nóg w wysokich skórzanych kozakach zgiął i oparł o ścianę. Ma na sobie dżinsy i białą koszulkę. Wygląda jak ucieleśnienie zajebistego luzu, jak James Dean na sterydach. Na nosie spoczywają przeciwsłoneczne lustrzanki, więc nie wiem, czy ma otwarte oczy, ale i tak dobrze wiem, jaki mają kolor.

Podchodzę do niego z uśmiechem na ustach.

– Cześć, Killian.

Obraca głowę w moją stronę i wzdycha.

– Nawet nie wiesz, jakie to rozczarowujące, że za każdym razem tak szybko mnie rozpoznajesz. Zupełnie nikt nie potrafi nas rozróżnić.

Ma nieskazitelny irlandzki akcent. Mam ochotę poprosić, żeby zaprezentował australijski, ale rozsądek zwycięża, więc pytam:

– Dlaczego to rozczarowujące?

Uśmiecha się leniwie. W jego policzku pojawia się dołeczek. Podnosi okulary nad czoło i mierzy mnie zza wpół przymkniętych powiek, a jego oczy łobuzersko błyszczą.

– Liczyłem, że zarzucisz mi ręce na ramiona i dasz buziaka.

– Wcale nie, po prostu zgrywasz czarusia.

– Zgrywam? Nie muszę niczego zgrywać, mała – prycha.

– Och, czyli to ego jest rodzinne – śmieję się.

Odpycha się od ściany, prostuje i patrzy na mnie z bardzo wysoka.

– Dokładnie. Jesteśmy dwoma napuszonymi pawiami, to fakt. Ale nie możesz nas winić. – Ustawia ręce jak rzecznik prasowy po solidnym przeszkoleniu. – Popatrz tylko na to eleganckie upierzenie. Wszystkim innym kogucikom zęby wypadają z zazdrości.

Mija nas młody chłopak, który posyła Killianowi zazdrosne spojrzenie, po czym wzdycha i rusza dalej.

Na ten widok Killian szczerzy się jeszcze szerzej.

– Zapłaciłeś temu kolesiowi, prawda? – pytam, przewracając oczami.

– Mała, spotyka mnie to co najmniej piętnaście razy dziennie – odpowiada i wykonuje lekceważący gest ręką. – Jak poszedł egzamin?

– Fuj, możesz mnie dobić.

– Obawiam się, że mojemu bratu nie przypadłoby to do gustu. Wiesz, że mocno cię lubi.

– Lubi?

– Wrosłaś w niego jak pleśń – odpowiada z pełną powagą.

Ponownie wybucham śmiechem. To tak niedorzeczne porównanie, że nie mogę się powstrzymać.

– Dobrze wiedzieć. Abstrahując, czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną przyjemność?

– Chyba nie sądziłaś, że Liam pozwoli ci się włóczyć po Bostonie bez obstawy?

– Nie włóczyłam się. Chwileczkę… – Mierzę go zmrużonymi oczami. – Przyleciałam dwa dni temu. Obserwowałeś mnie przez cały czas?

– Obserwowałem? – pyta z kwaśną miną. – Jakbym był jakimś zbokiem…

– Czyli obserwowałeś.

Patrzy na mnie przez chwilę. Widzę, że walczy ze sobą, żeby się nie zaśmiać.

– Czyżbyś funkcjonowała w złudnym przeświadczeniu, że mój brat nie jest wobec ciebie szaleńczo opiekuńczy? Że nie odbija mu, gdy traci cię z oczu na ponad minutę? Że pozwala ci wyfrunąć z waszego przytulnego gniazdka…

– Pozwala? – prycham, ale mnie ignoruje.

– I nie ma przez to koszmarów sennych, nadciśnienia i nie włącza mu się tryb zazdrosnego jaskiniowca? Jeśli tak, to muszę cię rozczarować.

– Prawdę mówiąc, byłbyś z niego dumny, bo znosi to bardzo dobrze.

– Tak ci się wydaje – rechocze Killian.

Ach, ci mężczyźni.

– Jak idzie mafijna fucha? Czy władanie międzynarodowym imperium zbrodni jest tak przyjemne, jak zakładałeś?

Killian bierze mnie pod rękę i nieśpiesznie prowadzi w stronę wind.

– Ubóstwiam tę robotę. Dzięki, że pytasz. – Parska śmiechem. – Ale Liam narobił sobie wielu wrogów. Bez przerwy próbują mnie

ukatrupić! Zwłaszcza jeden młody Latynos, który za żadne skarby nie chce mi odpuścić. W ostatnim miesiącu strzelał do mnie, podłożył bombę w samochodzie, który, jak błędnie myślał, należał do mnie, i starał się podłożyć kolejną, improwizowaną, przed jedną z restauracji Liama. Oj, przepraszam. Przed jedną z moich restauracji.

Och, nie. Mój żołądek zwija się w supeł.

Kiedy docieramy do wind, Killian przyzywa jedną wciśnięciem guzika i kontynuuje:

– Szczęśliwie dla mnie, jest żenującym zabójcą. Gównianym, wręcz komicznie nieudolnym. Odpuszczam mu z ciekawości, co znowu wymyśli. Stał się maskotką moich ochroniarzy. Pytałem Liama, ale zarzeka, że nie ma pojęcia, dlaczego ten chłopaczek tak się uwziął.

– Eee, Killian, możesz wyświadczyć mi przysługę?

Patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Mógłbyś go nie krzywdzić? To mój były przyjaciel. – Odchrząkuję. – Pracowaliśmy razem przez kilka lat.

Przez chwilkę gapi się na mnie zdumiony, po czym wybucha gromkim śmiechem.

– Haha! Mówimy tu o trójkącie miłosnym, prawda?

– Nie wkurzaj mnie – odpowiadam oschle.

– Ależ ja? Wkurzać? Gdzie?! Za żadne skarby! – woła niewinnie.

Wzdycham ciężko.

– Naprawdę, proszę cię o przysługę. Nie krzywdź go, dobrze?

Teraz wygląda na urażonego moją sugestią.

– Naturalnie, że go nie skrzywdzę. Dostarcza mi świetnej rozrywki. Myślałem nawet, czy nie zaproponować mu pracy. Podoba mi się prezentowany przez niego poziom zaangażowania. Przydałby mi się.

Drzwi windy się rozsuwają. Wchodzę do środka, ale Killian do mnie nie dołącza.

– Tu się rozstajemy, mała.

– Ale zakładam, że dalej będziesz mnie szpiegował.

– To należy do moich obowiązków – odpowiada i puszcza mi oczko.

Gdy drzwi windy się zamykają, uśmiecham się, kręcąc głową.

Wsiadam do wynajętego samochodu i ruszam do hotelu, żeby się spakować. W drodze od razu dzwonię do Liama. Odbiera po pierwszym sygnale.

– No i? Jak poszło?

– Jeśli chcesz wiedzieć, to może powinieneś wykręcić do brata – rzucam prowokująco.

– Miał się nie pokazywać – odpowiada i wzdycha z niezadowoleniem.

– Nic nie szkodzi. Miło było go zobaczyć. A tak przy okazji, Diego ciągle próbuje cię zabić.

– Naprawdę? Hmm, jestem pod wrażeniem jego zaangażowania.

– Killian powiedział to samo. Zastanawia się, czy nie zaproponować mu pracy.

– A zależy mu na spartaczeniu jakiejś roboty? – rechocze Liam.

– Nie szydź. Szkoda mi go.

– Niesłusznie. Próbował mnie zamordować.

– Wiem, ale musisz przyznać, że na pewien pokręcony sposób to całkiem romantyczne.

– Ani myślę. Tylko ja mam prawo dopuszczać się morderstw w twoim imieniu.

Zaniepokoiło mnie coś w tonie jego głosu.

– Brzmisz tak, jakbyś zrobił coś takiego…

Śmieje się lekceważąco.

– Nie zrobiłem, ale zastrzegam sobie taką możliwość. A przy okazji, przyspieszyłem twój odlot. Samolot startuje za dwadzieścia pięć minut.

– Przecież nie zdążę się spakować i wymeldować z hotelu!

– No to lepiej się śpiesz. Bo, kurwa mać, nie mogę się doczekać spotkania – mówi niższym tonem. – Trzy dni rozłąki to zdecydowanie za długo.

Rozłącza się, nie czekając na kłótnię o to, jak bardzo się rządzi, bo oczywiście musiał się jej spodziewać.

Pędzę do hotelu, pakuję manatki i biegnę do recepcji, żeby się wymeldować. Chciałam zatrzymać się u Ellie, ale znowu zeszli się z Tylerem.

Im bardziej świat się zmienia, tym bardziej pozostaje taki sam.

Wczoraj podczas kolacji przekazałam jej pieniądze za moją część wynajmu mieszkania i zapowiedziałam wizytę ekipy goryli, którzy przyjdą spakować moje rzeczy. Gdy zapytała, co się dzieje ze mną i z Liamem, odparłam, że nie mam pojęcia, o czym mówi, i uśmiechnęłam się wymownie. Załapała. Wieczorem po moim pośpiesznym zniknięciu dowiedziała się z wiadomości, że został aresztowany, a potem zwolniony z aresztu. Słyszała, jak dziennikarze nazywali go gangsterem. Jeżeli ktoś zna się na skomplikowanych związkach, to właśnie ona. Nie zapytała, gdzie teraz mieszkam, sama również o tym nie wspomniałam. Po prostu zjadłyśmy dobrą kolację, pogadałyśmy i przytuliłyśmy się na pożegnanie. Ale mam przeczucie, że wkrótce znowu się spotkamy. Buenos Aires jest nieziemskie, ale jeśli zdam egzamin w Bostonie, to kto wie, co przygotowała Fortuna.

Raz na jakiś czas Killian będzie potrzebował wakacji, prawda? A papież mafii nie może zaniedbywać interesów nawet przez jeden dzień. Być może co jakiś czas będzie chciał zrobić sobie przerwę, a wtedy przyda mu się rozgarnięty zastępca.

* * *

Tym razem lot do Argentyny upływa mi szybciej, bo zasypiam. Budzę się dopiero w momencie, w którym koła samolotu dotykają pasa startowego.

Kiedy docieram do Rancza dwóch braci, Liam już czeka na mnie we frontowych drzwiach.

Biegnę i rzucam mu się w ramiona. Bez słowa zanosi mnie prosto do sypialni.

– Cześć, kochanie – mówię, choć widzę tylko jego profil.

– Musisz się rozebrać – burczy.

– Właśnie widzę – odpowiadam z uśmiechem.

Kładzie mnie na łóżku, ściąga ze mnie ubrania, pozbywa się swoich, a potem wchodzi we mnie z westchnieniem prawdziwej wdzięczności. Wyginam się i również wzdycham. To niesamowite, że jeden człowiek może roztaczać aurę przytulnego domu.

Jest niecierpliwy, zachłanny, a nawet nieco brutalny. Jego usta i ręce są dosłownie wszędzie. Rżnie mnie, przygryzając moją szyję. Krzyżuję kostki za jego plecami i przyjmuję go bardzo głęboko.

Dochodzę z jego imieniem na ustach.

Liam opada na mnie i wydaje z siebie zbolały odgłos.

– Co się dzieje? – dyszę, otwierając oczy.

– Nie założyłem prezerwatywy – cedzi przez zęby.

Przez chwilę leżymy w całkowitym milczeniu. Patrzymy sobie w oczy, a serca nam walą jak szalone. W końcu sunę dłońmi w dół jego rozłożystych pleców, zatapiam palce w twardych półkulach jego pośladków i napinam biodra, by wszedł jeszcze głębiej.

Liam rozdziawia usta. W jego oczach pojawia się zrozumienie.

– Kochana, jesteś pewna? – szepcze ochryple.

Zamiast odpowiadać, ponownie napinam biodra i całuję go.

Ujmuje moją twarz w swoją wielką dłoń i rewanżuje się namiętnym pocałunkiem.

– Chcesz mieć ze mną dziecko? – mruczy w moje usta, posuwając mnie coraz głębiej i szybciej. Jego ramiona zaczynają drżeć, a oddech staje się ciężki. Myśl, że może mnie zapłodnić, doprowadza go do szaleństwa.

– Więcej niż jedno – odpowiadam bez tchu i jęczę z rozkoszą.

Matka byłaby rozczarowana, że najpierw się nie pobraliśmy, ale nią zajmę się później.

Liam zaczyna gorączkowo wierzgać biodrami. Rżnie mnie z pasją, przy czym z jego gardła wyrywają się stęknięcia. Ja też zbliżam się do kolejnego orgazmu. Moja głowa opada na poduszkę, ciało staje w ogniu, a serce zaczyna radośnie śpiewać.

Dochodzi pierwszy. Całe jego ciało tężeje. Podskakuje, wzdycha, a potem składa głowę na moich piersiach i ssie sutek, spuszczając się we mnie z głośnym jękiem.

Czując, jak we mnie pulsuje, spadam w przepaść. Skurcze w moim podbrzuszu są gwałtowne i rytmiczne, odbierają dech.

– Kocham cię. Kochana, tak bardzo cię, kurwa, kocham – wyznaje ochryple, trzymając usta przy moim uchu. Jego ciało jest ogromne i otacza mnie ciepłem. Serce Liama wali tuż przy moim. Poruszamy się w jednym rytmie. Krzyczę, a po moich skroniach spływają łzy.

Myliłam się. Miłość to wcale nie koszmar. To cud, prawdziwe błogosławieństwo. Dzięki niej wiem, że w końcu znalazłam dom.

* * *

Po seksie drzemiemy. Budzę się przy niesamowitym widoku tęczy nad odległymi, zieleniącymi się po niedawnym deszczu pastwiskami. Niebo się przejaśnia, błękit przesłaniają ostatnie chmury, a na zewnątrz śpiewają ptaki.

Liam śpi z uśmiechem na swej przepięknej twarzy.

Cichuteńko wyślizguję się z łóżka. Staję na palcach, bo nie chcę go obudzić. Mamrocze coś przez sen, przewraca się na drugi bok, ale dalej smacznie śpi.

W Bostonie nigdy nie był taki zrelaksowany. Tam na pewno nie zdołałabym wymknąć się z łóżka niezauważenie. Narzucam na siebie szlafrok i idę boso do kuchni, żeby nastawić kawę.

Na kontuarze obok wielkiego bukietu róż znajduję niewielkie aksamitne pudełko.

Moje serce wpada w szał, przez co odruchowo zasłaniam usta dłońmi.

Zerkam nerwowo przez ramię, ale z sypialni nie dochodzi żaden szmer. Podkradam się więc do pudełeczka i sięgam po nie drżącymi rękami. W środku leży opatulony aksamitem boski pierścionek z brylantem. Główny klejnot jest ogromny, wręcz oślepiający. Po bokach towarzyszą mu po dwa wypukłe, krwistoczerwone rubiny. Gapię się na pierścionek, podczas gdy w moich oczach wzbiera morze łez. W tym momencie w pasie oplata mnie silna ręka, która przyciąga mnie do ciepłego, twardego torsu.

– Obiecałem kiedyś, że nie zmuszę cię do ożenku – szepcze mi wprost w ucho Liam – ale cofam to. Załóż, że nie masz wyjścia.

I znów płyną te cholerne łzy.

– Jesteś najbardziej tyrańskim, wkurzającym i zdecydowanie najwspanialszym mężczyzną, jakiego poznałam – szepczę.

– Wiem. Przymierz już ten cholerny pierścionek.

Nasuwam go na palec. Oczywiście pasuje jak ulał.

Obracam się, chowam twarz w piersi Liama i wybucham płaczem.

On trzyma mnie mocno, głaska po głowie i śmieje się radośnie.

– Więc kiedy związek prawników poinformuje cię, czy zdałaś?

– Możesz mi dać momencik, żebym się pozbierała? Proszę. Przeżywam właśnie bardzo emocjonujące chwile!

– Bo jeśli chcesz, to ja już mogę ci powiedzieć – kontynuuje, kompletnie mnie ignorując.

Odsuwam się i patrzę na niego zaskoczona.

– A skąd możesz wiedzieć? Wyniki mają być za dwa miesiące.

– Mam znajomości – stwierdza z uśmiechem.

– Liam! – Walę go w tors drobnymi, niegroźnymi piąstkami. Nawet tego nie zauważa.

– Czyli nie chcesz wiedzieć – stwierdza, wzruszając ramionami. – Jak wolisz.

Odwraca się i łapie wiszący na ścianie niedaleko wnęki śniadaniowej pilot do telewizora, a ja wbijam mu w plecy sztylety z groźnego spojrzenia. Włącza kanał informacyjny. Już mam ochotę domagać się, żeby powiedział coś więcej, ale moją uwagę przykuwa pasek z najnowszymi wiadomościami.

– Sędzia z Teksasu aresztowany w wyniku oskarżeń o zmowę i morderstwo.

Gdy spiker wymienia doskonale mi znane nazwisko, zamieram jak skuta lodem.

To sędzia, który zlecił morderstwo mojego brata.

Słucham, zmrożona szokiem, jak spiker opowiada, że FBI przeprowadziło nalot na dom i biuro sędziego na podstawie informacji z anonimowego źródła. Gdy przesuwam zdumione spojrzenie na opierającego się o kontuar Liama, on patrzy na mnie z miłością w oczach, lecz minę ma smutną.

– To twoja sprawka? – pytam szeptem.

– Powiedziałaś, że nie chcesz krwi na rękach. Uznałem więc, że dożywocie będzie drugim najlepszym rozwiązaniem – odpowiada spokojnie, mierząc mnie wzrokiem.

Kolana się pode mną uginają, ale Liam łapie mnie, zapobiegając mojemu upadkowi na podłogę. Jak zwykle…

I wiem, że już zawsze będzie chronił mnie przed upadkiem, po kres naszych dni.

* * *

Podziękowania

Nie wiem, od czego zacząć, więc najlepiej będzie, jeśli zacznę od początku.

Wydanie tej książki opóźniło się kilkukrotnie ze względu na pewne ważne wydarzenia. Niektóre były związane ze mną, a inne z naszym światem.

Najpierw pod koniec 2019 roku zmarła moja matka. Przewróciło to moje życie do góry nogami na dość długi czas. Żałoby nie sposób zaplanować, a jej śmierć okazała się dla mnie większym ciosem, niż sądziłam. Była w podeszłym wieku i chorowała, lecz jej śmierć i tak była wstrząsem. Kiedy odchodziła, byłam z nią sama w szpitalu. Nadal staram się ułożyć sobie to wszystko w głowie. Mimo wszystko jestem ogromnie wdzięczna, że mogłam przy niej być i że była moją mamą.

Zostałam adoptowana jako sześciotygodniowe dziecko. Od małego o tym wiedziałam, ponieważ rodzice adopcyjni niczego przede mną nie ukrywali. Dorastałam w poczuciu wdzięczności i uprzywilejowania, bo ofiarowano mi wspaniałe życie. Nie poznałam biologicznej matki i z szacunku dla jej prywatności nie próbowałam się z nią kontaktować, ale im jestem starsza, tym bardziej cenię poświęcenie, na jakie się zdecydowała, sprowadzając mnie na ten świat. Życie to prawdziwa ruletka, przy której szczęście i pech odgrywają ogromną rolę. Ja musiałam urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą, bo miałam nie jedną, lecz dwie kochające matki.

Dziękuję więc tej, która dała mi życie, oraz kobiecie, która mnie wychowała i nauczyła, jak kochać życie. Kocham was obie i oddaję wam dozgonną cześć.

Drugim ważnym wydarzeniem, które opóźniło premierę, była światowa pandemia. Pojawienie się koronawirusa nie przypomina niczego, czego doświadczyłam podczas kilku dekad istnienia na tej planecie. Mam nadzieję, że już nigdy nie zaznam niczego

podobnego. Składam płynące z głębi serca szczere podziękowania dla wszystkich pracowników służby zdrowia, ratowników medycznych oraz rzeszy ciężko pracujących ludzi, którzy w dużej mierze pozostali anonimowi i jednocześnie pomagali potrzebującym podczas tego kryzysu.

Ostatnia sprawa, która pokrzyżowała plany dokończenia tej książki, była związana z moimi niesprawnymi jelitami. Przepraszam, jeżeli ujawniam zbyt wiele, ale cierpię na schorzenie znane pod przeuroczą nazwą: wrzodziejące zapalenie jelita grubego. Gdy choroba przybiera na sile, nie mogę jeść, pracować ani wychodzić z domu. Jestem kompletnie do niczego. Wystarczy sobie wyobrazić, co się dzieje, gdy cała okrężnica jest we krwi, wrzody bolą i… W każdym razie nauczyłam się, że dobre zdrowie to okazja do dziękowania każdego dnia. Ostatni stan zapalny trwał dwa miesiące, akurat gdy – przez wspominaną wcześniej pandemię – na całym świecie brakowało papieru toaletowego.

Dobre czasy…

Wszystko, co napisałam powyżej, to zawoalowane podziękowania dla mojego męża, Jaya – mojego prawdziwego bohatera.

Za każdym razem, gdy budzę się w środku nocy, żeby się wysikać lub napić wody, to nieważne jak cicho próbowałabym wymknąć się z łóżka, mój mąż budzi się i pyta, czy mi czegoś potrzeba. Jeżeli tak, to od razu wstaje i mi to przynosi. Nieważne, czego potrzebuję lub chcę, zawsze mi to zapewnia mimo wszelkich niewygód. To niewiarygodnie romantyczne nawet dla autorki romansów.

1 lipca 2020 roku obchodzimy dwudziestą rocznicę ślubu. Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Wprowadziłam się do niego już dwa tygodnie po naszym pierwszym spotkaniu. Poznaliśmy się w restauracji, w której jedliśmy obiad z przyjaciółmi, a nasze spojrzenia skrzyżowały się na sali jadalnej. Niedługo potem Jay wyszedł za mną na parking, by zaprosić mnie na randkę. Reszta jest już nieistotną historią. Wzięliśmy ślub w cudownie tandetnej kaplicy w Las Vegas w towarzystwie wielu przyjaciół i krewnych. Wyłącznie dzięki obecności mojej matki nie pobraliśmy się w samochodowej kaplicy Elvisa. Gdybyśmy to zrobili, miałaby koszmary do końca życia.

Jay, kocham Cię. Ślub z Tobą to najlepsza decyzja w moim życiu. Zawsze uszczęśliwiasz mnie na tak wiele sposobów. Na tę chwilę nie planuję Cię zamordować we śnie. Pracuj tak dalej, a będziesz bezpieczny.

Dziękuję Geissinger's Gang, grupie facebookowej moich czytelników, za wsparcie oraz świetną zabawę.

Dziękuję Letiti Hasser za talent do tworzenia pięknych okładek.

Jak zawsze, dziękuję moim czytelnikom. To Wy spełniliście moje marzenie o karierze pisarskiej.

Dziękuję mojemu ojcu. Tęsknię za Tobą każdego dnia.

Na koniec pragnę podziękować wszystkim, o których zapomniałam i przypomnę sobie pewnie dopiero wtedy, gdy książka trafi do druku, przez co będę miała druzgocące wyrzuty sumienia.

P.S.
Jeżeli jesteście ciekawi, to tak, Truvy zdała egzamin adwokacki.

O autorce

J.T. Geissinger to autorka największych światowych bestsellerów z gatunku naładowanych emocjami romansów i powieści kobiecych. Jej książki, począwszy od zabawnych, charakternych komedii romantycznych, a na mroczniejszych romansach pełnych napięcia skończywszy, sprzedały się w milionach egzemplarzy i zostały przełożone na kilka języków, w tym na niemiecki, hebrajski, francuski, czeski i japoński.

Trzykrotnie znalazła się wśród finalistek nagrody RITA w kategorii romansu współczesnego i romansu paranormalnego, czyli największego wyróżnienia w branży powieści romantycznej, przyznawanego przez Stowarzyszenie Amerykańskich Autorów Romansów. Jest też laureatką Prism Award za najlepszy debiut książkowy oraz Golden Quill Award za najlepszą powieść paranormalną/urban fantasy.

Pochodzi z południowej Kalifornii, obecnie mieszka w Nevadzie z mężem i zaadaptowanym kotem-zgubą Zoe.

Znajdź ją w sieci: www.jtgeissinger.com i dołącz do grupy czytelników na Facebooku.

[1] *Chica* – (z hiszp.) dziewczynka (przyp. red.).
[2] NASCAR (ang. National Association for Stock Car Auto Racing) – największa organizacja wyścigowa w Stanach Zjednoczonych (przyp. red.).
[3] *Matón* – (z hiszp.) tyran (przyp. red.).
[4] *El pandillero* – (z hiszp.) członek gangu (przyp. red.).
[5] *Puto pendejo* – (z hiszp.) pieprzony dupek (przyp. red.).
[6] Osobowość analna – typ osobowości wprowadzony przez Sigmunda Freuda. Charakterystyczne cechy ludzi z tym typem osobowości skupiają się wokół uporu, uporządkowania i czystości (przyp. red.).
[7] *Buonasera signore* – (z wł.) dobry wieczór panu (przyp. red.).
[8] *Signorina* – (z wł.) panienka (przyp. red.).
[9] *La lista dei vini, per favore* – (z wł.) proszę o listę win (przyp. red.).
[10] *Estancia Los Dos Hermanos* – (z hiszp.) Ranczo dwóch braci (przyp. red.).